

D. II 1.
TOM CCLXXXVIII.

ROK 72.

ZESZYT 863.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

L I S T O P A D.

1912.

TOM IV.—ZESZYT 2.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1912.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. EPOKA ROMANSU W TWÓRCZOŚCI Z. KRASIŃSKIEGO,—przez <i>Tadeusza Grabowskiego</i>	239
2. ZE WSPOMNIENIŃ KAROLA KALITY	224
3. W POSZUKIWANIU BOGA,—przez <i>Wł. Jabłonowskiego</i>	260
4. W KOPALNI ZŁOTA NA SYBERYI,—przez <i>Henryka Wiercińskiego</i> .	281
5. Z DZIEJÓW POETYCKIEJ PRZYJAŹNI, KRASIŃSKI A NORWID, przez <i>d-ra Stanisława Kossowskiego</i>	307
6. RUCH LITERACKI W NIEMCZECH,—przez <i>d-ra Józefa Flacha</i> . . .	330
7. SZTUKA WE FRANCYI,—przez <i>Konrada Ostrowskiego</i>	354
8. ROZMAITOŚCI: O szkołę rolniczą w Żabikowie,—przez <i>Alfreda Brodnickiego</i> : . . .	375
Diskusya	377
9. PIŚMIENICTWO: JÓZEF KONCZYŃSKI: „Stan moralny społeczeństwa polskiego na pod- stawie danych statystyki kryminalnej.“—przez <i>Wacława Dunina</i>	382
ANTONI POTOCKI: „Polska literatura współczesna,“—przez <i>Wł. T. Ba- ranowskiego</i>	389
HERBERT SAND: „Współczesna polska twórczość dramatyczna,“—przez <i>Wł. T. B.</i>	394
10. KRONIKA MIESIĘCZNA: Rola młodzieży w życiu politycznym.—Przesąd wszechmocny i jego źródła.—Szkodliwa i niebezpieczna robota.—Wywłaszczenie w zaborze pruskim.—Stanowisko prasy niemieckiej.—Treść ustawy.—Głosy opinii miejscowej.—Rezultat wyborów warszawskich	398
11. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	411



De. II 1

EPOKA ROMANSU

w twórczości Z. Krasieńskiego.

I.

Pierwszym objawem twórczości Krasieńskiego był niewątpliwie romans, który posiadał ogólne cechy tego rodzaju i pociągał wyobraźnię poety niepospolicie. Był więc wyrazem osobowości twórcy, jak wogóle romans romantyczny, a nie obserwacji zewnętrznej, znajomości życia i charakterów. Wszystko w nim było wymyślone; sam bohater stanowił zaś w tem, co czuł, myślał, pragnął, odbicie nastroju epoki, która, w każdej literaturze, okazywała typy podobne.

Życie wewnętrzne stanowiło o wszystkim nawet wtedy, gdy romans przybierał charakter historyczny, odpowiadało bowiem ogólnemu wzrostowi uczuciowości, do której odmian i nastrojów stosował się romans ulegle. Uczuciowość zwracała się zaś chętnie do przeszłości, by tylko uciec od życia, stroić się w szaty nieznanego współczesnym, grać role zadowalające tajemne pragnienia. Romantyk żył snem, od płaskości bytu przenosił się w krainę ułudy. Kochał nadzwyczajność, przepadał za cudownym, szukał postaci nadludzkich. W uczuciach cenil ostateczność i silne wzruszenia, gardził życiem, w którym przeważa przeciętność. Wszystko w jego rękach nabierało pozorów prawdy.

A przecież wyobraźnia nadawała pozorom tyle uroku, że zapominało się o fałszywości dekoracji, sztuczności języka, nieprawdopodobieństwie osób i osnowy. Niekiedy bohater stanowił zupełny fałsz historyczny, a jednak miał powodzenie niesłychane. Najgorzej działo się jednak, gdy romans, gardząc popolitością,

tracił wszelki związek z historią. Wtedy miało się do czynienia tylko z imionami i strojami historycznymi. Romans zmieniał się w widzenie, nad którym wisała w dodatku fatalność. Romansopisarz dogadzał wtedy tylko smakowi tłumu, który, od poprzedniego wieku, łączył z pożądaniem posiedzeń mesmerowskich, widzeń swedenborgiańskich, cudów cagliostrowych, także opowiadania o zbrodniach, podziemiach, widziadłach. Romans tego rodzaju szedł o lepsze z melodramatem, który kojarzył nadzwyczajność wypadków z jaskrawym kolorytem miejscowym.

A jednak ludzie współcześni widzieli rewolucję francuską, a przynajmniej słyszeli o jej okropnościach. I oni właśnie drżeli o losy sentymentalnych dam, szlachetnych hrabiów, przewrotnych mnichów, zbrodniczych a jednak nieszczęśliwych rycerzy. Nie nużyła nikogo patetyczność pani Redcliffe, krańcowość pomysłów Huga lub de Vigny'ego. Pochłaniano historię krwawej mniszki Louisa, dzieje dyabła, który żył w Sabaudyi pod postacią szlachcica Mathurina, wreszcie przypadek studenta, który ze zwłok ludzkich stworzył potwora, ożywionego prądem elektrycznym. Ten ostatni przypadek opisała pani Shelley, co nie przeszkodziło bynajmniej, że nosiła nazwisko największego, obok Byrona, poety czasu.

Różniło się to zresztą tak niezwykle od tego, co dawali pseudoklasycy, że wybaczano romansopisarzom nawet okropności i nieprawdopodobieństwa. Nikt nie zwracał uwagi, że osoby, dekoracya, styl są poza rzeczywistością, skoro romantyzm musiał mieć też swe przesady, konwenanse, teorye. Nowy smak zastępował stary, by odrzucać zamiłowanie trzeźwości, miary, prostoty osnowy i formy. Nowi bohaterowie godzili się mało z nastrojem starych, żyli wyłącznie uczuciem. Czerpali z wrażeń bezpośrednich, wahali się nieustannie między entuzjazmem a zwątpieniem. Poezya, wyrosła z uczucia, odsuwała do reszty wszelki zmysł rzeczywistości, wносиła do dusz instynkty obce starzającemu się pokoleniu, a niemożliwe do urzeczywistnienia. Porzucenie dogmatyzmu estetycznego szło w parze z pragnieniem tego, co jest poza rzeczywistością zmysłową, z ukochaniem natchnień osobistych, z hasłem wolności w sztuce. Nawet Niemcewicz, choć oddzielał się niejednokrotnie od Potockiego lub Śniadeckiego, musiał wydać się mdłym i bezbarwnym w porównaniu z tem, co czytano u obcych.

Troska o świat inny, niedostępny zmysłom, pędzący martwą bryłę świata do ruchu, objawiła się także zwątpieniem, dotyczącem dogmatu. Za wzór do naśladowania podawano oczywiście

Walter-Scotta, gdy Mickiewicz wskazywał jeszcze potrzebę myśli filozoficznej, którą znajdował u Byrona. Określał typ twórcy, który na zapał nadziemski, sięga wzrokiem tam, gdzie wzrok nie sięga, wieści świat ducha wschodzący nad martwością i nocą. Twórczość poczęła opierać się na doświadczeniu wewnętrznym, odwracała się od świata zmysłów i zewnętrzności bytu. Ze zniżoną nastroju, zmieniła się i literatura, by w Wilnie czerpać, za wskazówką Chodakowskiego, w motywach ludowych, w Warszawie, iść za tem, co pisano nad Sekwaną lub Tamizą. Romans wypełnił czasopisma, obudził zamiłowanie nadzwyczajności, zwrócił do natury, nauczył czytania w przeszłości.

Rozwinał też w synu generała napoleońskiego, który urodził się z krwi rozlanej po całej ziemi. Takie dzieci musiały mieć chyba piękne sny, skoro ojcowie ich widzieli słońce Piramid lub śniegi Moskwy. Miały w głowie cały świat, przez który przeszła burza. Gruntem, na którym stały, były ruiny, z których wionęły smutek, niepewność, rozpacz. Więc na ich ustach nie osiadał uśmiech wolteryński, ale ból mussetowski, ból dziecięcia wieku, ból pokolenia, które kochało ideał, choć w niego czasem nie wierzyło. To pokolenie ugięło się pod ciężarem myśli, uczuciem tonęło chętnie w lekturze wojennej, która odwracała od rzeczywistości. Homer był dla niego najmilszym ze starożytnych, skoro u niego znajdowano sceny wojenne, narady burzliwe, epizody cudowne. Akcja, w której bogowie byli podobni do ludzi, a ludzie do bogów, przemawiała do instynktów, rozwijała w sercu odwagę, miłość walki, pragnienie sławy. I pierwsi ludzie młodziutkiego romansopisarza będą rządzić się, jak u Homera, pobudkami silnemi. mówić mało, mieć pewien rys dominujący.

II.

Te przymioty wyniosą ich nad pospolitość, stworzą z nich rasę dostojną wśród tłumu. Romans ich życia wyjdzie z książki, choć nie braknie mu też punktów stycznych z życiem istotnem. Będzie i ślad wpływów pseudoklasycznych, który zaznaczy się choćby w formie pierwszych pomysłów, które luźnie zwiążą się tylko z romansem. Znaczenie ich jednak dla rozwoju indywidualności Krasińskiego jest niepospolite. Okazują one, jak ta indywidualność szuka dopiero wyrazu, gdy treść rysuje się na wstępie, zaznacza się bez osłon, ujawnia się wyraźnie. Poeta, w któ-

ryn zamknie się pewien pogląd polityczny, okazuje się już teraz z podstawami właściwego sobie myślenia, które dziedziczy po ojcu, choć i odbiega od niego niejednokrotnie.

Czy nie okazuje tego myślenia już „Rozmowa 1824 z 1825 rokiem“ (1826)? Syn generała napolcońskiego interesuje się żywo tem, co dzieje się w sferze polityki. Obchodzi go powstanie greckie, które uświetnia śmierć Byrona. Wszakże ten poeta był niejako sztandarem romantyków, hasłem do walki z reakcją, bohaterem zapasów ze światem, z którego uciekła wolność. Pociągał wyobraźnię tysięcy, zachwycał poetów, którzy przysięgali, że pójdą jego śladem. Więc i przyszyły wieszcz palił mu pierwszą ofiarę na ołtarzu sztuki, co wskazywało, że jego natchnienie nie będzie banalnym, nie zamknie się w rozważaniu własnych przeżyć, nie ograniczy do sfery przeżyć osobistych.

I „Rozmowa duchów Napoleona i Aleksandra I“ (1826) wskazuje, że wypadki współczesne wstrząsały też duszą chłopięcą. Wyrażała ona swą sympatyę dla zmarłego monarchy, któremu społeczeństwo zawdzięczało swój byt polityczny, swe uczucie niepewności wobec nowego panującego, który, wbrew prawu dziedzictwa, wstąpił na tron. Tu już rozmowa dotknęła wyraźnie spraw narodowych, choć jej autor zwracał się też z widoczną sympatyą do Grecyi. Syn Botzarisa, który wydobywa się szczęśliwie z więzienia stambulskiego i wraca w okolice Termopil, Wallas, który woli zginąć w otoczonej morzem płomieni wieży, niż poddać się Anglikom, zniszczenie Ipsary, wreszcie bohaterska postać Joanny d'Arc, przesuwają się kolejno w jego opowiadaniach, przepojonych uczuciem miłości, dalekiej od pierwszych ukochań Słowackiego. Nic w tem nie było zresztą dziwnego, skoro imiona bohaterów greckich były na ustach wszystkich, by wywoływać pragnienia podobnych im czynów.

Prócz formy rozmowy, którą przejął romansopisarz od Krasickiego, rozwija się u niego, odziedziczona może po Woroniczu, forma widzenia. Takim widzeniem jest, „Polska“ (1826), nad którą płaczą córki gór karpaccich. Orzeł biały nie ma już bowiem schronienia, północny wiatr smutku i spustoszenia mrozi dziś bowiem wolny oddech w kraju. Na domiar złego, pali ten kraj skryty ogień, co oznacza niewątpliwie niemile generałowi Krasieńskiemu spiski. I syn musi podzielać pojęcia ojca, choć nie wątpi, że dzień wyzwolenia nadejdzie. Marzy o walce, choć i wpada w zwątpienie. Jest przecież mussetowskim dziecięciem wieku, w którym instynkty bojowe nikną tak prędko, jak powstały. „Do broni, do broni!—woła. Za miecze, za dzidy! Na koń, bra-

cia, na koń! Śmierć, rzeź, spustoszenie. Zagłada wrogów..." A potem znów ton minorowy, upadek ducha, świadomość niewoli. Takiego tonu nie było w wileńskim filomatyzmie, gdzie górowała wiara w organizację spiskową i możliwość stworzenia przez nią nowego świata.

Ale myśl o ojczyźnie towarzyszy też młodziutkiemu byroniście. Uniwersytet warszawski, do którego zwrócił się po wyższą wiedzę, nie mógł mu dać, jak wileński Filomatom, swobodnego rozwoju indywidualności. Panował tu duch Nowosilcowa i Szaniawskiego, by skłaniać młodzież do pracy w tajnych organizacjach. Tylko wyjątkowi profesorowie, jak Brodziński, mieli wyższy cel na oku, zresztą szerzyła się reakcja, której dziećmi byli ludzie typu Maciejowskiego. Atmosfera domowa dawała zaś błyskotliwą kulturę, której okazem był motylkujący po wszystkim generał Krasiński. W prasie zabierał głos już Mochnacki, by piętnować czasy mechanicznego tworzenia i słać twórczość, mającą filozofię za mistrzynię. Rewolucja była niejako w powietrzu, kryła się pod larwą pomysłów literackich, kłębiła w tajnych klubach, których tajemnic nie mogło przeniknąć oko nowosilcowowskich inspektorów. W takiej chwili przystępował i Krasiński do kompozycji na większą skalę i o charakterze bardziej wybitnym od dotychczasowych.

III.

Taką kompozycją jest „Pan trzech pagórków“ (1828). Wiersz wstępny stanowi rodzaj apoteozy generała, który całun, kryjący ojczyznę, w zwycięski sztandar zamienił. Powstał on przed słynnym sądem sejmowym, by słać przeszłość ojca w chwili dla niego krytycznej. Spełniało się teraz bowiem to, co przeczuwały widzenia poprzednie. Z północy wiał wiatr coraz chłodniejszy, przedstawicielstwo narodu uwalniało zaś spiskowych, czem pochwalało niejako dążenia do odbudowania niepodległości. Ze rząd zniósł wolność druku, nietykalność osobistą, swobodę nauczania, jawność obrad sejmowych, nie dbał generał Krasiński. Złożył przysięgę, która uwalniała go od wierności konstytucji; jako magnat, nie potrzebował też dbać o opinię ogółu. Odwagę posiadał zapewne, skoro był generałem; była to jednak odwaga Targowiczan, którzy dzieło majowe nazwali robotą jakobińską i zerwali z ideą niepodległości. Była to odwaga komendanta

gwardyi wielkiego księcia, który śpieszył po rozkazy do naczelnika kraju po każdym posiedzeniu senatu, odwaga człowieka dumnego, anbitnego, oddzielonego od społeczeństwa, odwaga żołnierza, ale nie senatora, obywatela, Polaka.

Większą była odwaga Bielińskiego, gdy oparł się żądaniu skazania oskarżonych. Wyrażała bowiem tylko opinię ogółu, który potępił Polaków, wyrzekających się myśli niepodległości. Jakkolwiek było, szesnastoletni młodzieniec apoteozował ojca, który szedł przeciw ogółowi, choć chwalił też wolność zmuszoną do tajenia się w sercach. Był ten śpiew czemś biegunowo odrębnym od męskiego tonu poezyi filomackiej, od rewolucyjnych twórców Goszczyńskiego. Był ten śpiew odbiciem nastroju mussetowskiego dziecięcia wieku, które miało instynkty rycerskie bez rycerskiej woli, hartu, tęgości. Obojętnie czyta się tedy dzieje srogiego władcy Dzierżan Opina, który gardzi ludźmi i mści się za krzywdy doznane. Samotny, ponury sceptyk przypomina mocno Lare, Korsarza, Manfreda, choć żyje w czasach przedhistorycznych. Żyje wogóle w wojnie ze społeczeństwem, niema tylko daru podbijania kobiet. Pożąda jednak wdzięków Żuliśławy, która ucieka z jego namiotu, gdy on pada na placu boju. Jest małomówny, jak wogóle bohaterowie byronowi, góruje jednak niewątpliwie nad resztą, pozbawioną wyrazistości i charakteru.

Całość ma być próbą romansu historycznego, jak dowodzi nawet opis uczty, która u Walter-Scotta stanowi niezbędną motyw utworu. Ten rodzaj dogadzał bowiem upodobaniom marzyciela, pozwalał poruszać się swobodnie wyobraźni, dawał sposobność uciekania od otaczającego życia. Było to życie coraz smutniejsze, skoro do nieszczęść narodowych dołączały się też osobiste. Wszakże pozostanie na wykładzie w czasie pogrzebu Bielińskiego, stanowiło wypadek poważny. Wyrwało bowiem młodzieńca z otaczającego go społeczeństwa, zaszczerpiło w nim przekonanie, że dokonano na nim niesprawiedliwości, gwałtu, bezprawia. Jeżeli ten stan ducha dał poezyi Lambra, nie mógł pozostać bez wpływu u Krasińskiego. I istotnie to, co tworzy on do jesieni r. 1829 w Warszawie i Opinogórze, a potem w Genewie, zionie pesymizmem bez granic. Niema tu jeszcze wzniesienia nad ziemskość, ludzkość, marność, pospolitość. Filomatyzm nie zaszczerpił bowiem w duszy twórcy kultu obowiązku, żądy czynu, świadomości zadania. Marzeniem jego nie jest Wallenrod, który szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie, ale Opin, Alan, Zbigniew, którzy Wallenrodowi nie dorosli do kolan.

Co się tyczy pomysłu „Grobu rodziny Reichstałów“ (1828), to trudno mu się dziwić w latach powodzenia romansów Huga. Nas uderza najwięcej to, co stanowi odbicie osobowości romanopisarza. Uroczyście przemawiający astrolog Reichstał, szarpający namiętnościami Wallenstein, czuła Minna są pojęci konwencyonalnie. A jednak historia astrologa, który przywozi z sobą, ze Wschodu żonę, muzulmankę Fatymę, zbliża się nieco do dziejów Lary, który, po zagadkowych przygodach poza krajem, odziera się również od świata i zajmuje się czytaniem ksiąg. Jego paż jest także kobietą pochodzenia wschodniego. Tu opuszcza nas ponętna opowieść Byrona. Jednakże u Krasińskiego bohaterowie działają, jak gdyby ich czynami rządziła fatalność, gardzą ludźmi, jak gdyby czytali poematy Byrona. Szczególnie posępny i mściwy Alan nie odbiegł daleko od Lary. Zna tylko osobiste rachunki, nie ma wielkości, nie ma idei. Odtrąca chłodem, razi ostrością wystąpięń. Nie zjednywa sympatyj, jak Opin, należy do nieskończonej galerii typów, którym podobnych było wtedy u nas legion. Przepelniali oni teatr, roili się w roman-sach, które zaczytywała publiczność. Przeszłość poczynała cieszyć się wyjątkową popularnością, skoro i samotnik opinogórski zwracał się do niej coraz czulej, by obrazować w szeregu widzeń losy Elżbiety Pileckiej. Tonął też coraz namiętniej w lekturze Byrona, który umiał owiać poezją nawet występki Paryżyny. Wyraz, ton, odcienia uczuć stanowiły prawdziwe objawienie dla artysty, który stawiał dopiero pierwsze kroki i rozkoszował się plastyką, uderzającą zmysły nawet mniej wrażliwe.

Zaprawiał się do niej tłómaczeniem, by stworzyć wreszcie „Władysława Hermana i dwór jego“ (1829). Jest on niezawodnie dokumentem psychologicznym, choć Zbigniew przypomina znów Opina i Alana gwałtownością uczuć, wyniosłością, sarkazmem. Jest typem byrońskim, który szuka niebezpieczeństw i gardzi ludźmi, choć ma też iskrę cnoty w sercu. Nie budzi wstępu, jak tanci, gdyż nie kocha zdrady, potrafi kochać. Przyćmiewa zupełnie tytułowego bohatera, który całuje obrazy, przemawia słabym głosem, płacze, gdy trzeba okazać królewską energię. Nie lepiej od Władysława Hermana rysuje się Hanna, która jednoczy słodycz z poczuciem godności, by nie zwracać na siebie długo uwagi. Natomiast Zbigniew rośnie w miarę rozwoju akcji. I on, jak poprzednicy, odniósł na ziemi rany i bóle, więc mści się wszędzie i na wszystkich. Są w jego życiu tajemnice, choć on ich nie wypowiada. Widocznie nie lubi wyznań, których nie szczędzono wtedy bynajmniej. On przecież nadaje całości

charakter raczej psychologiczny na tle historycznym. Jeden żywioł kłóci się tu zresztą z drugim, co w ówczesnych romansach zdarzało się najczęściej.

Umie Zbigniew podbijać także serca pięknych kobiet, czego brakło Opinowi. Stanowi przeciwieństwo z prostym ale i mdłym Mieczysławem, którego romansopisarz krzywdzi niewątpliwie. Na czem polega wogóle wina Zbigniewa? Porwał przecież Hannę nie wbrew jej woli, mógłby, jednym słowem, zmienić bieg wypadków. Nie okazałby jednak dumy, nie dotrwałby na stanowisku, które każe mu walczyć, choćby z siłami natury, nie ulegać nikomu, wyzywać świat przeciw sobie. Może i przejął nieco tej dumy od studenta, którego obrazili brutalnie koledzy, gdyż był posłuszny woli ojca. Zbigniew nie daje się też ubłagać niczem. Z założonemi rękoma na piersiach, wyzywający wszystkich z oblężonego zamku, ma gest manfredowy, gdy nie dba o ludzi, nie dba o klęski ogólne i własne, duma bardziej nad przeszłością, niż nad tem, co dzieje się w około. Nie może zrzec się dumy, nie może odstąpić od tego, co niezłomnie postanowił. I dlatego walka o Hannę wlece się bez końca, gdyż romansopisarz, wzorem współczesnych, nie szczędzi też opisów. Drobiazgowo opisuje scenę, na której odbywają się epizody akeyi, gdyż tak czynił Walter-Scott. Skromna siedziba piastowska w Płocku, którą otaczał zapewne wał ziemny z palisadami, a stanowiła budowa z grubych bloków drewnianych i oparta też na słupach drewnianych, jak to było do czasów Łokietka na Wawelu, zmienia się tu w pałac godny kazimierzowskiego. Marmurowe kolumny i stopnie, alabastrowe lampy u pułapu wydają się zbyt anachronizmem, by potrzeba na niego zwracać uwagę.

Nie zważano na to jednak, skoro sam widok białego orła, który wieje nad tronem, rozrzewniał czytelników. Nie zważali oni, że dusza bohatera jest późniejszą o sześć wieków od zbroi, że osoby historyczne nie mają właściwej fizjonomii, że wszystko jest nieautentycznym z wyjątkiem imion. Siedemnastoletni twórca postępował wogóle ze świadomą siebie rutyną. Opowiadał z powagą przebieg walk, kazał przemawiać z trójnoga swym ludziom, którzy zdawali się wprost wyjęci z tragedji Wężyka lub Felińskiego, zawieszał opowiadanie w miejscu interesującym. Brakło całości tylko pierwiastku nadnaturalnego, który zjawia się jednak w końcu. Pierwej Zbigniew musi ścierać się z Sieciechem, chorować z ran, spędzać w rozpaczey nocę, byle nie wydać tajemnicy, że Hannę poślubił. A tymczasem Mestwin wprowadza nieszczęsną w pułapkę. I oto mniemana zdrada żony każe Zbi-

gniewowi gardzić jeszcze bardziej ludźmi, znać tylko cierpienie, cieszyć się, jak Arab Słowackiego, cierpieniem innych. Taki stan duszy opisał też Byron w poemacie o Giaurze. I jego polski wielbiciel dał raz pierwszy rozbiór uczuć, które wskazują na budzący się talent. Rozpaczający Zbigniew jest poetycznym, ma pozory prawdy, jest może śladem istotnego przeżycia.

Pozostaje nim zresztą do końca, gdy udaje się do samotnego zamku pomorskiego, by żyć w samotności po zawodzie miłosnym. Teraz zjawia się i duch Hanny, choć nie sprawia wrażenia. Widocznie romansopisarz jest zbyt blizkim epoki racjonalizmu, by umiał nadać mu pozory rzeczywistości. Niepodobna tu nie zaznaczyć, że Mestwin, którego Zbigniew darzy tak długo ślepem zaufaniem, jest też rodzajem byrońskiego bohatera, gdyż mści się na innych za własną zbrodnię. I romans zamyka się opisem zgonu zbrodniarza, w którym nie brak cienia litości dla ponurej ofiary życia. Ożywia go postać Zbigniewa, ożywiają go krajobrazy zaczerpnięte zapewne z obserwacji. Okolice Płocka były poniekąd rodzinnymi stronami byronisty. Odnosił się tedy do nich z pewnym pietyzmem, malował z lubością słoneczność mazowieckich płaszczyzn, zieloność murawy, jasność nieba. Książka przeważa tu jednak nad życiem, poszukiwanie nadzwyczajności razić musi do końca. Już teraz widać wyraźnie, że w dziele przyszłego poety chodzić będzie nie o świat przeciętny, ale o wyższy, że postępuje on nie drogą obserwacji, ale intuicyjnej syntezy.

IV.

Raz pierwszy urzeczywistnił Krasiński swój typ człowieka. Dał mu krańcowość uczuć, otoczył nadzwyczajnymi wypadkami, zawiesił nad nim fatalizm, który spowodził katastrofę. Umiłowanie przeszłości, pesymizm w poglądzie na życie, sztuczność intrygi, ton uroczysty i chłodny powtarza się odtąd niejednokrotnie, choć w Genewie, dokąd udał się w jesieni r. 1829, otoczą byronistę: inna natura, inni ludzie, inna atmosfera umysłowa. Nadmiar wrażeń podniecił teraz wyobraźnię, która nie czerpała odtąd tylko z książek. Podróżnik żył bowiem oczyma, tłumaczył zjawiska natury niezależnie, by dać wrażeniu bezpośredniemu pewne miejsce. Literacki komunał przetrworzył się w bezpośredni wyraz natury, idea związała się z warunkami fizycznymi.

Byrona rozumiał romansopisarz lepiej, skoro czytał go już w oryginale. I Szekspira czytał uważniej, najwięcej studyował jednak naturę. Objawiało się to w listach do ojca lub fragmentach rzucanych na papier. Jezioro genewskie przedstawiało mu się jak masa nieprzeliczonych dyamentów, fałę jak sploty ognistego węża. Z rozkoszą chwycił każdy szczegół zboczy alpejskich, wchłaniał wprost grę barw na obłokach. Wywoływał wrażenia wzrokowe najpierw dla ćwiczenia, potem rozdzielał je w tworach wyobraźni. Szkice z natury rosły szybko, nimi tłómaczyła się świetność kolorystyki utworów, które powstaną w latach najbliższych.

„Myśli Polaka przy górze Mont-Blanc“ (1830) tchną jakimś przecuciem nieskończoności. Marzyciel zazdrości w nich płomiennemu w godzinie wieczorowej szczytowi, że widzi bezmiar, tonący jeszcze w blaskach zachodzącego słońca. W ten sposób powstaje impresya, odzew duszy, skupienie uczuć w pejzażu, który jest wspaniałym kontrastem światła i ciemności. Jezioro przedzierzga się w marzeniu w niezmierny ocean, który burzy się i wstrząsa znikomą łodzią uciekającego od świata wędrowca. Zewsząd kłębią się chmury, nacierają bałwany, wre walka nieba z ziemią, by nie zniszczyć jednak pożądanego śmierci. Przypominał on sobie igraszki dziecinne, posępne miasto, przejścia smutne i tonął w bezbrzeżnym pesymizmie w poczuciu nicości bytu. Ciężar wspomnień zdusił go pierwej, nim zaczął żyć, ciężar wspomnień przygasił w wędrowcu iskierkę nadziei.

Więc fragment „On“ (1830) stanowi też impresję duszy, dla której droga życia ginęła w topielach rozpacz. Wchodziła ona do rodziny dotkniętych chorobą wieku, poddawała się chorobie bez zastrzeżeń. Wierzyła w Boga, w Polskę, w ojca, choć nie odczuwała pragnienia działania. Roiała o zniszczeniu ziemskiej powłoki, choć znała program pokolenia, które wiódł Mickiewicz. Wpływ genialnego Filomaty nie mijał i na niej bez śladu, choć nie umiał wznieść jej nad osobiste pragnienia. Przeciwnie, pesymista widział przed sobą ciągle swe przeznaczenie. Miało ono wzrok ponury, wyraz sarkazmu na ustach, nieszczęście w duszy. Więc jego ofiara tęskniła do miejsca bez nazwy, do przestrzeni dalekich, do bezmiar, który określi kierunek wszystkich dążeń na ziemi.

Z takiej wyżyny widział Krasiński także swą przyszłą poezję. Obejmowała ona świat wyższy, horyzonty nieskończone, tragedye wieków. Przed oczyma wizyonera przesuwiał się przykład walący się świat, wśród którego widział siebie, otoczo-

nego ogniem piekielnym, ale uratowanego łąą spadłą na czoło z oczu kochanki niebieskiej. Poznana w Genewie Henryetta Willan stawała się bowiem przedmiotem jego marzeń; stosunek do niej rozpraszał czarne mgły melancholii. Nie przestawał jednak zapytywać, czem jest wogóle życie. I odpowiedź brzmiała, że niema w niem terażniejszości, że szczęście jest tylko chwilką, że doświadczenie każe zerwać z nadzieją. Wtedy twórczość z romansowej poczęła przemieniać się w refleksyjną i skupioną w myśli. W tem, co powstawało teraz, było jednak jeszcze za wiele obrazów, dekoracyi, wykrzyków, deklamacyjności. Stara maniera romansowa była wyraźną jeszcze w każdym fragmencie, który znamionuje wszędzie romantyka.

Lubi on, jak dawniej, sceny straszne, kataklizmy natury, tło nadzwyczajne dla uczuć krańcowych i wyjątkowych. Zdaje się smakować w cierpieniach, podniecać je nawet, by bardziej cieszyć się ich rozmiarem. Chce być innym od reszty, szuka też indywidualności wyższych nad ogół. Wciela się w duszę Mojżesza na górze Nebo, Napoleona na wyspie św. Heleny. Jest idealistą bez wierzeń, marzycielem bez marzeń, metafizykiem bez systemu. Jest młodzieńcem bez młodości, choć poza ma tu też swe znaczenie. Pesymizm romantyka podniecał się lekturą, stanowił dopiero zaczązyn tworzenia. Straszliwe widzenia były zaś u romantyków rzeczą zwyczajną. Korzystali oni z każdej sposobności, by je roztaczać dla efektu.

Życie Krasińskiego miało bowiem i strony jasne. Czy nie była taką, choćby przyjaźń z Reevem? Wszakże ona natchnęła go wiarą w geniusz, wyraziła się też w wezwaniu do czynu, które zwrócił do pesymisty angielski przyjaciel. „*Courbe toi un moment—mówił on—pour ramasser l'épée qui a glissé de tes mains et relève toi alors, terrible et foudroyant. Les reflets de ton glaive peuvent éteindre l'éclat du sceptre de l'oppresseur. Agis au lieu de languir.*” Razem z Reevem przeżywał romantyk wiele, utożsamiał się z nim niejako. I przychodził do wniosku, że samotność i zadumanie wznoszą dusze ku ideom nieskończonym. Wszystkie ich myśli, powtarzał za Lamartinem, zmieniają się w entuzjazm, cały ich byt jest hymnem; stworzenie, które je otacza, stanowi stopnie wiodące do Boga, który zmusza je, by objawiły się Jemu. Niewyraźny panteizm rysował się w myślach, do których wiódł już byroński pesymizm. Tajemnica ludzkiego przeznaczenia była bowiem także jego tematem.

Począł teraz wierzyć romantyk, zgodnie z platonizującą poezją czasu, że byt widzialny jest słabem odbiciem zaświatów. Ła-

godniał jego pesymizm, dokonywało się zbliżenie z myślą idealistów niemieckich. Więc tonął w rozmyślaniach nad bytem, nad zagadnieniami społecznymi, nad przeznaczeniem poezji. Widział ją dopiero w Mickiewiczu, u którego wyczuł tchnienie nieskończoności. „Wszystko w tym świecie — pisał — jest związane z wszechświatem; stąd pochodzi nieskończoność węzłów, które wynikają z każdego przedmiotu, i wiążą się z całością otaczającą; to są właśnie związki, które Mickiewicz umie odkryć i wyrazić.“ Wallenroda zaliczał do największych poematów wieku, z jego twórcą zetknął się na gruncie szwajcarskim.

I zapomniał przy nim o Byronie. Zyskał nawet jego pochwały, poszedł za jego radą, by szukać odtąd tylko myśli, unikać zewnętrżności, objawiać dojrzałe obmyślaną treść po prostu i bez szumności. Byronizm przesilał się w duszy mimowolnego wygnańca, by ustępować miejsca nowej treści i nowemu stylowi. A jednak, i teraz lubił on straszne opowieści, jak świadczy historia o Joannie z Gozdawy, która myje się krwią dziewic dla podobania się Masławowi, opowiadanie o królu korsykańskich borów, Teodorze. Wszystko to jednak jest tylko przeżytkiem zasuwejającej się w cień epoki romansu.

V.

Ze ta epoka miała się istotnie ku końcowi, świadczą dzieje następnych lat trzech. Znalazł się Krasieński z woli ojca późną jesienią r. 1830 we Włoszech. Otoczyła go przeszłość, której w pomoc szły jeszcze religijne wrażenia rzymskie. U stóp krzyża w Koloseum odzyskiwał wędrowiec pewien spokój ducha, zrywał ze zwątpieniem, które Lamennais uważał za chorobę wieku. Poczynał wierzyć, że objawienie jest początkiem prawdy, że jego szczątki dadzą się odnaleźć nawet u pisarzy pogańskich. I zwierzał się Reeve'owi, że widzi przepaść pod nogami. Broni od niej chrześcijaństwo, które jest systemem określonym, nie znoszącym odstępstw ani kompromisów. Dziś religia, moralność, honor, obowiązki są w niebezpieczeństwie, gdyż duch ludzki spodłał wskutek poddania się ciału i dąży do pogaństwa.

Dlatego należy wrócić do duchowości, katolicyzmu, władzy duchowej, które zniszczyło zmartwychwstałe pogaństwo. Zato pionego w tych myślach doszła wieść o powstaniu listopadowem. Obawa o ojca, niewiara w przyszłość powstania, przeważały oczywiście w wędrowcu, który był synem generała Krasieńskiego. Ale

Reeve tłumaczył mu, że powinien zbliżyć się do granic Polski. Usłuchał go, by udać się do Genewy, pisał do ojca, że sprawa narodowa stoi wyżej od rodowej solidarności. Ale ten ojciec zasługiwał przecież na litość, skoro, wyjechawszy do Petersburga, wyczekiwał z trwogą postanowienia syna. I syn postawił sprawę narodową po posłuszeństwie wobec ojca, uległ jego prośbom, by spełnić ofiarę mało zrozumiałą ludziom przeciętnym. Pewne zasępienie duszy uwidoczniło się jednak w tem, co wychodziło z pod pióra przyszedłego poety-filozofa.

Jeżeli treść „Adama szaleńca“ (1830) zakrawa na fantazję, nie są nią osoby. Lord Gram jest fizycznie i duchowo portretem Reeve'a. Jego spokój zewnętrzny, dusza marzycielska i harmonijna, stanowią przeciwieństwo z nastrojem szaleńca, w którym ścierają się sprzeczne dążenia. Pamiętał on o przysiędze, danej kiedyś ojcu, że pomści ofiarę ludów, nie miał jednak woli, by zniszczyć przeszkody i złączyć się ze sprawą, której obrońcy nie jechali do Petersburga. Wstyd było mu popełnić samobójstwo dla własnego spokoju, więc przychyłał się do myśli ofiary. „Ach, myśli me się mącą znów—pisał w swym pamiętniku szaleniec—by wyrość w jedną, olbrzymią, niezmierną, straszliwą, dla której niema zgoła innego słowa w ludzkim języku, jak wstyd, a jednak tysiąc słów byłoby jeszcze za mało, by wyrazić ją całą.“ W istocie odkrywała się przed wędrowcem droga pełna wstydu, którą znał Słowacki w marzeniach Lambra, w rozmyślaniach w grobie Agamemnona.

Prawda dyktowała jednak wyznania, wyraz tych wyznań celował prostotą i małomównością. Romans nie był już tylko owocem naśladowania, stanowił odbicie indywidualności twórcy. I indywidualność twórcy zaznaczyła się niezależnie i wyraźnie. Jest ona bezwątpienia silnie uczuciową, skłonną do krańcowości. Nie brak jej egoizmu, nie brak też pragnienia kochania. Umiała ona też malować swe nastroje barwnie i suggestywnie. „Słońce skłania się ku zachodowi — powiada szaleniec. — Niebo jest tak czyste, iż zda się, nigdy żaden nie musnął go obłok. Ruiny uwieńczone girlandami bluszczu, okryte jedwabnymi płaszczami pajęczyn, lśnią purpurą. Dźwięk dzwonów dobiega z miasta; płynie ponad grobami przeszłości, jak hołd pogrzebowy. Nigdzie drzewa, ni krzaku; stoi natomiast piramida, którą odarto z resztek piękności lub amfiteatr, gdzie pokrzywy rosną na zatartych śladach lwów i słoni; dalej świątynia, z której wyszli bogowie, by gnąć u progu, połyskując tu i owdzie marmurową pierśią wśród resztek darni; wreszcie wieża, która nie mogła obronić Rzymu, ale służy do przechowania jego wspomnienia. Nad tem wszystkim zachód słońca lśni coraz żywiej w miarę zbliżania się nocy.

Jest w tym opisie impresya, w której artysta stanął twarz w twarz z naturą i potrafił ująć odrębną piękność krajobrazu. W takim opisie ruin Rzymu jest technicznie nieskończoności, któremu brakło tylko podstawy filozoficznej. Oznacza ona głębsze studia, przedsiębrane już w Genewie, gdzie romansopisarz pozostał do wiosny r. 1832, i w Petersburgu. Wokoło wrzało tymczasem, rewolucya lipcowa wprowadziła w stałe drżenie europejskie społeczeństwa. Lamennais zalecał Rzymowi, by wziął w ręce sprawę ludów, jeżeli nie chce odosobnić się od ruchu ogólnego, czyli demokracyi. Nienawidził ultramontanizmu, pragnął katolicyzmu demokratycznego i pogodzonego z republikanizmem. Jednocześnie saintsimoniści starali się przygotować nadejście nowej epoki. I oni chcieli władzy duchowej, która była rodzajem intelektualnego arystokratyzmu.

Opierali się jednak na wiedzy, gdy, u Lamennais'go, wiara przeważała niezaprzeczenie. Żądali reform społecznych, które zmuszałyby do świadczenia powszechności. Więc rosła sympatya dla saintsimonizmu w warstwach drobnego mieszczaństwa, gdy w warstwie doszłej do władzy wznagał się wstręt do wszelkich reform i naprawy krzywd społecznych. I Krasiński brał stronę tej ostatniej. Nie byłby przecież tradycjonalistą, którego pesymizm usposabiał źle dla wszelkich myśli demokratycznych i rewolucyjnych. Jednocześnie gardził twórczością w duchu indywidualistycznym, pragnął, by twórca był przedstawicielem ludzkości. Cała literatura wieku szła bowiem w tym kierunku, dążyła do życia zagadnień ogólnych. I dawny byronista poczynił sobie na podobieństwo filozofa natury ze szkoły schellingiańskiej. W tem, z czem zwierzał się przyjacielowi, był już przebłysk teoryi absolutu, wedle której nieskończona substancya rozwinęła się w dwóch kierunkach.

Duch i natura są jej równoległemi emanacyami, natura jest zaś przypowieścią świata duchów. A jednocześnie sądził, że nadchodzi wiek przełomu. Przeszłość zginąć nie może, gdyż idea nie ginie, obecne pokolenie żałuje tego, co było. Tak rozumował, jako platonik i tradycjonalista, z uczucia i lektury. Platonizm stawał się bowiem modny, dzięki działalności Cousina, który przekładał dyalog za dyalogiem; tradycjonalizm tkwił zaś w skłonnościach arystokraty i romantyka. Ten arystokrata potępił saintsimonizm, potępił też i powstanie, które wywołały tajne kluby. Wydało mu się, że powstanie nie miało charakteru narodowego, gdyż wynikło z podszeptów spiskowców, którymi gardził potomek wojowników. Wielbił bój otwarty, choć do niego nie śpieszył wcale, w powstaniu widział tylko rewolucyę pierwiastków

niższych przeciw wyższym. W istocie był tylko narzędziem w ręku ojca, który nie umiał zachować godności Polaka w chwili stanowczej. W dniach śmiertelnych zapasów nad Wisłą siedział w Petersburgu, by pociągnąć tam niebawem i syna.

Tradycjonalizm zwyciężał tedy w duszy przyszłego wieszca. Wiązał mu ręce, otaczał atmosferą, która nie dozwalała widzieć jasno spraw wieku. Popychał do potępienia obrońców wolności, do nazwania uczestników powstania klubem szewców, krawców, przechrztów, którzy dbali o zysk, a nie znali przeszłości. „Oni—pisał do Reeve'a 14 lipca 1832 r.—nazywają to arystokracją, ale wierz mi, i wiedz, że poza arystokracją nie ma w Polsce nic: ani talentów, ani światła, ani poświęcenia. Nasz stan trzeci jest głupstwem; nasi chłopci są machiną. My tylko jesteśmy Polską.“

Stojąc na stanowisku, które odbiegało biegunowo od demokracji Mickiewicza i Słowackiego, sądził, że ta właśnie Polska zginie zgnieciona radykalizmem klubowców warszawskich i paryskich. Pogląd ojcowski zwyciężał w nim, by przygotowywać poetę do roli obrońcy przeszłości w tragedji hrabiego Henryka.

Żegnał się więc z romansem, którego ostatnim wykończonym płodem jest najbardziej popularny „Agaj-Han“ (1831). Uczucie śledzi w nim z zajęciem losy Mniszchówniej, która imponuje dumą, nieugiętością, żądzą panowania. Te cechy znamionują ją do końca, nadają postaci pewną jednolitość i wyrazistość. Bohater stoi przecież niżej od Zbigniewa, nie pociąga niczem, wygląda konwencyonalniej od prostego a dzielnego Zaruckiego. Niektóre sceny, jak pogrzeb carewicza, są rysowane wcale ponętnie. Pozostają w wyobraźni, czego nie można powiedzieć o scenach romansów dawniejszych. Natura zjawia się tu w kształtach nieco fantastycznych. Stanowi, naprzykład w opisie skał, gdzie chronią się zbiegowie, zapewne odbicie wrażeń szwajcarskich, celuje rozmaitością barw i oświetleń. Można o niej powtórzyć to, co mówiło się o opisach w romansie o Zbigniewie. Jest w niej odczucie krajobrazu, wyższe niewątpliwie od poprzedniego, odczucie romantyka, który dbał troskliwie o koloryt miejscowy. Lubował się w grze barw, zatapiał swe obrazy w powodzi światła, sympatyzował ze swym snem, któremu dać może życie pozorne, ale pełne wewnętrznego czaru i niewątpliwej a rzadkiej dotąd poezyi. Złożył dań modnemu wtedy orientalizmowi, którego był objawem wcale niepospolitym i godnym uwagi.

ZE WSPOMNIENIŃ KAROLA KALITY.

Młodość. Służba. Kampania węgierska.

II.

Przed Bożem Narodzeniem zameldowałem się do raportu o 8-dniowy urlop na święta. Kapitan Zwoneti udzielił mi go i wydał z mych pieniędzy 5 złr. na drogę. Oprócz tego pozwolił mi wziąć nowy uniform, więc spodnie i frak do miary zrobione. Wziąłem płaszcz wiatrem podszyty, bagneczajkę, tornister na plecy z bułkami i kielbasą na drogę no i czako blank. Tak wystrojony puściłem się piechotą dwadzieścia kilka mil do Oleszyc (za Lubaczowem w Żółkiewskim cyrkule), gdzie mój ojciec był sędzią. Mróz był siarczysty, ze Stryja wyszedłem o 6-ej rano. Po drodze czasem spotykałem fury chłopskie i tak częścią furami, częścią pieszo dotarłem na południe do Mikołajowa. Posiliwszy się poszedłem dalej, przenocowałem w jakiejś wsi u chłopa. Rano o 10-tej stanąłem we Lwowie w jakimś bajzlu żydowskim. Oczyszcilem obuwie i ubranie, puściłem się na przechadzkę po Lwowie, nie-spotkawszy nikogo ze znajomych. Około 12-tej poszedłem odwiedzić mego profesora gimnazyalnego pana Majera. Profesorowie jak i ich 4 córki przyjęli mnie z serdeczną radością, bowiem nasze rodziny wiązały więcej niż przyjacielskie stosunki. Siostra moja, uczęszczając do pensjonatu pani Tchórzewskiej, stała na stancyi u państwa Majerów, a panny zawsze na wakacye przyjeżdżały do nas do Dobrostan. Przypomniałem sobie o patriotycznej karze, godnej wzmianki, a urządzonej pani Tchórzewskiej w roku 1846. Mianowicie: z powodu rzezi, kraj cały przybrał żałobę. Niewolno było urządzać ani publicznych balów, ani prywatnych tańczących zabaw. Pani Tchórzewska czy to z włas-

nej inicjatywy, czy też z namowy drugich, dosyć, że mając kilkanaście panienek w internacie, urządziła dla nich tak zwany „Kinderbal“. Zebrało się sporo rodzin młodzieży i puszczono się przy muzyce w tany. To też gdy się już na dobre roztańczono, wpada do salonu kamień owinięty w papier z napisem:

„Tym co dają kinderbale
Na którym tańczą dragale,
I te dzieci co już miały dzieci,
Za to im kamień w okno leci!..

Wracam do dalszego opowiadania. Po serdecznem przyjęciu i spożyciu obiadu, całe poobiedzie przeszło na opowiadaniach moich od wzięcia mnie do więzienia, aż do dnia urlopu. Wieczorem zaprosiłem profesora do miasta na libację, trochę przebrał starowina miarkę, odwoziłem go tjakrem do domu i pożegnałem tę zacną polską rodzinę, choć profesor Majer dawniej jako kawaler przybył do szkół galicyjskich w roli „kulturträgera“ ożenił się z Polką, sam przerobił się na Polaka i bardzo patryotycznie wychowywał swoje dzieci.

Traktament profesora, jak i nocleg w bajzlu, znacznie nadzarpnęły moją pięć-guldenową kasę. Drugiego dnia maszerując powoli, dotarłem do Żółkwi, a choć jeszcze wcześniej było czułem się bardzo zmęczony. Niemając już noclegu czem zapłacić, poszedłem do koszar i uprosiłem jakiegoś kaprała, by mi pozwolił przespacerować się na łóżku żołnierza, będącego na warcie, co uzyskałem, legitymując się kartą urlopową. Do Oleszyc miałem jeszcze 12 sporych mil i co gorsza, drogą prywatną wcale mi nieznaną. Pieniądze wyszły, a tu dzień Wigilijny, Boże czy ja zdążę? Wyszedłem z koszar o 4-tej zrana, przy mrozie i ostrym wietrze. Rozpytawszy się z wieczora o drogę i wsie, przez które miałem przechodzić, westchnąwszy do Matki Boskiej, puściłem się rażnym krokiem w dalszą drogę. Jakoś Bóg prowadził szczęśliwie, trochę pieszo, więcej jazdą na spotkanych furach, a około 5-tej dotarłem pod Lubaczów $\frac{3}{4}$ mili od Oleszyc. Przechodząc przez staw, którego okrążając musiałbym być znacznie drogi nałożyć, by dojść rażniej do wioski, leżącej po tamtej stronie stawu, widząc ślady kołowe i piesze przez środek stawu, bez namysłu wybrałem tę krótszą drogę. Doszedłszy już do brzegu, nie uważałem, bo już było ciemno, że wyrabana była długa płonka dla pojenia bydła—z wierzchu trochę przemarznięta i śniegiem przepruszona. Wstąpiwszy na nią wpadłem po kolana w wo-

dę, szczęściem, że tylko parę kroków miałem do brzegu. Nim doszedłem do wsi wszystko zamarzło na lód, więc tak dalej iść nie mogłem. Wszedłem do jednej porządniejszej zagrody, a powitałszy gospodarzy „Pochwalony Jezus Chrystus“, opowiedziałem wypadek wpadnięcia do wody, i że dążę na wilię do Oleszyc. Gospodarz znając mego ojca, oświadczył, że zaraz po spożyciu wili, postara się o konie i odwiezie mnie do domu, a żonie polecił wysuszyć moje mokre rzeczy na przypiecku.

Pocziwi ludziska obsuszyli i nakarmili mnie, a następnie ruszyliśmy wozem przez miasto Lubaczów do Oleszyc. Nie mogłem inaczej podziękować tym pocziwym chłopkom, jak tylko słowami Bóg zapłać, i że ojciec mój was wynadgrodzi.

Do Oleszyc zajechaliśmy przed ratusz bardzo późno. Rodzice zajmowali w ratuszu całe pierwsze piętro na mieszkanie i kancelaryę. Kazałem gospodarzowi poczekać, sam poszedłem na górę. W sieniach zastaję ojca, gdy pyta przez okno na dół, kto to przyjechał? Niewiem jaką otrzymał odpowiedź. Chcąc wejść do pokoju, gdzie cała rodzina siedziała jeszcze przy wigilijnym stole z miejscowym księdzem kanonikiem proboszczem, przybliżyłem się do ojca i wzięwszy go za rękę, ucałowałem. Ojciec niepoznawszy mnie, pyta „co wojak chce?“ To ja, Karol, mój tatusiu!.. W pokoju jeden okrzyk przestachu, radości, podziwu! Zarzucają mnie pytaniami, siostry starają się odczepić mi tornister z pleców, rozbierają, a ja po serdecznem przywitaniu się powiadam, że dobrze, i wszystko opowiem, ale pierwej dajcie mi jeść i gospodarzowi, który mnie przywiózł, a tatko mu za drogę zapłaci, bo gdyby nie on, byłbym dopiero jutro do domu przyszedł.

Zastawiono stół rybami i wigilijnemi potrawami, jadłem za czterech i opowiadałem moje przygody od aresztowania aż do obecnej chwili. Już prawie świtało, gdy położyliśmy się spać. Nazajutrz, w dzień Bożego Narodzenia, czułem wszystkie członki tak obite, że ruszyć się nie mogłem, a że nadto miałem szalony ból głowy, pozostałem w łóżku. Cały dzień choroba się wzmacniała, pod wieczór silna gorączka. Zaproszono miejscowego lekarza—narazie niemógł stwierdzić choroby, dopiero w kilka dni skonstatował tyfus brzuszny, dodając, że choroba przewlecze się długo. Wobec końca 8-dniowego urlopu, ojciec pojechał do Lubaczowa, gdzie stał pułk huzarów, i przywiózł z sobą lekarza pułkowego. I ten znalazł u mnie tyfus, wystawił legalne świadectwo choroby, podając że choroba potrwa 2 do 3 miesięcy. Świadectwo, potwierdzone przez pułkownika huzarów, ojciec po-

słał do Stryja z prośbą przedłużenia urlopu aż do wyzdrowienia, co też otrzymaliśmy, ja pozostałem w domu, a tymczasem ojciec rozpoczął kroki o całkowite moje uwolnienie z wojska, na podstawie mej małoletności i że miałem lat 16 gdy mnie asenterowano, dalej że jestem szlachcicem, bez żadnych skaz politycznych.

Komenda pułku mego nie powoływała mnie do służby; ja zdałem prywatnie wstępny egzamin do piątej gimnazjalnej klasy w Przemyślu.

Nadszedł rok 1848. Rewolucya, konstytucya, gwardya narodowa—dostateczne podniety dla młodzieży polskiej! Skupialiśmy się w kluby i radzili nad tem, że teraz z pewnością uda się oswobodzenie ojczyzny z pod jarzyna zaborców. Rewolucya w Wiedniu, początkowe zwycięstwa Mierosławskiego w Poznańskiem, powstanie na Węgrzech, wszystko to kotłowało nam w głowach jak w ulu, aż przyszły gromy jeden po drugim, które zdruzgotały nadzieje naszej młodzieży. Rewolucya w Wiedniu zgnieciona, Mierosławski pobity, bombardowanie Lwowa, zniesienie gwardyi narodowej, wskutek czego z obawy więzienia, młodzież zaczęła opuszczać szkolne ławki, przekradając się do Węgier. I ja też niemyślałem pozostać w kraju, z obawy, że z rozpoczęciem wojny Austrii z Węgrami, pułk powoła mnie do szeregu. Myślę, że przeciw Węgrom bić się niebędę, zwłaszcza że już głoszono, iż na Węgrzech formują się legiony polskie, przeciw którym występować uważałbym za bratobójstwo i zdradę kraju. Dla porozumienia się z rodzicami i otrzymania błogosławieństwa, udałem się pieszo z Przemyśla do Oleszyc.

*

*

*

Rodzice, a szczególnie ojciec, sprzeciwiali się wyjściu memu do Węgier, oświadczając, iż ma pewne dane, że z wojska uwolniony zostanę, będę mógł szkoły skończyć i stać się pożytecznym członkiem społeczeństwa, a nie awanturować się po Węgrzech. Rewolucyę węgierską Austria niechybnie zgniecie, ciebie złapią i jako dezertera podczas wojny rozstrzelają, albo możesz paść od kuli, więc czy tak, czy owak żadnej korzyści dla Ojczyzny poświęceniem twojem nie osiągniesz, natomiast gdy

ukończysz szkoły możesz być wielce pożytecznym członkiem społeczeństwa i dla Ojczyzny pracować znamienne. Racya była, lecz mnie gorąco kapaniem, do tego już wyrobionemu żołnierzycowi, perswazyje ojca nie mogły przypaść do gustu. Narazie musiałem przemilczeć i pozornie poddać się wyrokowi ojca, ale plan ucieczki do Węgier kiełkował mi ciągle w głowie. Nadchodząca zima 1848/9 r. wstrzymała mnie od natychmiastowego spełnienia mego zamiaru, ostatecznie oczekiwałem i z lubelskiego wychodźców, którzy przez Cewków, Dzików, Oleszyce na Jarosław ciągnęli do tworzenia legionów. Niestety zima przeszkodziła wychodźcom i ja musiałem przesiedzieć częścią w Oleszycach u ojca i polując w Miłkowie, którą to wieś o milę oddaloną od Oleszyc, matka dzierżawiła od ks. Leona Sapielhy. W dzień wigilijny przyjechali do nas, J. O. księżęta Leon i Adam Sapielowie, hrabia Zamoycki z Wysocka i wielu okolicznej szlachty na polowanie z naganką. O 9-tej zrana po spożyciu śniadania w naszym domku przez matkę zastawionego, ruszyliśmy w lasy. Obława brała miot za miotem, Niestety z rezultatem do południa nader lichym, bo tylko zabiłem jednego zająca, którego ja zabiłem. W Miłkowie u matki bawiłem do kwietnia 1849. W niedzielę i w święta wyjeżdżaliśmy z matką do Oleszyc na mszę św., bawiąc cały dzień u ojca. Przy końcu kwietnia 1849 roku jedna z takich wizyt zdecydowała i przyspieszyła mój wymarsz do Węgier, a przyczyna ku temu była następująca: Po mszy św. poszedłem z akturyuszami ojca do Żyda na przekąskę z winem. Przy sąsiednim stoliku siedział nadstrażnik od cła i ciągle na mnie patrzył, podsłuchując naszą rozmowę. Raptem przybliżył się do mnie i powiada: „Pan, austriacki żołnierz na urlopie, jakim prawem śmiesz nosić rewolucyjną odznakę w krawacie?” Wstałem z krzesła i chciałem mu odpowiedzieć, gdy on sięgnął do krawatki, wyrwał z niej szpilkę z orłem polskim, złamał i rzucił na ziemię. Ja oburzony za znieważenie najświętszego mego godła, nienamysłając się palnąłem go w twarz, a drugim ciosem kułakiem w piersi powaliłem go na ziemię, sam nie czekając dalszej awantury, wybiegłem bez czapki tylnymi drzwiami ze szynku, zaułkami dostałem się do starych Oleszyc, stamtąd polami do Miłkowskich lasów i do domu. Ukochana matka leżała w łóżku chora na febrę. Opowiedziałem wypadek w Oleszycach z finanswacem i mówiłem, matko wybiła chwila; dłużej wahać mi się niewolno, między obowiązkien narzuconym żołnierza austriackiego a obowiązkiem syna Polaka wybieram ostatnie i idę walczyć w szeregi polskie na Węgrzech! „Mój synu! rzecze matka, przeczuwało mo-

je serce, iż niezawiodę się na tobie, gdyż niedarmo z siedmiorga działwy ty jeden mą piersią karmiony byłeś; widzieć Ojczyznę wolną, a ciebie w rzędzie jej wybawców, to jedno czego pragnę doczekać, nie troszcz się o ojca, który musi być przeciwny tym zamiarom i nietroszcz się o chorą matkę; Ojczyzna, wolność to pierwsze. Ja cię błogosławię!“ Ukłakłem przy łóżku i gdy matka krzyżem błogosławiła mnie i zdjawszy medalionik Matki Boskiej zawiesiła na mych piersiach, ja tonąc we łzach całowałem ręce, nogi tej ukochanej matki, tej zacej Polki, tej wielkiej patryotki.

Zaopatrzywszy się cokolwiek w wiktuały i monetę na drogę, opuściłem dom rodzicielski i pieszo puściłem się przez pole w las, dotarwszy krytym sztychem po za wieś Miłków. Wiedząc, że poszukiwać mnie będą i do Miłkowa rewizya nadejść może, użyłem tej skrytej ucieczki z folwarku matki, by mnie ani służba folwarczna, ani nikt z chłopów Miłkowskich nie widział, i w którą stronę się udałem, zdradzić nie mógł. Drugiego dnia, po przespaniu nocy w lasach Sieniawskich, dotarłem pod Jarosław, przeczekawszy w polu aż do zmierzchu, dla ostrożności, by nie ściągnąć na siebie podejrzeń. Koło 10-tej wieczorem wszedłem do miasta wprost do mieszkania moich kuzynów. Przyjęty serdecznie, opowiedziałem moje przygody i postanowienie przedrzeć się do Węgier. W Jarosławiu był komitet, trudniący się ekspedowaniem do Węgier przybyłych kongresowiaków i galicyjskiej młodzieży. Mój wój skomunikował się z komitetem, ciotka kupiła mi trochę bielizny i ubranie, gdyż moje było zniszczone i nieodpowiednie do prezentowania się po dworach, do których mnie odsyłano. Wyspowiadałem się i podczas mszy odprawionej na moją intencję, przyjąłem św. komunię. Gdy miałem już wszystkie sprawunki załatwione, legitymacyę komitetu dla obywateli, którzy mieli się moją ekspedycyą zajmować, dano mi podwodę i piątego dnia opuściłem Jarosław i dom moich kuzynów. Jechałem pocztą obywatelską, odsyłany do pewnych komitetowi z patryotyżinu znanych obywateli, przyjmowany i serdecznie witany, i goszczony po dworach. Nazwy wiosek jak i zacnych obywateli nie pamiętam. Dopiero z Liska, gdzie komitet tamtejszy miał ustalony już szlak dla wychodźców przez Karpaty, jeden z panów odwiózł mnie do Zagórza do obywatela i właściciela tej wsi Emila Ryłskiego. Przyjęty byłem jak zwykle z całą serdecznością. Pan Ryłski pyta mnie, z których Kalitów pochodzę? Z ojca Jana i matki Barbary z Komorowskich. Na to pan Emil zaczął mnie ścisnąć i całować, oświadczając swej rodzinie, że jestem potomkiem najserdeczniejszych jego przyjaciół, zarazem jego

chrzestnym synem, gdyż trzymał mnie z panią Cimirską do chrztu w Komarnie! Uciechy z obu stron było pełno; podziwialiśmy wyroki Boskie, że po 17-tu latach zjawia się pod dachem gospodarza niewidziany dotąd jego syn chrzestny, idący walczyć za wolność. Parę dni musiałem pozostać u państwa Ryłskich, opowiadając im o moich rodzicach, rodzeństwie i moich przygodach. Choć w domu ojca chrzestnego było mi jak w raju, jednak pilno mi było do dalszego marszu. Pan Emil, nie mogąc się dłużej moim życzeniom opierać, kazał zaprządz konie i obaj udaliśmy się do Płonego do dworu pp. Truskulaskich. Nadmienić tu muszę, iż po wszystkich wsiach podkarpackich były posterunki żandarmskie i straży nadgranicznej oraz warty chłopskie, dla łowienia uciekinierów do Węgier.

U pp. Truskulaskich zastaliśmy kilkanaście osób, między którymi kilku młodych mężczyzn elegancko ubranych, szarmanujących się koło pańien przy fortepianie. Pan Emil przedstawił mnie towarzystwu; zauważyłem na twarzach jakąś obojętność, lekceważenie mej osoby, nikt się mną nie interesował i siedziałem długi czas odosobniony, dopiero gdy p. Emil wyszedł z p. Truskulaskim z salonu, po godzinie lokaj poprosił mnie na dziedzińiec i na gunno, gdzie w stodole zastałem obu panów. P. Truskulaski przemówił do mnie, że z powodu silnych straży we wsi, i niepewności swej służby niechciał mnie przyjąć do dalszej ekspedycji, dowiedziawszy się atoli od p. Emila, że jestem dezerterskim radcą, bezpiecznie przez granicę przeprowadzić, lecz teraz muszę z p. Emilem natychmiast z Płonny wyjechać do Zagórza, by warta chłopska i moja służba, znając p. Ryłskiego, widzieli was wyjeżdżających ze wsi. Natomiast jutro w nocy p. Ryłski da ci, młodzieńcze, swego leśniczego, który znając te lasy, przeprowadzi cię do mojej zawałonej karczmy, tam o 12-tej w nocy będzie już kilku młodych ludzi z przewodnikiem i stamtąd ruszycie wszyscy przez granicę do Węgier. Po wydaniu tej instrukcji, wsiedliśmy z p. Emilem do powozu i powrócili do Zagórza. W następną noc zaopatrzony w prowianty, z leśniczym udaliśmy się w pochód lasami ku oznaczonej karczmie. Leśniczy był to już stary człowiek, osłabiony, bo szedł żółtwin krokiem, mimo to zdążyliśmy przed oznaczoną karczmą, która stała na małej polance, okolona lasami. Na brzegu krzaków leśniczy pokazał mi karczmę, powiedział że stoi pustką, bym poszedł sam do karczmy zobaczyć czy ekspedycja się zebrała. Ja tu w krzakach na pana zaczekam, bo niemogę się przewodnikowi pokazać. W dobrej myśli wyszedłem z krzaków na polankę, ledwie parę kroków ku

karczmie podszedłem, gdy jakiś człowiek dzwignął się z ziemi z zapytaniem kto idzie? dałem umówione od p. Truskulaskiego hasło, na to człowiek pobiegł na róg karczmy i słyszałem jak krzyknął „Pane, pane Polaki idut“, jednocześnie wybiegło kilku ludzi z poza karczmy z karabinami, dążących ku mnie, bez namysłu rzuciłem się cwałem nazad w krzaki i na łeb na szyję leciałem z pagórka na dół w las i gęszcze potykając się i padając na ziemię. Padło za mną dwa strzały, lecz dzięki ciemnościom nocnym i krzacom wyszedłem z tej zasadzki bez szwanku. Co żywo ze strachu leśniczy jeszcze przedemną „czmychnął, bogi wiedzą w którą stronę lasu. Ja biegłem nieustannie w jednym kierunku aż wpadłem w jakiś głęboki wąwóz z płynącym strumykiem. Czując upadek sił i klucie w piersiach, padłem u wybrzeży strumyka pod krzak, oddychając ciężko i przemyśliwając nad tą zdradą i co teraz zrobię, znajdując się w głębi nieznanych mi lasów, bez przewodnika, w którą stronę się udać, gdzie Zagórz? gdzie Płonne? w ciągłej obawie spotkania chłopca, któryby mnie do najbliższej straży odstawił. W tym wypadku miałem ułożoną gadkę, że ponieważ mój pułk austriacki już walczy na Węgrzech, ojciec mój sprzeciwiał się bym legalną drogą to jest transportem udał się do pułku, przeto uciekłem z domu i pokryjomu chciałem się przedrzeć przez Karpaty i tym sposobem dostać się do pułku, a gdyby rzeczywiście taki pech mnie spotkał, to postanowiłem przy pierwszej lepszej okazji lub bitwie przejść na stronę Węgrów.

Myśląc tak nad moją smutną niebezpieczną sytuacją, słysząc, że coś po rzece chłapie, jakby kto po wodzie stapał, wziąłem kij w obie ręce przygotowany bronić się do upadłego, krzyknąłem kto to? cień chlapanął w wodę, wstając z pod krzaka, wchodził w wodę z kijem do ciosu wraze wroga, przybliżywszy się poznając leśniczego, uradowany podniosłem go, drżał ze strachu. Chwała Bogu żeśmy się znaleźli i mnie pan wyprowadzi z tych lasów nazad do pana Ryłskiego. Nie wie pan, co to właściwie znaczy, że miasto młodzieży z przewodnikiem, w karczmie była straż austriacka? Powiada, że to pewnie sam przewodnik zdradził, by z obu stron wziąć zapłatę, bo nasze chłopcy to sprzedajne dusze. Panie! byłem w wojnie 31 roku, biłem się w szeregach polskich, a nie doznałem nigdy takiego strachu, jak tej nocy. Rozpoczęliśmy pochód ku domowi. Zaczęło już szarzeć gdyśmy stanęli na krawędzi lasu, skąd ukazał nam się dwór p. Ryłskiego. Leśniczy kazał mi się ukryć w krzaku a sam puścił się ku zabudowaniom gospodarczym, by o przebiegu sprawy dać we

dworze znać, bo może tam za nami poszukiwania będą robić. Ukryłem się w krzaku, a zmęczony do upadłego, zasnąłem. Jakies nawoływania zbudziły mnie, patrzę słońko stoi już na południe, a pastuchy pędzą bydło do domu, ze dworu znaku życia niema. Zacząłem się chyłkiem zbożami spuszczać na dół ku folwarkowi, na gumnie zoczyłem pana Rylskiego, ten zdziwił się, nic nie wiedząc co się z nami w nocy stało, bo leśniczy dotąd się nie pokazał, poszliśmy do dworu i dopiero opowiedziałem o nocnej przygodzie. Panu Emilowi wielce zależało na bezpiecznym przejściu mojem przez granicę, powiedział, że pod wieczór zawiezie mnie do Komańczy, do pana Ludwika Mrozowickiego. Gdy przybyliśmy tam pod noc, pan Mrozowicki oświadczył, iż ma pewnego człowieka, który szwarcuje tytoń z Węgier i już mnóstwo młodzieży całkiem bezpiecznie przez granicę przeprowadził za opłatą 10 zlr. i niema co zwlekać, tylko następnej nocy należy puścić się w podróż.

Dzień następny mile spędziliśmy w gronie tak zacnej rodziny polskiej państwa Mrozowickich. Przyprawiono górala szwarcownika, który podjął się mnie bezpiecznie przeprowadzić za granicę za wynagrodzeniem 10 zlr. Zaopatrzone mnie w góralskie ubranie, a moje ubranie, czamaraę, żupanik i konfederatkę włożył w rękawy swojej huculskiej bundy. Wieczorem o 9-tej przyszedł góral; byłem już przebrany za górala, długie włosy miałem w nieładzie, twarz była usmarowana. Matka pana Mrozowickiego włożyła do mojej bundy flaszkę doskonałej wódki, kiełbasę i chleba, nadto dano mi postoły na nogi dla bezpieczniejszego nocnego marszu przez góry i lasy. Uzbrojeni w góralskie pałki, a po uściskaniu, ucałowaniu i błogosławieństwie państwa Mrozowickich i chrzestnego ojca, ruszyłem z przewodnikiem przez gumna i pola w lasy. Maszerowaliśmy całą noc, unikając wioski i po górach rozsypanych góralskich chałup, przez co wiele drogi nakładaliśmy. Wiele razy potykałem się, podrapałem twarz o gałęzie, wszystko to nie zrażało mnie, byle tylko przekroczyć granicę. Nad ranem stanęliśmy na górze w lesie, góral wskazał mi przeciwną górę, mówiąc, że to granica, a na szczycie góry stoją strażnicy współ z chłopami i ciągle od posterunku do posterunku przeciągają patrole. Cały dzień musimy tu w krzakach przeleżeć, a po północy, gdy warty pousypiają, zejdziemy z naszej góry przez wąwóz na przeciwną podgórze, pod wierzchołkiem, gdy dam znak, położymy się o 50 kroków jeden od drugiego, i tak na brzuchu czołgając się zdążymy aż na wierzchołek góry, a stąd przebiegniemy pędem na dół w lasy. W lesie odnaj-

dziemy się na odgłos kukułki. Zabraliśmy się do posiłku, góral dał mi flaszkę z wódką, jak mówiłem powyżej, nieznałem jeszcze smaku wódki, ale że miałem pragnienie a wody nigdzie niebyło, góral namawiał, że wódka wzmocni mnie do dalszego marszu i trudów, przychyliłem flaszkę do ust i piłem jak wodę, aż mi góral flaszkę od ust oderwał. Posiliwszy się kielbasą i chlebem, czułem jakieś oszołomienie, rzuciłem się pod krzak i spałem jak zabity do wieczora. Góral mnie zbudził gdy się już dobrze ściemniało. Zaczęliśmy się spuszczać z góry. W dolinie, którą trzeba było przechodzić, by się na przeciwną górę dostać, było dosyć chałup rozrzuconych. By nas psy szczekaniem nie zdradziły, musieliśmy wiele drogi nałożyć, omijając chałupy. Dotarliśmy blisko szczytu góry, na której stały straż. Widząc ich ogniska, przeleżeliśmy dłużej na brzuchach, i gdy góral orzekł, iż zacznie niedługo świtać, a straż teraz śpią pewnie, kazał mi się na brzuchu czołgać aż na szczyt, a stamtąd na dół w nogi do krzaków i lasu, sam oddalił się odemnie na kilkadziesiąt kroków. Zaczęło się czołganie na brzuchu i czworakach, całą drogę odmawiałem „Pod Twoją obronę“! Szczęśliwie dopełzłem na szczyt, nie natrafiwszy ani na straż, ani na patrol — i puściłem się cwałem w krzaki i las. Góra była łyśa w wierzchołku i zobaczyłem na kilkadziesiąt kroków w stronie gdzie góral miał przechodzić, ognisko ledwie płonące. Nieszczęście chciało, że właśnie w to miejsce góral przepęłznał, wartownicy zbudzili się, łapiąc za karabiny. Góral puścił się pędem w krzaki i padły za nim dwa strzały, lecz nie celne. Słyszałem jak straż debuszowała w krzakach, potem wszystko ucichło. Po jakiej może pół godzinie, usłyszałem sygnał kukułki, odpowiedziałem, i zaczęliśmy się zbliżać do siebie. Złączywszy się powiedział góral: „no panocku my już na Uhrach“ (na Węgrzech), uściskałem i podziękowałem mu za szczęśliwą przeprawę. Szliśmy jeszcze jakiś czas po górach i wondolach, aż się już dobrze rozwidniało. Stojąc na jednej górze widzieliśmy w dolinie wieś, przez którą i po za nią wił się bity gościniec. Góral objaśnił mnie, ażebym przybywszy do wsi dowiadywał się o „Solga bira“ (wójta), ten da mi forszpan i odwiezie mnie do powiatowego miasta Homenne. Góral ze mną do wsi iść nie chciał, mówiąc, że by go złapano i do honwedów oddano. Napisałem na karteczce ołówkiem unówione słowo „Zima“ na znak, że p. Mrozowicki może temu góralowi 10 złr. wypłacić. Dałem mu jeszcze guldena, by kupił sobie bakunu i serdecznie go pożegnałem. Swobodny i wesół spuszczałem się z góry do wsi o niepamiętnem mi nazwisku. We wsi wszystko jeszcze spało.

Niemając się kogo spytać o wójta, a widząc z góry jeszcze drugą wieś może o pół mili oddaloną, także położoną przy szosie, postanowiłem maszerować dalej. Gdy minąłem wieś, na skrawku traktu przy drodze ujrzałem mały szałas z kukurudzianych wiech, przed nim ognisko i siedzących dwóch górali słowaków. Przechodząc koło nich, jeden zapytał po słowacku „a skadzi oni“? z Galicyi, a gdzie oni idą? Do Węgier, a mają paszport? Ja tu na Węgrzech niepotrzebuję paszportu. Panoczkom z Galicyi nieślobodno iść na Uhry, my tu se na straży i zaprowadzim ho do finansów, wołali, a zbliżając się do mnie, chcieli mnie zabrać. Pierwszego odepchnąłem tak silnie, że stoczył się z drogi do rowu, a drugi narazie zgłupiał. Ja tymczasem nogi za pas, już nie szosa, lecz przez rów, kawałek pola i wpadłem w lasy. Słowaki za mną, że atoli byłem młody, zwinniejszy i strach mnie gnał przed złapaniem, pędziłem jak lokomotywa. Oglądając się widziałem siepaczy w znacznym oddaleniu, ale biegnąc tak z dołu na górę i zuowu na dół—czułem, że słabnę i oddechu brak. Nareszcie wyszedłszy na jedną górę zobaczyłem w dole wioskę i zabudowania folwarczne pańskie, postanowiłem tam wpaść bez względu co mnie tu spotka. Wpadam do dworu. W sieniach na prawo były drzwi otwarte do kuchni, jakaś kobieta rozpałała ogień, powiadam do niej: kobieto ja przyszedłem do Węgier! a za mną gonią dwa chłopcy i chcą mnie złapać. Zrozumiała choć mówiłem po polsku—powiada: Pudte sem haw, otworzyła drzwi i wszedłem do spiżarni. W rogu zastałem tapczan pokryty wykwintną pościelą, kołdrą atlasową, a pod nią śpiącą, cudownej urody młodą panienkę. Zapomniałem o mojej niepewnej sytuacji. Dopiero na głośne gadania chłopów w kuchni, oprzytomniałem. Więcej głosów w kuchni i teremtowanie, zbudziło i śpiącą panienkę, która widząc mnie w góralskim ubraniu, z zasmarowaną twarzą, zaczęła po węgiersku krzyżeć. Znalazłem się między młotem i kowadłem. Otworzyły się drzwi i wszedł jakiś pan wysokiego wzrostu w starszym wieku, ubrany w szlafroku i pantoflach, i mówi do mnie—sprechen deutsch? jakomm sic czabata. W kuchni widzę tych moich dwóch prześladowców, zapytał ich po węgiersku, czy tego szukacie? A kiedy odpowiedzieli tak, zawołał swoich parobków kazał ich zamknąć do lamusu, mnie wziął na drugą stronę, przeprowadził do pokoiku z dwoma łózkami. Na jednym spał jakiś młody mężczyzna, w drugie opróżnione kazał mi się położyć; rozebrawszy się z góralskiej sukmany, rzuciłem się na łożo i spałem do południa. Przebudziwszy się zastałem przybory do mycia i uporządkowania głowy. Wyjąłem z rękawów

bundy, moje polskie ubranie, przebrawszy się, przemyślałem jak tu się temu panu madziarowi przedstawić i czy powiedzieć mu prawdę, że zamiarem moim jest wstąpić w szeregi legionu polskiego, walczącego w obronie wolności węgierskiej, czy że udaję się do mego pułku austriackiego. Pierwsza prawda zwyciężyła. Wszedłem do pokoju, gdzie zastałem siedzących przy drugim śniadaniu: gospodarza domu, dwie panienki i młodego mężczyznę, który spał w moim pokoju. Gospodarz i młodzian ubrani w sute węgierskie atylle. Przedstawiając się zniemiłem nazwisko na matczynę jako Komorowski, mówiąc po niemiecku cel mego przybycia na Węgry. Wszyscy powstali i gospodarz podając mi rękę rzekł: „Ich bin Rewcs Ungar mit Leib und Seele, hier meine Tochter Jozika (Józefa) und Erzikam (Elżbieta) hier komitatsbeamter herr Kowacz, wollen edler Pole speisen, palenka (wódka) speck, brod und ungar Wein. Za wódkę podziękowałem, ale słoninę paprykowaną jadłem z zapałem, popijając doskonałem winem. Po przekąsce udaliśmy się na dziedzińiec, pan Rewcs kazał przyprowadzić moich prześladowców i pan komitatsbeamter, mając do nich ostrą przemowę po węgiersku, że Polaków z Galicyi idących do Węgier łapać nie śmia, że do ich wsi przyśle szwadron huzarów, każe spalić całą wieś, a mężczyzn pobrać w rekruty. Za to żeście tego tu pana chcieli łapać i na granicę odstawić dostaniecie po 25 kijów—co też natychmiast wykonano. Pod wieczór pan Kowacz odjechał, myśmy pozostali. Dowiedziałem się od Erzi (córci młodszej, która spała w spiżarni, odstępując swoje łóżko panu Kowaczowi), że pan Rewcs był wdowcem, wieś jego zwała się Smolnik, że miał 3-ch synów, którzy walczą za Ojczyznę w szeregach Honwedów, że starsza jego córka Jozika jest nieszczęśliwą i nigdy za mąż nie wyjdzie, bo jest głucho-niemą. Na jednym weselu jako czteroletnie dziecko stojąc we drzwiach bawialnego pokoju przypatrywała się tańcom. Jeden z młodzieży podszedłszy z tyłu wziął ją pod boki i podniósł tak silnie, że biedne dziecko uderzyło głową o powierzchnię drzwi, zemdlało i ciężko rozchorowało się na wstrząśnienie mózgu, a co gorsza straciło mowę i słuch. Więc widzisz edler Pole z pięcioro rośłych dobrych dziatek pozostała tylko moja ulubiona Erzikam. Obie panny były bardzo ładne, ale na twarzyczce Józi odbijał się wieczny smutek, zaś Erzi, mająca nie więcej jak latek 16, dziewczęcę wspaniałe, majestatycznej postawy, jak Wenus eteryczna, niosła dumnie swą głowę, okoloną masą złocistych włosów, o oczach dużych, koloru modrej wody, chwytających wyrazem dziecięcej niewinności. Dodajmy jeszcze ma-

lowniczy strój Węgierek. To też patrząc na to dziewczę, czułem jak mi fala krwi gorącej bije do głowy. A i ona oka ze mnie nie spuszczała, zdawało mi się, iż swemi dużemi oczyma chce przeniknąć w głąb mej duszy, w głąb mego serca. Gdy ojciec Rewcs wyjeżdżał konno w pola do robotników, biedna Jozika siedziała zwykle w swoim pokoiku przy robótce, ja z Erzi spędzaliśmy całe dnie w altanie ogrodu. Porozumienie było trudne, bo ona zwyczajem wszystkich Węgrów, niecierpiących tych, jak mówili „lundzfot Nemet“, nie mówiła po niemiecku, ja zaś ani słowa po węgiersku, porozumiewaliśmy się z polska po słowacku. Lecz oczy nasze mówiły za nas, że się kochamy, a poznałem z tego, że gdy po dwóch dniach wypoczynku prosiłem pana Rewcsa o konie, że muszę dom opuścić i iść, gdzie mnie obowiązek woła, Erzi rozplakała się i ciągle wołała „nem kel, nem kel“ (nie chcę, nie chcę). Na taki wybuch rozpaczyci obiecałem jeszcze pozostać. Czwartego dnia ojciec kazał osiodłać dwa wierzchowce i zaprosił mnie do przejażdżki. Pokazując mi obszary swych pól, winnic, lasów, powiedział: „Schau mein Sohn, alles das gehört meiner Erzi, sie liebt dich, heirathe sie und alles ist dein“! O myślę sobie, źle! choć serce rwało się do tego szczęścia, honor i obowiązek niepozwalają mi wyzyskiwać słabości dziewczęcia i zaślepienia w niej ojca. By jakoś wyjść z krytycznego położenia, a nie zrazić serca poczciwych madziarów, udałem się do kłamstwa i tak odpowiedziałem p. Rewcs po niemiecku: „Propozycya pańska wielce dla mnie zaszczytna i mogłaby mnie na całe życie uszczęśliwić, gdyż i ja od pierwszego ujrzenia pauny Erzi zakochałem się, lecz obowiązek walczenia za wolność Węgier, a Bóg da, że z pomocą Waszą i oswobodzenia mojej Ojczyzny z pod jarzyna zaborców, stoi wyżej nad miłość i każą mi stanąć co rychlej w szeregach walczących. Muszę nadto panu oznajmić, o czem nie wspominałem przy mem przedstawieniu się, że nie jestem simplex Komorowski, ale Graf Komorowski. Rodzice mają w Galicyi, w majątku swoim dwa miasteczka i 15 wiosek, mimo to opuściłem kraj, rodzinę i majątek, by spełnić obowiązek prawego Polaka“. Po tem wybiegu p. Rewcs już więcej nie nalegał, ażeby przy pożegnaniu nie było scen ze strony biednej Erzi, postanowiliśmy, że nazajutrz ze świtem, powozem odeszle mnie do Humennego, co też bez pożegnania nastąpiło.

*

*

*

Przyjechawszy do Humennego, w zajezdnym domu zapytałem o magistrat, a wedle otrzymanych wskazówek szedłem ulicą, by w magistracie zażądać podwoj do dalszej jazdy w stronę Miszkolca. Patrząc naprzeciw mnie maszeruje w uniformie austriackim przy pałaszu respicyent od finansów. Gdyśmy się zbliżyli, pan finansier stanął, po stroju moim poznał Polaka, ja chciałem przejść, lecz finansier rzucił mi po polsku pytanie: „Co pan tu robi?” Ja, czując się już w Węgrzech, a więc wobec jednego finansiera bezpiecznym, odpowiedziałem: „A pan co tu robisz na ziemi węgierskiej?” Widząc, że jego pytaniem wcale się nie zatrwożyłem, odpowiedział: „Ja uciekłem z nadgranicznego posturunku i chcę walczyć w szeregach węgierskich przeciw Austrii.“ „I ja uciekłem, by walczyć w szeregach legionów polskich.“ Podaliśmy sobie ręce, uściskali się i ucałowali jak bracia, przedstawiając się wzajemnie. On Sklenart, ślązak, żonaty, z dwojgiem małoletnich dzieci, częścią z patryotyizmu, częścią z obrzydzenia i nienawiści do służby austriackiej, porzucił żonę, dzieci i służbę, by walczyć za wolność. Ponieważ Sklenart wyrobił sobie podwoję, więc ja z nim przysiadłem i po spożyciu wspólnie śniadania ruszyliśmy w podróż do Miszkolca. W podróży wzajemne opowiadania i przygody stwierdziły, że czuliśmy się obaj prześladowani za uczucia polskie.

Dziwny zbieg okoliczności. W grudniu 1848 r. zmarł w Jeżowym u wuja ks. Kanonika Komorowskiego dziadek nasz Jan Komorowski, przeżywszy 94 lat. Na otrzymaną sztafetę od wuja, wybraliśmy się z matką na pogrzeb. Przeprowadzając się promem przez San, zastaliśmy na promie furę wyładowaną kuframi i tłumokami, a na niej siedzącą kobietę, jeszcze młodą, lecz bardzo zmizerowaną, z jednym dziecięciem otulonym w nędzne ubranie, drugie dziecko, niemowlę, było przy piersiach, za wozem przywiązana chuda krowina, po promie przechadzał się mężczyzna w uniformie respicienta od finansów. Matka moja przejęta litością nad tą widoczną nędzą, zaczęła rozmawiać z biedną kobietą. Do rozmowy przyłączył się i respicient, poznawszy z rozmowy, że ma prawych Polaków przed sobą, zaczął przed nami wywodzić swe żale na rząd austriacki, że służy już 15 lat i był stacyonowany na granicy lubelskiej. Nie cierpiany przez przełożonych, że był za mało austriakiem a wyłącznie Polakiem; że żył z obywatelstwem w okolicy, że im dużo świadczył dobrego, że przeprowadzał emigrację z lubelskiego dążących do Węgier, rozmieszczał po dworach do dalszej wędrówki i t. d. Za to w zimie, na takie mrozy, nie zważając na niemowlęta, za karę prze-

niesiono go w góry w Sanockie. Otóż ten biedny, prześladowany człowiek w podróży do Miszkolca opowiadał mi całe to zdarzenie. Wysłuchawszy, przyszedłem do przekonania, że to jest ten sam respicient, którego z matką spotkaliśmy na promie Sanu i przypomniałem mu owo spotkanie. Zawołał z radością: „Ach, przypominam sobie bardzo dobrze i spotkanie to pozostało na zawsze w mem sercu, bo ta zacna Polka, pańska matka, widząc niedostateczną ochronę od zimna mych dzieciak przez lichę okrycie, wręczyła mej żonie 10 złr., by w pierwszym mieście kupiła dla dzieci ciepłe okrycie; zaczął mnie nanowo ścisnąć i całować, a na zapytanie, co zrobił z żoną i dziećmi, powiedział, że jak w Cieszanowskim tak i w Sanockim zaskarbił sobie szacunek, uznanie i mir między szlachtą, stąd jedni państwo wzięli jego żonę z dziećmi do dworu, powierzając żonie urząd klucznicy i zarząd nad krowiarnią, trzodą i drobiem. Wobec tego zabezpieczenia mogłem spokojnie wykonać myśl zrzczenia nienawistnej obroży z karku i iść za popędem serca i obowiązku prawego człowieka i Polaka.

Na różnych opowiadaniach mile przeszedł nam czas aż do Miszkolca; tu musieliśmy się rozłączyć, on udał się w dalszą drogę, gdyż, jak twierdził, dla niego odpowiedniejszą będzie artylerya. Ja zaś chciałem służyć tylko przy ułanach, a ponieważ właśnie w Miszkolcu formował się trzeci szwadron I-go pułku czerwonych ułanów pod porucznikiem Karolem Żmigrodzkim, więc też pozostałem w Miszkolcu przyjęty jako szeregowiec do pierwszego plutonu. Mimo że byłem dobrym jeźdźcem na koniu, musiałem przejść całą szkołę uczonej jazdy, robienia lanca, pałaszem i pieszą mustrę oraz strzelania z pistoletów do tarczy. Instruktorem moim w tej nauce był bardzo zacny, pocziwy podoficer mego plutonu Stanisław Chojecki (później podporucznik). Szczupłe i nieliczne jest już dziś grono kolegów a towarzyszy broni z legionu polskiego na Węgrzech, walczącego pod narodowym znakiem, choć w obcej sprawie, bo za naród węgierski, chcący się wybić z ucisku despotycznych rządów austryackich. Młodzież polska w części wykolejona smutnymi wypadkami r. 1846, zagrożona nadziejami wolności w r. 1848 i znowu zawiedziona w swych ideałach, śpieszyła do zrewoltowanych Węgier, w nadziei, że z wybicciem się tychże z pod jarzma i z pomocą ich wkroczy do Galicyi i dalej. Niestety znowu zawiedzeni zostaliśmy, zamiast zwycięstwa okrutny pogrom, zamiast do ojczyzny, smutnym pochodem ruszyliśmy na tułacze życie do Turcyi.

Mimo iż pozostawałem przez dwa lata w obroży żołnierza w wojsku austriackim i w tym zawodzie wykształcony o wiele wyżej od kolegów w legionie zajmujących wyższe stopnie, zachciawszy służyć przy ułanach, musiałem wstąpić jako szeregowiec i jako taki pozostałem aż do końca kampanii, t. j. do 9 sierpnia 1849 r., ostatniej bitwy pod Temeszwarem. W Miszkolcu dla skompletowania trzeciego szwadronu zabawiliśmy parę tygodni, gdy wojska węgierskie operowały na Górnych Węgrzech w Preszowie (Presburg). Do tych korpusów przyłączone były małe polskie oddziały, jak Rębowskiego strzelców, Tchórznickiego ułanów, ale z braku koni, pieszych.

Ponieważ przybyłem do Węgier dopiero w 1849 r. w kwietniu, nie znam więc początkowych organizacyi, lecz powtarzam wiadomości czerpane z ust kolegów. I tak, gdy cząstki małe Polonii walczyły w różnych korpusach węgierskich, to w początku major Józef Wysocki (później generał) stał z najsilniejszym oddziałem Polaków, bo 800 piechoty w starym Aradzie na prawym brzegu Maroszy, w oblężeniu fortecy Arad na lewym brzegu. Wysocki przybył pod Arad 4 grudnia 1848 r. Dowódcą Węgrów i nad Wysockim był pułkownik Maryaszy, jak mówiono młody, niedoświadczony, ale waleczny oficer, chciał zdobyć twierdzę podejściem, w niczem nie chciał słuchać zdrowych rad Wysockiego. Brak dostatecznych drabin i mostów do przebycia głównego rowu, udarenniły zdobycie fortecy podstępym sposobem. Próżne były usiłowania, chociaż kilkunastu naszych wdrapało się na wały. Nakazano odwrót, lecz Wysocki cofać się nie chciał, dopiero kiedy Maryaszy nadbiegł, zaklinając by się cofać, bo już wszystko zrejterowało, zaczął i Wysocki z legionem ustępować. Gdy Węgrzy uciekali z pod murów w największym popłochu i nieładzie, spokojność i zimna krew Polaków w boju, wielkie zrobiła na Węgrach wrażenie i zaraz u wstępu naszego wojennego zawodu na ziemi węgierskiej, postawiła nas wysoko w opinii publicznej. Taką zimną krwią, rozważą i męstwem odznaczała się Polonia na wszystkich punktach walki. Gdy Węgrzy po pierwszych strzałach uciekali z pola bitwy w największym popłochu, Polacy wszędzie, choć liczebnie słabi, ale duchem mocni, wstrzymywali Austriaków, chroniąc korpusy węgierskie od sromotnej zagłady. Tak było w bitwie pod górą Koszycką, pod wodzem węgierskim, pułkownikiem Pulskim. Za pierwszym strzałem, honwedzi pierzehli w nieładzie. Jedna tylko garstka Polaków, ustępując zwolna, zasłaniała odwrót. Dognana przez oddział szwoleżerów austriackich pod Barczo 11 grudnia 1848 r. przy-

puściła ich na kilkanaście kroków i przywitała celnym ogniem karabinowym. Kilkunastu jeźdźców padło, wielu jeńców i koni dostało się w ręce walecznych Polaków. Tym śmiałym czynem uratowali Polacy działa i resztę wojska węgierskiego, które jednym dniem wraz z dowódcą przebyli przestrzeń z Koszyc aż do Miszkolca. Utarczka ta pod Barczą Polaków z Tchórnickim na czele, stała się rozgłośną.

Już to przyznać muszę, przekonawszy się podczas kilku-miesięcznej służby, iż w organizacyi legionu polskiego największą zasługę położył generał Józef Wysocki. On był orędownikiem u rządu o stworzenie silnego legionu polskiego, przez złączenie wszystkich rozprószonych oddziałków polskich w jedną całość i pod jednym wodzem. Rządowi ciągle przedstawiał, iż tak małe oddziały, rozrzucone, nie mogą nigdzie wypłynąć na wypadek bitwy, lecz muszą się cofać z innemi, przeciwnie będąc połączeni, więcej nabierają ufności we własne siły i nierównie większe oddadzą usługi Węgrom. Odpowiedź prezydenta komitetu obrony krajowej Ludwika Koszuta brzmiała nader pochlebnie dla legionu polskiego, że legion rozdzielony został w nagłości wypadków i przeznaczono go tam, gdzie niebezpieczeństwo było największe. Daje jednak zapewnienie, że przy pierwszej sposobności nastąpi połączenie i przyprowadzi legion polski odpowiednio do jego zasług.

Dnia 29 listopada wysłano kapitana Żółtowskiego z 3-cią kompanią w 170 ludzi z Pesztu do Miszkolca, a majora Idzikowskiego w 30 ludzi do armii Görgeya, chciano bowiem wszędzie mieć Polaków. Żółtowski połączył się w Miszkolcu z oddziałami Tchórnickiego i Rembowskiiego. Z połączenia się tego wyrodziły smutne i gorszące nieporozumienia między dowódcami polskimi, tem bardziej gorszące, że wybuchły przed frontem generała Mesarosa, który objął dowództwo korpusu polskiego. Żeby tamę położyć nięsnaskom wysłano Tchórnickiego z ułanami i z węgierskim oddziałem do Ujheli, Rembowskiiego z jego oddziałem pod Foro. W bitwie pod Koszycami 4 stycznia, Węgrzy mieli większą ilość wojska i dział aniżeli nieprzyjaciel, nie to nie pomogło, bo po kilku wystrzałach Węgrzy poszli w rozsypkę i nie oparli się aż znowu w Miszkolcu. Polacy w tej bitwie ratowali honor oręża, choć ich dowódca Rembowski opuścił. W tej rozprawie znajdował się także pułkownik Bułharyn i jemu oddano dowództwo nad tą częścią Polaków. Po małej utarczce forpoczt pod Santo, gdzie się sami tylko bili Polacy, nadszedł korpus generała Klapki, i cofnął się pod Tarcał, z dywizyą Bułharyna, gdzie przyszło 22-go

stycznia do bitwy. Polacy odznaczyli się w tej bitwie i można powiedzieć, że oni rozstrzygnęli zwycięstwo. Idzikowski na czele małej garstki Polaków, bo zaledwie 250 ludzi, uderza z bagnietem w rękę i spędza z góry batalion austriacki. Obskakują tę garstkę, ale Polacy przypuszczają ich na kilkanaście kroków i celnymi strzałami jednych z koni zsadzają, resztę zmuszają do ucieczki. Dnia 31-go stycznia w bitwie pod Tokajem, skąd Węgrzy zwycięsko nieprzyjaciela wyparli, Polacy nie brali czynnego udziału.

W tym czasie przyjechał do Tokaja nowy wódz naczelny wojska węgierskiego, generał Dembiński. Wysocki ze swoją Polonią pozostawał ciągle pod Aradem aż do 4-go lutego i natarczywie domagał się od rządu węgierskiego połączenia wszystkich rozprószonych oddziałów polskich w jeden legion. I w pojedynczych oddziałach polskich chęć zjednoczenia w legion pod wodzą Wysockiego, była tak wielka, że kiedy po bitwie tarcalskiej, gdzie się Polacy tak odznaczyli, Klapka zapytał, czemu się mógł im wywdzięczyć? jednogłośnie odpowiedzieli, iż nic nie żądają, tylko połączenia legionu, czemu jednak Tchórznicki i Rembowski byli przeciwni. Na wszystkie te przedstawienia rząd odpowiadał, że to wkrótce nastąpi.

Mimo przybycia korpusu Damianicza, pod Arad, w położeniu i chęciach zdobycia twierdzy, nic się nie zmieniło. Damianicz mając wojsko dobrze wyćwiczone ze starych austriackich pułków, na przedstawienie Wysockiego, postanowił z Wysockim złączyć się z generałem Dembińskim, przeciw głównym siłom austriackim pod Erlau, zostawiając generała Galla do oblegania twierdzy. Damianicz z Wysockim 4-go marca przeszli przez Cisę i stanęli nad rankiem pod Solnokiem, który był przez nieprzyjaciela zajęty. Rozwinięto szyk bojowy. Wysocki stał z Polakami w pierwszej linii, Austriacy wyszli z miasta i uszykowali się prostopadle do rzeki. Rozpoczyna się ogień działowy.

Wiara rwała się do ataku na działa ciągle, ale wstrzymywana była przez generałów węgierskich. Generał Weczaj stał ze swoim korpusem po drugiej stronie Cisy i mógł się złączyć z Damianiczem i Wysockim przez zdobycie miasta, lecz wprzód należało być panami mostu. Wysocki porywa pierwszy batalion polski i na jego czele wpada do miasta. Szybkie natarcie zmieszło Austriaków, tuż za pierwszym batalionem wpadają inne i opanowują miasto, most został już obstawiony, zaś Weczaj ze swoim korpusem zaczął na prawym brzegu debuszować. Kiedy to się dzieje na prawem skrzydle, rotmistrz Poniński nie mogąc

wstrzymać swojego szwadronu ułanów, rwących się do ataku na działa austriackie, uniósł się zapałem młodzieży, skoczył przed front, z podniesioną szablą w górę—krzyknął „bezemnie nie pójdziecie“—zakomenderował do ataku broń i poprowadził szwadron 120 koni na działa. Gdy jeden pluton był odkomenderowany do zabrania dział, 3 plutony rzuciły się na asekurację dział. Rezultat tej szarży był świetny, gdyż zdobyto 5 dział, rozbito dwa szwadrony jazdy austriackiej, stojącej w asekuracji, wzięto do niewoli artylerzystów austriackich i z kawaleryi, większą część zapędzono do wartkiej i błotnistej Cisy, w której wielu się potopiło, a kaski nieprzyjacielskie pływały na powierzchni rzeki. Gdy z trzecim szwadronem był w Peszcie, gdzie mnóstwo było oficerów austriackich niewolników, pytano ich gdzie fabryka tych kask? na odpowiedź że tam a tam, ze śmiechem odpowiadała publiczność: „Wir glaubten das in Solnok“.

Sława tej szarży zupełnie należy się Ponińskiemu. Wprawdzie drogo ona naszym kosztowała, bo oprócz zabitych miał szwadron 33 rannych szablami w głowę, ale młodzi ułani utrzymali sławę dawnych ułanów polskich. Przez furkanie chorągiewkami w młynka, konie szwoleżerskie płoszyły się, stając dęba, zwały swych jeźdźców na ziemię, a pędząc w tył wprowadzały zamęt w dalsze szeregi i tem tłómaczy się kolosalna klęska austriackiej kawaleryi, gdyż niepodobna inaczej sobie wytłómaczyć, żeby 3 plutony ułanów mogły rozgromić 8 plutonów austriackich szwoleżerów.

Do legionu Wysockiego przyłączyła się kompania kapitana Żółkowskiego i dwie kompanie Rembowskiego, który został oddany pod sąd wojenny wskutek zaskarżenia go przez własnych jego oficerów.

W końcu marca ze wszystkich legionów polskich pozostał na linii bojowej oddział Wysockiego, składający się z jednego batalionu piechoty 600 ludzi pod majorem Czernikiem, szwadron ułanów Ponińskiego już majora, Toczyński rotmistrz formował drugi szwadron w Sobosło, Żmigrodzki trzeci szwadron, Tchórznicki w Niredhaze oddział drugiego pułku ułanów (tak zw. białych, pierwszy pułk czerwoni). Idzikowski formował piechotę w Nanaszu.

Ogólne położenie Węgrów było od stycznia do kwietnia 1849 r. bardzo rozpaczliwe, jeden tylko Koszut nie tracił nadziei, wymową swoją elektryzował naród, pociągał za sobą, zbierał ochotników, organizował bataliony honwedów. W tych krytycznych czasach Polacy oddali ważne usługi Węgrom. Niewielka

była ich garstka, nie upadali wszakże na duchu, wszędzie służyli za przykład walecznością swoją, determinacją i nieustraszoną odwagą, a nawet ocalali całe korpusy od zagłady. Nieprzyjaciel widząc polskie czerwone konfederatki, zawsze pierwsze w nacieraniu, ostatnie w odwrocie, głosił w dziennikach, że legiony polskie wynoszą 10 tysięcy, gdy tymczasem wszystkiego było nas 1000. Śmiało można rzec, że ta garstka Polaków, rozrzucona w różnych punktach, potrafiła utrzymać sławę oręża polskiego, oddała ważne przysługi Węgrom i stała się postrachem wrogowi.

W ostatnich dniach marca 1849 r. stoczono bitwę pod Biczke. Jeden batalion polski uderzył z bagnietem w rękę na most, dzielący od Austryaków. Nieprzyjaciel został odparty i wieś Biczke zdobyta. Ułani polscy, patrolując na lewym skrzydle w czasie bitwy, zabrali kilkadziesiąt wozów z bagażami oficerskimi i odstawili do głównego sztabu.

Dn. 6-go kwietnia zwycięska bitwa pod Iszasek. Nieprzyjaciel cofnął się do Gödöllö, nasi krok w krok za nim, a gdy się zbliżyli do Gödöllö, ujrzeni już tylko tylną straż, wychodzącą ze wsi, cały korpus nieprzyjacielski cofał się w przyspieszonym tempie ku Pesztowi.

Do Gödöllö przybył Koszut, przed nim defilada i kiedy przed węgierskimi pułkami, witał każdy przechodzący batalion lub szwadron, lekko uchylając kapelusza, przed legionem polskim, zdjął całkiem kapelusz i stał z odkrytą głową, przez co okazał cześć swoją walecznym.

Dn. 10 kwietnia 1849 r. odbyła się walka pod Wacowem (Weitzen). Dywizya Wysockiego wpadła pierwsza do miasta z bagnietem w rękę i rozstrzygnęła zwycięstwo. W tym boju major węgierski Feldwary przybiega przed batalion polski i chce porwać jego chorągiew. Chorąży Dereziński zdziwiony i oburzony tym postępkiem, odtrącił Feldwarego od siebie i sam z chorągwią naprzód poszedł przez most, a zanim cały batalion. Podczas bitwy pod Nad'-Szarlo 18 kwietnia 1849 r. legion polski szczególnie się odznaczył, idąc pierwszy na bagnety. Jenerał Damianicz dziękował legionowi za to publicznie, a wszyscy jenerałowie węgierscy głośno oddawali hołd walecznej garstce. Armia węgierska z legionem polskim posunęła się za Austryakami pod Komorn. 26 kwietnia 1849 r. walna bitwa, zakończona ostatecznym odwrotem Austryaków do Raab.

Po bitwie pod Komornem, gdzie dowodził Görgey, rozdawano oficerom i żołnierzom krzyże i ordery, lecz o legionie polskim, niestety zapomniano. Postępowanie to naczelnej komendy obu-

rzyło samych że Węgrów, jenerałowie Damianicz, Klapka i Nad' Szandor zwrócili uwagę Görgöya na skutki takiego rozmyślnego drażnienia.

Wysocki udał się z jenerałem Klapką do rządu pozostającego w Debreczynie, po drodze w Peszcie spotkał już sformowany 2-gi pułk ułanów pod wodzą pułkownika Tehórnzickiego.

W Debreczynie Wysocki od rządu otrzymał nominację na generała i naczelnego dowódcę wszystkich oddziałów polskich na Węgrzech z pełnomocnictwem uformowania jednej dywizji polskiej, przeznaczając Miszkolc dla organizacji. Minister wojny wydał rozkaz do podwładnych mu dowódców korpusów, aby żadnemu z Polaków nie wzbraniali przeniesienia się do legionu. Dalej wyrobił u rządu Wysocki, że wszelkie nominacje w legionie będą tylko wydawane na jego przedstawienie, a gdy pierwsza dywizya legionu sformowaną zostanie, przyłączy się do korpusu jenerała Dembińskiego, komendanta górnych Węgier. Jenerał Dembiński miał wtenczas zamiar z legionem wkroczyć do Galicji przez Dukłę, lecz rząd z Koszutem, a najusilniej Görgöy, sprzeciwiali się temu, z tej racji, że w tym czasie, z tak słabym wojskiem, byłoby to szkodliwe dla Węgrów, zarówno jak i dla Polaków. Lękano się zbrojnej interwencji ze strony Rosyi, co i tak później nastąpiło.

W Miszkolcu zebrało się w legionie do 2000 Polonii, odtąd i ja już, względnie mój trzeci szwadron I-go pułku ułanów występuje do boju. Nadmienić mi tu wypada, że w początkach rewolucyi węgierskiej, kiedy rząd węgierski z Koszutem znajdował się w Preszburgu, a Wysocki pertraktował z rządem o formowanie legionu do siły 20000 i wniosek przyjęty został, zjawił się w Preszburgu jenerał Bem. Od chwili jego przybycia wszystko się zmieniło. Koszut oświadczył Wysockiemu, że nie podpisze układów aż w Peszcie po porozumieniu się z innymi członkami rządu. W końcu po nowych i silniejszych naleganiach, że młodzież polska niecierpliwi się, rząd oświadczył Wysockiemu, że jenerał Bem sprzeciwia się wszelkim z nami układom, to jest formowaniu legionu, że młodzież polska, skompromitowawszy się wychodźstwem, będzie zmuszoną wstępować w szeregi węgierskie. Podobne postępowanie jenerała Bema gniewem i rozpaczą napełniło młodzież. Znalazł się nawet zapalenie Kołodziejwski, który wpałszy do mieszkania jenerała Bema z pistoletem w rękę, strzelił do niego, raniąc go lekko w głowę. Bem rozjątrzony był do najwyższego stopnia na demokrację polską i Wysockiego,

gdyż sądził, że Kołodziejcki z namowy Wysockiego strzelał do niego.

Bem otrzymał od rządu dyktaturę w Siedmiogrodzie i zaraz wyjechał, za nim pociągnęło dosyć Polonii, rząd zaś węgierski, potrzebując żołnierza, po wyjeździe Bema zezwolił Wysockiemu na formowanie pierwszych kompanii legionów. Była także legia włoska i wiedeńska pod nazwą „Todtenköpfe“, obie bardzo nie-liczne. Intrygi i zawiść pomiędzy dowódcami węgierskimi, a także i polskimi, niepomyślnie wpływały na tok spraw węgierskich i w ministeriach i na polu bitew.

Kiedy legion organizował się w Miskolcu, intrygi Görgeya, który nie znosił nad sobą wyższej władzy wojskowej, dokonały, że rząd odebrał naczelne dowództwo generałowi Dembińskiemu i nadał je Görgeyowi. Wysockiego już jako generała mianowano komendantem górnych Węgier. Dembińskiemu dano dymisję, tak samo pułkownik Bułharyn i major Idzikowski usunięci zostali od wszelkiej komendy, których jednak Wysocki, obejmując dowództwo po Dembińskim, pozostawił przy kome-ndach.

W tych nader niekorzystnych warunkach dla zwycięskiej akcji Węgrów, zaczęli Rosyanie przechodzić wąwozami i różnymi przesmykami przez Karpaty. Armia górnych Węgier wynosiła wtedy 10000 i to młodego żołnierza, przeciw 60000 wyćwiczonych wojsk rosyjskich. Wysocki wezwał z Miskolca legion polski, jednak pod naciskiem wielkich sił nieprzyjaciela, kazał cofać się na całej linii, zostawiając brygadę Idzikowskiego w aryergardzie. Pod Lemieszanami nasi ułani prosili, by im pozwolono uderzyć na kozaków. Wysocki chętnie zezwolił, celem przekonania się, jakie siły rosyjskie znajdują się po za górą. Na ten rekonesans wysłano 2 plutony ułanów i jeden szwadron Boczkaj huzarów. Był to pierwszy mój chrzest bojowy na ziemi węgierskiej. Skorośmy się z huzarami puścili do szarży, kozacy odstrzeliwając się z janczarek, cofnęli się za górę, gdzie zobaczyliśmy dwa pułki kawaleryi rosyjskiej. Zmuszeni byliśmy powrócić do obozu, jednak dzielna szarża ułanów i huzarów zaimponowała przeciwnikowi. Przy tym rekonesansie straciliśmy Lucyana Stobieckiego, szefa sztabu Wysockiego. W nocy z pod Lemieszan cofaliśmy się ku Miskolcowi. Görgey z nadejściem Rosyan, jako naczelnie komenderujący, nie słuchał rozkazów rządu, widocznie myślał już o zdradzie. Wysocki ze swoim korpusem i legią, wedle otrzymanych rozkazów 26 lipca 1849 r. stanął w Ceglecie, gdzie zastaliśmy już generała Percla, który z narady wojennej objął

dowództwo nad swoim i Wysockiego korpusem. Na tej naradzie wystąpiły w całej sile wspólne nienawiści i intrygi pomiędzy generałami, tak dalece, że Wysocki zrażony podał się do dymisji. My z całym zaufaniem i miłością przywiązani do generała Wysockiego, przyjęliśmy wieść o tym jego zamiarze z bólem serca i prośbami postanowiliśmy niedopuszczyć do owej dymisji, przewidując rozprzężenie legionu pod innym dowódcą. Zgodnie z naszymi gorącymi życzeniami, Koszut dymisji nie przyjął, więc Wysocki pozostał nadal na swem stanowisku.

Dnia 20 lipca pomaszerowaliśmy do Abony, celem zrobienia wielkiego rekonesansu, samą tylko polską kawalerią. Pod lasem zobaczyliśmy pojedynczych kozaków na pikietach, kilku z nas między nimi i ja, wyjednawszy pozwolenie od pułkownika Ponińskiego, puściliśmy się na ochotnika ku tym kozuniom, którzy nieestety zoczywszy nas, czynnie z posterunków swoich. Oba pułki dotarły do Turo. Byli to ułani biali i czerwoni pod komendą pułkownika Tchórznickiego. Stanęliśmy w czystym polu, na strzał armatni przed rozciągniętą pod lasem, do boju przygotowaną armią rosyjską, przez co narażeni byliśmy na rdzenne strzały działowe. Przed nami stał pułk białych, a Tchórznicki o 20 kroków ze swym adjutantem przed frontem, za każdym strzałem armatnim obracał się do pułku i mówił „bracia, kto się boi, niech się schowa za mego siwka!“ Działa okropnie w nas prażyły i w przeciagu kwadransa straciliśmy kilkunastu ludzi i dwa razy tyle koni, tak, że musieliśmy często fronty zmieniać i o kilkaset kroków cofnąć się w tył. Kule działowe, szrapnele, granaty nad głową moją przelatywały w tak wielkiej ilości, że przyznać się muszę, iż paniczny strach mnie ogarnął. Przeraziłem się jeszcze bardziej, gdy stojącemu w pierwszym plutonie w drugim szeregu, obok mego podoficera Chojeckiego, sąsiadowi memu (niepamięną jego nazwiska) kula armatnia wpakowała się w brzuch i z impetem przesadziła nieszczęśliwego kolegę z konia na kilka kroków w tył na ziemię. Gdym się obróciłem, spostrzegłem, że biedak leżał nawznak z rozłożonymi rękami, a wnętrzności wszystkie znajdowały się na wierzchu. Taki widok byłby pewnie przeraził i najwaleczniejszego żołnierza, a coś dopiero mnie młodzieńckiego rekruta, nieotrząskanego w boju, to też za każdym świstem kuli nad głową, schylałem się bezwiednie. Słyszałem wprawdzie szemranie w szeregach i wołanie: tchórz, tchórz! ale niewiedziałem, że to się do mnie odnosi. Dopiero Chojecki zwrócił mi uwagę, mówiąc: Karoleczku nie schylaj głowy, bo ci jako tchórzowi

pierwszy lepszy kolega palnie w łeb! Odtąd już ani razu nie drgnąłem, polecając się opiece Matki Boskiej.

Nareszcie otrzymujemy rozkaz spędzenia dział nieprzyjacielskich z pozycyi. Tehórznicki oba pułki zrównawszy w jedną linię, zakomenderował „do ataku broń, kłusem marsz“, z drugiej strony generał Derzefi wsparł nas swymi huzarami, działa cofnęły się, a jazda rosyjska, będąca w asekuracyi, wystąpiła przeciw nam, lecz szarża nasza świetnie i z brawurą wykonana, zmieszała jazdę rosyjską i w rozsypce nastąpiła haniebna rejterada, i gonitwa za uciekającymi w pojedynkę. Sygnały trąbki wezwały nas do zaprzestania pogoni.

Po tej zwycięskiej szarży i we mnie inny duch wstąpił, odtąd stałem się już żołnierzem bez trwogi.

Nazajutrz po rozprawie pod Turo wojsko węgierskie cofnęło się znowu pod Abony. Rozłożeni obozem, dwa dni spoczywaliśmy. Tu odkomenderowany byłem po raz pierwszy przeciw nieprzyjacielowi, na forpoczty—a gdy stałem konno na pikiecie, osobliwie w nocy, zdawało mi się ciągle, iż ktoś zbliża się do mnie, to z przodu to z boku, no ale dzięki Bogu i ten strach przeminął.

Dnia 24 lipca 1849 r. połączone oba korpusy pod komendą generała Percla przemaszerowały do Nad'-Keresz, dalej przez Kecskemet do Segedynu. Ponieważ naszą polską kawalerję Percel zawsze przeznaczał na ariergardę, nie mogliśmy z tego powodu mieć żadnego wypoczynku. Zaledwie bataliony rozłożyły się obozem i menażowały, my ułani z artylerją polską pełniliśmy służbę forpoczty i patroli. Po kilku godzinach zwykle nadciągała awangarda nieprzyjacielska. Działa nasze na forpocztach strzelały do nieprzyjaciela, alarmując własny obóz do zwijania i dalszego wymarszu.

My pozostawaliśmy dalej w ariergardzie w ciągłych utarczkach z nieprzyjacielską awangardą dopóki obóz cały nie oddalił się na znaczną przestrzeń; dopiero później rażno dopędzaliśmy naszych. W tych harcach prawie codziennych w rejteradzie do Segedyna, kawalerja austriacka w awangardzie, nigdy nam placu w atakach nie dotrzymywała, bo przy każdym bliższym naszym natarciu podawała tył i w nogi. Szalony też respekt mieli dragoni i szwoleżerowie austriaccy przed lancami czerwonych czapek—weresz szipka—jak madyarzy nas zwali. Gdy tymi manewrami wstrzymywaliśmy nieprzyjaciela, obóz nasz główny miał czas przejść duży kawał drogi, rozłożyć się znowu obozem i furażować, kiedy my, będąc stale w ariergardzie, o czemś podobnem nawet myśleć nie mogliśmy. Dzień i noc na siodle, głodni, zmęczeni

ni, bez wypoczynku i snu, spaliśmy podczas marszów na koniach, odparzając im grzbiety przez ciągłe kiwania się na siodle. Konie bardzo lieho odżywiane, osłabły całkowiecie, gdyż czasem maszerując przez stepy Keczkekemeckie całemi dniami nie były nawet pojone.

Podczas tych forsownych marszów, ciągle w aryergardzie, jadąc białym gościńcem pomiędzy polami zasianemi kukurydzą, nad wieczorem jak zwykle spałem na siodle. Koń zgłodniały wysunął się z szeregu, przeszedł rów, wlaźł w kukurydżę i obgryzając liście, postępował coraz dalej wgłęb lasu kukurydzianego, a ja ciągle spałem. Jak długo, nie wiem i byłbym tak dalej spał, gdyby nie szarpnięcie lancy, zawieszanej na temblaku u prawej ręki, tak silnie w tył, że omal nie spadłem z konia. Przebudziwszy się z tego kamiennego snu widzę, że jestem sam jeden w lesie kukurydzianym i pod drzewem, o którego gałęzie lanca zaczepiwszy się, mnie zbudziła. Gdzie szwadron mój? gdzie obóz nasz? a gdzie nieprzyjaciel? W tej nad wszelki wyraz przykraj sytuacji, stanąłem na siodle, czy nie wypatrzę co w dali, lub nie usłyszę gwaru, lecz na próżno, raz, że już zapadła noc, powtóre, że kukurydza na Węgrzech rośnie do wysokości dwóch ludzi. Postanowiłem udać się w stronę, w którą głowa konia mego była zwróconą. Jechałem długo, nim wybrnąłem z kraju kukurydzy. Przedemną czysty step, a w dali spostrzegam ogniki, przedstawiające obóz, lecz czyj? węgierski czy austriacki? Wobec tej niepewności, musiałem jednak powziąć krok stanowczy i dążyć ku ogniskom obozu. Byłem pewny, że zbliżywszy się, pikiety wystawione, zawołają „stój, kto idzie“? względnie po niemiecku „halt, wer da“? to będzie obóz austriacki—natenczas ja zawrócę konia i o ile siły wystarczą, galopem wrócę do kukurydzy. Gdyby z pikiety strzelono za mną, liczyłem, że z powodu odległości i nocy, strzał mnie nie trafi; gdy usłyszę wołanie po madziarsku „ai ki wot“? (kto idzie?) natenczas byłem uratowany. Z modlitwą do Boga zbliżałem się ku ogniskom, gdy na pewien dystans, żołnierz stojący na pikiecie, zawołał: „Ai ki wot“? Duch wstąpił we mnie i krzyknąłem po węgiersku: „lengyel baraton“ (polak brat). Przepuszczony, długo jeszcze błądziłem po obozie, nim odnalazłem stanowisko pierwszego pułku ułanów.

Było to pod miasteczkiem Keczketmet, gdzieśmy dwa dni odpoczywali. Tutaj zdarzyły się dwa bardzo niemiłe wypadki. Młodzież nasza, korzystając ze spoczynku, wpadła do miasta, rozsypując się po handelkach i cukierniach. Zakupiono kiełbasy, słoninę wędzoną, wódki do obozu na zapas, jednym słowem wszyst-

ko dobre do zjedzenia i tak ogołocono sklepy, że kiedy później sztab generała Percla przybył do miasta, już nie można było niczego dostać. Stąd ogromne krzyki na Polaków, że nie pilnują obozu, tylko pełno ich po kawiarniach i restauracjach, przez co dają zły przykład żołnierzom węgierskim. Te narzekania sztabowców węgierskich, doszły do generała Percla, ten zżymał się na Polaków, wynurzał gniew i niechęć swoją wobec generała Wysockiego i wobec całego legionu polskiego. Przy raporcie Wysocki wraz ze wszystkimi sztabsoficera mi legionu, dał Percłowi u czuć niewłaściwość podobnego dotykania dumy naszej narodowej, poczem Percl był już uważniejszym. Drugi wypadek mogący nieobliczone złe skutki na obóz sprowadzić, był następujący.

Zaraz pierwszej nocy, w której dobiłem się do mego szwadronu, konie były rozsiodłane, łąpczywie żerowały ze saków owies, gdyż tak owsa jak siana w dzień dostarczono do syta. Ułani podścieliwszy sobie na leże siana, mając siodła pod głową, pozasypiali. Raptem dobrze po północy, zostaliśmy przebudzeni strasz nym huk i em, jakby trzęsieniem ziemi. Zerwaliśmy się z leży na równe nogi, strach nas ogarnął, bo ani jeden koń na miejscu nie został, powyrywały kołki z ziemi i jak furey przeskakując na ziemi leżących ułanów, pognały w pola. Alarm zbudził wszystkich, stanęliśmy z lancami do szeregu, także i piechota polska stanęła w pogotowiu. Tak staliśmy do świtu, delib erując nad przyczyną tego nadzwyczajnego zdarzenia. Jedni twierdzili, że to jakaś zdrada przez puszczenie między konie jakiegoś ogniściego szmermela, co nie było doprawdy podobne, drudzy tłómaczyli ten ewenement brakiem wody. Zgłodniałe konie obżarłszy się owsem i kukurydzą, uczuły pragnienie, a instynktownie przeczuwając w bliskości wodę, pognały jej szukać. Gdy się dzień zrobił porozsyłano nas wszystkich małymi patrolami pod osłoną bagn etów piechoty polskiej, do okolicznych wsi względnie czabanów i juhasów, (pastuchów trzód i tabunów koni). Do wieczora sprowadziliśmy prawie wszystkie konie, a niektóre nawet same wróciły do obozu. Wiele koni zabrali nam Węgrzy. Z obydwu pułków naszych ułanów brakło kilkanaście koni, między nimi na nieszczęście i mego wierzchowca. Nie mogłem odżałować straty, bo był to koń ładny, kary, nadzwyczaj łaskawy i w boju spokojny. Dano mi z rezerwy jakiegoś wprawdzie silnego, huculskiej rasy, myszatego koloru konia, ale ten był niesforny, lękliwy, nieraz uparty, nie dający sobą powodować, o czem się w bitwie pod Segedynem przekonałem. Dalszy nasz odwrót ku Segedynowi

odbył się bez przeszkód, z tym dodatkiem, że znowu oba pułki ułanów z polską konną artylerją, odkomenderowano do aryergardy. Sporą przestrzeń z Keczkemetu do Segedyna, odbyliśmy przez ciągłe stopy, zwane „Keczkemeter pusztą“. Gdy armia stała obozem, intendentura rozsyłała naprzód rozkazy o dostarczenie żywności dla całej armii, do sąsiednich komitetów, jak Bekes, Bichar, Czongrad i t. d. Prowiant był, ale nie dla nas w aryergardzie,—musieliśmy własnym przemysłem o żywność starać się po młynach i czardakach juhasów, zabierając owce i świnie. Sprawiwszy zwierzynę na miejscu, mięso porozdzielano wszystkim po sprawiedliwości, a że dłuższego postoj w aryergardzie nie można było sobie pozwolić, więc mięso surowe każdy kładł pod siodło, a po dwugodzinnym marszu, jako sztucznym sposobem niby upieczone, spożywał.

Dnia 29-go lipca 1849 r. korpus generała Percla przemaszerował do Segedyna. Koszut zwołał obecnych w mieście generałów na radę wojenną. Z powodu sporu Percla z Koszutem, pierwszy podał się do dymisji. Nasi sztabowcy, będący na radzie wojennej, zawiadomili nas także, że główny, komenderujący generał Görgey, przeszedłszy Cisę pod Tokajem, przysłał z pod Debreczyna sztafetę do rządu, że wojsko jego jest zdemoralizowane i że niepodobna walczyć z tak przemagającymi siłami rosyjskimi, przeto lepiej wejść z nimi w układy. Już to od początku kampanii węgierskiej Görgey okazywał przy każdej sposobności swoją niechęć i nielojalność wobec rządu węgierskiego względnie jego prezydenta Koszuta, bowiem sam miał pretensye do tej godności i nieznosił nad sobą żadnej władzy wojskowej, tem mniej cywilnej. To też, gdy rząd węgierski mianował generała Dembińskiego wodzem naczelnym, Görgey protestował, twierdząc, iż w wojnie Węgrów z Austryą tylko Węgier może być naczelnym wodzem, a nie cudzoziemiec. Tak samo sprzeciwił się, gdy siły węgierskie stały przeważnie w górnych Węgrzech rozłożone od Granu do Pressburga, a generał Dembiński podał plan, że na czele jednej brygady wkroczy przez Duklę do Galicyi i tutaj powstanie rozniecając, znacznie swoje siły wzmocni, że potrafił śmiało z dwoma armiami przez Kraków i Podole wkroczyć do Polski. Görgey sprzeciwił się i tak knuł intrygi pod Dembińskim, że ten zniechęcony złożył naczelne dowództwo.

Gdy sztafeta Görgeya, widoczną zdradą telnąca, do rządu w Segedynie nadeszła, rada wojenna na wniosek Wysockiego mianowała generała Dembińskiego po raz wtóry naczelnym wo-

dzem, a 9-ty korpus Percla wraz z legionem polskim oddano pod komendę generała Wysockiego.

Armia, wkraczając do Segedynu, była przez mieszkańców z ogromnym entuzjazmem przyjmowana, w szczególności, gdy legion polski i ułani w swych czerwonych kaskach ukazali się, okrzykiem „Elien a lengyel, elien a weresz szipka“ końca nie było. Obrzucono nas kwiatami, panie siłą, mocą zabierały nas na kwatery, to też przez dwa dni opływaliśmy we wszystko, co gospodarze najlepszego w domu miały.

Z rady wojennej przyszedł rozkaz, by całe wojsko 1-go sierpnia 1849 r. przepравиło się na lewy brzeg Cisy. Legion polski wedle tego rozkazu miał stanowić straż tylną i most za sobą zniszczyć. Generał Wysocki wyprawiwszy 9-ty korpus przez most, sam pozostał przy naszym legionie. Przeprawa przez most trwała dzień cały. Awangarda austriacka zbliżyła się do nas, widząc czerwone czapki, ale ponieważ nie miała jeszcze dostatecznych sił, nie śmiano na nas nacierać. Nad wieczorem dopiero legion polski przeszedł przez most, zniszczył go i połączył się z armią pod Sirog. Przypominam sobie, że w tym obozie jeden z podoficerów z 1-go pułku ułanów, za popełnioną niesubordynacją przez sąd wojenny skazany został na rozstrzelanie, a wyrok generał Dembiński potwierdził. Przyczyny niesubordynacji, jak i nazwiska nieszczęśliwego kolegi, nie przypominam sobie.

Austriacy zaczęli budować most na Cisie, forsując przeprawę. Kapitan Jordan z garstką Polonii napróżno bronił jej mężnie; wróg pod opieką silnej swej artylerii dokończył budowy mostu i całą nawałą swego wojska, przeszedł na lewy brzeg Cisy i zajął usypane wały.

Batalion polski majora Czernika spędził austriaków, ale piechota węgierska cofnęła się i wśród nocy dawała ognia do naszych. Nasi musieli się cofnąć, a batalion w tej utarczce stracił kilkudziesięciu ludzi w zabitych i rannych, a kilkudziesięciu jeńców austriackich, zabranych w poprzednich bojach do niewoli i wcielonych do batalionów polskich, przeszło do nieprzyjaciela. Ciągłe utarczki aż do 5-go sierpnia trwały ze zmiennym wynikiem. Kanonady dzień w dzień były nieustanne, a i w nocy spokoju nie mieliśmy. Ten świst tysięcy kul, szrapneli, granatów, z ogonami ogniowych rakiet, już żadnego wrażenia na mnie nie czynił. Pułk mój kilka razy dziennie szarżował na działa i austriacką kawalerię, a zawsze ze skutkiem, bo kończyło się ucieczką Austriaków, lub spędzeniem ich dział z pozycji. W jednej takiej szarży uczułem silne uderzenie w łydkę prawej nogi, sądziłem iż

to draśnięcie ostrogą lub strzemieniem mego prawego sąsiada. Kiedy pułk mój przeszedł w drugą linię, poczułem w bucie mokrą i zaczęło mi się ciemnić w oczach; zawołałem do podoficera, że czuję się niedobrze. Cofnięto mego konia w tył, koledzy znieśli mnie prawie z konia, położyli na ziemię, straciłem przytomność. Wezwano pułkowego lekarza. Ten widząc krew sącząca z prawego buta, rozerznął cholewę, z której sporo krwi wylało się. Okazało się, iż kawałek żelaza z pękniętego granatu wpakował mi się w łydkę, nie naruszywszy kości. Doktor z łatwością szczerbę wyjął, ranę obmył, sporo waty napełnionej jakimś płynem wpakował w ranę, obandażował i gdy przyszedł do siebie, było po wszystkim, choć kulejąc, mogłem dosiąść konia, rozciętą cholewę związawszy sznurkiem.

Koledzy wieszali mi, że z pierwszego krwawego chrztu tak szczęśliwie wyszedłem, gdy inni ciężko ranni ginęli na placu boju, lub też pozostali kalekami na całe życie. Rana moja po dziś dzień pozostała mi jako pamiątka z węgierskiej kompanii. Powodem tej rany był mój niesforny, lekliwy, koń myszaty, którego dostałem w obozie pod Kecskemetem. Przy pierwszych armatnich strzałach, zaczął się trząść na całym ciele, dryptać to na prawo, to na lewo, przez co niepokoił sąsiednie konie i rozbijał szeregi. Konia tego, jako widome moje nieszczęście, chciałem się na wszelki sposób pozbyć i w tym względzie przełożyłem moją prośbę rotmistrzowi Krobickiemu. Mimo, iż koledzy i mój plutonowy podoficer popierali mnie, twierdząc, że koń swoją trema przed strzałami i niesfornością łamie szyki i rozbija szeregi, pozbyłem się niesfornego konia, niestety dopiero po złączeniu się z rezerwami. Prędzej to nastąpiło, niż się spodziewałem, bo zaraz na drugi dzień po otrzymanej ranie, a w trzecim dniu zaciętej bitwy pod Segedynem. Gdy mój pułk, unikając strzałów armatnich, robił zmiany frontów, mój myszaty zaczął waryować, kręcąc się na wsze strony, wycofał się z szeregu, gdy tymczasem pułk znacznie się od tego miejsca oddalił. Wysilenia moje nic niepomogły, bym go skierował do pędu za pułkiem, aż nareszcie w owym tańcu karuzelowym, tyłem dotarł do rowu, brzeg pod tylnymi kopytami usunął się, koń z grzbietem wraz ze mną przewalił się przez rów, tak szczęśliwie, że z tego upadku wyszedł bez szwanku i lanca wisząca na prawej ręce na temblaku, przez szarpnięcie, wyszła z tulejki. Koń zerwał się z upadku i pognał jak wichur w stronę naszej ustępującej armii, ja zostałem sam jeden w gołym polu, zmykając zbrojny w lancę i pałasz ku swoim. Cały dobytek mój pozostał w tłumoku (mantelsack) na siodle jak

i pistolety w olstrach. Tak się skończyła dla mnie 4-dniowa bitwa pod Segedynem, niefortunna i dla oręża węgierskiego. Byłaby może ona dłużej trwała, lecz 5-go sierpnia szpiegi donieśli, że Rosyanie już są w Mako, 2 mile od nas, z zamiarem zabrania nam tyłów, że Görgey z swoim korpusem pobity przez drugą armię rosyjską, stoi pod Vilagos. Wobec tych raportów, nie chcąc być wziętą we dwa ognie, armia nasza otrzymała rozkaz do spiesznego odwrotu. Legia polska piesza wymaszerowała wraz z korpusem Galla, 5-go sierpnia o 3-ciej po południu. Zaledwie uszli pół mili, dały się słyszeć gęste strzały armatnie. To Austriacy atakowali silnie naszą aryergardę. Ułani z huzarami z początku stawiali silny opór, gdy atoli kilka pułków huzarów pomieszało się i w nieładzie pierzchli, mimo przykładu męstwa, jakie dawał generał Dembiński, będąc ciągle w najsilniejszym ogniu na przodzie, gdzie zabito pod nim konia i gdzie został rannym od czerepu granata w łopatkę, huzarów nie wstrzymać nie mogło, tylko nasi ułani z pół baterią porucznika Bentkowskiego, cofając się zwolna i w największym porządku, zasłaniali odwrót do ostatniej chwili. Ja dosiadłszy rezerwowego konia, tak w tych jak i w dalszych harcach uczestniczyłem. Generał Wysocki, jako chory, nie był czynny, ani w tej bitwie, ani w ostatniej pod Temeszwarem.

Przez kilka dni armia nasza ciągle się cofała w kierunku Temeszwaru. Ponieważ odwrót odbywał się na płaszczyznach, sama więc jazda utrzymywała tylną straż, ucierając się codziennie z przednią strażą austriacką. Silne starcie nastąpiło pod Czadad. Ułani nasi zawsze ostatni na placu w porządku ustępowali pod ogniem działowym, bo huzarzy, jak zwykle, opuszczali nas. I w tej potyczce generał Dembiński, mimo rany, był ciągle w aryergardzie pierwszy w ogniu, ostatni odchodził z placu boju. Pułkownicy Zamoyski i Bystrzanowski, jako ochotnicy, swem męstwem i przytomnością w boju, zachęcali naszych ułanów do wytrwania.

Dnia 9-go sierpnia 1849 r. armia nasza przymaszerowała pod Temeszwar. Generał Dembiński w tym dniu nie chciał przyjąć stanowczej bitwy, gdy w tem nadjechał z Siedmiogrodu generał Bem bez wojska i dział, i objął naczelne dowództwo. Przybycie jego na wojsku zrobiło dobre wrażenie, był wszędzie przyjmowany radosnymi okrzykami. Wydał bitwę.

Około 10-tej godziny rozpoczęto kanonadę. Środek i prawe skrzydło Austryaków, atakowane przez generała Kmety, zaczęło się cofać, ale po nadejściu znacznych posiłków, szala zwycięstwa

przechyliła się na stronę Austryaków. Cała piechota, jazda i artylerya rzuciły się w las, wszystko się zmieszało. Pomieszane komendy, których już nikt nie słuchał, krzyki uciekających, trzask gałęzi i krzaków, łamiących się pod wozami, których było można na setki liczyć (bo honwedzi, szczególnie oficerowie, włożyli za sobą na wozach kochanki, których obowiązkiem było starać się dla swego pana o prowiant i wygodę). Wszystko to zlewało się w przerażającą całość i gdyby nie zapadła noc ciemna, zakrywająca przed okiem nieprzyjaciela, pogrom spowodowany przez własne niedołęstwo i tchórzostwo, mógł by być zniszczyć całą armię.

Z tej ostatniej bitwy tylko legion polski wyszedł z honorem. Szczególnie odznaczyli się porucznik Bentkowski ze swoją pół baterią i major Horodyński z 3-cim batalionem legionu, który stał w asekuracji baterii Bentkowskiego. Z całego batalionu nie pozostało nad trzydzieści kilka rot. Ułani, jak zawsze swoją odwagą i determinacją powstrzymywali napór Austryaków, także z wielkimi ofiarami, bo ze stratą najdzielniejszych dwóch oficerów z pierwszego pułku ułanów, rotmistrza Krobickiego Wiktora i porucznika Horodyńskiego (brata majora).

Po tym pogromie w nocy się wszystko rozpierchło. Nazajutrz nie można było zebrać ani jednego batalionu, ani jednego szwadronu; zbłąkani w lesie, kupkami bez oficerów, tłoczyli się rozbitki, a nie mając wskazanej drogi do odwrotu, szli w stronę, którą uważali za najbezpieczniejszą. Jedni poszli ku Aradowi, tych Austryacy wyłapali, legion polski najwięcej kupy się trzymający, pociągnął do Lugoszu.

Upadek sprawy węgierskiej był widoczny, nie dla braku sił, bo tych było jeszcze poddostatkiem, ale przez upadek ducha u Węgrów i zdradę Görgeya, który całą swą jeszcze liczną armię, składającą się ze starych austryacko-madziarskich pułków, pod Vilagos poddał Rosyanom, z kilkoma dzielnymi generałami, których później austryacki generał Hajnau w Aradzie powywieszał.

Węgrom wojna już się sprzykrzyła i każdy myślał tylko o układach, a Polaków uważano jako jedyną przeszkodę do zgody z Austryakami.

Legion polski skoncentrował się w obozie pod Lugoszem, zebrało się także kilka pułków węgierskich i legion włoski. Przybył do obozu generał Wysocki i mimo jeszcze trwającej niedyspozycji, legionu już nie opuścił. W Lugoszu wyczekiwano co dalej będzie? Tymczasem po batalionach i szwadronach naszych odbywały się narady, co my Polacy, po rozprzeżeniu i rozbiciu

prawie całej armii i po poddaniu się Görgeya, mamy z sobą począć? Na amnestyę austryacką mogli prędzej Węgrzy rachować, ale nie my, walczący nie za naszą sprawę. Postanowiliśmy, by oficerowie nasi gremialnie udali się do generała Wysockiego i zażądali rozwiązania legionu, lub opuszczenia Węgier i udania się z całym legionem do Turcyi. Wysocki przedstawił nasze żądania generałowi Bemowi, który natychmiast na rozwiązanie zezwolił. 12-go sierpnia 1849 r. legion został zawiadomiony o tem w chwili, kiedy do naszego obozu przybył Koszut. Legion stanął w pogotowiu na przyjęcie Koszuta, który stawał przed każdym oddziałem, przemawiając do nas potoczną mową, chwając i dziękując nam za nasze poświęcenie, wytrwałość i męstwo, ale że Görgey sprawę zdradził i poddał się Rosyanom, a reszta armii zdemoralizowana, uważa więc wojnę za skończoną i zostawia nam wolność postanowienia, co mamy z sobą począć. Powiedział, że sam udaje się do Turcyi, a że skarb wyczerpany, nie może nam udzielić pomocy materialnej, choćby na pierwsze potrzeby. Ułanom pozostawił konie na własność.

Wysocki, który się ciągle nami opiekował, zebrał legion polski i włoski oraz jeden batalion strzelców węgierskich, który dobrowolnie z nami się połączył i tak wyruszyliśmy z Lugosza w nocy na 13-go sierpnia 1849 r. do Karanszebesz. Z nami marszerowali: Koszut, pułkownicy: Zamoyski i Bystrzanowski. Ci dwaj ostatni wyjechali z Karanszebesz naprzód, celem porozumienia się z Turkami i Serbami co do przejścia naszego przez granicę.

Okolica była z wojska ogółoconą, tylko w Orsowie miał się znajdować nieliczny oddział węgierski, przeto musieliśmy zabezpieczyć sobie boczne przejścia i tyły, tembardziej, iż obawiano się napadu Raców (austryackich Serbów) od strony Pańczowy. Bez dalszych przeszkód przez Mehadie 16-go sierpnia wkraczaliśmy do Orsowy, nasi ułani ciągle w aryergardzie. Przed miastem w lasku małym, po lewej stronie szosy, stał obóz węgierski w sile jednego batalionu, był przy samej szosie, którąśmy kroczyli. Na jednym drzewie była przybita wielka tablica z wymalowaną ręką i palcem wskazującym niby drogowskaz ku Turcyi. Pod temi wielkimi literami było po niemiecku napisane „Rennweg der Feigen“ (droga ucieczki tchórzów). Że piechota nasza i legion włoski, nie reagując na tę zniewagę, mimo tej tablicy przeszli, z podziwu wyjść nie mogliśmy,—gdy nasze szwadrony nadeszły i przeczytały tę zniewagę, jeden okrzyk zgrozy i wściekłości nas porwał na Węgrów i chcieliśmy wpaść na Madziarów, rąbać, kłuć

i zabijać. Pułkownik Poniński jednak powstrzymał zapał, tłumacząc, że żołnierz węgierski tu nic nie winien, tylko komenda i jego oficerowie, więc my oficerowie wasi, kompletną wam damy satysfakcyę. Stojący na szosie obaj pułkownicy, majorowie, rotmistrze zsiadli z koni i udali się do obozu wezwać oficerów węgierskich do honorowej rozprawy na śmierć lub życie. W obozie zmiarkowano, że nasz postój przed obozem i narady nie dobrego nie wróżą, oficerya węgierska wyniosła się wgląd lasu, a żołnierze mówili, że oficerowie ich bawią w mieście. Na razie Poniński kazał natychmiast madziarom tablice zdjąć z drzewa porąbać i spalić, oraz zapowiedział, że po obiedzie przyjdzie znowu ze swymi oficerami do obozu, rozmówić się z węgierskimi oficerami. Niestety, te pyszałki, nazwawszy nas tchórzami, sami nimi byli, bo się w obozie więcej nie pokazali. Pułkownik Bystrzonowski przeprowił się tegoż dnia przez Dunaj na stronę serbską, przywiózł nam pomyślną odpowiedź, przyrzekając Polakom i Włochom gościnne przyjęcie i wymagając naturalnie złożenia im broni, na co zgodzić się musieliśmy.

Przeprawa nasza przez Dunaj zaczęła się 18 sierpnia, jednym statkiem przewozowym, bo mostu na Dunaju nie było, przeprawa trwała trzy dni. Przez te trzy dni ułani stali ciągle przed miastem na forpocztach. Nie przeszkadzało to jednak, iż oficerya nasza i połowa szeregowców przesiadywali w mieście, zajmawszy wszystkie kawiarnie, restauracye, gdzie na wielką skalę odbywały się gry hazardowne, w maczka, dyabelka, stosa. Pieniądzy mieliśmy niby huk, bo pobierany żołd pozostawał nam w kieszeni, a po miastach przyjmowano nas gościnnie, nie biorąc żadnego wynagrodzenia. Były to jednak, Niestety, same tylko koszuckie banknoty, nie przedstawiające już teraz żadnej wartości. Wysłano wprawdzie do serbskiego księcia w Belgradzie deputacyę z kilkuset tysiącami koszutowskich guldenów, z prośbą o wymianę na serbskie pieniądze, lecz książę prośbie odmówił i tak każdy otrzymawszy swój dział, miał tę satysfakcyę, że całemi plikami banknotów rzucał na karty.

Nareszcie trzeciego dnia cała piechota polska i włoska przeprowiła się i my ułani zwolnieni z forpoczt, przeprowiliśmy się na drugą stronę. Z legionu polskiego przeszło 800, z włoskiego 400 ludzi na serbską stronę.

Zanim opuścę ziemię węgierską, względnie wypadki tamże, nadmienić muszę, o czem w stosownem miejscu przepomniałem, że w nieustannych harcach przed bitwą pod Segedynem, w jednej wiosce, kazano mi obejść wszystkie chałupy, ponieważ tam

dużo rannych porozmieszczano i dowiedzieć się o rannych Polakach, by im potrzebną opiekę udzielić. Otóż w jednej chałupie, wszedłszy do izby, pełnej rannych, zapytałem po polsku w głos, czy niema tu rannych Polaków? Głos odezwał się: „Oj, jestem, jestem“. Zbliżywszy się do wołającego, kogoż poznałem leżącego na barłogu słomy?—biednego Sklenarta, z którym w Humennem się zjechałem. Służył przy artylerji i w ostatniej potyczce stracił obie nogi. Pomocy żadnej udzielić nie można było, a co się dalej z nim stało? nie wiem!...

Dni kilka obozowaliśmy w Tekii, wiosce serbskiej, naprzeciw Orsowy, zanim oczekiwana odpowiedź nadeszła z Belgradu. Serbowie uważali się już wtenczas za naród wolny, chociaż pozostawali pod zwierzchnictwem rządu tureckiego, jako naród lenny. W twierdzy belgradzkiej stała załoga turecka, lecz Turcy między Serbami nie zażywali miru, przeciwnie propaganda rosyjska tak w Serbii jak i w Bulgaryi już wtenczas wielki wpływ wywierała. Każdemu Serbowi wolno było nosić broń i nie spostrzeżliśmy mężczyzny Serba, któryby nie był uzbrojony w długą strzelbę, dwa pistolety za pasem i kindżał. Także i serbskie kobiety i dziewoje są bardzo wojowniczo usposobione.

W przemarszu przez Serbię spotykaliśmy całe obozy uzbrojonych Serbów. Nas Serbowie przyjęli jako Słowian, wprawdzie uprzejmie, ale zawsze jako Polaków, walczących za sprawę Węgrów, których za ucisk węgierskich Serbów nie cierpieli. W kilka dni do obozu w Tekii przybył jakiś wyższy dygnitarz serbski z Belgradu, z oświadczeniem, że przybywa umyślnie celem dania nam pomocy, w dalszej przeprawie przez Serbię do Turcji. Snać pobratymcy Serbowie chcieli się nas, nieproszonych gości, pozbyć jaknajprędzej, to też po przybyciu serbskiego dygnitarza, na drugi dzień wyruszyła cała piechota polska i włoska z Tekii. Pędzono ich pośpiesznie przez trzy dni, dopóki nie stanęli na granicy turecko-bułgarskiej. Największą trudnością było dostarczenie żywności i furazu dla tak licznego oddziału, bowiem Serbowie, naród ubogi, nie chcieli nic darmo dawać, a że w kasie legionu były znaczne kwoty, ale tylko w banknotach koszutowskich, których Serbowie brać nie chcieli, przeto pułkownik Zamoyski zaspakajał dostawy z własnej kieszeni, które to sumy później rząd serbski zwrócił Zamoyskiemu. Z tytułu trudnego zaprowiantowania koni, w okolicach, przez które transportowano piechotę, naczelnik serbski wysłał nas ułanów za góry o parę mil od piechoty, z jednym tylko tłumaczem, który zarazem był przewodnikiem. Maszerując wesoło i ze śpiewami przez wysoką gó-

rę, zakrzewioną gęstym lasem, schodząc z niej ku dolinie, okolonej lasami, zobaczyliśmy uzbrojony obóz serbski. Skorośmy się tylko z góry na ich dolinę spuścili, nie przeczuwając nic złego, z obozu serbskiego padły strzały. Zgraja Serbów cofnęła się w las między drzewa i dalej do nas strzelać, krzycząc „pucaj na ungura“ (strzelaj na Węgrów). Przypadek ten z pół dzikim narodem, mógł spowodować najokropniejsze następstwa. Staliśmy w kolumnie bezradni, narażeni na strzały serbskie. Napróżno przewodnik woła i tłumaczy po serbsku, by nie strzelali, bo to nasi przyjaciele, lecz nie odważył się wybiedz naprzód ku nim z obawy strzałów. Dopiero rotmistrz Łysakowski, prowadząc na czele pierwszy szwadron, zmiarkowawszy jak wielkie nieszczęście nam grozi, powziął zamiar wykonać heroiczny czyn, zeskoczył z konia i pobiegł z otwartymi rękoma ku gromadzie, gdzie naczelnik obozu rozkazy wydawał. Naczelnik, widząc oficera w uniformie bez broni, już zdaleka krzyczącego po słowiańsku, kazał zaprzestać strzelać. Lecz nie koniec na tem, bo kiedy naczelnik wyrozumiawszy o co rzecz idzie, wytłumaczył to swoim żołnierzom, wtedy, ci co go słyszeli, zaczęli na naszą cześć krzyczeć „Żywio Polaki“ i strzelać na wiwat do góry! Oddział ten serbski rozsypany był wzdłuż brzegu lasu, więc Serbowie stojący na drugim końcu, wzięli to za znak rozpoczętej bitwy i dali jeszcze raz do nas ognia. Szczyściem tak źle strzelali, że tylko dwa konie nasze zraniono. W końcu nastąpiło porozumienie na całej bojowej linii serbskiej, my zsiadłszy z koni, kryjąc się przed strzałami, zbliżyliśmy się ku Serbom i wiwatom, radosnym okrzykom, uściskom końca nie było. Po tych owacyach i traktamentach, ruszyli ułani w dalszy pochód ku granicy bułgarskiej bez żadnego już wypadku.

Panowie Zamoyski i Bystrzonowski pośpieszyli naprzód do Widynia, dla rozmówienia się z miejscowym paszą, o przyjęcie i ulokowanie nas w Widyniu, zanim od sułtana z Konstantynopola dalsze nadejdą rozporządzenia. Sprowadzono nas pod Widyn, gdzie cały polski i włoski legion rozłożył się obozem pod tureckimi namiotami nad brzegiem Dunaju, obstawiony dokoła wartami tureckimi.

W Widyniu zastaliśmy już Koszuta, generałów Dembińskiego, Mesarosza, Percla, później przybyli generałowie Bem, Stein, Kmety i Guyon. Przeprowadzili z sobą 4000 Węgrów i 100 Polaków z legionu Siedmiogrodzkiego, którzy przyłączyli się do naszego legionu.

Ze strony Turków przyjęcie było gościnne, pobieraliśmy żywność w naturze, dostarczono nam kotłów i drzewa, a sami gotowaliśmy sobie jedzenie; pieczywo dowozili Turcy. Ze wszystkiego najgorsza była woda z Dunaju, tak do gotowania, jak do picia nie przydatna. Straszna spiekota panowała w namiotach. Z wiktuałów dostawaliśmy tylko ryż i fasolę, z mięsa—baraninę. Mnożyły się choroby, przeważnie dyzenterya i szkorbut, to też wielu z kolegów tam pod Widyniem grób znalazło. Ułani swe konie Turkom posprzedawali, tylko ja biedak, straciwszy konia pod Segedynem, nie miałem się czem zapomódz, a że i bielizna z siodłem przepadła, więc byłem z biednych najbiedniejszy i tylko miłością i przyjaźnią kolegów wspierany.

Nadmienić tu muszę, że kiedy w obozie pod Widyniem, odbywał się handel końmi, gdzie zwykle znajdowaliśmy się na placu targu tuż około obozu, poznałem mego konia myszatego, przyprowadzonego na sprzedaż przez podporucznika piechoty Kołodziejskiego (tego co strzelał w Peszcie do Bema). Gdy oświadczyłem, że koń jest mój, który mi uciekł w bitwie pod Segedynem, Kołodziejski powiedział, że on tego konia po bitwie pod Temeszwarem kupił od huzara za 20 złr., i konia nie odda. Odwołanie się moje do wyższych przełożonych nie odniosło skutku, bo jego koledzy z piechoty poświadczyli, że widzieli jak Kołodziejski płacił huzarowi pieniądze za konia. Cały mój majątek składał się z 10-ciu cwancygierów, które otrzymałem za sprzedane 200 guldenów w banknotach koszuckich. Do zakupu tych bezwartościowych papierów zjawił się w naszym obozie jakiś węgierski Żydek i kupował koszuckie banknoty, płacąc za 10 guldenów pół cwancygiera austriackiego srebrem. Żyd sądził, że Węgry z pomocą Turków wkroczą ponownie do kraju, a on wtenczas na tych zakupionych banknotach, majątek zrobi. Zawiódł się.

Przybył także pod Widyń statkiem Lysida, austriacki generał Hauslaub, przywożąc generalny pardon dla wszystkich Węgrów i Polaków. Z Węgrów dosyć wychodźców przyjęło ten pardon i powróciło tymże statkiem do Węgier. Z polonii zaledwie kilkunastu, ja nie mogłem pardonu przyjąć, jako austriacki dezertter i to jeszcze podczas wojny, więc pozostałem.

W POSZUKIWANIU BOGA.

I.

Nie tak już dawno — kilkanaście lat temu — członkowie jednej z bardziej uduchowionych sekt rosyjskich, mianowicie „Duchoborcy“, zmuszeni byli wyemigrować do Kanady. Po prześladowaniach i udręczeniach życia, jakim podlegali w ojczyźnie własnej, nastał dla nich istny raj na ziemi: nikt tam nie gwałcił ich sumienia, do domów ich wszedł dostatek, do dusz—spokój. Widocznie stało się to wszystko dla nich nowem udręczeniem, bo oto, po niejakiem czasie, opuścili domostwa swoje, wyrzekli się wszelkiego mienia (bydło puścili na swobodę, żeby nie przymuszać żadnego stworzenia, pieniądze oddali itp.), a sami poszli, gdzie oczy poniosą, „spotykać Chrystusa“, poszukiwać Boga (p. dzieje tej sekty w książce P. Biriukowa „Duchoborcy“, Moskwa 1908 r.).

Dlaczego tak postąpili? Wszak dobrze były im znane słowa Ewangelii: „Królestwo Boże jest wewnątrz was“. Jeśli tak jest, to skądże ten szalony, niecierpliwy pęd na zewnątrz ku Chrystusowi, to literalne poszukiwanie Boga, jakby go się miało nadzieję ująć, fizycznie, w przestrzeni?

Ale cóż się dziwić „Duchoborcom“, kiedy ludzie stojący na najwyższych szczeblach życia duchowego, świadomości religijnej, jak np. L. Tołstoj, w podobny sposób poszukiwali Boga. Czemże była w istocie ta tragiczna ucieczka wielkiego starca z własnego domu, jak nie tem fizycznym szarpnięciem się duszy — w kierunku Chrystusa, w celu odszukania Boga i zjednoczenia się z nim?

Jest coś niesłychanie zmysłowego i zewnętrznego w dążeniach religijnych narodu rosyjskiego, w pragnieniach i potrzebach duchowych, zarówno sfer ludowych, jak i jednostek, nale-

żących do wyższych warstw społecznych. I tu i tam, ideał czy-
sto duchowy, urzeczywistnia się nie w duchu, nie wewnątrz czło-
wieka, ale gdzieś poza nim, w przestrzeni, w świecie wymarzo-
nym, w ludziach nieznanym, niespotykanych. Doktryny religijne,
jaknajbardziej оголоcone z pierwiastków ziemskich, nauki prze-
niknięte jaknajczystsza treścią ewangeliczną, metafizyka oder-
wana zdawałoby się zupełnie od ziemi, od materji, wszystko to
nie chroni od zmysłowości religijnej. Walki duchowe, na tle re-
ligijnem, noszą charakter zapasów niemal fizycznych, doskonale-
nie się wewnętrzne prowadzi do czynów zewnętrznych i wyczer-
puje się nieraz jakimś aktem fizycznym; „królestwa Bożego“,
Chrystusa, tu się *poszukuje*, jakby rzeczy, która jest gdzieś ukry-
ta na zewnątrz, którą można odnaleźć po długich poszukiwaniach
i błakaniu się po świecie. Jest coś zmysłowego w pojęciu odno-
wy życia, w oczekiwaniu przerodzenia się duchowego.

Nie jest to właściwie tak zwykły pojęciom religijnym ludu
naturalizm religijny, który w tej lub innej postaci odnajduje się
we wszystkich religiach chrześcijańskich, przystosowanych do wie-
rzeń pierwotnych, liczących się z dziedzictwem innych epok cy-
wilizacyjnych. Nie chodzi tu o praktyki i obrzędy, wypływające
z owego naturalizmu religijnego, tu chodzi o istotę wiary, o naj-
czystsze poczucie religijne, które w duszy rosyjskiej objawia się
nie duchowo lecz zmysłowo, wywołuje nie prawdziwie wewnętrzny
ruch, lecz jakiś systemat działań zewnętrznych, zgrupowanych
nie dokoła ducha, lecz dokoła ciała. Dążenia duchowe przybie-
rają postać materialną, potrzeby wewnętrzne zadawalają się środ-
kami zmysłowymi.

Oto np. ktoś rozważa sprawę zbawienia duszy własnej i pra-
gnie odkupić grzechy swoje za pomocą jakiejś ofiary; tyle jest
dróg wewnętrznych zbawienia, on jednak wybiera najzewnątrz-
niejszą, tu chodzi o ducha, on wszakże punkt ciężkości wszyst-
kiego upatruje w ciele, z niego bowiem czyni ofiarę, unicestwia
je radykalnie—skazuje na spalenie—w celu odkupienia grzechów
duszy. Ktoś inny, także oddany rozmyślaniom religijnym, ujrzał
we śnie Chrystusa, zachwycony podobnem „spotkaniem“ zapytuje
go: „Panie, co mógłbym ci ofiarować“—„ofiaruj oczy“—odpowie-
dział Chrystus. Przebudziwszy się z tą świadomością wykonywa
dosłownie życzenie Zbawiciela: zapala lampkę, w płomieniu jej
wypala oko, które wypływa. Ofiara ducha została spełniona!
Fakty tego rodzaju, których bardzo wiele może znaleźć czytelnik
choćby w książce W. Rozanowa „Ciemne oblicze“ (metafizyka
chrześcijaństwa. Petersburg, 1911 r., str. 285), mogą należeć do

wyjątkowych, wypływających z mrocznego fanatyzmu, z błędnego zrozumienia wiary chrześcijańskiej, z dosłownego wykonywania przepisów ewangelicznych. Niewątpliwie są to chorobliwe objawy życia religijnego, psychoza jednostek rozegzaltowanych. Co jednak many sądzić o bardzo normalnych obrzędach sekty „skopców“, niewykonywanych w chwili wyjątkowego podniecenia rozegzaltowanej religijnie jednostki, lecz na trzeźwo, świadomie i obowiązkowo, w dodatku przez gromadę ludzką, wcale niedotkniętą jakąś przemijającą psychozą religijną? Po dokonaniu na neoficie znanej operacji, ktoś ze starszych zboru „skopców“ zwraca się do niego ze słowami: „oto żądło szatana—wyrwałeś je ze siebie“. Wszystko to się robi dla zbawienia duszy, które podług wiary „skopców“ można osiągnąć tylko przez odsunięcie jednostki ludzkiej od świata, od wszelkich żywiołów ziemskich i niebieskich. Jestto zagadnienie czysto duchowe, rozwiązuje się ono tu jednak w sposób radykalnie fizyczny, reforma wewnętrzna zależna jest w zupełności od zmiany zewnętrznej, cielesnej. „Żądło szatana“, pierwiastek złego, tkwiący w duchu ludzkim, wyrwa się nie z duszy lecz z ciała, skupiony jest w jednym organie jego. Obrzędy innej znowuż sekty, mianowicie „chłystów“, którzy są niesłychanie surowi na punkcie indywidualnego „grzechu“ płciowego, polegają właśnie na upodobaniu do „grzechu“ zbiorowego, na chaotycznym uniesieniu płciowym w gromadzie wyznawców. Taka ekstaza erotyczna, nie indywidualna lecz masowa, ma lepiej sprzyjać sprawie jednania się, każdego z jej uczestników, z duchem bożym, co też jest dążeniem religijnem tych sekciarzy. Te wszystkie fakty, których mnóstwo można zbierać, nie tylko wśród wszelkiego rodzaju odszczepieńców i sekciarzy rosyjskich, ale i wśród tych, co pozostali w obrębie urzędowego prawosławia,—przytaczam dla scharakteryzowania tej znamiennej skłonności do zaspakajania wyższych potrzeb duchowych za pomocą środków zewnętrznych, oraz rozstrzygania zagadnień religijnych w sposób fizyczny, zmysłowy. Że to nie stoi w związku z pierwotnością pojęć religijnych i grubością instynktów, mogą świadczyć fakty z życia jednostek, stojących na najwyższym poziomie życia zmysłowego. Wspomniany wyżej autor książki „Ciemne oblicze“, W. Rozanow, jeden z najbardziej utalentowanych pisarzy rosyjskich, myśliciel religijny niesłychanej odwagi i bezwzględności myśli, wielki krytyk urzędowego wyznania i wogóle bardzo nihilistycznie usposobiony względem najgłówniejszych podstaw wiary chrześcijańskiej,—swoje własne potrzeby religijne, które ma pomimo krytycyzm swój i antydogmatyzm, potrafi zaspokajać w spo-

sób zupełnie przypominający zmysłowe sposoby jednostek nieokrzęsanych, zbłąkanych albo ulegających nakazom tradycyi religijnych sekciarstwa rosyjskiego, bądź wyznania oficjalnego. Opisując swoją wycieczkę do pustelni Sarowskiej, w której żył „ostatni święty“ rosyjski—jak go nazywa D. Mereżkowski—niedawno kanonizowany św. Serafin, zwierza się Rozanow ze swoich wrażeń, odebranych u źródła świętego, do którego, na równi z wieloma pątnikami, dążył, w celu „zmycia“ grzechów własnych.

Patrząc na kogoś, który energiczniej wypłuskał się w zimnym zdroju, niż on, powiada o tem z uczuciem skrucy i zazdrości: „Oto ten zmył wszystkie grzechy swoje, ja zaś tylko *powierzchnownie*“. Tak go nawet myśl ta dręczyła, że spróbował powtórnej kąpeli, ale już nie doznał uczucia błogości, jak po pierwszej. (p. str. 42).

Mamy więc przed sobą szereg różnorodnych czynności o charakterze zmysłowo-zewnętrznym, dokonywanych w celu osiągnięcia jakiegoś wyższego stopnia życia duchowego, w celu oczyszczenia się z grzechu, wyzwolenia się z więzów złego, zbawienia duszy itp. Ten się spala, tamten wyłupia oko, ów pozbawia się organu płciowego; jedni opuszczają siedziby swoje i idą na spotkanie Chrystusa, inni, w poczuciu nędzy świata i w chęci dostania się do „królestwa Bożego“ zakopują się żywcem, jak owi „razkolnicy“ nadniestrzańscy; ktoś wreszcie zmywa ze swego ciała grzechy, jakby bród gąbką.

A wszystko są to ludzie albo głębokiej wiary, opierający się na swoim życiu wewnętrznym, gardzący światem i tem co ziemskie, albo jednostki wysoko stojące pod względem rozwoju intelektualnego, uświadamiające chyba sobie całą niedostateczność środków zewnętrznych tam, gdzie chodzi o jaknajbardziej poufne potrzeby życia duchowego. Skąd to wszystko pochodzi? Dlaczego ludzie oddani bezwzględnie, aż do zaparcia się samych siebie, wielkim sprawom żywota, sprawom ducha,—wciąż się odwołują, gdy chodzi o ich rozstrzygnięcie do ciała, wciąż się imają środków fizycznych, trójwymiarowych—że się tak wyrażę—z pod których władzy wymyka się wyższe życie duszy ludzkiej, religijnie nastrojonej?

W. Rozanow, zastanawiając się nad niektórymi, jaskrawymi objawami religijności ludu rosyjskiego, powiada: „chłop rosyjski głęboko pływa“, tłómacząc, między innymi, tem głębokiem zanurzeniem się w nurt życia wszelkie okropności takie, jak literalne wrywanie z ciała ludzkiego „żądła szatana“, jak spalanie się, lub zagrzebywanie się żywcem, w celu uniknięcia grzechu świata.

Radykalnie nie znaczy wcale — głęboko, a tu przedewszystkiem mamy objawy radykalnego „pływania“, t. j. gwałtownego, fizycznego rozstrzygnięcia zagadnień życia duchowego, które rozcina zawiłą sprawę nie mieczem duchowym, lecz mieczem materyalnym. Wygląda to nieraz jako szczyt konsekwencji i szczerości, zgodności życia z ideałem wyznawanym, właściwie jednak ten radykalizm pomija istotę rzeczy, zadawalając się powierzchownym, chociaż bardzo jaskrawym, pozorem. Sekciarz rosyjski, dokonywający na sobie strasznej operacji, żeby w ten sposób uwolnić się od świata i jego „grzechu“, wyzwolić się z pod władzy wszelkich żywiołów, uprosił do ostateczności zadanie swoje, popłynął płytko, gdyż na to, żeby popłynąć głęboko zabrakło mu tehu. możliwości duchowej, trudniej jest bowiem żyć bezgrzesznie nie zrywając więzów łączących nas ze światem, niż wówczas, gdy się te więzy zrywa, choćby tak jednostronnie, jak to rozumieją „skopcy“. Jeszcze łatwiej rozstrzyga się sprawa uwalniania się od grzechu, przez zupełne unicestwienie życia samej jednostki: niema życia, niema pokusy, niema grzechu. Ale tu już i „pływania“ wcale niema, bo pływać, płytko lub głęboko, można tylko w życiu, wyzwalać się od grzechu, zwalczać świat i jego pokusę, doskonalić się i jednoczyć się z Bogiem, także tylko w życiu, a skoro się to wszystko przeniosło po za nie, w śmierć, to się najważniejszej sprawy ducha nie rozwiązało, lecz się ją pominęło, odsunęło się ją na stronę, ruchem fizycznym. To jest, niewątpliwie, bardzo radykalne, ale to niczego nie rozwiązuje, nie sięga głęboko w istotę zagadnienia,—świadczy tylko o zniecierpliwieniu i nieuleczalnej niemocy tego ducha, który tak zewnętrznie, tak mechanicznie załatwił się z węzłem gordyjskim swego bytu. A to wszystko przekonywa, że ci ludzie są pozbawieni daru rozwikływania spraw duchowych swego istnienia w sposób prawdziwie wewnętrzny, że wskutek tego to, co tylko w duchu i przez ducha może być dokonane, odbywa się w ich życiu na drogach zewnętrznych i nosi piętno zmysłowe.

Ci ludzie gotowi są wszystko uczynić, żeby „spotkać Chrystusa“, gotowi są na męki najstraszniejsze, na ofiarę życia swego, żeby tylko uwolnić się od grzechu i zbawić duszę swoją, tych stanów wszakże błogości chrześcijańskiej właściwie nigdy nie doznają, bo nie mają daru ich osiągania, gdyż w naturze ich, w ich składzie duchowym, brak pierwiastku, który unosiłby do odczuwania obecności Boga w sobie samym, jednoczenie się z nim w duchu własnym. Gdyby tę zdolność posiadali, gdyby mieli to poufne i bezpośrednie poczucie Boga, słowem gdyby boskość mo-

gli wytwarzać w sobie, własną mocą duszy, to urzeczywistnianie przez nich ideału religijnego nie nosiłoby charakteru zewnętrznego, zmysłowego, nie byłoby niespokojnem i rozpacziwem „poszukiwaniem“ Boga, nie byłoby ustawicznym wychodzeniem duszy z własnego obrębu na Jego „spotkanie“. Ich dusze może dlatego tak się szarpią i dążą rozpaczliwie na zewnątrz, tyle niepokoju fizyologicznego ujawniają, że czują ów brak, tę niezdolność swoją do wytwarzania boskości, oczyszczania się z grzechu, odnawiania się i przeradzenia się wewnętrznego, własnymi siłami. Samo pojęcie grzechu urasta w nich, wskutek tego, do rozmiarów potwornych; jest to w ich oczach coś tak wielkiego, że dusza ludzka osobistym wysiłkiem nie potrafi tego pokonać, *życiem* własnym grzechu przewyciężyć nie zdoła, uwolnić od brzemienia własnej grzeszności, oraz grzeszności świata może tylko niebyt, śmierć, unicestwienie albo całego życia, albo tego, co jest w jednostce ludzkiej najżywotniejszem. Grzech własny i powszechny wyolbrzymiają, siłom zaś duszy nie ufają, żyją więc w beznadziejności, w trwodze, w smutku i bezradości ponurej, światło życia zastępują mrokiem śmierci, moc pogodną i twórczą ducha—jego rozterką bezpłodną i udręczeniem śmiertelnem. Ich poczucie Boga, świata i życia, świętości i grzechu, ciała i ducha, wogóle wszelkie ich przeżycia religijne rozwijają się na powyższem tle, utkanem z pierwiastków niemocy własnej i przerażenia się ogromem złego na zewnątrz nich. I tak się rzeczy mają nietylko na niższych stopniach świadomości religijnej, lecz i na wyższych. Dowodów, niezwykle wymownych, nie trzeba długo poszukiwać: przeszłość i współczesność dostarczają ich mnóstwo. Konstanty Leontiew, autor głośnego niegdyś dzieła „Wschód, Rosya i Słowiaństwo“ — obecnie powtórnie wydanego — przytacza tam fakt krwawej ofiary, złożonej przez staroobrzędowca, Michała Kurtina, który zarżnął swego siedmioletniego syna, w przekonaniu, że tego chce Zbawiciel. Przed sądem, nieszczęsny, tak się usprawiedliwił: „Kiedyś, w nocy, smutek mój z tego powodu, iż wszyscy ludzie giną *w grzechu*, doszedł do takiego stopnia, że nie mogłem zasnąć, i po kilkakroć wstawałem z łóżka, zapalałem świece przed ikonami i, padłszy na kolana, modliłem się ze łzami w oczach za własne i całej rodziny mojej zbawienie. Wtedy to przyszła mi do głowy myśl uratowania syna mego od zatracenia wiecznego, a ponieważ syn mój Grzegorz, jedyne dziecko, był bardzo wesół, rzeźki i, nad wiek swój, pojętny, to ja, w obawie, żeby on po mojej śmierci nie znieprawił się w wierze swojej i nie zginął w gehennie wiekuistej, postanowiłem go zarżnąć“. Fakt ofiary

całopalnej, spalenia się na stosie włościanki powiatu peterhofskiego (1902 r.), także dla zbawienia duszy, opisuje W. Rozanow w cytowanej wyżej książce. Tu również najpewniej działało niezwalczone poczucie grzechu, tu także ofiarę poprzedziła gorąca modlitwa (uczyniona w Sergiejewskim klasztorze). Najokropniejsze jednak światło rzuca, na dusze ludzkie i ich przeżycia religijne, historia słynnych wypadków zakopywania się żywcem paru dziesiątków osób, należących do sekty staroobrzędowców, ze wsi Ternówki, położonej niedaleko Tyraspoła gubernii chersońskiej. Wypadki te, zaszłe w r. 1896, opisał ze stanowiska psychopatologii prof. Sikorski, znakomite komentarze do zbyt „lekarskich“ poglądów profesora, komentarze sięgające głęboko w istotę religijności tych dusz opanowanych nieuleczalnym poczuciem grzechu świata oraz pragnieniem wyrwania się z sieci złego i dostąpienia „królestwa Bożego“, — dodał W. Rozanow w książce „Ciemne Oblicze“ (113—224 str.). Tutaj skazali siebie na straszną powolną śmierć, ludzie znękani ideą grzeszności tego wszystkiego co ziemskie, zniechęceni do życia, nie wskutek jego trosk materialnych i nacisku na ich świadomość wrogich okoliczności, lecz wskutek troski duchowej, zrodzonej beznadziejnym przeświadczeniem, że od grzechu doczesnego i mąk wiekuistych może ich uwolnić tylko śmierć, że nie życie, lecz unicestwienie jego może zbawić ich dusze. Tu zdawano sobie doskonale sprawę z okropności rodzaju śmierci, mimo to wolano jego okropność, niż udęczenie świadomością życia i niepewnością istnienia przyszłego. „Dwa lub trzy dni mąk—mówił do tych, którzy postanowili zerwać więzy życia, lecz jeszcze wahali się w wyborze środków, ktoś, co najbardziej był czynny w sprawie zakopania się żywcem—to nic w porównaniu do mąk wiecznych“. „Pomyśl—przekonywał każdego—czy możesz zliczyć krople deszczu; a ile w nim kropli, tyle lat męki w piekle; lepszym więc jest dwa lub trzy dni w jamie i—królestwo niebieskie“.

Skąd ludzie bogobojni, nie krzywdzący bliźnich, łagodni i miłujący się wzajemnie—jak o tem świadczy referat prof. Sikorskiego—których sumienie, słowem, nie mogło być udęczone poczuciem grzechu indywidualnego, mogli dojść do tak ogromnie beznadziejnego wyobrażenia o grzeszności własnej i wogóle życia, że już w śmierci tylko szukali od tej zmory ratunku? W. Rozanow stara się wytłómaczyć to wszystko, między innymi, zbyt dosłownem pojmowaniem zasad wiary chrześcijańskiej, gruntownem przeniknięciem się duchem ewangelii, który wszczepia w proste i szczere dusze ludzkie pierwiastki pesymizmu, bezra-

dości i smutku z powodu życia, niewiary w jego dobro, budząc tęsknotę zagrobową przez obietnicę „królestwa Bożego“ w życiu wiecznym. Niewątpliwie, ich wyobrażenia o życiu doczesnym, o grzechu świata i ludzi, o tem, że przez ograniczenie życia, wreszcie przez śmierć można tylko uniknąć potępienia wiecznego i osiągnąć „królestwo niebieskie“, noszą charakter książkowy, są oparte na ewangelii, raczej na zbyt prostolinijnem, niewłaściwym zrozumieniu niektórych jej przepisów. Ale to wszystko nie tłumaczy należycie ani ich postępowania, ani ich religii bez nadziei, żałoby nieuleczalnej duszy i pragnienia nicstwa. Gdzieindziej, inni ludzie, o duszy wręcz odmiennego składu, potrafili z tychże przepisów i nauk chrześcijańskich wytworzyć religię radości i uwielbienia życia, religię czynu nieustannego, w obrębie doczesności, w celu zapewnienia sobie „królestwa niebieskiego“ po śmierci, której przyjscia nikt nie przyspieszał środkami gwałtownymi.

Z takich samych źródeł ewangelii umiano gdzieindziej wynieść nie zniechęcenie do życia z powodu jego grzechu, lecz żywą chęć zmniejszenia jego grzeszności, zwiększenia słowem wartości życiowej.

Czerpano z tych źródeł nietylko wiarę w „królestwo Boże“ i pragnienie osiągnięcia szczęśliwości wiekuiстей, lecz i wiarę w życie doczesne i żądzę szczęśliwości na ziemi. Św. Franciszka z Assyżu np. i jego wyznawców nikt chyba nie prześcignie pod względem ścisłego, dosłownego rozumienia nauki chrześcijańskiej i przestrzegania jej przepisów. „Bracia mniejsi“ żadnych kompromisów, z tem co jest ziemskie, nie uznają, żyją bezwzględnie wyrzeczeniem się dóbr świata tego, poszukują wciąż nieba i zawsze mają Boga przed wzrokiem swoim. („Ci są czyści sercem—powiada św. Franciszek w swoich „Admonitiones“ — którzy gardzą ziemią, poszukują nieba i zawsze mają Boga przed wzrokiem swoim“). Ale poszukując nieba i mając wciąż Boga przed wzrokiem swoim, poszukują go za sprawą życia, przez życie, nie zaś przez śmierć i w śmierci—w jej królestwie. Prawdziwą nauką—nauką chrześcijańską—jest, podług św. Franciszka, ta, która prowadzi bezpośrednio do czynu. Wiadomo jak rozległą była skala czynów, czynności mających życie na względzie, obowiązujących „braci mniejszych“ wciąż zapatrzonych w niebo, w życie wiekui-stę. Czynności te były niczem innym, tylko niezwykle logicznym, całkowitym i konsekwentnym, systematem doskonalenia się jednostki ludzkiej, zgodnie z ideałem „ubóstwa, posłuszeństwa i czystości“, bezwzględnej miłości bliźniego i Chrystusa. Urze-

czywistniać taki ideał, doskonalić się w ten sposób można tylko w życiu, to też „bracia mniejsi“, poszukujący nieba, wciąż spełniają czynności i rozstrzygają zadania czysto życiowe, ziemskie.

Związani są najściślej z życiem, są twórcami w zakresie życia, natchnienia swoje czerpią z niego, z ziemi, nie zaś z grobu, ze śmierci. Żałoby, poczucia beznadziejności, smutku nieprzewycięzonego z powodu życia tu niema, jest tylko radość z jego przyczyny, nadzieja, wiara. Tu ludzie nie tylko umierają „w Panu“, lecz żyją i radują się „w Panu“. („Bracia powinni się strzedz, w swoich stosunkach zewnętrznych, wyglądu ponurych i ambitnych hipokrytów, przeciwnie zawsze powinni wyglądać jak ci, co się radują w Panu i, wobec wszystkich, zachowywać wesołość oraz uprzejmość“;—z przepisów św. Franciszka). Niezrównana *życiowość* ewangelizmu św. Franciszka i „braci mniejszych“ wyraziła się, między innymi, w ich wspaniałej modlitwie, z której najznamienniejszy ustęp podaję: „Żebyśmy wszyscy, z całego serca i z całej duszy naszej, ze wszystkich sił naszych *cielesnych i duchowych*, z całego *rozumu* naszego, ze wszystkich *władz* naszych, całą naszą istotą wewnętrzną kochali pana naszego Boga, który nas wszystkich obdarował całym ciałem naszym i całą duszą naszą, i *całkowitem* życiem naszym, który nie przestaje nas tem wszystkim darzyć, który nas stworzył i odkupił nas, i teraz jeszcze, wiedziony wyłącznie współczuciem, pragnie nas zbawić, przebacząc codziennie nędznym, leniwym, niewdzięcznym i złym nieponiom, jakimi jesteśmy“¹⁾.

Kochać w ten sposób, można tylko wówczas, gdy się uznaje „całkowite życie nasze“, wszelkie jego siły „cielesne i duchowe“, gdy się ów dar z ciała i duszy zachowuje i weń się wierzy, słowem: gdy się żyje i myśli o życiu w weselu i radości duszy, nie zaś w udręczeniu, w trwodze serca i żałobie umysłu. Kochać Stwórcę, podług tej modlitwy, to znaczy „radować się w Panu“ z powodu życia i za życia, nie zaś „smućić się w Panu“ śmiertelnie i wielbić go, „dogodzić“ mu (po rosyjsku: „ugodnik“ — ten, co dogadza) tylko przez śmierć własną, tylko za pomocą grobu i unicestwienia życia.

Otóż teraz możemy zapytać: kto tu głębiej „pływał“, czy ci braciszkuwie franciszkańscy początków XIII wieku, czy też ci wszyscy chłopcy rosyjscy naszych czasów, tacy lub inni sekciarze—i nie sekciarze—którzy z powodu smutku, „iż wszyscy ludzie gi-

¹⁾ p. Johannes Joergensen „Św. Franciszek z Assyżu“, str. 536.

na w grzechu⁴, wrywają z siebie „żądło szatana“, albo skazują na śmierć najokropniejszą? Niema wątpliwości, że pierwsi. A przecież oni, świadomość swoją religijną, wyrabiali w tych samych granicach nauki chrześcijańskiej, czerpali z tychże źródeł ewangelii, niemniej gardzili światem i pragnęli wejść do „królestwa niebieskiego“. W jednakowych ramach dwa zupełnie różne obrazy: jeden jasny, radośny, drugi—mroczny, ponury i przerażający. Dwie odrębne dusze złożyły tu niejednakową treść swoją, więc choć podstawy wiary były te same, cele i aspiracye religijne analogiczne, rezultaty były wręcz odmienne, religie różne. Pierwsza zwalczała „grzech“ świata życiem, przez doskonalenie go i rozwijanie, zapewne jednostronne, raczej przystosowane do ostatecznego celu zbawienia duszy, niemniej rozwój, pełnia jego w tym kierunku wymagała zachowania jednostki ludzkiej, a nie jej unicestwienia, wymagała bytu, nie zaś niebytu. Druga wymagała śmierci, żywiła jednostkę ludzką śmiercią, przenosiła jej nadzieję uwolnienia się od grzechu w grób, przenosiła — a niekiedy i dosłownie—zagrzebywała ją w nim za życia. Kto tu głębiej zanurzył się w nurcie religijnym, sięgnął do dna, miał zupełniejszą intuicyę światłości wiekuistej, prawdy żywota, świętości, Boga? Oczywiście nie ten, co zgóry powiedział sobie, że tego wszystkiego życiem własnem—i w życiu—nie osiągnie; nie ten co śmierci powierzył życie, kazał jej pracować dla siebie i za siebie, lecz ten, który wysiłkiem własnym życia swego chciał wypracować, zasłużyć sobie na to wszystko, co umieszczał w bycie wiekuistym, w upragnionem „królestwie Bożem“. Jeden już za życia wchodzi w to królestwo, wśród prywacyi bowiem i żądź ziemskich „raduje się w Pauu“, drugi—w ponurości ducha i jego udręczeniu, dąży do niego, gdyż niema pewności czy tam nawet zrzuci brzemień swoje, jak ów zakopujący się sekciarz, Kowalew, który obawiał się, czy uwalniając się, przez śmierć dobrowolną, od grzechu, *nie przysporzy sobie jeszcze większego.*

Z jednej strony mamy żywotność wiary, mamy nieustanny czyn religijny, świadczący o mocy duszy ludzkiej, oddanej urzeczywistnieniu swego celu religijnego; z drugiej — bierność i niemoc, które wiodą duszę ludzką do zniechęcenia i rozpacz, co najwyżej do takiego radykalizmu religijnego, który chybia celu i dręczące zagadnienia bytu rozstrzyga tylko negatywnie. I tu i tam, pragnienie osiągania celów religijnych, jednakowo żywe, jeśli więc jedni urzeczywistniają je, drudzy zaś wcale nie, albo bardzo niezadowolająco, to chyba przyczyną tego jest to, że dusze pierwszych, w składzie swoim, znajdują siły niezbędne do urzeczy-

wistniania owych celów, posiadają naturalną zdolność, dar ich osiągnięcia, dusze zaś drugich tego daru są pozbawione.

Nie wchodzę w dziejowe, rasowe i cywilizacyjne czynniki tego zjawiska, że jedne dusze, o aspiracjach religijnych, dar ów posiadają, inne zaś dusze, o takich samych dążeniach, ujawniają jego brak,—zaznaczam tylko, że ten fakt psychiczny wybitnie się uwidoczniła w życiu religijnem rosyjskich „poszukiwaczy Boga“. Może na zbyt jaskrawe postaci tego życia zwróciłem tu uwagę?—gdzież jednak mamy szukać istotnych objawień ducha ludzkiego, jak nie w tem wszystkim, co jest jego najintensywniejszem życiem, jego najsilniejszym napięciem, pragnieniem, żądzą, bez względu na to, czy to wszystko nosi charakter normalny czy anormalny, zdrowy bądź chorobliwy? Zresztą nie brak faktów mniej jaskrawych, bardziej normalnych, które mogą potwierdzić nasz pogląd na przyrodzoną nieudolność duszy rosyjskiej, zaprzątniętej poszukiwaniami w sferze religijnej.

II.

W ciągu ostatnich kilku wieków aspiracje religijne ludu rosyjskiego wyraziły się naprzód w staroobrzędowości, następnie w sekciarstwie. Pomijając czysto formalno-obrzędowe przyczyny powstania pierwszego i rozmaite względy życiowo-materyjalne, które niejednokrotnie dawały powód do drugiego, w formy zarówno staroobrzędowości, jak i sekciarstwa wylały się te głuche pragnienia wiary doskonalszej, życia Bożego i jego prawdy, które wciąż nurtowały i nurtują w duszy ludu rosyjskiego. Tutaj, zwłaszcza w sekciarstwie, najradykalniej i najbardziej swoiście poszukiwał on swego Boga, krystalizował swoją wiarę, tutaj najbardziej rozstrzygał nieustannie męczące go zagadnienie: jak dostąpić zbawienia, jak żyć „po bożemu“? Niewątpliwie lud rosyjski, poszukujący poza murami kościoła panującego zaspokojenia swoich potrzeb religijnych, zaświadczył wymownie w szeregu stuleci o ich intensywności, o uporczywym dążeniu duszy w kierunku upragnionego „królestwa Bożego“. Tylko ogromny upór duszy i jej niezwalczona tęsknota, do wymarzonego świata szczęśliwości nieziemskiej, mogły utrzymywać staroobrzędowców i sekciarzy rosyjskich w wierności dla ich wyznania, pomimo te wszelkie surowe kary, ograniczenia i prześladowania, jakim pod-

legali z jego powodu. W istocie uporu i niepokoju religijnego, tęsknoty i pragnienia, mnóstwo w tych duszach. Są one w ciągłym ruchu, wciąż wyruszają na poszukiwanie swego Boga, nieustannie spodziewają się spotkać na drodze Chrystusa, dojść tam, gdzie panuje Jego prawda, Jego królestwo. Czynią wszystko, co mogą, w tym celu: znoszą cierpliwie ucisk i ograniczenia, narażają swój byt i mienie doczesne, hyle tylko osiąść skarb życia wiekuistego. Ten ruch wszakże ustawiczny, ten wysiłek i ofiara, snąc nie są poparte siłą prawdziwie twórczą, celu bowiem nie osiągają, wątpliwości i niepokoju, żalości i smutku śmiertelnego nie rugują z duszy, przymierza pomiędzy nią a Bogiem, Nim a światem nie ustanawiają, nie czynią tak, żeby to, co w ich duchu jest wieczyście rozdzielone, nareszcie stało się jednością.

„Ile wysiłków, walki, cierpienie!—powiada jeden ze znawców współczesnego życia religijnego w Rosyi, Pankratow¹⁾. A wszystko to dlatego, że w świadomość człowieka rosyjskiego nie wchodzi zasadnicze prawidło ewangeliczne: „Królestwo Boże jest wewnątrz nas“.

Widzieliśmy wyżej, jak zewnątrz, przytem dziko i nie-ludzko, rozstrzygają niekiedy sekciarze rosyjscy wskutek tego najbardziej dręczące ich ducha zagadnienia, związane z owem „królestwem Bożem“, należące do najwyższej sfery ich przeżyć religijnych, ich świadomości metafizycznej. Nie swobodnym, naturalnym wysiłkiem duszy zdobywa się tu poczucie „królestwa Bożego“ wewnątrz siebie samego; przedsmak jego, nadzieja, żalobna jakaś—bezradośna, osiągnięcia go, jest tu wynikiem gwałtu, jest czemś wymuszonym na duchu ludzkim, wbrew jego instynktom życiowym, czemś, co się staje przez śmierć, przez zaprzeczenie życia. W każdym razie bez rozdarcia, bez rozdzielania pierwiastków bytu i rozbicia jego jedności, nic tu w duszy ludzkiej istotnego nie zachodzi. Albo świat i życie, wówczas trzeba wyrzec się „królestwa niebieskiego“, zbawienia, Boga; albo zbawienie, które wymaga wyrzeczenia się ziemi, ciała, płci itp. Żadnego przymierza, zharmonizowania powyższych pierwiastków tu się nie dokonywa. Przymierze pomiędzy nimi może nastąpić tylko wewnątrz nas, ponieważ, w tym przypadku, warunków na to w duszy niema—zachodzi zasadnicze ich przeciwstawienie. Dusza zmuszona jest wybierać, opowiedzieć się za czemś jednym.

¹⁾ Autor pracy: „Poszukujący Boga“. (Zarysy współczesnych poszukiwań i nastrojów religijnych). Tomów dwa. Moskwa. 1911 r.

Gdy się opowie za Bogiem—dokonywa gwałtu na życiu, gdy za życiem—wypiera z siebie Boga, gwałci w sobie istotę religijną. Wszelkie próby złagodzenia przeciwieństw, które były dokonywane ostatnimi czasy w obrębie staroobrzędowości bądź sekciarstwa, albo usuwały z ich wyznania zasadnicze zagadnienia religijne, wytwarzając dość niezgrabne systematy moralno-społeczne, najczęściej oparte na wzorach zachodnich, albo rozbiły się odrazu o niewzruszony mur tradycji, o upór wyznawców, trzymających się bezwładnie „prawdziwej“, starej wiary. Staroobrzędowy biskup, Michał, niegdyś archimandryta prawosławny, głosi wśród swoich zasady nowej „ziemskiej“ wiary, która, zachowując obrzędy i dogmaty starej, zmierza do moralnego zjednoczenia ludzi na gruncie wspólnych interesów socjalnych i etycznych.

Jest to t. zw. „swobodne chrześcijaństwo“. Oto niektóre jego przykazania: „Nie spoglądaj zbyt na niebo: patrz — obok dla siostry twojej stawiają nowy dom publiczny“. „Zniszcz złe przykazanie o świętości trudu, dlatego że praca jest to grzech i występki: niewolnicza i podła usposabia ona duszę do alkoholu i rozpusty“. To samo mówi się tu o miłosierdziu i cierpliwości, które to cnoty są przedstawione jako wynik kompromisu nędznego „burzua“ z Bogiem. Wreszcie „swobodne chrześcijaństwo“ naucza: „pamiętaj, że chrześcijaństwo może być tylko instytucją społeczną. Chrześcijaństwo osobistego zbawienia — jest to kłamliwy wymysł tych, którzy w imię Chrystusa stworzyli niewolnictwo. Wstrzymaj się ze zbawieniem duszy własnej: należy ona do innych, zbawiając ją—popelniasz kradzież“ (p. Pankratow „Poszukujący Boga“. Tom 1-szy, str. 125).

Jak widzimy, „ziemska“ wiara biskupa Michała, dość radykalnie usiłuje zbliżyć ludzi do świata, dokonywa wszakże tego środkami raczej świeckimi, niż religijnymi, odsuwając na stronę to wszystko, co stanowi istotę wszelkiej religijności, co dla dusz religijnie nastrojonych ma nietylko największy powab, lecz jest najdonioślejszym faktem ich świadomości (sprawa zbawienia osobistego itp.). Takie „swobodne chrześcijaństwo“ jest sztucznym połączeniem „starej“ wiary (obrzędów i dogmatów) z „nową“, która opiera się na popularnych zasadach rewolucyjno-społecznych ostatniej doby i dość ubogim racjonalizmie, co wszystko razem jaknajmniej odpowiada religijnym przeżyciom i tęsknotom ludu rosyjskiego, poszukującego poza wyznaniem panującym zadowolenia swych potrzeb duchowych. To też propaganda biskupa Michała nie znalazła szerszego oddźwięku wśród mas ludowych. Są i inne rodzaje „swobodnego chrześcijaństwa“, które zupełnie zry-

wają z wszelkimi formami „starej“ religijności, wcale nie zaprzętają się zagadnieniami, trapiącemi od wieków człowieka religijnego, nie zajmują się metafizyką chrześcijaństwa i występują w postaci świeckiej nauki moralnej. Wyznawcy np. „moskiewskiego swobodnego chrześcijaństwa“ w ten sposób powiadają: „Nie mamy czasu zajmować się pytaniem, czy Bóg jest, czy go niema, czy Chrystus był Bogiem, czy człowiekiem? Chodzi nam tylko o to, żeby żyć po — Bożemu, i w życiu takim spoczywa cała nasza religia“ (p. Pankratow „Poszukujący Boga“. Tom 1-szy). Zasadniczą i jedynie obowiązującą stroną nauki tego „swobodnego chrześcijaństwa“ jest oparty na miłości bliźniego, stosunek do otoczenia. Zły stosunek do bliźnich, podług tego wyznania, nie da się niczem usprawiedliwić. Jeśli spotykamy ludzi—głoszą jego wyznawcy—którzy żywią względem innych uczucia nienawiści, to w większości wypadków nie oni są winni, lecz te ujemne warunki, wśród których wyrosli. Zmiana złych warunków na lepsze, zależy całkowicie od samych ludzi. Stosunek wyznawców do Ewangelii jest czysto taktyczny: powołują się na jej powagę wobec tych, dla których jest ona źródłem ich religijnego poglądu na świat, sami zaś, za najwyższy sprawdzian słuszności swego postępowania, przyjmują własne poczucie wewnętrzne.

„Obrzędami i sakramentami naszymi—powiadają—jest pomoc bliźnim. Nasze uczucie religijne wywołuje się i rozwija przez odczuwanie piękności świata zewnętrznego, oraz duchowych objawów człowieka. Dni świątecznych nie mamy, albo raczej dla nas istnieje codzienne święto, które stworzyliśmy sobie naszym pogodnym i jasnym stosunkiem do życia“.

Jest jeszcze jedna odmiana „swobodnego chrześcijaństwa“ (założyciel—Tregubow) podobna do „moskiewskiego“, którego zasadą jest: „miłość bez przymusu“. Członkowie tej gminy wyznają: „Celem naszym jest urzeczywistnianie w życiu, podług sił naszych, wyznawanej przez nas nauki Jezusa Chrystusa, której istotą jest miłość Boga do ludzi i ludzi do Boga, oraz miłość pomiędzy sobą, niedopuszczająca gwałtu; pozatem duchowa i cielesna czystość, zgodność z sumieniem, miłość prawdy, życzliwość, wszechprzebaczenie, łagodność, swoboda, równość, braterstwo, praca i życie gromadzkie, na wzór staro-chrześcijańskiej gminy“ (p. Pankratow).

Wszystkie te rodzaje „swobodnego chrześcijaństwa“ są dość niezwykłym zjawiskiem na tle sekciarsko-religijnego życia rosyjskiego, między innemi dlatego, że wychodzą z błędnego koła właściwych mu zagadnień, rozszerzających świadomość religijną sek-

ciarzy. Niezwykłość ta wszakże zmniejsza się wobec faktu, że nie są to samoistne wytwory życia religijnego ludu rosyjskiego, lecz rzeczy przychodzące z zewnątrz, wzorowane na naukach: „menonitów“, „kwaków“, „názareńczyków“ itp. rodzajach racjonalistycznego sekciarstwa zachodniego. Dodać przytem trzeba, że tu, ów „jasny i pogodny stosunek do życia“ — tak przeciwny zresztą przeżyciom religijnym samorzutnego sekciarstwa rosyjskiego—osiągnięty został kosztem najbardziej zasadniczych wierzeń i tęsknot religijnego życia rosyjskiego, przez zupełne zrzeczenie się rozstrzygnięcia palących jego kwestyi. Niema tu żadnych tajemnic, niema pociągających, aczkolwiek dręczących ducha, zagadek, niema piekła „grzechu“ ziemskiego, ale też niema obietnicy „królestwa niebieskiego“, niema nakazów i obowiązków koniecznych, bez których niemożliwe jest zbawienie, wszystko tu bowiem opiera się na sumieniu, na poczuciu indywidualnem i rozplywa się w ewangelizmie, dość mglistym i ziemskim gdy chodzi o metafizykę i etykę. Słusznie też wyraził się ktoś z wyznawców „moskiewskiego swobodnego chrześcijaństwa“, że należałoby ich raczej nazywać „swobodnymi ludźmi“. Wyznania te bowiem schodzą właściwie z gruntu religijnego, wychodzą poza wszelką pozytywną religijność, są zupełnie świeckimi systematami, mającymi na względzie urządzenie życia ludzkiego na zasadach wzajemnej miłości, pomocy bliżniemu, zmiany niekorzystnych warunków społecznych itp. Wszystko tu staje na poziomie ziemskim, na nim ma się urzeczywistniać „królestwo Boże“, na nim wytwarzać świętość, boskość itp. Są to sprawy jaknajmniej jeszcze przemawiające do psychiki i pojęć religijnych ludu rosyjskiego, to też nie garnie się on do tych nauk i woli trwać w swoich „błędach“ sekciarstwa mniej zmodernizowanego, albo w prawowierności i formalizmie staroobrzędowym. Wyznanie np. „bezpopców“, wśród grup staroobrzędowych, ma najwięcej zwolenników, a o niem powiada, badacz tych stosunków, A. Pankratow, że skrzepło zupełnie w czczym formalizmie i polega na zewnętrznych „poszukiwaniach“ religijnych.

Prócz zmodernizowanego, uświecczonego sekciarstwa i prawowierności staroobrzędowej, są jeszcze pośrednie wytwory, te jednak również na powodzenie liczyć nie mogą, są bowiem bardzo indywidualną mieszaniną oczywistych bredni sekciarskich i poglądów nowożytnych, która potrzebom religijnym szerszych mas, żyjących tradycjami sekciarstwa historycznego, bądź wyznania panującego, odpowiedzieć nie może.

Jest np. sekta „adwentystów“, na której czele stoi petersburski pułkownik Van-Bejningen, która oczekuje drugiego przyścia na ziemię Jezusa Chrystusa i to w określonym czasie, mianowicie... w 1932 r. Przyjście Chrystusa, jak naucza pułkownik Van-Bejningen, zostanie poprzedzone szeregiem zdarzeń wszechświatowego znaczenia, jak np.: powrót Żydów do Palestyny (1912—1913 r.), upadek papiestwa (1922 — 23 r.), wzniesienie nowej świątyni w Jerozolimie (1925—26 r.) itp. Wszystkie te wypadki już były przepowiedziane przez Pismo święte. Jak wiadomo, podług niego, Antychryst poprzedzi przyjście Chrystusa, Jest wielu Antychrystów, największym wszakże był... papież Pius IX, dlatego, że ogłosił dogmat nieomyłności. Księgi prorocze wszystko przepowiedziały — nawet Dumę państwową itp. Adwentyści nie uznają w człowieku duszy takiej, jaką przyjmuje prawosławie. Dusza, podług nich, jestto tylko sens życia, żadnym więc karom piekieł podlegać nie może. Po śmierci człowiek nie umiera, lecz zasypia do drugiego przyścia. Już z tego można się przekonać, ile różnorodnych pierwiastków z rozmaitych epok pozbiierał adwentyzm, ile w nim jest bredni z przeszłości i sztuczności współczesnej, i na jak niskim poziomie duchowym wszystko to stoi. Dodać trzeba, że nieliczne gminy adwentystów zostały zalegalizowane. Do osobliwości obrzędowej adwentyzmu zaliczyć trzeba pieśni religijne, na które się składają utwory o charakterze religijnym nowożytnych poetów rosyjskich: Puszkina, Chomiakowa, Nikitina, Mereżkowskiego itp.

Poszukiwania religijne ożywiły się znacznie wśród ludu rosyjskiego w czasie rewolucyi, wzmógł się ruch sekciarski, wogóle poruszyły się dusze, żyjące tradycyjnem utęsknieniem do „królestwa Bożego“, wyczekujące spełnienia się przepowiedni Pisma Świętego, proroków, ludzi świętych. Na tle tych oczekiwań zaczęły powstawać nowe wyznania, nowe wiary, czerpiące swą treść ze źródeł tradycyi oraz ze źródeł życia bieżącego, w którym dominowało hasło zmiany, reformy całości bytu w państwie. Życie religijne weszło w łożysko ogólnego życia polityczno-społecznego: religia spłotła się z polityką, polityka nosiła charakter religijny, wszyscy bowiem wówczas poszukiwali swego Boga, religia—przybrała pozór rewolucyjny, protestowała bowiem narówni ze świeckimi czynnikami życia, mówiła ze zdwojonym zapałem i nadzieją o swobodzie, równości, braterstwie. Ożywienia i urozmaicenia było niemało w dziedzinie religijnej; zaognił się odwieczny zatarg staroobrzędowości z wyznaniem panującym, nie doprowadził wszakże do odnowienia, kostniejących w formalizmie zewnętrz-

nym, w pedantyzmie i scholastycznych rozróżnieniach książkowych, wyznań staroobrzędowych. Sekciarstwo rozgałęziło się jeszcze bardziej, natworzyło mnóstwo „wiar“ o charakterze wręcz świeckim, społecznym, jak np. wspomniane wyżej rodzaje „swobodnego chrześcijaństwa“, niby się pogłębiło i wyzwoliło z więzów wszelkich zewnętrżności, właściwie jednak w znacznej swojej większości pozostało tem samem, czem było niegdyś. Najprzód dlatego, że dokonywane w łonie jego próby odnowy, nie w istocie nowego nie przynosiły (etyka „swobodnego chrześcijaństwa“ np. nie mogła wcale zaimponować nauce religijno-moralnej „duchoborców“, „mołokan“ itp. sekt), następnie, że wprowadzone tam żywyły nowożytnych pojęć religijnych, odsuwały na drugi plan, bądź zupełnie rugowały te pierwiastki religijne, które najwięcej mają uroku w oczach szerszych mas i bez których niepodobna oddziaływać na ich wyobraźnię oraz świadomość religijną. Słowem, najbardziej żarliwe i niezależne poszukiwania religijne, nie dały tu wyników zadawalających, nie doprowadziły do takiej syntezy, do takiej formuły, któraby dogadzała religijnym popędom, pojęciom, uczuciom i działaniom ludu rosyjskiego, usiłującego bez pomocy wskazówek i nakazów kościoła urzędowego, wejść na drogę wiodącą do zbawienia, do „królestwa niebieskiego“. Z powyższych poszukiwań można również wyciągnąć wniosek, że w składzie dusz rosyjskich brak pierwiastku, umożliwiającego prawdziwie płodną twórczość w zakresie religijnym. Znamienną bowiem jest rzeczą, że jak tylko jakieś wyznanie, ta lub inna „wiera“ przenosiła punkt ciężkości wewnątrz duszy ludzkiej, uduchowiała życie religijne, to nie znajdowała żywszego oddźwięku w masach ludowych, a przytem sama schodziła ze stanowiska prawdziwie religijnego, stawała się świecką doktryną o życiu „sprawiedliwym“, o miłości bez przymusu itp., stawała się wyznaniem o charakterze praktycznym, życiowym — nie sięgającym w sferę niepoznawalnego, nie rozstrzygającym najbardziej dokuczliwych zagadnień bytu. A ku nin wciąż się zwraca, tułająca się na drogach wiodących do „królestwa Bożego“, dusza ludu rosyjskiego, w błędne koło tych zagadnień jest męczeńsko wpleciona, napróżno wyczekując w życiu owego „codziennego święta“—którem go obdarza ta lub inna „wiera“ „ziemska“, właśnie dlatego, że ziemska niedająca mu tego, czego pragnie, nie rozstrzygająca mu zasadniczego pytania: jak żyć „po-bożemu“, by dostąpić zbawienia. Czy gdy się biedzi nad temi zagadnieniami w obrębie sekciarstwa, czy też gdy się niepokoi niemi, pozostając w formalnej zgodzie z wyznaniem panującym, nie wyrzeka się lud rosyj-

ski nadziei, że kiedyś natrafi na prawdziwą drogę, prowadzącą do „grodu sprawiedliwego“, do „królestwa Bożego“, że gdzieś jest człowiek taki, człowiek święty, który zna tę drogę, zna prawdę życia, że słowem gdzieś i ktoś potrafi odpowiedzieć na pytanie, którego sens tajemniczy, mistyczny wciąż go gnębi i nieustannie pociąga. I dlatego to, tyle zewnętrznego ruchu w poszukiwaniach religijnych ludu rosyjskiego, tyle tułaczkiej bezdomności, oglądania się niecierpliwego na strony, rozterki straszliwej i ponurego stosunku do życia w jego dążeniach i czynnościach duchowych. Wewnątrz ducha swego zagadnień religijnych nie rozstrzyga zadawalająco dla siebie, rwie się więc wciąż na zewnątrz, w przestrzeń ziemską, bądź zaświatową, mglistą, nieokreśloną, fantastyczną. Do świata, do ziemi nie chce się zbliżać, gdyż tu panuje „grzech“, chyba tylko ofiarą życia dający się odkupić; ale i do Boga właściwie się nie zbliża, chociaż wciąż dąży ku niemu, dlatego że w świadomość jego z trudem wszczepia się przeświadczenie, iż „królestwo Boże jest wewnątrz nas“. Więc wciąż się tuła na rozmaitych drogach, wiecznie poszukuje na zewnątrz Boga i świętości, uwodzi się byle nadzieją, idzie na byle światełko. A. Pankratow (p. „Poszukujący Boga“) opowiada, jak niegdys na Włodze, na parostatku, spotkał pielgrzyma, który się przed nim użalał: „Gdziem już nie był—mówił—obszedłem, zdaje się, wszystkie klasztory, byłem w Jerozolimie i na górze Athos, w Starodubie i u staroobrzędowców, jakich sekt niewidziałem, z jakimi ludźmi nierozmawiałem, — i nigdzie nie znalazłem sprawiedliwego, Bożego życia. Nie żyją ludzie, lecz kołaczą się“. Inny znów, należący do sekty „nieśmiertelników“, jeździł do Mezopotamii i Indyi, żeby odszukać „ludzi wiecznych“. Podług tych sekciarzy Chrystus, św. Jan i inni święci żyją dotychczas. Ale gdzie?—w tem pytanie. Skądciś przyjdzie myśl do głowy: „może w górach Indyi?“ — więc iść trzeba tam, gdzie pędzi nadzieja. Idą, nie znajdują, powracają zawiedzeni i smutni, gotowi jednak do nowych wędrówek, nowych poszukiwań. Tak, kilkadziesiąt lat temu, poszukiwali „starcy“ staroobrzędowców biskupów „starożytnego prawosławia“, którym pragnęli złożyć władzę nad sobą. Przewędrowali cały Wschód azyatycki, prawie wszyscy w drodze pomarli, biskupów, oczywiście, nieodz szukali.

Powstanie jakaś nowa sekta—idą tam, a nuż okaże się „prawdziwą“; posłyszają o jakimś „bożym“ człowieku—śpieszą do niego: może powie coś „nowego“ o prawdzie życia, o życiu Bożem“.

I bardzo rzadko, wśród takiego nieustannego tułania się po świecie przez życie całe, trafny instynkt im podszeptnie, że „kró-

lestwo niebieskie“, którego poszukują za siódmą górą i za siódmą rzeką, jest znacznie bliżej, tuż koło nich, w nich. Zdarza się jednak i to, ale jest to udziałem wyjątkowych jednostek, jak np. owi „chłopi sprostaczeni“, którzy są przekonani, że prostotą życia można stworzyć sobie „królestwo niebieskie na ziemi“; (p. Pankratow, tom 2-gi), albo nielicznych sekt (np. Nowy-Izrael, niektórzy ze „swobodnego chrześcijaństwa“ itp.), propagujących życie „podług sumienia“, dążących przede wszystkim do podniesienia poziomu moralnego swoich wyznawców, do celów wręcz praktycznych. Ale to wszystko, skoro staje się rzeczą prostą, ziemską—traci polot religijny, a z nim i urok wobec szerszych mas. Te więc wędrują wciąż, tułają się wciąż w duchu z głęboko wszczepionem wewnątrz przekonaniem, że jak się nie jest „z Bogiem przeciw światu“, to się jest „ze światem przeciw Bogu“. Stoją tedy na wiecznym rozdrożu, żyją nieuleczalnym rozdarciem duszy, która, zgodnie z własnymi intuicjami życia Bożego i w harmonii z tem, co mówią ludzie święci, w swoich poszukiwaniach Boga przeżywa uczucia, doznaje stanów duchowych, których wyrazem pojęciowym mogą być następujące twierdzenia: „Świat jest dziedziną *innego*, tj. księcia wieku tego. Nie uwolniwszy się od świata, dusza nie może kochać Boga. Nie można zupełnie wyrzec się świata, pozostając w świecie. Żeby uczuć światło Chrystusowe, trzeba oderwać się od przedmiotów widomych, nie mieć w sobie żadnych zmysłowych wyobrażeń, schować się jakby w sercu ziemi. Trzeba na wszystko stać się martwym. Innej drogi niema“. (O. Serafim). I w istocie, dla tych, którzy tułacze swojej chcą kres położyć, co biorą rzeczy na seryo i pragną się ustalić,—nie pozostaje innej drogi. Tylko oni nie bawią się w przenośnie, żyją pomimo wszystko zmysłowymi wyobrażeniami, gdy więc postanowią uwolnić się od świata, to nie tylko chowają się „jakby“ w sercu ziemi, lecz, jak to widzieliśmy wyżej, potrafią na dobre w niej się zagrzebać.

W przenośnie bawią się gdzieindziej, mianowicie wśród inteligencji, w tych jej sferach, które są oddane zagadnieniom religijnym, pragną wogóle odnowić świadomość religijną społeczeństwa własnego. W tych sferach, oczywiście, nie zachodzą wypadki zakopywania się żywcem, wchodzenia w „serce ziemi“, celem osiągnięcia „królestwa niebieskiego“. Tu, głównie, rozprawiają na powyższy temat, niekiedy—starają się dopasować życie własne do ewangelicznego ideału, urządzić je także „podług sumienia“, zgodnie z „poczuciem wewnętrznym“ tego, co jest prawdą Bożą, światłem Chrystusowem.

Tu również rzadkie jednostki miały należyłą intuicję życia podobnego i urzeczywistniały jego ideał, w sposób świadczący o tem, że w duchu ich dokonało się swobodnie, bez gwałtu, przy mierze pomiędzy niebem i ziemią, światem i Bogiem.

Zresztą ogół był rozdarty powyższą fatalną przeciwstawnością, udręczał się, bez końca i bez wyjścia, jej rozstrzyganiem. Nie będą tu opowiadał dziejów Lwa Tolstoja i „tolstoizmu“, gdyż są one dobrze znane. Wyznawcy tej postaci świeckiego ewangelizmu—i sam jego inicjator — nie umieli wyjść z zasadniczych antynomii religijności duszy rosyjskiej, i o ile doktryną „tolstoizmu“ przejęci byli na seryo, nie dla mody, dławili się w matni tych wszelkich sprzeczności, jakimi ich oplątywała. Ten ruch wydał parę tylko jednostek z inteligencji—księcia D. Chłkowa, A. Bodiańskiego, którzy zresztą na wielu punktach rozchodzili się z Tolstojem—o których można powiedzieć, że mieli naturalny dar ducha, sprzyjający urzeczywistnianiu ideału ewangelicznego. Umieli oni wyrzec się dóbr ziemskich, słowem „być z Bogiem“, nie będąc „przeciw światu“, przeciw życiu. Potrafili słowem, nietylko na zewnątrz, lecz i w duchu swoim, uczynić jedność z tego, co w świadomości religijnej rosyjskiej występuje, tradycyjnie, w rozdzieleniu. Ale, powtarzam, są to nieliczne wyjątki. Poruszyła się w okresie rewolucyjnym i inteligencja „poszukująca Boga“, dużo nawet rozprawiała w tym czasie o konieczności dokonania już nie „reformacyi“ w łonie wyznania panującego, lecz całkowitej „rewolucyi“, z tych wszakże rozpraw, dążeń i działań, niewiele wynikło rzeczy realnych, prócz, rzecz jasna, paru tuzinów studyów i książek, odnoszących się do przedmiotu, kilku głośnych zatargów z władzą kościelną, jak np. znanego duchownego, Pietrowa, wreszcie założenia „Towarzystwa religijno-filozoficznego“, w którym uświadamiano się na punkcie palących zagadnień religijnych, ale skuteczniej o wiele różniono się z ich powodu. W towarzystwie wspomnianem zgromadziło się sporo jednostek, należących niewątpliwie do wyboru inteligencji rosyjskiej; wśród czynnych członków jego byli, bądź są, tacy utalentowani pisarze, jak: D. Mereżkowski, W. Rozanow, Filosofov, Bierdiajew i w. innych. Uczestników zebrań „Towarzystwa religijno-filozoficznego“, wogóle tych z inteligencji, którzy są oddani świeckiej religijności, wszelkim nowożytnym ewangelizmom, nazywają popularnie: „bogoposzukiwaczami“ („bogoiskatieli“). Niezmiernie trafna to nazwa, w której dźwięczy jednakże, jakby wyrok wydany przez losy na tych, co jej używają.

W istocie, czy może być coś bardziej bezpłodnego, jak profesjonalne poszukiwanie tego, czego niepodobna inaczej odszukać, jak tylko wówczas, gdy się to ma ze sobą, nosi się w sobie. Skoro się ma, więc pocóż poszukiwanie? Właśnie dlatego, że to, o co chodzi, nie jest w posiadaniu tego rodzaju profesjonalistów, że oni nie doznają bezpośrednich intuicji Boga, nie mają w duszach daru wyczuwania go wewnątrz siebie, że ich świadomość religijna nie syntetyzuje, lecz rozszczepia, kopie wciąż przepaść pomiędzy żywiołami ziemskimi i niebieskimi, pomimo najgorętszej potrzeby pojednania ich. Dość przejrzyć rozprawy, pisma tych, niekiedy bardzo wybitnych umysłów i dusz głęboko religijnością przejętych, żeby się przekonać, że i o nich można to samo powiedzieć, co i o masach ludowych, że w świadomość ich nie weszła, albo wchodzi nie tak, jak się należy, zasada ewangeliczna: „Królestwo Boże jest wewnątrz nas“. Praca ich myśli, częstokroć świetna, świadcząca o żywości potrzeb duchowych, prowadzi najczęściej do jednakowych, co i tam, wyników, do przeciwstawienia świata—Bogu, ziemi—niebu, ciała—duchowi. Pod tym względem „poszukiwacze Boga“ z inteligencji, przedłużają, w najlepszej wierze, wysiłki „poszukiwaczy Boga“—z ludu.

Kto wie, czy ci ostatni, nie na lepszej stoją drodze, czy nie prawdziwsze mają intuicje „prawdy Bożej“, „światła Chrystusowego“—od pierwszych.

WŁ. JABLONOWSKI.

W kopalni złota na Syberyi.

III.

Po kilkudniowej wycieczce nad Wandady, wracamy do centralnego posterunku kopalni, nad rzeczkę Jenaszymo.

Osiadam w przeznaczonem mi już poprzednio mieszkaniu, na oddziale dolnym (niżnij stan), gdzie mieszka wspólnie ze mną 3-ch jeszcze kolegów pracy. Mieszkanie nasze stanowi niewielki domek, tak zwany 5-cio ścienny, tj. mający oprócz 4-ch ścian zewnętrznych, 5-tą środkową, dzielącą go na 2 nierówne części. Mniejszy przedział, od wejścia, przeznaczony jest na kuchnię i pomieszczenie osobistej służby, większy my zajmujemy. Ponieważ żywności i obsługi dostarcza nam Kompania, przeto do niej należy troska, ażebyśmy byli obsłużeni i syci; a że znów pracownik chory jest ciężarem dla przedsiębiorstwa, a wątki nie podoła pracy, zarząd kopalni dba więc o to, ażebyśmy mieli posiłek dostateczny i zdrowy. Organizuje więc gospodarstwo nasze domowe w ten sposób, że daje nam specjalną kucharkę, która wybiera z magazynu wyznaczony dla nas prowiant surowy w naturze i prowadzi całe gospodarstwo naszej gromadki. Herbatę i cukier dostajemy osobiście, wprost z magazynu, po 1½ funta herbaty i po 4 funty cukru miesięcznie na osobę.

IV.

Mróz ścina jeszcze ziemię, a lód pokrywa rzeki. Wiosna jednak za pasem, i dopóki śnieg na drogach nie rozmięknie, wszelkie transporty prowiantów, narzędzi i innych zapasów, oraz trans-

port ludzi i koni, musi być ukończony. Przybywają więc coraz nowe tabory naładowanych sani; przychodzą i robotnicy.

Przyjrzyjmy się tym setkom ludzi, z którymi przez następne miesiące wspólnie pracować będziemy.

Główny ich kontyngens—to ludzie bezdomni, przeważnie zesłani na osiedlenie przestępcy i zbrodniarze niższej kategorii — złodzieje, oszuści itp., lub dawni katorżnicy, t. j. zabójcy i podpalacze, którzy odbywszy określone wyrokami lata ciężkich robót, dostali się następnie na dożywotnie osiedlenie w Syberyi. Są wszakże między nimi i wolni włościanie, którzy czy to skutkiem pijaństwa, czy skutkiem nieszczęścia, podupadli zupełnie i nie mają z czego żyć. Pomimo bowiem, że zarobki w kopalniach są dobrą i nęcącą, nikt, kto nie jest zmuszony do tego koniecznością, nie kwapi się na nie, bo wie, że praca tutejsza jest ciężka,—w mowie potocznej nazywana „wolną katorgą“. Pewny jednak, i znaczniejszy niż gdzieindziej zarobek, sprowadza tu jeszcze różnych ludzi wykołejonych, nie mających się czego chwycić, a chcących rozpocząć nowy, spokojniejszy żywot, i w zarobku tym szukających materialnej podstawy do rozpoczęcia nowego życia. Na ogół przecież są to desperaci, nie mający nic, lub bardzo niewiele do stracenia, żyjący dniem dzisiejszym jedynie; pracują z musu i pod przymusem tylko, ażeby zapracowany grosz przy pierwszej sposobności przepić i przehulać w wesołej kompanii.

Robotnik zwykły w kopalni zarabia w czasie lata, w ciągu 5–6 miesięcy, około 200, czasem 300 rubli. Na siebie niewiele wydać z tego potrzebuje, bo jest na stole kompanii — chyba na buty i odzież. Przynosi więc do domu 100 — 200 i więcej rubli. Ale najczęściej przehula je w ciągu dni kilku po powrocie do najbliższego miasta, i znów jest bez grosza. To też około Bożego Narodzenia, gdy większość robotników nie ma już środków do życia, zjawiają się werbownicy — z zadatkami. Rozumie się, robotnicy owi jeden przed drugim biegną po te zadatki. Otrzymują je bez trudności, przyczem podpisują kontrakty z przedstawicielem przedsiębiorstwa; wiarogodność tych umów poświadczają miejscowe urzędy gminne, czy miejskie. Zjednane przez przedsiębiorstwa władze miejscowe, czuwają nad tem, ażeby skontraktowany robotnik nie wziął zadatku gdzieindziej jeszcze, i żeby do kopalni na czas się stawił,—i prowadzą odpowiednią co do tego kontrolę.

Bywa często, że skontraktowany przepił nie tylko zadatek, ale i odzież własną. Czas transportu do kopalni nadchodzi, na

świecie mróz jeszcze, a on prawie nagi. Więc zarząd kopalni musi własnym kosztem odziać go na drogę i odziewać w czasie trwania robót w kopalniach, słono obliczając koszt tego przyodziewku. Rozumie się, że zarobek robotnika przy ostatecznym rachunku zredukuje się do jakiejś reszty zaledwie, przyniesie do domu niewiele, i chociażby wstrzymał się na ten raz od hulanek, nie długo ma żyć z czego. Znow więc łaknie zadatku, a nierzadko i przyodziewku, i tym sposobem pozostaje ciągle w zależności od kopalni, pozostaje wiecznie jakby w zaklętym kole zobowiązań i musu. Nie przyczynia się to wcale do podniesienia go, do zrobienia go chętnym i życzliwym pracownikiem.

A praca jest rzeczywiście ciężka i nużąca. Mamy już drugą połowę marca — dzień więc, wraz ze świtem i szarżyzną wieczorną, około 13 godzin. Wstawać jednak trzeba o 3-ej i zanim dzień nastanie, przy świetle brzożowego łuczywa kuć zmarznątą ziemię; wykuć tyle, ażeby wyznaczoną ilość ziemi tak zwany „urok“ do wieczora odwalić i wywieść. Spracowany w dniu wczorajszym robotnik, ukończywszy roboty około 10-ej wieczorem, nie wypoczął dostatecznie,—oczy kleją mu się do snu jeszcze,—ale nic nie pomoże; wyganiają go z koszar, stawiają w szeregi, i odpowiednio do dyspozycyi, wydanej przez dyrektora kopalni, rozdzielają ludzi pomiędzy kilku dozorców, którym te lub owe roboty wykonywać polecono.

Około godziny 6-tej zrana następuje półgodzinny wypoczynek—i śniadanie,—gorąca herbata i chleb; w południe odpoczynek jednogodzinny i obiad, złożony z dwóch potraw na mięsie i z mięsem; około 5-ej wieczorem znow półgodzinny wypoczynek i podwieczorek, — gorąca herbata. Odjąwszy więc te 2 godziny wypoczynków, robotnik pracuje w ciągu dnia 16 godzin. Dozorca jego pracuje często i dłużej, bo po skończeniu robót musi jeszcze sporządzić sprawozdanie, a nadto odmierzyć roboty na dzień następny, ażeby robotnicy, przyprowadzeni na miejsce wyznaczonej roboty, nie czekali na wymiar „uroku“ dziennego i nie tracili drogiego czasu na oczekiwanie, o co już oni sami upomnieć się potrafią.

Świąt—prócz Wielkiejnocy—nie obchodzą w kopalniach wcale. Niedziela jest takim samym dniem pracy, jak i dnie powszednie. Nie ma więc ani czasu, ani sposobności na krytyki, sądy i narady. Znużony pracą, rad każdy dorwać się do pośłania i w tej chwili zasypia.

Naród rosyjski ma w swej naturze wielkie uznanie dla siły, i poszanowanie dla władzy, która jest jakby wcieleniem tej siły.

Przedstawicielem jej żywym w kopalni jest—*kozak*. Mundur kozacki imponuje masom; słysząc o wielkiej odpowiedzialności za opór, lub bodaj nieposłuszeństwo przedstawicielowi władzy, odzianemu w mundur wojskowy, lud ten kornie schyla czoła przed rozporządzeniami, których stróżem jest ów unundurowany reprezentant rządu. Ta wrodzona karność narodowa, utrzymuje tu porządek, jakiegoby przy tem zbiorowisku różnych szumowin społecznych i wszelakich desperatów, gdzieindziej osiągnąć nie było można. A przytem kozak jest na żołdzie zarządu kopalni; wie on nadto, że zarząd ma sposoby zjednania sobie bezpośredniej jego zwierzchności; że niezadowolenie zarządu z niego, może spowodować skargę na niego do tejeż jego władzy i odbić się na nim dotkliwie. Stara się więc przedewszystkiem zadowolić życzenie dyrektora kopalni, jest jego najpilniejszym sługą i wykonywa ślepo wszelkie jego żądania, bez roztrząsania czy słuszne są, czy niesłuszne.

W stosunkach tamecznych jest to zresztą nieuniknione. Bądź co bądź, dyrektor kopalni, wybrany przez jej właścicieli na to stanowisko, jest człowiekiem zaufania, człowiekiem, który uczciwością, taktem i inteligencją wyróżnia się wśród personelu pracowników; a w tych dzikich okolicach musi on posiadać odpowiedzialną powagę, ażeby utrzymać ład i porządek, ażeby wszelkie zajścia, jakieby wyniknąć mogły, na miejscu rozstrzygać. Jeden bowiem, jedyny urzędnik policyjny na cały okręg górniczy, obejmujący około 100,000 wiorst kwadratowych (z prawami równającymi się niemal prawom kapitana okrętowego), nie byłby inaczej w stanie dać przedsiębiorstwu należytej opieki i obrony, w razie jakiegokolwiek napadu czy buntu.

Tu miałem sposobność ponownego stwierdzenia, jak wielkie w duszy narodu rosyjskiego jest uznanie dla siły i impozycji. Lekceważący równych, tyran dla słabszych, staje się kornym i karnym wobec tego, który nim pomiata. Nieświadomi jeszcze tej strony charakteru narodowego, przejęci demokratycznymi zasadami równości, chcieliśmy w pracownikach kopalni widzieć i uszanować ludzi, a stąd też pragnęliśmy być ze wszystkimi na stopie koleżeńskiej. Podwładni, spostrzegłszy to, zaczęli nas lekceważyć;—koledzy, dozorca, drwić z naszej naiwności. I dopiero gdy parotygodniowe doświadczenie przekonało, iż rzeczywiście jesteśmy zbyt naiwni, myśląc, że cywilizacyjnymi metodami dojdziemy do celu,—radzi nie radzi musieliśmy chwycić się metody ogólnej, i każde zaniedbanie, nieposłuszeństwo etc. karcić najwstrętniejszemi obelgami, ze skutkiem zawsze pomyślnym.

V.

Kopalnia nasza nosi miano *Nowo-Marińskiej*. Leży ona w dolinie, wijącej się wśród gór, a przerżniętej rzeczką Jenasimo. Długość tej kopalni wynosi około 5 wiorst, szerokość 100 — 200 sążni rosyjskich. Pokład wierzchni jałowy, noszący techniczną nazwę „torfów“, tworzą namuły ziemi, piasku i drobnych kamieni, miejscami górną warstwę pokrywa jeszcze czarnoziem lub rzeczywiste torfy. Dokonane za pomocą szybów badania pokładów wykazały, że warstwa złotonośna leży w głębokości 10—12 stóp pod powierzchnią. Ażeby się do niej dostać, trzeba albo kopać pod ziemią, albo zdjąć tę kilkunastostopową warstwę zwierzchnią, i tym sposobem pokłady złotonośne odsłonić. Tu używają tego drugiego sposobu, który technicznie nazywają „odkrywką“.

Złoto, jakie tu leży, jest pomieszane z ziemią, piaskiem i żwirzem. Ilość jego jest, stosunkowo do innych składników ziemi, tak mała, że ani gołem okiem, ani nawet przez szkło powiększające, dojrzeć go wśród tej ziemi niepodobna. Oddzielić je można tylko za pomocą wody, przez odplukanie. Rozrabiają więc ziemię z wodą na rzadkie błoto i przepuszczają to błoto po równi pochyłej; woda unosi lżejsze cząstki gliny i piasku; większe kamienie odrzuca się rękami lub odpowiednimi przyrządami; na dnie zaś równi pochyłej osiadają cząsteczki złota, które, jako gatunkowo cięższe, opierają się prądowi wody, unoszącemu lżejsze ciała. Do wydobywania więc złota pierwszym warunkiem jest woda.

Ale obecnie mróz ścina wodę, wydobytą na powierzchnię. O większych więc robotach przy odplukiwaniu złota, mowy być jeszcze nie może. Czas jednak nagli, ażeby dokonać robót przygotowawczych, co pozwoliłoby, gdy pora ciepła nadejdzie, zwrócić całą siłę roboczą do eksploatacyi warstw złotonośnych. Trzeba się do nich dokopać. W tym celu należy usunąć wierzchnie warstwy jałowe, i pokłady złotodajne t. zw. „piaski“ odsłonić.

Jeszcze zeszłej jesieni przekopano przez kopalnię kanał, w który zwrócono wody rzeczki Jenaszimo, w nadziei, że w dnie jej, lub pod dnem, znajduje się złoto. Próby, robione w ciągu zimy, przekonały, że się nie mylono. Złoto jest w dnie, na parę stóp pod mułem jałowym. Ale koryto rzeczki kilkanaście zaledwie sążni szerokiej, to dopiero niewielka cząstka doliny, a złoto rozsypane jest przez całą jej szerokość. Poziom doliny i brzegi

rzeczki wznoszą się kilkanaście stóp po nad jej dnem; a te także zdjąć i wywieźć potrzeba, ażeby się dostać do złota. Jest to zadaniem robót przygotowawczych w tej porze. Do nich się więc zabieramy.

Robotnicy przybywają partjami. Rozdzielają ich pomiędzy stacje kopalni. Paruset przybywa na naszą. Cieśle, stanowiący jakby arystokrację robotniczą, trzymają się oddzielnie; podobnie zachowują się inni rzemieślnicy, dla których zarząd przeznacza oddzielne koszary. Nie wybrani do tych zajęć, wszyscy pozostali robotnicy, idą kopać ziemię.

Cieśle nasi przedstawiają teraz jakieś dawne koszary, przywiezione z innego punktu kopalni na nasz punkt, bliżej nowego rozkopu. Inna grupa cieśli stawia rusztowanie pod olbrzymią budowlę; będzie to maszyna do płukania złota; inni jeszcze wyprawiają drzewo na szluzę i wodociągi. Wszystko to przygotować trzeba, zanim wiosna nastąpi; bo gdy ciepło rozpuści śniegi i woda popłynie, wszystkie siły zwrócić się powinny do płukania złota przedewszystkiem.

Na nasz punkt, tak zwany „niżnij stan“ (punkt dolny lub punkt niższy) wyznaczono około 300 robotników do kopania. Na czele robót stoi tu zawiadowca, Wasili Wasilewicz, człowiek około 40-letni, nowogrodzianin ze starego Nowogrodu, przed kilkunastu laty dobrowolnie tu przybyły, dobry, wesół, szczerzy i otwarty Wielkorus, z rasy owych północno-zachodnich Rosyan — blondynów, tak zbliżonych usposobieniem do nas, a tak wyróżniających się od południowo-wschodnich smagłych brunetów, nie tylko rysami barwą (pochodzących z domieszki krwi południowej i wschodniej), ale i charakterem, że niepodobna ich obu uważać za jeden szczerp, za jedną rasę. Ma pod swoją komendą 3 nas dozorców, wszystkich Polaków-zesłańców,—młodzieź z wyższych zakładów naukowych. Jest dla nas jakby starszym bratem, informuje nas chętnie o wszystkim, co wiedzieć powinniśmy, ażeby wywiązać się z zadania, jakie nas czeka.

Ciemno jeszcze; stróż nocny pukaniem w okno budzi nas. Ubieramy się czempredziej i wychodzimy na plac, oświetlony łączywem brzożowem. Stróż nocny oddaje zawiadowcy pakiet — w nim znajduje się dyspozycya robót na naszym punkcie na dzień dzisiejszy, ułożona przez dyrektora kopalni w przeddzień wieczorem, kiedy wszyscy pracownicy kopalni już spali. Z ustawionych w szeregi robotników, wydzielono partje po kilkunastu, lub po kilkudziesięciu ludzi, do wskazanych w dyspozycji robót i oddano pod komendę dozorców. Tu kilkunastu ma rozebrać starą,

jakaś niepotrzebną szluzę i drzewo z niej zwieść na inne miejsce, gdzie cieśle stawiać będą nową szluzę. Partya znów około 60 robotników, oddana pod moją komendę, ma kopać ziemię, a wykopaną odwozić na wyznaczone miejsce.

Kopanie rozpoczynamy od burtów koryta rzeczki. Ponieważ każdy robotnik obowiązany jest wykopać i wywieść pewną oznaczoną ilość kubików ziemi, przeto dozorca, zanim ustawi robotników, powinien wymierzyć kubiczność wyznaczonej dla nich dziennej roboty i oznaczyć wyraźnymi znakami granice wyznaczonej do wykopania ziemi; z powodu jednak, że robotnicy tworzą między sobą grupy po 6, 9 i więcej ludzi, wspólnie sobie pomagających w robocie, trzeba przeto dla każdej takiej grupy wydzielić dział jej oddzielnie. Trzeba wyliczyć kubiki, oznaczyć na gruncie, i robić spieszenie, bo robotnik czeka, a niecierpliwi się, gdy czas traci na czekanie. Dlatego też tylko pierwszego dnia robót obliczenia te i oznaczanie na gruncie, robimy zrana; potem już dokonywamy tego w przeddzień robót, po skończeniu roboty dziennej — codziennie wieczorem, gdy robotnicy pracę ukończą i opuszczają plac robót.

Porządek dzienny pracy jest taki: od chwili wstania, do czasu ukończenia rozdziału ludzi według dyspozycyi („komenderówki“), upływa z górą pół godziny; od 4 do 6 zrana kopanie przy świetle pochodni; o 6 odpoczynek półgodzinny i śniadanie z gorącej herbaty i chleba; o 11-ej obiad z półtora godzinnym wypoczynkiem; o 4 popołudniu znów półgodzinny wypoczynek i herbata, a po ukończeniu roboty, wieczorem—wieczera mięsna, podobnie jak obiad. Pożywienie posilne; ale że wydziałową robotę niejeden kończy dopiero o 10-ej wieczorem, pozostaje przeto na sen mało czasu, i to jest jedną z najcięższych dolegliwości życia pracowników kopalni. Człowiek wprost upada ze znużenia. Ażeby nie zasnąć na posterunku, nie może ani stanąć, ani tembardziej usiąść, bo powieki machinalnie kleją mu się do snu; następstwa zaś takiego zaśnięcia bardzo nie miłe, bo nie tylko napomnienie ze strony zarządu kopalni, ale jeszcze drwiny ze strony współtowarzyszów i robotników.

Ta kilkonastogodzinna ciągła (bez dni wypoczynkowych) praca, na chłodzie i w wilgoci, wywołuje choroby, z których najpospoliciej spotykamy się tu z febrą, tyfusem i skorbutem. Pierwsze dwie znane są i u nas; o ostatniej zaś wiedzieliśmy tylko ze słyszenia. Tu oglądaliśmy ją zblizka w różnym stopniu natężenia, i tak pospolitą, że corocznie kilkanaście odsetek ludzi ją przechodzi. Rozpoczyna się osłabieniem dziąseł i osady zębów takim,

że zęby zaczynają się ruszać, jak klawisze; skóra blednie, potem żółknie; występują na niej ciemniejsze plamy orzechowej barwy, jak na obitem jabłku; plamy te rozszerzają się, a w miarę postępu choroby, chory traci siły, nogi puchną, nie może nie tylko chodzić, ale nawet stanąć. Pod wiosną szpital zapelnia się tymi chorymi.

W początku choroby pewna troskliwość o chorego i wypoczynek parotygodniowy, przywraca chorego do zdrowia. Zaniebdana w początku, jest ciężką i nieraz kończy się śmiercią.

Przyroda tutejsza sprowadzając na ludzi tę ciężką niemoc, dała jednocześnie lek odpowiedni. Jest nim roślina górską, rosnąca tu dziko na pochyłościach wzgórz, o woni assafetydy; skoro tylko śnieg ginie, a słońce wiosenne rozgrzeje nieco powierzchnię, wyrastają prosto z ziemi podłużne listki tej rośliny (przypominające nieco liście piwonii wonnej). Te mają cudowną siłę leczniczą. Kto z chorych doczeka tych liści, jest uratowany najczęściej. Na punkty, gdzie rośnie ta dobroczynna roślina — zwana tu „czeremszą“, wychodzą chorzy; ciężej chorych wywożą tu na saniach i składają na murawie; pozostawiają im posiłek: chleb razowy i kwas — na kilka dni odrazu, i niewiele się już o nich troszczą. Chorzy skubią listki czeremszy i zjadają ją z chlebem, lub samą tylko; niektórzy, bardziej chorzy, po wyjedzeniu kępkę czeremszy nie mogąc przejść na inne miejsce, przetaczają się z boku na bok w drugie, gdzie dostrzegli nową. I po paru tygodniach takiej kuracji, biedni ci, wywiezieni na saniach kalecy, bliżej już śmierci, o własnych siłach wracają do kopalni.

Jak utrzymują bywalcy tutejsi, tylko świeża czeremsza wywołuje te cudowne skutki. Marynowana lub zasolona w mniejszym działa stopniu, jednakże jest używana jako prezerwatywa przeciw skorbutowi, lub w początku choroby.

Zdaje się, że głównym powodem choroby owej, jest brak pokarmu roślinnego. Odżywianie codzienne jest jedno i to samo w ciągu całej kampanii: mięso, z wiosną zamrożone, a gdy tego już niema, lub psuć się zaczyna, solone; do tego kasza lub mąka jedyne; jarzyn świeżych żadnych. Świeży liść czeremszy jest jedynym ich surrogatem.

Pomimo, że my, dozorujący roboty, mniej jesteście narażeni na zamoczenie; pomimo, że odżywiani się lepiej, niż robotnicy, nie uniknęliśmy tej choroby; zęby wszystkie chwiać się nam zaczęły. Uciec się trzeba było do powszechnego lekarstwa, owej czeremszy, którą soloną krajano nam do barszczu, podobnie jak u nas używają do niego łoświny; a chociaż zapach jej wstrętny,

przypominający assafetydę; chociaż po użyciu jej do pokarmu czuje się później jeszcze wstrętą woń w ustach około tygodnia, trzeba było przecież całe dwa tygodnie rozkoszować się taką boćwiną, ażeby usunąć początki skorbutu i zabezpieczyć się od niego nadal. Jakoż wyszliśmy zeń oborną ręką, bo po tych zabiegach objawy choroby ustąpiły.

VI.

Za zbliżaniem się wiosny, ruch w kopalni powiększa się, robotnicy przybywają coraz tłumniej. Zanim drogi psuć się zaczną, wszyscy muszą być na miejscu, gdyż inaczej musieliby czekać aż do lata; po miejscach lesistych przemiękłe, kilkstopowe śniegi, po dolinach wielkie rozlewy wód, wstrzymują wszelką komunikację na kilka tygodni.

Tu słońce już przygrzewa; stoki południowe obnażają się ze śniegów coraz bardziej i wabią oko świeżą zielonością; na stokach północnych śnieg jeszcze leży; tworzy to malowniczy kontrast. Spojrzawszy wzdłuż doliny naszej, idącej w kierunku wschodnio-zachodnim, widzimy obramienie jej, z jednej strony białe jeszcze, z drugiej uśmiechające się zielenią w najrozmaitszych a pięknych odcieniach. Na dnie doliny wody wzbierają nagle, wypełniając wszystkie jej wklęsłości. Nasze rozkopy, doprowadzone do poziomu dawnego dna rzeczki, leżą poniżej poziomu tych mas wodnych, zalewających całą szerokością dolinę. Całe też usiłowania muszą być zwrócone, ażeby się tu woda nie wdarła i nie naniosiła nowych warstw mułu, któryby na nowo kopać i wywozić było potrzeba, a co podniosłoby znacznie koszta eksploatacyi. Wezbrane nadto wody unoszą z sobą pozrywane gdzieś wyżej mosty, deski, belki, i szturmują tem wszystkiem w groble, osłaniające nasze rozkopy.

Czy też oprą się naciskowi? Dozorcy z robotnikami pilnują słabszych punktów grobli, a zarazem wyławiają materiał drzewny, który zawsze jest w kopalni pożądanym. Rozszerzona w tym punkcie dolina daje dostateczne ujście rozlewowi. Nasza kopalnia i nasza praca, ocalały. Ale oto już w sąsiedniej kopalni wody przerwały groblę. Setki robotników i kilkadziesiąt koni, dowożących ziemię do zasypiania wyrwy i zatamowania potężnego napływu wody, nie tylko nie poradziły, ale dowożona tu ziemia i darń spotęgowały jeszcze szkody zamulenia rozkopu, bo

oprócz ziemi, naniesionej z grobli, jeszcze i tą świeżo dowożoną zasulę powierzchni rozkopu.

Patrzac później, w ciągu lata, na spokojne rzeczki tutejsze, trudno sobie wyobrazić, jakie przybierają one rozmiary w czasie roztopów wiosennych. Sążniowe śniegi wzgórz okolicznych i dolin topnieją nagle, a raptownie spływając, napełniają całe doliny pędzącą z szumem wodą; wezbrana woda podnosi lody, a te znów parte jej prądem, burzą mosty, szluzy i wszelkie budowle nadwodne; tramy i belki z zerwanych budowli biją w groble, które przerwane i zmyte, zamulają roboty i wykopy, dokonane przed wiosną. Słowem, czas roztopów wiosennych jest sądnym dniem dla kopalni. Większość pracowników — dzień i noc na nogach; przez dni kilka z rzędu, przeziębli robotnicy, stojąc na pół w wodzie, pilnują zagrożonych punktów i chwytają szczątki zrujnowanych budowli, zmieniając się tylko kolejno; obecność dozorców tem pilniejsza, i tem odpowiedzialniejsza, im większe niebezpieczeństwo.

Nareszcie wody opadły. Wszystko wraca do stanu normalnego. Rzeki i strumyki wracają do swych wązkich łozysk. Teraz przychodzi czas ujęcia tych wód w zbiorniki i rozprowadzenia sztucznymi drewnianymi korytami—według potrzeby.

Z pomocą więc grobli podnosimy wody na kilka, lub kilkanaście stóp powyżej zwykłego ich poziomu. Przez szluzy, zbudowane z mocnych bali sosnowych, wprowadzamy te wody do wodociągów. Są to olbrzymie koryta z bali, szerokości od 1 — 3 sążni, głębokie do pół sążnia, a długości—według potrzeby, czasem paro i kilko-wiorstowej, ustawione na kozłach drewnianych i doprowadzone do płóczkarni, czyli jak ją tu nazywają „maszynę“, oraz na koła wodne, wprowadzające w ruch pompy.

Pompy te są to najczęściej czworoboczne rury drewniane; mocne pasy bez końca, przeprowadzone przez tę czworokątną, zbitą z mocnych bali rurę, mają także łapy—czerpaki, przymocowane do pasa i te ciągną w górę wodę, która wylewa się na zewnątrz rury, ustawionej pochyło, końcem jej górnym. W języku tutejszym nazywają te pompy „wodokaczką“.

Te już funkcyonują. Płóczki jeszcze nie wykończone, więc wstrzymuję się jeszcze od ich opisanie. Powiem tylko, że wszystkie te budowle wykonywują prości cieśle, chłopi nadwołzańscy, tak zwani „niżegorodcy“, bez wskazówek inżynierów, których tu wcale nie spotykamy; a do wyceniania poziomu gruntu nie używają innego narzędzia niwelacyjnego, tylko zwykłą grundwagę ciesielską. Ów „niwielir“, którym mię częstował dyrektor ko-

palni, chociaż jest w magazynie, nikt się nim nie posługuje, a zarząd kopalni jest tego zdania, że wszelkie tego rodzaju „instrumenty“ są potrzebne jedynie dla geometrów.

Dozorując kopania ziemi i jej wywożenia. Próby—t. j. przeonywanie ziemi, odbywają się coraz częściej, gdyż według wskazówek, jakie dało badanie gruntu za pomocą szybów, złoto powinno być już blisko kopanej warstwy. Bierzemy więc raz po raz po kilka łopat ziemi od każdego robotnika i probujemy na płóczkach ręcznych, czy już się dokopaliśmy do warstwy złoto-nośnej.

Płóczka ręczna czyli „waszgirt“ jest to rodzaj wielkiej szuflady, lub wielkiej stolnicy, zrobionej z grubych, dobrze zheblowanych desek, mająca szerokości 3—4 stóp, a 8—10 stóp długości, otoczona z trzech stron kilkocalowemi ściankami i ustawiona nieco pochyło, w ten sposób, że brzeg bez ścianki jest zwrócony ku dołowi. W brzegu górnym umieszczona deseczka reguluje prąd wody, puszczonej na ową stolnicę, tak, że woda spływa po jej dnie wszędzie równo i płasko. Ustawwszy płóczkę, wyrzucamy na pomost kilka łopat wykopanej ziemi i ręcznym rozgartaczem (przypominającym nasze wiejskie kociuby do wygarniania węgla z pieca chlebowego) rozgartujemy ją płasko w górnej części dna płóczki. Woda prądem swoim chwyta zaraz drobniejsze i lżejsze gatunkowo cząstki tej ziemi i unosi ze sobą; opierają się jej większe kawałki gładów i kwarców, drobne cząsteczki żelaza, a przedewszystkiem złoto, jako gatunkowo najcięższe, rozumie się o tyle, o ile pochyłość dna jest należycie unormowaną. Gdy muł nieco się oczyści, odgartujemy większe kamienie rozgartaczem, i po kilkorazowym powtórzeniu tej manipulacji, pozostają na pomoście jedynie te ciała mineralne, których woda nie uniosła jeszcze, mianowicie: drobne cząsteczki żelaza, wyglądające jak opiłki żelazne, drobne kamyczki granatu, pomiędzy nimi zaś błyszczą żółtym matowym blaskiem płaskie okruszyny złota, podobne kształtem do plewy z łuskanych jagieł, a czyniące wrażenie grubych opiłek mosiężnych.

Ażeby je oddzielić od otaczających je cząstek żelaza i kamienia, wzmacnia się teraz prąd wody; przy odpowiedniem poruszeniu osadzonych cząstek małą linijką, woda unosi jeszcze opiłki i kamyki, gdy tymczasem złoto opiera się i teraz prądowi wody i pozostaje na dnie pomostu. Wtedy tamujemy wodę, zmiatamy samo złoto odmyte, zbieramy je na płaską łyżkę żelazną, przez ogrzanie nad płomieniem, odparowujemy przyłgniętą do cząsteczek złota wodę, zsypujemy do opieczętowanych puszek blaszak-

nych, i w puszkach odwozimy do głównego kantoru kopalni. Tu je ważą, rejestrują i zsypują do odpowiedniej, mocno okutej skrzyni, gdzie pozostaje aż do czasu transportu.

Są to przecież dopiero próby, bo jeszcze nie dosięgliśmy właściwych pokładów złotonośnych. To też nie zawsze jeszcze udaje się odmyć jakieś cząsteczki złota. Widocznem jest przecież, że się do nich zbliżamy, bo od czasu do czasu ukaże się na płócznie jakaś jego odrobinka.

Tymczasem wykończają płóczkę mechaniczną. Jest to kilkopiętrowa budowla drewniana, na której szczycie ustawiono wielki zbiornik wodny, do którego spływa woda, sprowadzona tu paruwiorstowym (z bali sosnowych) wodociągiem. Woda, spadając ze zbiornika, obraca olbrzymie koło wodne, które służyć ma jako motor dla właściwych narzędzi płóczki, mianowicie beczek żelaznych.

Beczki owe są to olbrzymie bezdenki, ukute z grubych o małych okrągłych otworach płyt żelaznych, zinocowanych ze sobą silnemi nitami; puszczone w ruch, obracają się one dokoła swych osi, ułożonych poziomo. Oś ich główna ma stóp kilkanaście długości, średnica o połowę krótsza, rozszerza się ku wylotowi, co nadaje owym bezdenkom kształt olbrzymiego naparstka krawieckiego (otwartego z obu końców). Poniżej beczek układają teraz szerokie pomosty; szczelne, szerokością swą odpowiadające długości beczek, o blisko 2 razy dłuższej, od nich równi pochyłej tych pomostów, nieco spadzistej, o spadku przecież łagodnym, nie dochodzącym 30° nachylenia. Po nad tem wszystkim szeroki most, prowadzący z kopalni na wierzch budowli, dokąd dowożą kopaną ziemię i zrzucają do beczek.

Dostajemy się wreszcie do pokładu złotonośnego, czyli tak zwanych tu technicznie „piasków“. Jest to pokład szarego łupku, uwarstwionego ukośnie w cienkie tabliczki; szpary zaś pomiędzy temi tabliczkami wypełnia ilt, pomięszany z piaskiem gruboziarnistym. Robotnicy rąbią ten łupek oskardami, i utworzony w ten sposób gruz, dostaje się na płóczkę, na tak zwaną „maszynę“. Na oko obecności złota w tej warstwie dostrzedz trudno; bo chociaż się znajduje, co sprawdzono za pomocą przemywania próbnego, cząsteczki jego przecież są tak oblepione mułem, że trudno by się nawet domyślić tu czego innego, prócz iltu i żwiru. Rozpoczyna się więc przemywanie złota.

Z chwilą rozpoczęcia tej roboty zostałem odkomenderowany „na maszynę“; obowiązkiem moim było dozorować przemywania złota. Za kolegę dostałem współtowarzysza wygnania, barona

Ryka (Rick) z Inflant. Było to pochlebne dla nas obu wyróżnieniem, bo dowodem zaufania ze strony zwierzchności kopalni. Nadto służba nasza w kopalniach stawała się przez to lżejsza, że pozwalała na dłuższy sen i wypoczynek, niż przy dozowaniu kopania ziemi. Zanim bowiem maszynę w ruch puszczono, musieli robotnicy kopalniani nakopać wprzód ziemi, a zanim jęli się do kopania, dozocy ich musieli ich rozdzielić na grupy i powyznaczać odpowiednie działki do kopania, co czyniło, że na ogół zaczynaliśmy robotę na maszynie o godzinę niemal później, niż koledzy nasi w rozkopie.

Na płótcze mechanicznej—owej „maszynie“ manipulacja roboty jest następująca: Ziemię i kamienie warstwy złotonośnej, dowożą dwukołowe wózki na górny pomost budowli i zsypują do otworów (koszów), przez które dostaje się cały ten materiał do wnętrza beczki, o której wspominałem powyżej. Beczka obraca się na swej osi, poziomo umieszczonej, a woda, przeprowadzona węzami, zlewa jej zawartość i zamienia całą masę na rzadkie błoto; ruch beczki i prąd wody sprawiają, że kamienie, ocierając się jedne o drugie, obmywają się do czysta z nalepionego na nie błota, poczem omyte wylatują szerszym końcem beczki, gdy drobne cząsteczki iltu, piasku itp. przechodzą wraz z wodą przez okrągłe otwory ścian beczki i spływają na pochyłe pomosty, umieszczone pod beczką.

Pomosty owe są to wielkie równie pochyłe, szerokością swą zastosowane do rozmiarów długości beczki, a długie na 6—8 sążni, obite z boków burtami, ażeby się po za nie nie rozlewało, lub żeby wszystko błoto przepłynąć musiało wzdłuż pochyłego pomostu. W poprzek pomostu przybite są do dna cienkie szczelby na 1—1½ cala wysokie, które zatrzymują drobniejsze i cięższe gatunkowo stałe cząstki owego błota, gdy lżejszy namuł i błoto spływają.

Gdy ruch maszyny ustaje, t. j. o południu, lub wieczorem, przy końcu każdej roboty dziennej, płótczarze („promywalszczyki“) przystępują do dokładniejszego odmycia złota. Wybierają tedy osadzony po za szczelbami pomostów namuł i przenoszą go na mniejsze warsztaty płótczkowe, t. j. skrzynie 3—4 stóp szerokie, a 6—8 stóp długie, owe znane już nam „waszgirty“. Woda, doprowadzona węzami, spływa po nich płytkim, lecz nieprzerwanym strumieniem. I podobnie, jak podczas przemywania próbnego, przy ciągłym przerabianiu mułu czy żwiru przegarniaczem, woda unosi lżejsze cząstki stałe: piasek, żwir, drobne kamyki itp.;

a gdy pozostaną jedynie, oprócz złota, w pomieszaniu z jego okruchami, opiłki żelazne („szlich“) i najcięższe z kamyków—amarantowe okruchy rubinów, dmąwa się złoto do czysta za pomocą małej linijki-rozgartaczki, przegartując cząsteczki złota ku górze i pozwalając spływać z wodą wszystkiemu innemu. Rozumie się, że pochyłość samego pomostu i siłę prądu wody trzeba uregulować odpowiednio, bo przy zbyt małej pochyłości, woda nie uniesie lżejszych od złota cząstek piasku; gdy zaś prąd będzie za silny, może porwać lżejsze cząsteczki złota. Doświadczenie i wprawa uczą przemysłowca nastawiania waszgirtu i normowania siły prądu wody.

Skoro cząsteczki złota zostają dokładnie oddzielone od ciał obcych, zmiata się je na kawałek żelaznej blachy, a z niej zgartuje do dużej łyżki żelaznej; ponieważ zaś do okruszyn złota przyłgnęła woda, przeto trzeba tę wodę odparować nad ogniem. Gdy złoto jest już suche zupełnie zsypuje się je przez mały, zabezpieczony jeszcze woreczkiem, otwór do puszek blaszanej, zamkniętej na kłódkę i opieczętowanej. Dozorca płóczki, wraz z kozakiem, obecnym w każdej kopalni, odwozi puszkę do kantoru kopalni; tam, wobec dyrektora kopalni, buchaltera kantoru, dozorcę płóczki i kozaka, otwierają puszkę, wysypują z niej złoto, odważają, zapisują ilość złożonego złota do ksiąg sznurowych i wszyscy obecni podpisują, poczem, odważone, podobnie jak przy próbach, i zapisane złoto, zsypują do skrzyni, gdzie przebywa aż do czasu odesłania go do Jenisejska. Formalności te zabezpieczają poniekąd przedsiębiorców kopalni od kradzieży złota przez podwładnych, a zarazem zabezpieczają skarb państwa (mający monopol kupna wydobytego złota) od nadużyć, t. j. od sprzedaży złota osobom postronnym i ułatwiają mu kontrolę eksploatacji kopalni.

Dozorca płóczki ma obowiązek baczenia, ażeby płóczkarze dokładnie oddzielili złoto od innych, towarzyszących mu ciał, jak kwarc, żelazo itp.; ma pilnować, ażeby złoto nie odpywało z wodą (a są tak drobne jego pyłki, że je woda, źle uregulowana, unosi); wreszcie strzedz, ażeby płóczkarze złota nie kradli. Przez cały więc czas przemylwania ręcznego, dozorca musi wyteżać wzrok, patrzeć pilnie na ręce płóczkarzy, śledzić każdy ruch tych rąk, bo skorzystają z każdej chwili i każdy większy kawałek złota wyłowią dla siebie. Jak zaś są w tem rzemiośle wydoskonaleni i jakie mają sposoby chwytania i ukrycia, niech służy wypadek, jakiego byłem świadkiem.

Na naszej płóczkarni było 5 płóczkarzy, których dozorowało nas dwóch: Ryk i ja. Obaj pilnowaliśmy sumiennie, ale mając na oczach 5 par rąk, musieliśmy z konieczności zwracać oczy na więcej rąk, niż jedne. Zdarzało się (bo nie zawsze można się było upilnować), że na jednej z płóczek ręcznych, wśród drobnych okrucichów złota, zajaśniała błyszcząca „samorodka“, t. j. kawałek czyścącego złota, wielkości i kształtu małej fasoli. Uprzedzony o zręczności i przebiegłości płóczkarzy, nie spuszczałem z niej oka, gdy naraz znika z płóczkarni, niby cudem, bo ani nie uniosła jej woda, ani płóczkarz rąk od płóczki nie podnosił i nie mógł jej podjąć. Co się więc stało? Rzucam się na płóczkarza, rewiduję kieszenie, ręce, odzież, obuwie, wreszcie usta, uszy i włosy. Nigdzie nie ma. Płóczkarz wmawia we mnie, że samorodka żadnego nie było, że to chyba złudzenie wzroku, i wmawia tak przekonywająco, że w końcu sam zaczynam wątpić, azali nie było to wistocie przywidzeniem.

Trudno! — W roku następnym dopiero wyszło na jaw, że zręcznym ruchem palców pstryknął ją sobie do ust, trzymał zrazu pod językiem, a kiedy się wzięłem do rewizyi połknął. Takie połykanie kawałków złota nie należy tu do osobliwości; płóczkarz wie bowiem, że w tem schowaniu nikt złota nie wykryje, a w czasie odpowiednim znajdzie się ono — jak połknięta pestka wiśni,—byle się tylko dopilnować!

Łakomy widocznie przedmiot—owo złoto, skoro nawet groźba ciężkiej kary za kradzież złota—bo roboty przymusowe—nie wstrzymują robotnika od występku. Czatują na owo złoto ukryci w lasach szynkarze, którzy wiedzą, że łaknący wódki robotnik odda grudkę złota za jej kieliszek; pewni są przytem, że ów robotnik dochowa tajemnicy i nie wyda kryjówki szynkarza nikomu, prócz wtajemniczonym i pewnym towarzyszom pracy.

Że robotnicy kradną złoto, o tem wiedzą wszyscy; że przedsiębiorcy zabezpieczają się od tej kradzieży wszelkimi sposobami, jest też powszechnie wiadomem. Ale nie wszyscy zapewne wiedzą, że sami przedsiębiorcy kradną własne złoto u siebie samych. Żeby zrozumieć tę pozorną zagadkę, trzeba się wtajemniczyć w sposoby i manipulacje tej gałęzi przemysłu. Z tego powodu będzie tu na miejscu parę słów wyjaśnienia.

Skarb, dając przywilej na eksploatację kopalni, stawia warunek, że wszystko złoto, dobyte z kopalni, ma być odsyłane do mennicy rządowej dla przerobienia na monetę, za które to przerobienie, oraz za patronat nad przedsiębiorstwem, liczy sobie wy-

sokie odsetki. W czasie, gdy działały się opisywane tu zdarzenia, rząd płacił przedsiębiorcom, jak mnie zapewniano, niewiele więcej nad 300 rubli za funt złota (podobno około rubli 3 kop. 50 za zołotnik = $\frac{1}{96}$ funta) w przecięciu, zależnie od próby, t. j. czystości złota lub przymieszki doń obcych metalów. Tymczasem, toż samo złoto miało wartość handlową znacznie wyższą, a czatujący nań wszędzie kontrabandziści chińscy, chętnie płacili do 5 rubli za zołotnik. Wobec tej różnicy cen, nic dziwnego, że ten i ów wolał sprzedać złoto Chińczykom niż własnemu rządowi. Patryotyzm sybirski ofiar takich dla własnego państwa nie uznaje. Ale w wielkiej kopalni, z licznym personelem urzędników i oficjalistów, przy skombinowanej manipulacji rachunkowej i kontroli, trudno ukryć przed władzami skarbowymi jakąś choćby cząstkę добыtego w nich złota; chyba jakieś odrobiny z próbek, добыtych czy to w szybach, czy przy odkryciu pokładu złotodajnego, na co większe i szanujące się Spółki łakomić się nie będą, nie chcąc się kompromitować; służbistość bowiem podwładnych rzadko kiedy posuwa się do takiego oddania się chlebobdawcy, ażeby chcieli ryzykować los swój cały dla niego; gdyby nawet zdarzył się taki, który w nadziei wielkiego zysku zechciałby zaryzykować wspólnie z chlebobdawcą, kazałby sobie niezawodnie za to zapłacić tak drogo, że zyski przedsiębiorcy zeszyłyby do rozniarów, niezachęcających do tej niebezpiecznej spekulacji. Natomiast jest tu niemało kopalni drobnych, gdzie pryncypał, kierownik, buchalter i dozorca płóczki, wszyscy razem w jednej osobie; tam nawet stróża-kozaka nie ma stałego; któż w takich warunkach przedsiębiorcę skontroluje? kto będzie wiedział, ile rzeczywiście złota wydobył z ziemi, a ile skarbowi oddał? Otóż, jak twierdzą świadomi sprawy, pomiędzy takimi poszukiwaczami największa kontrabanda się odbywa. Oddając, dla pozorów, jakąś część добыtego złota skarbowi, resztę, jaką przed kontrolą rządową ukryli, a często i od podobnych im kontrabandzistów: robotników i złodziei zakupili, niepodejrzewani przez nikogo, wiozą je dalej jeszcze na wschód i tam z zyskiem wielkim zbywają Chińczykom. Mniemanie też powszechnie oświadczało się za tem, ażeby eksploatacya kopalni złota była powierzana jedynie firmom poważniejszym, i odpowiedzialnym, co poniekąd zapobiegłoby ukrywaniu złota przed skarbem; ale z drugiej strony zmniejszenie konkurencyi w kopalniach mogłoby się odbić niekorzystnie na liczbie przedsiębiorstw, a przez to samo na ilości добыwanego corocznie złota. Sądzę też, że skuteczniejszym środkiem byłoby płacenie przez skarb wyższych cen nad te, jakie ustala za добыte z kopalni złoto;

cen bliższych rzeczywistej wartości złota. Konkurencya chińska znacznieby wtedy zmalała, a skarb powiększyłyby ilość swego złota.

*

*

*

Władzę cywilną i wojskową w kopalniach piastuje urzędnik t. zw. „gornyj isprawnik“, z władzą blizką władzy kapitana na okręcie. Subordynacya wojskowa panuje tu we wszystkich stosunkach; władza czuwa nad tem, ażeby zachowaną była również w stosunkach robotników względem ich chlebobawców, lub zastępców tychże; inaczej trudno byłoby tu utrzymać w posłuszeństwie i rygorze lud z najgorszych warstw rekrutowany, rekrutowany przeważnie z jednostek, nie mających nic do stracenia. Jedynie obawa, ażeby nie byli odesłani „do isprawnika“, uśmierza zapędy duchów niespokojnych do burd i gwałtów.

Pieczę nad duszami ludności w kopalniach ma paru duchownych prawosławnych, ludzi familijnych, którzy żyjąc w sferze miejscowej arystokracji górniczej, nabrali nieco poloru towarzyskiego i postępowych przekonań. Dobrze im się dzieje, bo podarki, składane im przez możniejsze przedsiębiorstwa, stanowią same przez się znaczne dochody. Ponadto posiadają oni podobno własne kopalnie złota, co nie idzie w parze z ewangeliczną przypowieścią o ptaszkach i liliach polnych. Obszerny teren parafii, zmusza ich do objeżdżania kopalni, rozrzuconych wśród gór tej krainy; że zaś w czasie lata, kiedy napływ ludności jest tu największy, dróg kołowych pomiędzy kopalniami nie ma, przejeżdżają więc od jednej do drugiej konno, wioząc na sobie, lub przytroczone do siodła, utensylia cerkiewne.

W każdym okręgu górniczym znajduje się obowiązkowo lekarz, jeden na parę setek wiorst kwadratowych krainy górzystej, poprzegradzanej nieprzebytymi górami i skałami. Nie trudno stąd wywnioskować, jaką nieść może on pomoc chorym. To też zajęcia jego ograniczają się raczej do inspekcji sanitarnej szpitali, które ma każda kopalnia oddzielna, i felczerów, stanowiących jedyny personel lekarski. Pod opieką felczerów tylko pozostają chorzy i szpitale dla nich. Pomoc lekarska jest w nich bezpłatna, gdyż koszta szpitalne ponosi przedsiębiorca. Za naszej

bytności stosunki te poprawiły się o tyle, że wielu lekarzy nasyżych, zesłanych za udział w ruchu 1863 r., pełniło tu obowiązki felczerów po kopalniach; kontyngens ich powiększało jeszcze grono młodych medyków, którzy zaskoczeni wypadkami, nie zdążyli ukończyć kursów, lub skończywszy je, złożył egzaminu przed wywiezieniem na wschód daleki.

Brak lekarzy w tym kraju, wobec zamożności klas posiadających, sprawia, że ci lekarze, którzy tam osiadają, dorabiają się wkrótce znacznej fortuny. Jeden z nich dr. O. z Litwy, zrobił w lat kilka krociowy majątek. Ale zachciało mu się wtedy powiększyć jeszcze szybciej ten majątek, na innej drodze: rzucił zajęcie lekarskie, nabył kopalnię złota. Nie poszczęściło mu się jednak, bo nie tylko stracił tu całe swoje mienie, ale jeszcze zabrnął w długi i szamotał się w nich, pracując jedynie dla wierzycieli.

Trzeba bowiem wiedzieć, że eksploatacja złota, jakkolwiek zazwyczaj bardzo zyskowna, jest przedsiębiorstwem ryzykownem, które można porównać do gry w loteryę na wielką skalę. W ciągu kilku miesięcy letnich przedsiębiorca kopalni może zarobić tysiąc na sto, lub też dziewięćdziesiąt na sto—stracić bezpowrotnie. Zależy to nietylko od trafności wyboru terenu kopalni, ale także i od szczęścia. Zazwyczaj złoto znajduje się tu rozsypane równomiernie po całej dolinie, w głębokości kilku lub kilkunastu stóp pod powierzchnią, i o jego ilości także, t. j. o głębokości złotodajnego pokładu, oraz o obfitości w nim złota, przekonać się można za pomocą szybów; jestto orientacja trafna, na którą się zwykle liczy przy rozpoczynaniu eksploatacji. Tymczasem bywają wypadki, że po zdjęciu warstwy wierzchniej, jałowej, co kosztowało dziesiątki tysięcy rubli, okazuje się, że z warstwy złotonośnej całe niemal złoto zostało zniesione do kilku zagłębień tej warstwy i ułożyło się, jakby w miseczkach, gniazdami, rozrzuconemi tu i owdzie, pośród jałowego niemal, leżącego dokoła nich pokładu ziemi. Jeżeli szyby wypadły na te gniazda przeważnie i podług nich obliczano rezultaty, zawód był nieunikniony. Jeżeli natomiast wśród pokładu złotodajnego, znajdują się nieoczekiwanie gniazda złotego kruszczu jeszcze bogatsze, niż to wykazało badanie, lub jeżeli oprócz okruchów złota znajdują się jeszcze liczne „samorodki“, t. j. całe kawały złota (nierozkruszonego jeszcze), zyski spodziewane powiększają się znakomicie. Jako przykład ostatniego tego wypadku przytoczę, że kopalnie pp. R., kierowane szczęśliwą ręką p. Rabcewicza (wygnańca o lat dwadzieścia parę wcześniejszego od nas) przy koszcie eksploa-

tacy w r. 1867, wynoszącym około 50,000 rubli, dały złota za pół miliona rubli.

Te nieprawdopodobne niemal, szalone zyski, pobudzają wielu śmielszych mieszkańców Syberyi do ryzykownych przedsiębiorstw; wielkie zaś ryzyka z drugiej strony, sprzyjają rozwieleniu się strasznej, niepojętej gdzieindziej lichwy. W nadziei wielkich zarobków, niejeden ryzykant bierze 4-miesięczną pożyczkę na 25% miesięcznie, w przekonaniu, że zysk jego pokryje ten koszt, a drugie tyle wpłynie mu jeszcze do kieszeni. Obaj stawiają na loteryę niwy. Wierzyciel wie, że to interes ryzykowny; przewiduje, że ten, który wszystko straci, długu nie odda; więc może znajdują się szczęśliwsi, którzy zapłacą i za niego — w postaci nadmiernego procentu. Stosunki układają się zgodnie, procesa z tego powodu należą do wyjątków; częściej się zdarza, że ci sami aferzyści, którzy wierzycielności swe stracili u zbankrutowanego przedsiębiorcy, darzą go dalszym kredytem, dając mu możność odbicia się w latach następnych. Przykładu tego pozazdrościłoby tylko można, tam zwłaszcza, gdzie wierzyciele polują na upadek dłużnika, ażeby łupami powiększyć—dorywczo—własne korzyści. Nie zawsze i tu przecież tak idealne panują stosunki. Znaczna część spółek, zawiązanych dla eksploatacyi kopalni, zadłużoną jest haniebnie; gdy popłacą ciężary, dobrze jeszcze, jeżeli same otrzymają jakąś dywidendę; niekiedy muszą do kosztów tych dołożyć.

VII.

W środku lata, w czasie najgorętszych robót w kopalni, przyjechali oczekiwani przez przedsiębiorców i upragnieni miernicy rządowi, dla odmierzenia i wydzielenia spółce Grigorowych nowych złotodajnych terytoryów. Terytorya te były rozrzucone, przy odległości kilkudziesięciu wiorst jedno od drugiego. Dla zmierzenia tych gruntów, musieli oni, t. j. miernik (t. zw. „otwodczyk“) i jego pomocnik, odbywać uciążliwe przejazdy i tracić na nie czas; że zaś oprócz terytoryów Spółki Grigorowa, mieli jeszcze wiele innych do odmierzenia, przeto nie obiecywali naszemu pryncypałowi dokonania w ciągu tego lata wszystkich żądanych przezeń rozgraniczeń. Na wielkie jego nalegania zgodzili się, ale pod warunkiem, że da im pomoc przy robocie planów, odmierzonych przez nich placów.

I znów dyrektor kopalni upatrzył mnie, jakby urodzonego niby rysownika do kreślenia planów. Zawezwano mnie pewnego dnia z płóczki, zaznajomiono z miernikami i polecono porozumieć się z nimi co do zakresu żądanej przez nich pomocy.

Miernikiem urzędowym był p. Taskin, człowiek blisko 50-letni, trochę przyciężki, dobrej tuszy; powagą stanowiska i obecnością na miejscu, autoryzował roboty swego pomocnika. Pomocnik ten, 30—40 letni, w przeciwieństwie do zwierzchnika, szczupły, wysoki, wykonywał pomiary, przecinał linie graniczne, sypał kopce na załankach tych linii i notował długość każdej linii, oraz rozwartość kątów na załankach linii, podczas gdy ciężki pan Taskin pozostawał na punkcie wyjścia roboty. Ponieważ place, obejmujące przyszłe kopalnie, są określane dowolnymi liniami prostymi, tworząc szereg czworoboków wzdłuż doliny, robienie mapy z tych notat jest przeto bardzo łatwym, i nauczanie się tej roboty przyszło mi nietrudno. Podczas gdy miernicy robili pomiary na gruncie, ja z ich notatek wykonywałem planiki wyznaczonych dla kopalni przestrzeni.

To zajęcie, w porównaniu z zajęciami w kopalni i na płóczkarni, było o wiele lżejszem, choćby z tego względu, że nie byłem skrępowanym godzinami roboty, a nawet miałem niekiedy sporo wolnego czasu, bo nie zawsze nadążyli miernicy tyle wymierzyć, ażebym miał nieustającą robotę. Czas ten wolny mogłem zużytkować na rysowanie widoków kopalni z różnych punktów, co później złożyło się na album pamiątkowe.

Lato miało się ku schyłkowi.

Z początku września zaczęły przepadywać deszcze, coraz częściej i po dniach kilku zamieniły się w nieustającą ulewę. Pracujący w kopalniach nie byli w stanie wysuszyć namokłego odzienia, co przy dniach i nocach coraz chłodniejszych, dawało się we znaki. Z deszczem polatuje też śnieg coraz częściej. Spieszą więc wszyscy z ukończeniem kampanii, ażeby wcześniej powrócić na zimowe leże do miast i wsi, zanim śnieg upadnie i zatamuje powrót.

A przebicie się przez świeży i miękki jeszcze śnieg od razu głęboki, kilkustopowej grubości, nie jest łatwym. Jeden z urzędników kopalni opowiadał mi z tego powodu przygodę, której o mało sam nie padł ofiarą. Był on wysłany na poszukiwanie nowych terenów złotonośnych. Zapuścił się daleko za poszukiwaniami temi w puszczy i nie zdążył na czas wybrać się w drogę powrotną, kiedy prawo samo nakazuje przerywać roboty w kopalni i opuszczać tę dziką krainę najdalej w dniu 10 września

(starego stylu). Chcąc skrócić drogę, wybrał się, na czele robotników, na przełaj, do najbliższej zimowli. Tymczasem, gdy byli w drodze, spada śnieg, śnieg podbiegunowy, który w ciągu kilku godzin pokrywa ziemię warstwą na kilka stóp grubą. Brnąc po tym śniegu przez dni kilka, zjadłszy wszystkie wzięte ze sobą zapasy, dostają się do owej stacyi, z myślą, że się tu ogrzeją i posilą. Zgłodniałych i zmęczonych czekał jednak straszny zawód. Zimowle zastał pustą, bo przedsiębiorca stacyi opuścił ją, wraz z ostatnimi, powracającymi z kopalni, przeniósłszy się na czas bezdroża, z całą rodziną i dobytkiem, na stację sąsiednią, ażeby w towarzystwie czas ten weselej przepędzić. Pustka więc zupełna. Szukają jakichkolwiek zapasów, chleba, czy mięsa, nie ma nic zupełnie. Pozostaje albo iść dalej, albo umierać z głodu na miejscu.

Ale jak iść dalej po tym głębokim śniegu, po którym, przy największym wysiłku, nie można przebrnąć więcej nad parę wiorst dziennie, czyli do następnej stacyi trzeba by iść dni kilkanaście, a tu ani zapasów żywności, ani sił na to nie starczy! Śmierć głodowa zagląda wszystkim w oczy. Zrozpaczeni robotnicy mają przekleństwami na zwierchnika, który ich tak długo zatrzymał w kopalni, zwalając winę całego nieszczęścia na niego; z pomruków przeszło do otwartego buntu i odgróźek, odgróźek zemsty; niech własnem życiem on pierwszy zapłaci za śmierć robotników!

„Będąc w tem rozpaczliwem położeniu — opowiadał później przewodniczący temu oddziałowi — spojrzałem w kąć jakiś, mimowoli, jakby mię Bóg natchnął; patrzę stoją łyżwy. Doczekałem nocy i nie nikomu nie mówiąc, gdy wszyscy posnęli, wykradłem się na podwórze z owemi łyżwami, przywiązałem je do nóg i bywajcie zdrowi! W ciągu dnia dotarłem na łyżwach do stacyi następnej, opowiedziałem co zaszło i z zapasami, które ciągnęło za mną dwóch jeszcze parobków, również na łyżwach, wróciłem do owych nieszczęśliwych opuszczonych“.

„Trudno opisać ich radość. Rzucili mi się do nóg“ — opowiada p. Z., nazywając go swym wybawicielem, — a w wylaniu serdeczności wyznali mu zarazem, że postanowili już byli zabić go, jako zadośćuczynienie za ciężką ich dolę i śmierć głodową, którą on im, jak sądzili, zgotował, i że jedynie niespodziana ucieczka uratowała nie tylko jego samego, ale ich wszystkich od śmierci.

Tę opowieść znają tu wszyscy. Nie czekając więc śniegów większych, wszystko, co żyje powraca z kopalni. Jedni, t. j. ro-

botnicy—pieszo, urzędnicy i oficjaliści kopalni—konno (konie i tak wracają na zimową karmę, w stepowe okolice na południe), a matodorzy kopalniani na dwukołowych wózkach, tak zwanych tu „kabryoletach“. Jest to jakby lektyka konna, mająca siedzenie, unieszczone pomiędzy dwoma długimi drążkami, których końce dłuższe tworzą hołoble, a krótsze opierają się o oś jedynej pary kół, nieco z tyłu siedzenia idących, tak, że siedzenie leży zdala od nich, na uginających się drążkach, niby na resorach drewnianych i łagodzi wstrząśnienia po drodze kamienistej, a tembardziej po wyłożonej okrągłakami (co bywa na terenach bagnistych, przecinających drogę).

Cała ta armia robotnicza, którą obliczają tu na 30 tysięcy, posuwa się w kierunku Jenisejska kilkoma szlakami, zależnie od położenia kopalni.

Równocześnie idą transporty wydobytego w czasie kampanii złota, skierowane również wszystkie do Jenisejska. Złoto w kształcie, w jakim zostało wydobyte, to jest w drobnych okrucach, zaszywa się naprzód w małe, pudłowe woreczki skórzane; woreczki te zapakowane w potrójne lub poczwórne opieczętowane sakwy skórzane, owiązane jeszcze w jedną większą skórę, z nią razem przytroczone mocnymi powrozami do dwukołowego wózka (przez oś), zabezpieczone są od uronienia. Wózek każdy zaprzężony w jednego konia; na każdym wózku zaufany woźnica. Transport idzie pod opieką zaufanego oficjalisty kopalni, który jedzie przodem; za nim postępują wózki ze złotem, za nimi z tyłu, drugimi zaufany oficjalista i kozak konno.

Do takiej eskorty zostałem wyznaczony przez dyrektora kopalni.

Ponieważ konie jedne i te same idą do samego miasta, odbywamy więc tę podróż z popasami. Noclegi odbywamy bądź na stacyach (zimowjach), oddalonych jedne od drugich około 30 wiorst, bądź pod gołym niebem. W tym ostatnim wypadku rozpalany ogień, przygotowujemy naprędce odpowiedni posiłek, złożony z herbaty, chleba i mięsa, a wyprężone konie, spętane, chodzą po trawie. Jeden z oficjalistów lub kozak, naprzemian, i jeden z woźniców czuwa noc całą nad tym obozowiskiem.

Robiąc tak codziennie od 30 — 60 wiorst dotarliśmy piątego czy szóstego dnia do Jenisejska. Przewodniczący transportu złożył złoto w kantorze głównym kopalni, według liczby. Nasze zadanie na teraz skończone. Każdy odzyskuje swobodę rozporządzania swym czasem, stosownie do upodobania. Może bądź prze-

żywać zarobek swój letni, bądź zużytkować ten czas przy innym jakim zajęciu, jeżeli szczęśliwie je znajdzie.

Do miasta napływać zaczynają jednocześnie coraz większe tłumy robotników, powracających z kopalni. Biura przedsiębiorców kopalnianych otaczają oni, oczekując kolejnego obrachunku i wypłaty. Setki tysięcy rubli przechodzą w ciągu dni kilku do kieszeni robotników, a od nich wielką, lwią część zabierają szynkarze, domy publiczne i różnego kalibru oszuści. Bywają wypadki, że robotnik, odebrawszy z kasy przedsiębiorstwa 200, czy 300 rubli, przehula je w ciągu dni kilku. A w jaki sposób? Oto np. jakaś „szeroka natura“ częstuje na swój koszt wszystkich obecnych, czy to w szynku, czy w garkuchni i płaci za wszystkich; to podpiwszy sobie, kupuje całe sztuki czerwonego perkalu (zapalu), każe słać je przed sobą na ulicy, niby to, ażeby nie szedł po błocie miejskim i ten materiał wprost w błoto wdeptuje; inny jeszcze płaci za swobodę potłuczenia naczyń z wódką, za wolność połamania mebli, za najęcie muzyki, która towarzysząc mu dzień i noc bądź na ulicy, bądź gdzieś w domu publicznym, gra na koszt takiego melomana, itp. Przez tydzień jeden i drugi, miasto rozbrzmiewa muzyką, ludzie się roją po nim; obrót pieniężny niesłychany. Zarazem żniwo dla rzezimieszków, korzystających z okazji okradania pijanych. Nie obejdzie się i bez zabójstw, dokonywanych gdzieś w zaułkach, lub po za miastem, celem grabieży; w nocy wychodzić niebezpiecznie, tem więcej, że opinia publiczna pomawia policję o udział w morderstwach i grabieżach.

Po paru tygodniach tych bachanalií uspakaja się miasto. Robotnicy opuszczają Jenisejsk, jużto ażeby zarobionym groszem zasilić pozostałą w domu rodzinę, jużto ażeby szukać zarobku zimowego przy młocce, rąbaniu sągów itp. zajęciach. Mniej oględni, przehulawszy wszystko, a z powodu opilstwa trudniej znajdujący zarobek, wyczekują przybycia agentów przedsiębiorców, którzyby poratowali ich zadatkami przy umawianiu na nową kampanię; zanim zaś ci przyjadą, ratują się kredytem u sklepikarzy, zarabiających na tem grube odsetki.

Ponieważ po skończonej kampanii przedsiębiorstwo potrzebuje tylko niewielkiej liczby robotników i oficjalistów, przeto cały kontyngens ich letni, jak to już wspomniałem wyżej, jest na zimę uwalniany i żyć musi z tego, co zarobił w kopalniach w czasie lata. Nie zawsze przecież ten zarobek wystarczy do nowej kampanii, więc i w tych kołach brak środków do życia daje się uczuwać pod koniec zimy. I ci również uciekać się muszą do po-

mocy zadatków; a wzięwszy naprzód, mniej znów otrzymują przy ostatecznym obrachunku jesiennym, i końca z końcem podobnie nie zwiążą. Wytwarza się tym sposobem zaczarowane koło zależności ekonomicznej, ściskające potrzebujących zarobku coraz ciaśniejszą obręczą. Położenie to bez wyjścia wyzyskują nie tyle może sami właściciele kopalni, ile ich pełnomocnicy, współzawodniczący w wykazaniu największych oszczędności i najwyższych czystych dochodów z kopalni (jak np. dyrektorowie fabryczni u nas), i starają się raczej o zredukowanie wynagrodzenia do minimum, niż o zabezpieczenie losu pracowników; sami wynagradzani hojnie, powiększając swe pensye dywidendami od czystego dochodu, pomocników swych skazują na racye głodowe.

Zesłani Polacy powiększyli zastępy poszukujących pracy. Poprzestając na tem, co im ofiarowano, byli pożądanymi przez przedsiębiorców, tem więcej, że acz słabiej wynagradzani, stanowili wśród urzędników i oficyalistów kopalni żywioł uczciwy, trzeźwy i pewny. Przy tych warunkach kierownicy kopalni chętnie dawali im posady; nie pochodziło to jednak ze szczególnej do nas, lub zasad naszych sympatyj, ale raczej z interesu.

*

*

*

Gdy jedni powracali do miasta, niektórzy wybrani, obdarzeni wybitniejszym zmysłem gospodarskim, wysyłani byli z końmi na południe, do okręgu Minusińskiego, graniczącego z Chinami. Tam konie te miały przezimować na paszy, jaką znajdowały pod nogami („na podnożnom kornu“), pod dozorem koniarzy, nad którymi znów miał komendę jeden z oficyalistów kopalni. Że jednak zdarza się niekiedy, że grubo spadły śnieg uniemożliwia dostanie się konia do zaschłej trawy i trzeba go karmić z ręki, przeto cały ten transport koni musi mieć w zapasie siano, a siano to kupić i mądrze gospodarować nim trzeba. Więc wysłany dozorca dostaje pieniądze na owo siano, na opłatę koniuchów, wdzierżawienie pastwisk itp., z czego winien zdać rachunek. Wiedzą tu przecież z góry, że wszelkie rachunki i kwity, acz poświadczone przez władze miejscowe co do autentyczności podpisu, są w znacznej mierze fikcyjne, i godzą się z tem. Sprytny

dozorca zaoszczędza sobie przez zimę jeżeli nie tysiące, to co najmniej setki rubli. Wysłanie też takiego dozorecy jest rodzajem wynagrodzenia za dobrą służbę, czy aktem szczególnej łaski dyrektora kopalni i technicznie nazywa się tu „daniem okazji“, czy „sposobności“ zarobku, t. j. robienia tej oszczędności („służai dajut“). Takie okazyje dawano i Polakom, którzy, zdaniem pełnomocników kopalni, wywiązywali się zawsze z tego zadania najuczciwiej, bo chociaż wśród wygnańców zdarzały się i charaktery mniej godne, to jednakże opinia koleżeńska trzymała ich na wodzy i nie dozwalała im pozwalać sobie zawiele, dbając, ażeby imię polskie było tu szanowane.

*

*

*

Zapyta zapewne czytelnik, co dzieje się dalej ze złotem, wydobytem w tych odległych kopalniach. Zaspakajając słuszną jego ciekawość dodam, że tutejsi przemysłowcy odsyłają takowe w całości do Barnaułu, gdzie się mieści centrum zarządu górniczego całej Syberyi. Przewozi je mąż zaufania, przy eskorcie towarzyszącej mu straży, złożonej z paru kozaków miejscowych. W Jenisejsku tym mężem zaufania był Polak, p. Płochocki (z Białorusi), który corocznie odwoził setki pudów złota, powierzone mu do przewozu przez kilku przedsiębiorców. Gdy ustaliła się sanna, ładowano złotem sanie, na każde z nich sadzano kozaka, a w ostatnie siadał p. Płochocki z jednym kozakiem, lub wybranym przez się służącym i końmi pocztowymi pędząc dniem i nocą, przebywał tysiąc wiorstwą z górą przestrzeń, dzielącą Jenisejsk od Barnaułu, bez wypadku.

Po odebraniu transportu przez urzędników skarbu państwa, złoto poddawane jest próbie, dla obliczenia zanieczyszczeń jego obcemi ciałami i według tego szacowane przez urząd skarbowy. Przeciętną cenę w latach 1860 — 1870, ustanowiono rub. 3 kop. 50 za zołotnik czystego złota, odtrącając odpowiedni procent zanieczyszczenia.

Zanieczyszczenie to bywa bądź z powodu, że w grudki złota wlepione są cząsteczki kwarcu, bądź przez chemiczne połączenia, które sprawiają, że złoto zmienia niekiedy barwę na białą, jak srebro.

Przedsiębiorcy mogą otrzymać wydobyte złoto w postaci imperyałów, za pewnem potrąceniem procentów na rzecz skarbu. Zazwyczaj jednak, nie czekając na wybite tej monety, zadawali się asygnatami, które na całym obszarze Syberyi miały obieg zapewniony, a miały tę wyższość, że nie tylko łatwiejsze były do przewiezienia, ale także, że za ich pośrednictwem rachunki ze skarbem podlegały szybszej likwidacyi. Przy stosunkach, gdzie niierzadkie były wypadki kredytu na 15—25% miesięcznie, nic dziwnego, że wcześniejsza likwidacya nie tylko była cenioną, ale nieraz decydowała o wyborze sposobu likwidacyi.

HENRYK WIERCIEŃSKI.

Z DZIEJÓW POETYCKIEJ PRZYJAŹNI.

Krasiński a Norwid.

V.

„Przez wszystko do mnie przemawiałeś — Panie
Przez ciemność burzy, grom i przez świtanie;
Przez przyjacielską dłoń w zapasach z światem...“¹⁾).

Te słowa własnej „Modlitwy“ mógł sobie śmiało Norwid przypomnieć, gdy po amerykańskiej podróży powitał ląd starej ziemi i „w zapasach z światem“ zwrócił się o pomoc do Krasińskiego. „Trzy są istoty — pisał po długiej przerwie 8 kwietnia 1856 r. do Maryi Trembickiej—które nigdy mię nie raczyły opuścić... pierwsza jest religia, druga jest sztuka, trzecia jest przyjaźń p. Maryi Tr...“ „Wszystko inne i wszyscy inni, *nie wyjmując nikogo i niczego*, zapominali mię tyle razy, ile razy podobało się powodzeniu zapomnieć mię lub mnie zapomnieć powodzenie, co może i równą też ma proporcycę wypadków. Chociaż, na polu koleżeństwa, jest jeszcze jeden poeta, który mi wiernym kolegą pozostawał, ale to inne pole życia i nie w takich położeniach“...²⁾

Nie mamy wprawdzie pewności, czy o Krasińskim myślał Norwid, gdy zdawał w ten sposób sprawę Maryi Trembickiej ze

¹⁾ Modlitwa, wiersz powstały na schyłku r. 1850. Por. Norwida, Pisma zebrane. T. A. s. 311 i 878—9 (Przypisy).

²⁾ Listy do M. Trembickiej... „Chimera“ VIII, s. 384—5.

swoich stosunków do ludzi od wyjazdu do Ameryki i po powrocie z nowego świata; owszem należałoby nawet przypuścić, że słowa te stosował może w myśli do Bohdana Zaleskiego. Możemy jednak odnieść je w zupełności do osoby Krasińskiego, gdy z historycznego punktu widzenia dajemy rys jego stosunków z Norwidem.

Podróż amerykańska Norwida położyła ostateczny kres złamanej przyjaźni z Krasińskim, zerwała ostatnią wątłą nici materialnej z jego strony pomocy. Można sądzić, że zerwanie tej przyjaźni było jednym ze smutnych czynników w życiu Norwida, których suma wywołała w poecie taki stan ducha, „że dla braku ziemi pod stopami poszedł jej poszukać na Zachodzie—zachodu, za oceanem, ufny, że Pan nie uczynił planety za szczupłą rzeczą dla człowieka“.¹⁾

Podobnie jak Zaleski, nie miał i Krasiński przez czas dłuższy żadnej wiadomości, co się z Norwidem dzieje. Nazwisko jego ginie zupełnie z listów Krasińskiego i to nie tylko z listów do Małachowskiego; także w korespondencji z Cieszkowskim o Norwidzie ni wzmianki. Ferment, jaki w listach tych wzbudziła poprzednio osoba Norwida, ucichł zupełnie; z usunięciem się sprawcy, odnosimy pozorne wrażenie, że i pamięć o nim zagięła. I nie może nas to dziwić; Norwida nie było w Europie, jedyną osobą, która miała jakiegokolwiek o nim wiadomości, była Marya Trembicka, Zaleski listów nie otrzymywał żadnych, a zresztą stosunek jego do Krasińskiego był znikomy; nie było człowieka i objawów jego żywotności, umilkły wszelkie o nim echa. A nawet po powrocie z Ameryki odciął się Norwid tak od świata i ludzi, że, chociaż bawił w Europie, nie wiadomo do dziś, gdzie właściwie przebywał od końca r. 1854 do połowy r. 1856. Materiały rękopiśmienne po Zaleskim nie przynoszą żadnych danych do omawianych lat życia Norwida, a najwcześniejszy list do Trembickiej po podróży jest dopiero z kwietnia 1856 r. Pierwszy ślad życia poety, a zarazem pozytywne poniekąd stwierdzenie, kiedy mniej więcej powrócił z Ameryki, znajdujemy w liście Krasińskiego do Cieszkowskiego z 20 grudnia 1854 r. „C. K. N.—pisze Krasiński—odezwał się, prosząc o zapomogę—pytał się i o ciebie, gdzie jesteś. Słowa-m nie odpowiedział, tyłkom posłał zapomogę. Wrócił razem z morza z Marcellim Lubomirskim i u niego mieszka. List był podłodumny jak zwykle“...²⁾

¹⁾ Listy do M. Trembickiej. Chimera VIII. s. 385.

²⁾ Listy do Cieszkowskiego... II. s. 353.

Ze słów tych widać, że żal dojmujący do Norwida był imperatywem uczuciowym Krasińskiego w chwili, gdy Norwid zbiedzony i znękany zwrócił się do niego po podróży z Ameryki, gdzie „znajdował się w położeniach, o jakich romansiści pisują tylko, bo żaden z nich nigdy w takich nie był...”¹⁾ Krasiński, wierny temu, co ongiś pisał do Koźmiana i Cieszkowskiego, wspomógł Norwida materyalnie, lecz nie odezwał się ani słowem. W takich warunkach o odzyciu dawnej przyjaźni nie mogło być mowy.

Podobny stan rzeczy trwał przez rok 1855, 1856 i 1857. Norwid bawił już w Paryżu, pogrążając się w coraz większe odosobnienie, niepewny dnia ni godziny, co się z nim stanie, w ciężkich nad wyraz warunkach życia twórcy polskiego wśród obcych. Rozpoczął się w jego życiu ten okres, który postać jego zasnuwać będzie coraz większą mgłą zapomnienia, zacierać rysy jego duchowego profilu, tworząc typ artysty-odludka, nierozumianego i niedocenianego, a w nim samym utwierdzać przekonanie, że „końcem końców w 33 roku takiego życia skołatany jestem i nareszcie choć dla obcych trzeba zostawić realizację tytu prac, których małe kto z znanych mi rodaków podejmować starał się”. „Tak to było z innymi—i tak ze mną—nieboszczyk Fryderyk Chopin mówił mi to raz: „nie ty pierwszy i nie ty ostatni tak cierpisz.“ — *Nieraz zaprawdę cztery kroki i parę rękawiczek wystarczyłoby mi, aby to wszystko odmienić...!* za co, że nie robię tego, przed Bogiem dziękowałem... Ale kto to oceni — okrom tego, który jest w niebiesiech“...²⁾ Z Francuzów żył tylko z Ary-Schefferem i Pawłem Delaroche.³⁾

W tym jednak czasie, po powrocie z Ameryki, gdy po chwilowym pobycie w Londynie osiadł Norwid znowu około połowy r. 1855 w Paryżu, nastąpiło odnowienie przyjaźni z Cieszkowskim. Już poprzednio, z treści listów Krasińskiego można było odnieść wrażenie, że, chociaż dotknięty nieporozumieniem z Norwidem, Cieszkowski nie potępiał go tak stanowczo i ostro jak Krasiński. Obecnie spotkali się znowu w okolicznościach nam bliżej nieznanych. Od tej chwili stał się Cieszkowski informatorem Krasińskiego o osobie i pracach Norwida;⁴⁾ drugim—jak przypuszczam—

1) Przytoczony powyżej list do Trembickiej z 8 kwietnia 1856 r.

2) Listy do Maryi Trembickiej. I. c. s. 392—3, list z 18 lipca 1856 r.

3) Tamże.

4) Por. Listy do Cieszkowskiego. II. s. 362 i 373.

był Ary-Scheffer. Cieszkowski był również w tych latach pośrednikiem w opiece materyalnej Krasińskiego nad Norwidem. ¹⁾

Z początkiem roku 1857 przyjechał Krasiński do Paryża, gdzie zabawił przez kilka miesięcy, poczem w pierwszych dniach lipca wyjechał do Drezna. ²⁾ Chociaż schorzały na ciele, brał żywy udział w ówczesnych sprawach i wypadkach. Bywał na prelekcjach Klaczki o Mickiewiczu, wiódł artystyczne rozmowy z Ary-Schefferem, konferował z Montalembertem, ks. A. Czartoryskim i Władysławem Zamojskim, miewał tajemne rozmowy z cesarzem Napoleonem. Wówczas też poniósł wielkie straty materyalne przez bankructwo bankiera Thurneyssena. Nie mamy żadnych danych do osądzenia, czy żal do Norwida już w tym czasie przygasł i jakby się był w zetknięciu z nim Krasiński zachował. Norwid jednak wiedział o pobycie Krasińskiego w Paryżu, spodziewał się jego odwiedzin, a gdy te nie nastąpiły, dał wyraz żalowi z tego powodu w liście do Zaleskiego: „Był tu Zygmunt z pół roku—pisał 16 czerwca 1857 r. Norwid—nie widziałem się z nim, był Koźmian Jan, przejeżdżając do Rzymu, niemniej nie raczył zapukać do mnie. Pierwszy płakał na ramieniu mojem, drugi z ś. p. żoną pod oknem więzienia mego przechadzał się. Oto i wszystko“! ³⁾ Ból jakiś przeziera z tych słów, żal za czemś, co było w życiu, a czego niema obecnie. Czujemy, że czas uleczył nieprzyjaźń wywołaną wrażeniem chwili lub podniesionym stanem nerwów, a pozostawił gorycz ducha a może i tęsknotę za słońcem wśród chmurnego widnokregu życia. Że tak było, że to pominięcie—słuszne czy niesłuszne—przez Krasińskiego pogłębiło gorycz poety—to pewne. Bo do tego samego listu dodał Norwid wierszyk drobny, ale pełen piekącego bólu:

„Nim znów ucieknę, nic nie mając zgoła,
 „W podartym płaszczu, o porze zawiei—
 „Od zmienionego w salonik kościoła,
 „Od zamienionej w karcznię epopei,
 „Lub i płaszcz może zostawię—acz bywa,
 „Że kto zostawia i płaszcz, na sąd zwywa...“ ⁴⁾

¹⁾ Wynika to z przytoczonych listów.

²⁾ Mylnie u Krechowieckiego, O Cypryanie Norwidzie. I. s. 227, że Krasiński całą zimę 1856 r. przepędził w Paryżu.

³⁾ Por. Krechowiecki. I. c., I s. 238.

⁴⁾ Tamże.

Jednak obok smutku życia, obok bólu, tęsknoty i piołunowej goryczy, obok poczucia, że stoi wśród ludzi samotny, wyrobiła się w tych czasach u Norwida już pewna rezygnacya ducha, pewna świadomość, że życie jego to pasmo cierpienia. Epoka zmagania ze światem, by siłą swej osobowości zapanować nad stosunkami, w których musiał żyć, minęła bezpowrotnie; niezdolny do uczuć skrajnych, stępiący w dotychczasowych walkach serca i ducha, żył Norwid-samotnik, nędzarz dla świata, zapatrzony zamglonym wzrokiem we własny, uśpiony świat ideałów, który w życiu miał dla niego zawsze tylko snem pozostać. W takich chwilach nie można mówić o pogodzie ducha, tylko o jego rezygnacyi. „Nie mogę w tym miesiącu pisać do siostry — zwracał się w r. 1858 w liście do Karola Krasieńskiego, mieszkającego w Warszawie—ale gdybym śmiał Cię prosić o to, abys raczył ją widzieć, byłoby to dla mnie wielkie dobrodziejstwo, albowiem mało kto może jej o mnie powiedzieć, że daję sobie radę i że ani wrócić nie godzi mi się, ani też prace moje nie są zupełnie bezużyteczne nawet i dla ojczyzny — ktoby jej to powiedzieć miał: to jest, że można wiele braków cierpiąc dla celu pięknego, wiele też znieść—i musiałyby znać się trochę na powołaniu i na walkach od onegoż nierozłącznych“. ¹⁾ A dodawał, że pisuje do niej tylko wtedy, „kiedy może ją w czem pocieszyć“, sam zaś radości życia niema, że spokój jej jest mu drogi, „a wymagać nie może, aby innym zupełnie życiem żyjąc, uspokajała się tem, co jemu tylko wystarcza i jemu tylko jest zrozumiałe“. ²⁾

Mimo jednak ogromnego sceptycyzmu życiowego, który staje się w tych chwilach stałym rysem Norwidowej psyche, mimo filozofii życia i wiary, że rządzi nim jakiś fatalizm — był r. 1858 okresem wzmożonej siły twórczej poety i niósł jaśniejsze przebliski, które mogły nieco pobudzić osłabłą energię życia. Poemat *Quidam*, „praca paroletnia“—jak go nazywał Norwid w liście do Zaleskiego ³⁾—dojrzały zupełnie czekał nabywcy, prelekcye Klaczki o Mickiewiczu obudziły w Norwidzie myśl „posiedzeń o estetyce narodowej za pomocą dwóch arcydzieł dwóch poetów, Słowackiego i Ligenzy“, ⁴⁾ urzeczywistnionych dopiero w r. 1860

1) Por. Dwa listy Norwida. Kuryer lwowski z 18 kwietnia 1908 r., list I. r. 1858.

2) Tamże.

3) C. Norwida, Pisma zebrane... T. A. s. 1064 (Przypisy do poematu „Quidam“).

4) Tamże. s. 1067—8.

w sześciu lekcjach o Jul. Słowackim, rodziła się odpowiedź na rozprawę Klaczkii o sztuce, odpowiedź, na którą zwracał Norwid uwagę Karola Krasińskiego w wspomnianym powyżej liście, że jest to „abrys estetyki, o którym żaden pisarz w żadnej literaturze nie pisał“. Lecz—co najważniejsze—zanosilo się na kompletne wydanie pism Norwida, o którym w drugiej połowie r. 1858 pisał poeta do Trembickiej, że „wydawcy, a następnie i przyjaciele moi zamyślili, po latach blisko dwudziestu rozrzucania pism moich po wszystkich dziennikach ojczystych, zebrać one i wydać“, i prosił równocześnie przyjaciółkę „o poema pisane na oceanie atlantycznym, z pięciu pieśni złożone“ do zamierzonego wydania. ¹⁾ Wydanie to—jak wiadomo—do skutku nie przyszło z przyczyn nam bliżej nieznanych, mimo starań przyjaciół, a głównie Antoniego Zaleskiego. Wszystko to jednak nie potrafiło obudzić Norwida z obojętności i odrętwienia życiowego, nie potrafiło wzniecić gorączki życia, tak znamiennej w ustroju artysty w latach poprzednich. Jakaś beznadziejność i fatalistyczna wiara, oparta na głębokim podkładzie religijnej tkliwości, że życie innym już być nie może, jakaś senność życia i zobojętnienie na to wszystko, co przedtem było w niem radością lub bólem — oto rysunek duszy Norwidowej w tych właśnie chwilach, gdy siła twórczenia stała w słońcu, gdy poeta i malarz doszedł swego zenitu zarówno w opanowaniu artystycznych ideałów, jak też w ich konkretnem wcieleniu. „Biedny jestem — pisał w tym roku 1859 Norwid do Kraszewskiego, który go rok przedtem odwiedził w Paryżu—chory, zmęczony — co do wydawnictwa pism moich już najzupełniejsze, przelewające się aż dopełnieniem prawo mam nic się tem nie zajmować—zrobiłem albowiem wszystko. Was także, Szanowny i Kochany Panie, nie dolegam tem—u nas powiadają, że tak Bóg chce, iż we wszelkie działanie daje się wstęp losowi—otóż i z tem tak samo.“ ²⁾

W takiej chwili życiowej u Norwida, pod koniec r. 1858, a na niewiele tygodni przed śmiercią Krasińskiego, nastąpiło ostatnie, prawdziwie przedśmiertne odżycie przyjaźni poetów. Co

¹⁾ Listy do M. Trembickiej. I. c. s. 416.

²⁾ Pisma zebrane. I. c. s. 1069 (uwaga trzecia); por. nadto dwa współczesne, a—dodajmy—różne zupełnie—świadcstwa, jak się wówczas Norwid przedstawiał; jedno to Kraszewskiego Bogusława, Listy z przed pół wieku, Kraj, 1904. Życie i sztuka nr. 20, s. 10., drugie J. I. Kraszewskiego, Kartki z podróży, 1858—1861. Księga II. Warszawa 1874, s. 316—17, gdzie opisuje swe odwiedziny u Norwida w Paryżu w r. 1858.

ich zbliżyło, gdzie po raz pierwszy wyciągnęli ku sobie pogodzono dłonie—nie wiadomo. Jeszcze z początkiem tego roku piisał Norwid dość twardo do Klaczki, gdy ten zwracał mu uwagę, że może dobrze by było pomówić z Krasińskim w sprawie zamierzonych prelekcji „o dwóch arcydziełach Słowackiego i Ligenzy“, by oświadczył Zygmunutowi „że naprzód pisma Ligenzy nic go osobiście nie obchodzą, ani w niczem nie dotyczą... i że im mniej mówić z sobą będą w tym przedmiocie, tem więcej oń umówili się—a nie pierwszy raz w życiu miał zaszczyt w ten sposób porozumiewać się“... ¹⁾

Krasiński z małą przerwą, gdy wyjeżdżał do Drezna, cały prawie rok 1858 przepędził w Paryżu. Sam zamierający powoli przebolewał nadto w tym roku śmierć ojca; duch jednak żył i rwał się ze znękanego ciała. Do grona najbliższych przyjaciół Zygmunta należał wówczas Klaczko; on niezawodnie powiadamiał Krasińskiego o sprawach życia Norwida, bo Ary-Scheffera już brakło, a Cieszkowskiego w Paryżu nie było. W maju r. 1858 do zbliżenia jeszcze nie przyszło ²⁾; potem nastąpił wyjazd Krasińskiego do Drezna i powrót do Paryża na ostatnie miesiące roku—a powiedzmy—i życia. I wtedy, zapewne w miesiącu listopadzie lub grudniu, zetknęli się ci dwaj ludzie, tak bliscy, a zarazem i dalecy sobie, a rolę pośredniczącą mógł w tem odegrać—jak mniemam—Klaczko. Że przebaczyli sobie zupełnie—to pewne; pierzchły urazy, wróciła pamięć lat dawnych, moment poznania ongiś w Kolizeum, Krasiński był u Norwida, a „przypowieść *Quidam*“ stała się przedmiotem rozważań i uwag ze strony starszego w poetyckiej służbie przyjaciela.

Jedyną wskazówką i śladem, o czem mówili ze sobą po latach rozłąki i zerwania, dowodem, że pojednanie było zupełne, a serdeczna nuta przyjaźni błysła jakby łuna przedzgonna nad dwoma wybrańcami bożymi, z których jeden życiowo zamierał, a drugi był już oddawna dla życia umarły—jest poetyczna przedmowa do poematu „*Quidam*“, jakby trzeci list, lecz już Norwida, do „poety ruin“, po listach Słowackiego w „Balladynie“ i „Lilli Wenedzie“, są wreszcie dwie listowne relacye Norwida o śmierci Krasińskiego. Ostatnie i jedyne to świadki pojednania, okra-

¹⁾ Tamże. s. 1070 (uwaga pierwsza).

²⁾ Wynika to z listu do Cieszkowskiego. l. c. s. 400: „Jeśli przyszedz 100 fr., to natychmłast je *poszłę* Kamilowi Cypryanowi“...

szonemu łzami i przyjaźni odnowionej i wolnej zupełnie od wszelkiej zaprawy życiowej.

Prowadził więc Norwid z Krasińskim w czasie ostatnich spotkań żywą wymianę myśli na temat owej cudownej przypowieści, która krążąc z rąk do rąk (miał ją Zaleski, Lenartowicz, i zapewne Nabelak) miała jeszcze lat kilka (do r. 1863) poczekać na światło dnia. Odnienny był pogląd Krasińskiego na tragizm, czynił więc jakieś zastrzeżenia, doradzał przeróbek, dawał nawet poemat do czytania osobie trzeciej (może Klaczce), aż śmierć tę wymianę walorów duchowych przecięła, a Norwid uwiecznił—jak ongi Słowacki—pamięć przyjaciela i jego duchowy współudział w rozważaniu pomysłu i dzieła w „Wyjątku z listu do Z. K.“, umieszczonym na czele poematu; uwiecznił pamięć Krasińskiego a zarazem tłómaczył i uzasadniał swój punkt widzenia, dlaczego za radą nie poszedł i nie dokonał przeróbek. „Czytałeś—powiada Norwid—i nawet, czego nie spodziewałem się być, dawałeś do czytania ten rękopism *przypowieści* mojej, nazwany *Quidam*. Uważałeś zapewne, że dziełu temu dałem nazwę *przypowieści*, nie zaś *powieści*, a to z przyczyny, że intrygi i węzła dramatycznego, właściwego powieściom, wielce się tu wystrzegąłem—nie o to mi szło, ale właśnie, że o to raczej głównie, co zazwyczaj tylko pobocznie z właściwych powieści wyciągamy. Dlatego to i bohater jest tylko *ktoś—jakiś tam człowiek—quidam*. Nic on nie działa, szuka tylko i pragnie dobra i prawdy, to jest, jak to mówią, nie właściwie nie robi—cierpi wiele, a zabity jest prawie, że przypadkiem i to w jatkach. Jest tam i drugi *Quidam*, któremu to nazwisko przeszło było w imię własne, ale i ten jest tylko jakiś ogrodnik, jeden z miliona chrześcijan! Zali to jest tragiczne? pozwalam ci wątpić, wielki poeto! — Ale Ty, którego ś. p. Juliusz Słowacki nazwał *Poetą Ruin* i który, jak nikt nigdzie, umiałeś świat ruin opiewać, pozwól mi wzamian powiedzieć ci, że w przypowieści tej mojej, pomiędzy jej żywymi postaciami, lubo niema arków połamanych i rozrzuconych kolumn, niemniej smętny, jakkolwiek z właściwego mi punktu oglądany, krajobraz ruin się przedstawia. Serce tej Zofii, tak czarującej talentami, a tak nerwami i wołą od siebie niezależnej, może właśnie całej jednej *świątyni-wiedzy* jest ruiną? Cywilizacya, według wszelkiego podobieństwa, do dziś jeszcze podobna jest do tego kościoła, który za Kapitołem tyle razy przy księżycu świetle oglądałeś—do tego Kościoła, co w kwadracie kolumn świątyni starożytnej, jako gołąb w rozłamanej klatce, przestawa; tak, iż, mszy świętej idąc służyć, przechodzi się owdzie przez Jowisz-

wy przedsiónek. Daruj mi więc, wielki poeto, że z niektórych tylko korzystałem uwag twoich co do kształtowania się tej mojej przypowieści, inne za niebyłe uważając. Cywilizacya składa się z nabytków wiedzy *izraelskiej, greckiej, rzymskiej*, a łono jej chrześcijańskie, czy myślisz, że w świadomej sobie rzeczywistości już tryumfalnie rozbłysło? *Mag* jest *Żyd, Arthemidor* i *Zofia* są *Grekwie*—znajdziesz tam i *Rzym*, lubo tobie, wielki poeto, inaczej i gdzieindziej, nie zaś w mniej plastycznych sferach, ruiny oglądać i sławić przystało. Szczęśliwszym byłeś“... ¹⁾

W ten sposób uzasadniał Norwid różnicę poetycznych stanowisk w pojmowaniu pierwiastków składowych cywilizacji ludzkiej wobec tego, który jak żaden z poetów świata docenił i wchłoniął w swą twórczość znaczenie cywilizacyjne Rzymu; wyjaśniał Norwid tę różnicę a zarazem składał poetycki hołd poecie, który w ogólnej, ideowej koncepcyi przypowieści mógł odnaleźć duchowe i bezwątpienia mimowolne oddziaływanie swej własnej koncepcyi, również w dziejach cywilizacji ludzkiej, lecz starożytnej, pojętej—mógł wyczuć jakieś nieuchwytnie lecz niezaprzeczone, intelektualne zawiśnięcie nad pomysłem *Quidam*'u swego Irydiona z jego trójdzielnością w uchwyceniu tła cywilizacyjnego. Poza tem kryła w sobie przedmowa do tej przypowieści pełne odzycie rzymskiej nuty w przyjaźni poetów, owych rozmów wiedzionych zapewne nieraz wśród gruzów Kolizeum, w których starszy poeta wiecznego miasta był duchowym przewodnikiem młodszego. Musiał też zapewne ten przepyszny, nawskróś poetycki „wyjątek z listu“, a zarazem najlepszy komentarz do zrozumienia idei poematu, powstać jeszcze przed śmiercią Krasińskiego.

A ta przyszła, spodziewana przez wszystkich, którzy patrzyli na zanikające z dnia na dzień życie wielkiego Polaka i na jego cierpienia, lecz niespodziewana i straszna dla wszystkich, którym brakło w jednej chwili jego wielkiego ducha. „Piszę na stoliku—oto pierwsza relacya Norwida w liście do Skrzyneckiego—na którym opierał się Zygmunt, kiedy nie wiedziałem, że raz ostatni mówię z nim, a jednakże tak Bóg chciał, iż w tej rozmowie wszystko zawarło się, co nieledwie ukoło mnie i ukaja po tej ogromnej stracie. Wielki to jest szwank postradać *szlachetnie różniącego się przyjaciela*, w tej epoce zwłaszcza, w której łatwiej może napotkać ludzi zapamiętałe się kochających, niż umiejących

¹⁾ Przytaczam na podstawie wydania w Pismach zebranych. T. A. s. 528 — 30.

szlachetnie i z miłością różnić się. A druga jeszcze przytem myśl: jak wielkie jest i nieopisane ministerstwo Bożego Miłosierdzia, które czyni, iż sumiennie z kim żyjąc, dane bywa, iż śmierć sama w *pewnej części* nie rozłącza, ale, śmiałbym powiedzieć, *zbliża...* To, co najgłębszy filozof, Paweł Apostoł św. mówi, iż: *Miłość tak mocną jest jak śmierć,* to właśnie, że jest onej tajemnicy odkryciem... Owóż, dał Bóg, iż w ostatniej Zygmunta ze mną roznowie dopełniło się tak wszystko pomiędzy nami, jakby i mnie i jemu miało to odkryć, jaka wielka jest ręki Twórczej i rządzącej na wieki miłość...¹⁾

Gdyby Krasiński mógł być czytać te słowa, rozradowałoby się jego wielkie serce; pomnik pozgonny, wystawiony w nich przez Norwida szlachetnej duszy poety, był zarazem największym tryumfem zwycięstwa tej idei i myśli, którą twórca „Irydiona“ wyznawał wiernie przez wszystkie lata przyjaźni z Norwidem. Miłość wielka i ewangeliczne ukochanie ludzi, wybaczenie ich ułomnościom, jeśli te nie sprzeciwiają się tylko Bogu i ojczyźnie—oto imperatyw moralny, który dyktował list Norwida. A hasła te były przecież programem życiowym i ostatnim wskaźnikiem w stosunkach Krasińskiego z ludźmi. Zapanowanie ich obustronne w przyjaźni poetów musiało zrodzić moment, który Norwid określa słowami, „że w ostatniej rozmowie zawarło się wszystko i dopełniło między nami“.

List do Skrzyneckiego pisany był zapewne pod świeżem wrażeniem śmierci Krasińskiego i wyjaśniał generałowi, któremu poróżnienie się przyjaciół nie mogło być obce, radosny fakt pojednania. Że jednak żałoba, jaką okrył Norwida zgon Krasińskiego, sięgała głębin uczuciowych artysty—to pewne. Odczuł go Norwid jednako z całą ówczesną Polską, że zabrakło jej wielkiego Polaka. Jeszcze po latach—bo w r. 1870—przesunął się Norwidowi przez myśl wspaniałe wspomnienie pośmiertne pióra Klaczki, jakie w trzy dni po śmierci Krasińskiego przyniosły „Wiadomości polskie.“²⁾ Czytał tu Norwid, że „Polska poniosła jedną z tych strat niepowetowanych, której całego ogromu nawet nie jest w stanie w pierwszej chwili objąć myśl rozdarta i na duszę narodu padł cień żałoby, który się tylko powiększa, im bardziej

¹⁾ F. (J. Barański), Z teki generała Skrzyneckiego. Przegląd polski 1886, T. 81, s. 569—70.

²⁾ Por. „C. Norwid o genezie swej broszury p. t. „O sztuce“. Pamiętnik literacki, 1908. T. VII. s. 191.

się pamięć usuwa, czytał, że był to „po Adamie Mickiewiczu najwyższy wieszcz narodu, przywódca jego myśli, kierownik jego sumienia..., że się palił wciąż ofiarą na ołtarzu ojczyzny i natężoną piersią objął wszystkie nadzieje. Anioł-stróż narodowego ducha, jego czystości, świętości, był—Kraśiński—zarazem lekarzem naszych serc rozszarpanych, naszych rozpadłych umysłów, i na wrzody i rany polskiego ciała lał gojące balsamy wiary i miłości. W nocy naszej niewoli głosił przedświt zmartwychwstania, ciosy i klęski przeczuł duchem proroczym i przed niemi przestrzegał, upominał, a gdy się ziściły, przez żal i skrucę dostąpił tej dobrej woli, która najwyższym jest darem ducha i ją przekazał Polsce w najszczytniejszym hymnie naszej mowy, jako testament, jako słowo ostatnie i ostatnią wolę...”¹⁾

W rok po śmierci Zygmunta dał znów Norwid wyraz swemu głębokiemu żalowi z powodu jego zgonu w liście do Karola Kraśińskiego. Oświecenie ostatnich chwil przyjaźni było tu takie same, jak w liście do Skrzyneckiego. „Zgon wielkiego poety i wielkiego świecznika zacnego rodu waszego—pisał Norwid—był zarazem dla mnie i ciosem równie wielkim—najrzadszą albowiem dziś straciłem rzecz: to jest szlachetnie różniącego się ze mną przyjaciela! Cóż bo dziś, a mianowicie u nas, rzadszego jest?, którzy zawsze o niezgodę bywamy pomawiani, a w gruncie rzeczy zupełnie, że co innego zbywa nam—to jest, że umiemy się tylko kłócić albo kochać; ale nie umiemy się różnić pięknie i mocno — a on tak umiał te rzeczy! — i mistrzem był w tym względzie nieporównanym. Potem chory byłem, zaziębiwszy się, kiedy szlochając od drzwi Zygmunta biegłem do siebie w nocy— a że nie płacząc od lat kilku, płynu tego w ciele nie mając, który łzę stanowi, więc skoro mam szlochać cierpię rodzaj spazmu konwulsyjnego“... W dalszym ciągu listu donosił, że chce posłać Karolowi Kraśińskiemu „egzemplarz jeden medalu ś. p. Zygmunta, który z brązu zrobił“, a który ma być „podobniejszy od fotografów“.²⁾ Ostatnie to, bezpośrednio wynurzenie Norwida o zmarłym przyjaciołu.

Z ubytkiem człowieka pozostała u Norwida wdzięczna, pietyzmem zawsze otaczana pamięć Zygmunta. Że żyła jeszcze lata

¹⁾ „Wiadomości polskie“ nr. 9, z dnia 26 lutego 1859, artykuł wstępny, ogłoszony bezimiennie, lecz pióra Klaczki.

²⁾ Dwa listy Norwida, Kuryer lwowski z 18 kwietnia 1908, list drugi (bez daty, lecz z r. 1860).

długie, owionięta urokiem ostatnich, przedśmiertnych chwil — to pewne, a o echu jej w r. 1870 słyszeliśmy powyżej. Na Norwida przyszyły najcięższe lata życia, lata prawdziwego udręczenia ducha i ciała, niebotycznych tego ducha wzlotów i rozbitcia o próżnię społeczeństwa, które zapomniało zupełnie o paryskim artyście-samotniku, a jego ideały artystyczne określiło mianem dziwactwa. Przypomniła go światu śmierć oswobodzicielka z wszelkich trosk i męki, przywołuje dziś do życia pośmiertnego siła ducha, który okuty w powiciu jak wieczny, niezniszczalny ogień przetrwał powłokę popiołu i po latach zapomnienia i osądzenia Norwida, jako poety i artysty, błyska świeżą łuną, okazując nam zapomnianego i nieznanego twórcę.

I zaprawdę nieraz w ostatnich, paryskich latach życia, kiedy czasem brakło chleba na dzień następny, musiała Norwidowi stawać przed oczyma postać przyjaciela, który „umiał różnić się pięknie i mocno“, a nie tylko kochać lub nienawidzić.

Takie były dzieje poetyckiej przyjaźni Norwida z Krasieńskim, niepozbawionej żadnego rodzaju uczuć ludzkich, lecz silnej i pięknej ostatecznym zwycięstwem prawd ducha, które zapanały nad niedomaganiem życia. Uczucia ludzkie, które chwilo-wo padały jakby cień jaki na tło porywów ducha, minęły i zginęły, a została silna łączność w krainie ideału, związek dwu dusz wybranych. Ten przetrwał i pozostał, znacząc ślady nie tylko w życiu poetów, których opanował, lecz przekazując pamięć tej przyjaźni dziejom polskiego ducha w epoce zamierających hasel romantycznych a rodzenia się nowych dążeń w poezji polskiej.

VI.

Starłem się dać odpowiedź na pytanie, jakie były wzajemne stosunki Krasieńskiego z Norwidem, uświęcone związkiem przyjaźni, jej rozłąki i powtórnego odzycia. Były to zagadnienia natury czysto życiowej, i—jak widzieliśmy—linia wspólności u obu przyjaciół łączyła się, bądź odchylała, stosownie do tego, jak na bieg ich życia wpływały pewne wypadki ogólniejsze lub nawskroś osobiste, ulegała pewnemu falowaniu pod wpływem zetknięcia się lub rozłączenia obu poetów i ich stanów subiektywnych. To były zasadnicze wytyczne w rozwoju tego poetyckiego stosunku. Lecz na tło przeżyć padały również zagadnienia ideowe i nie pozostawały w pewnych chwilach bez oddziaływania na formację

związków osobistych. Wpływ różnic ideowych w poglądach na pewnych ludzi, jak np. Mickiewicza i w odnoszeniu się do pewnych zdarzeń, jak stanowiska Mickiewicza i centralizacji emigracyjnej wobec rewolucji czerwcowej, sięgał nawet tak głęboko, że wywołał żywą wymianę myśli, opartą na zupełnej sprzeczności zapatrywań. Lecz ta ideowa niezgodność dotykała również w dziejach omawianych stosunków jednego zagadnienia o charakterze zasadniczym, zagadnienia tkwiącego w rodzaju twórczości Norwida, jego poetyckich pomysłów, utworów, ich formy i zawartych w niej problemów treściowych. Było to — ogólnie biorąc — nierozumienie poezji Norwidowej przez współczesnych, którym nie odpowiadał schyłkowy, a po części nowy także tej poezji charakter, wolnej zupełnie od romantycznych drgnień prometeizmu, mistyki mesyanistycznej i romantycznego ubóstwienia ideałów, niosącej jednak w sobie nowe hasła pesymizmu życia, bankructwa ideologii życiowej i nieznane walory w ujmowaniu poetyckiej pointy. Temu powszechnemu tonowi w ocenie Norwidowej poezji, który — jak widzieliśmy — był czynnikiem rozstrzygającym w ułożeniu stosunku poety do polskiego społeczeństwa, poddał się także Krasiński. Mogliśmy nawet spostrzedz ciekawą pod tym względem linię rozwojową, której początkiem znamienne słowa w liście do Koźmiana, jeszcze przed poznaniem Norwida przez Krasińskiego, że ma Norwida „za mistrza w zewnętrznej robocie wiersza“, punktem środkowym słowa zachwyty po poznaniu w Rzymie, że poetycka dusza Norwida to „tęcza uwiata, rozpostarta na niebie, foremna, rytmiczna, istna przepaska niebios“, a końcem bezwzględne potępienie w r. 1851 w liście do Cieszkowskiego, że przez Norwida „język polski dochodzi do ostatecznego odspołecznienia — wyrazów albowiem spójnią społeczną jest sens, gdzie brak tej ich religii, tam powstaje ich odmęt i języka zgon“.

Rodzi się jednak pytanie, czy znajomość Norwida z Krasińskim, ujęta w niniejszej pracy jedynie z punktu widzenia jej objawów zewnętrznych, życiowych, pozostała zupełnie bez wpływu na zakres duchowego życia Norwida, czy Krasiński nie oddziałał na niego jako poetę i artystę, zaprzęgając go w rydwan własnych pomysłów i zagadnień, bądź też działając nań ogromem poetyckiej grawitacji, która jest tak częstym objawem w stosunku twórców dojrzałych wobec młodych, zdecydowanych w rodzaju twórczości wobec piskląt poetyckich, próbujących siły swych skrzydeł. Wszak nawet zdeklarowane już nawskroś indywidualiz-

my poetyckie nie potrafią się obronić wszechstronności tego prawa w zakresie psychologii tworzenia!

Nie ulega wątpliwości, że silna indywidualność poetycka Norwida broniła go w pewnej mierze przed uzależnianiem się od twórczości obcej, że poeta od zarania swej twórczej pracy szukał dróg własnych w każdym kierunku, niezawsze może szczęśliwych, lecz w każdym razie własnych. Trudno jednak przypuścić, by stosunek z Krasińskim, który miał — jak wiadomo — szczególniejszy dar podporządkowywania umysłów nieraz bardzo wybitnych sile swej myśli, mógł nie działać na sferę twórczości i duchowego rozwoju Norwida. Na jeden ciekawy w tym względzie objaw zwróciłem już uwagę omawiając przedmowę do poematu „Quidam“.

Niepodobna dziś, gdy całokształt twórczości Norwida nie jest nam jeszcze dostępny, podać jakichś pewnych danych, o ile i jak dalece sięgał wpływ Krasińskiego na tę twórczość, jak głęboko w nią wnikał, czy dotykał jej formy czy treści; nie było też to celem rozprawy, obracającej się ściśle w zakresie zagadnień życiowych i nieodłącznych od nich ideowych. Dziś już jednak da się stwierdzić, że wpływ ten istniał, chwilowo wprawdzie, lecz niewątpliwie, że były w twórczości Norwida momenty, w których osoba Krasińskiego znajdowała oddźwięk w jego poezji i twórczości malarskiej i rzeźbiarskiej, a myśl utworów Krasińskiego i ich forma swe odbicie, zapewne bezwiedne, nieraz zaś nawet rozmyślne, w działaniu poetyckiem. Zaznaczmy to na kilku faktach dla pełności obrazu.

Już utwór „Pieśni społecznej cztery stron“, wydany w Poznaniu w r. 1849, a powstały w Rzymie w pierwszych miesiącach r. 1848 jako poetycka replika na Mickiewiczowski Skład zasad ¹⁾, napisany więc w tym czasie, gdy przyjaźń obu poetów opromieniona była niezachmurzoną niczem zgodą, a działalność rzymska Mickiewicza znajdowała u obudwu jednakie potępienie, okazuje znaczną ideową i formalną zawistość od psalmów Krasińskiego. Że było to mimowolne poddanie się dziełu, które ze względu na zawartą w sobie dążność społeczną mogło być wizerunkiem analogicznych przekonań Norwida — nie ulega wątpliwości.

O ile jednak Norwida z Krasińskim łączyły zagadnienia natury ideowej i wierzeniowej, wspólne obu poetom w poglądach na wiele zjawisk ogólniejszego znaczenia, o tyle światopogląd

¹⁾ Por. *Norwida*, Pisma zebrane. T. A. s. 790—1 (Przypisy).

życiowy Norwida był zasadniczo różny od pojmowania życia przez Krasińskiego i wogóle twórców epoki romantycznej. Sam Norwid uważał się za przeciwstawienie dążnościom poezji romantycznej i wypowiadał walkę najbliższej sobie przeszłości, widząc jakieś zbliżanie się epoki przyszłości, która miała przynieść literaturę czynu. Był to w jego poezji jakby spór dwu epok, dwu stuleci, wobec których on podejmował rewizję haseł przeszłości, a zwiastował stulecie nowe. Nie dziw przeto, że poezya „wielkich mistrzów“ była dlań wcieleniem programu życiowego i narodowego, wobec którego stawał on jako wojownik o prawdy inne, wyższe, czyste „duchowe“. W tem leżała przyczyna znacznych różnic ideowych w patrzeniu na życie jednostki i narodu, ich powstanie i znaczenie, co odbiło się tak silnie w korespondencji z Krasińskim, a widoczne jest we wszystkich znanych nam listach Norwida. Zwiastun nowych haseł życiowych i poezji, która je wcielała w całym zakresie twórczej pracy człowieka, nie mógł godzić się na ten jej kierunek, który „kłątwę swej wybujałości“ zarzucał na ramiona młodego pokolenia. Rodził się stąd antagonizm idei poetyckich, przeciwstawienie problematom epoki „mistrzów“—nowych walorów ideowych. Problematom tym wypowiadał walkę już w pierwszym dyalogu Promethidiona, w „Bogumile“, „w którym jest rzecz o sztuce i stanowisku sztuki“.

„Taka rozmowa była o Chopinie
(Który naczelnym u nas jest artystą):

— Co do mnie, polski ja w nim zamach cenię
Nie melancholię romantyczno-mglistą,
I— chociaż małe mam wyobrażenie
O sztuce—przecież wiem, co jest Muzyka,
I może lepiej wiem od grającego:
Jeśli mi serce bierze i odmyka
Jak ktoś, do domu wchodzący własnego..¹⁾

Sam zaś „przechadzając się w śnie Prometowym“ tak określał swe stanowisko:

„Gdzież idę?—Idę sobie do duchowych,
(Co materyalnym zwą mię rzemieślnikiem),
Duch u nich—próżnia—form brak postaciowych,
Nieowładnięcie formy treściownikiem,

¹⁾ Pisma zebrane. T. A. s. 135.

Duch u nich miejscem na duch. Potem idę
 Do świeckich, ci mnie widzą za-dachowym
 I jak mistyczną goszczą piramidę
 I—tak—przechadzam się w śnie Prometowym“!... 1)

Czuł poeta bardzo dobrze, że poezya jego i walka o nowe ideały artystyczne, to walka z wiatrakami, bo w wyniku swym bezowocna dla epoki, w której żył, walka na kilka stron, to spory i utarczki nie o formy ducha, tylko o jego treść. Ten charakter polemiki ideowej w zakresie sztuki i opanowania życia mają przedewszystkiem trojakiemu rodzajowi dyalogi Norwidowskie.

Ideologii jednak i wybujałości romantycznej bezpośrednio dotknął Norwid w kilku utworach, z których przedewszystkiem trzy mają dla nas znaczenie: „Nieskończony. Dyalog z porządku dwunasty“, utwór p. t. „Epos nasza“ i wiersz, skierowany do Deotymy na wiadomość o jej improwizatorskich tryumfach: „Rzeczywistość i marzenia“. Z tych wiersz ostatni wymierzony jest wogóle przeciw „mistrzom wieku“, których poezyi przeciwstawił siebie, „młdą dziecinę stulaurowych ojców“, w dwu pierwszych uderzył Norwid w poezję samego Krasieńskiego.

„Tej, co się dzisiaj dotknąć strun ośmiela,
 Nie powiem „przestań“, jako niegdyś owi
 Odpychający od stóp Zbawiciela
 Dzieciątka bardzo przyjemne Mistrzowi, —
 Ale jej powiem: w trzeźwej trwaj mierności
 I chroń się Mistrzów wielkich, co dziś nucą,
 Bo oni klątwę swej wybujałości
 Na twoje młode ramiona zarzucą
 I, zamiast tobie dać błogosławieństwo,
 Przytulic słowem i ogrzać wyznaniem,
 Oni ci laurów swych dadzą przekleństwo.
 Strzeż się ich—ciesz się lepiej urąganiem
 I módl się za te szkielety ogromne,
 Białe jak papier—jak spróchniałość skromne.

Ja może umrę tu—od was daleko
 (A ludzie ciało sprzedadzą praktyczni
 Na eksperyment, wiadomości mleko)
 Przeto, co mówię, nie mówię jak liczni...

1) Promethidion. Bogumił. Pisma zebrane. T. A. r. 149—50.

Lecz może mówię już, jak dzisiaj rzadki
Ptak i sprzedany, i wsadzon do klatki,
I z wyklutemi dlatego oczyma,
By śpiewał wiosnę, gdy dokoła zima!

O!... strzeż się przeto Mistrzów tego wieku,
Bo pacholeta bose sto tysięcy
Razy więcej, niż oni, wiedzą o człowieku...¹⁾

Wybujałość więc „mistrzów wieku“ potępiał Norwid ceniąc wyżej prawdę życia i dając „nowej śpiewaczce“ to, „czego jemu pierwej na drogę nie dano“.

Gdy jednak — jak zaznaczyłem powyżej — polemika ideowa była czynnikiem wywoławczym dla wszystkich dyalogów Norwidowskich, to z ideologią romantyczną i romantycznym światopoglądem rozprawił się Norwid przedewszystkiem w dwunastu drobnych dyalogach, współcześnie niedrukowanych, z których doszedł nas tylko „Nieskończony. Dyalog z porządku dwunasty“. Był on „jak gdyby wprost repliką Krasieńskiemu“²⁾, co zaświadcza także obrany w dyalogu rym „Przedświtu“.

Najbardziej jednak znamienym w odniesieniu do osoby Krasieńskiego jest utwór „Epos nasza“, jeden z najgłębszych lirycznych i zarazem najwięcej subiektywnych wierszy Norwida, wspaniałe wyzwanie, rzucone „chwałom“ narodu, które sięgają stropu nieba, przez niego, błędnego rycerza z la Manczy, który nie potrafił życiem swem ni poezją zaprzędz się w służbę żadnego człowieka lub stronnictwa. Nazwa Don-Kichota poezyi, rzucona zapewne niegdyś niebacznie w oczy, srodze musiała zboleć Norwida³⁾. Stał mu więc przed oczyma ów błędny rycerz, „z którego dziejów uczył się czytać“, o którego „bohaterstwo podzielał trwogę“, a z przygód czerpał „gorącość i zapal“, i w profilu jego „rozlanym na wielu“ odnalazł siebie samego.

„Czyli cię kochał i czy prawdę piszę,
To wiedz ze wspomnień, które tu skreśliłem,
Bom niepiśmienny ja i mało grzészę
Twórczością—piszę—śpiewam—tak, jak żyłem...“

¹⁾ Rzeczywistość i marzenia, Pisma zebrane. T. A. s. 363—4.

²⁾ Patrz: Pisma zebrane. T. A. s. 829 (Przypisy).

³⁾ Por. tamże. s. 856 i. n.

To tak!... więc stajesz mi znów przed oczyma,
 Jak ongi, rdzawą osłonięty zbroją,
 I smutek budzisz, co się węzem zżyma,
 Bo i ja miałem Dulcyneę moją!...

Obaj walczą „rękami nikłych rozbójników“, „oswobadzając zaklętą księżniczkę“—duszę narodu, obydwu żywiołem i pokarmem „ból, spieka, gorycz i marsz krętą drogą“. A wielcy narodu?

„A oni?—że tak z niskąd niezdradzani
 Po paradyzie latają w promieniach
 Z Beatryksami swemi rozkochani —
 W purpurze, w wieńcach i w drogich kamieniach,
 Co odśmiewają się niebieskim ciałom
 I oczom—i otwartym w strop aż na wskrós Chwałom!“¹⁾

Rzucając więc im wyrazy szczęścia w tych rajskich lotach, sam zostaje z swym Don-Kichotem, „błędny kawaler, bez giermka“, z Dulcyneą „w swej osobie nigdy nieodstłonią“, w wiecznej pogoni za prawdą.

Dość silnie dźwięczały w tym wierszu echa osobistych stosunków Krasińskiego, osłonięte mgłą aluzyi, i kto wie, czy nie to było przyczyną, że wiersz ten, przesłany przez Norwida redakcyi „Gońca polskiego“, wzbogacił tylko tekę redakcyjną, nie ujrawszy współcześnie światła dziennego.

Poezya Krasińskiego była jednak nie tylko przedmiotem polemiki ideowej dla Norwida, a twórca Irydiona wcieleniem odmiennego poglądu na życie, jego prawdę i stosunek do sztuki, nie tylko ideologia „Przedświtu“ i romantyczne ubóstwienie kochanki ulegało załamaniu w cieniu treściowych i formalnych aluzyi i dyskretnych przenośni Norwidowych utworów. Sam Norwid stawał również, jako krytyk dzieł Krasińskiego i hasel życiowych i narodowych, w tych dziełach zawartych. Były to zresztą tereny sobie zbyt bliskie, by je można oddzielić, podobnie jak nie możemy w żadnym wypadku wyodrębnić całkowicie twórcy od jego dzieła.

Wiadomo, że polemika ideowa poczęła się między Norwidem a Krasińskim dość wczesnie i byliśmy świadkami jej stopniowego rozwoju. Krytyczny sposób patrzenia i oceny przekonań i duchowego profilu człowieka, wiódł Norwida powoli do

¹⁾ Pisma zebrane. T. A. s. 300—304.

trzeźwego sądu o samej jednostce i jej wyposażeniu. Możemy nawet stwierdzić, że ta „krytyczna ocena“ osoby Krasińskiego poczęła się u Norwida tworzyć dopiero po oznaczeniu różnic ideowych i przeprowadzonej na ich temat polemice. Pierwsze lata przyjaźni wolne były zupełnie, przynajmniej ze strony Norwida—u Krasińskiego, jak widzieliśmy, było inaczej — od elementu podmiotowego. Nie mamy przynajmniej najmniejszych danych, by przypuścić, że Norwid poddawał wówczas analizie Krasińskiego jako człowieka i poetę. Stało się to dopiero w okresie walki ideowej, tej pamiętnej jesieni r. 1850, która na lat kilka miała rozstrzygnąć losy poetyckiej przyjaźni. Krasiński bawił w Paryżu osłaniając tajemnicą swój pobyt, wiadomy jednak najbliższymi. Wtedy toczyły się owe rozmowy, wiedzione przez Norwida z Krasińskim i Cieszkowskim, których ostatecznym wynikiem był rozłam osobisty na tle różnic ideowych rozmaitych odcieni i treści. O pobycie Krasińskiego donosił Norwid Zaleskiemu 22 listopada t. r. kreśląc portret duchowy przyjaciela w tym rodzaju: „W duchu wypokojony najobszerniej, ale (*do pewnego stopnia*) z tej przyczyny, że tak niewiele *w prawdzie* żyje. W tem dużo roztropności, że tak ogranicza zewnętrzny owóz widnokrag praktyki ducha swego, ale też i to, że gdyby go rozszerzył, toby może za wiele (względem wewnętrznego punktu wyjścia) niepokoju wywołał zewnętrznego, toby może za wiele wzięł do walki. Z niezależną przynajmniej pozycją jego można tak do czasu nad widnokregiem ducha swego panować... Ja z nim, jak od czasu kiedy z nim. Kocham piękność geniuszu i tę życzliwość szczególniejszą, którą mi jest blizkim i którą wysoko umiem cenić. W myśli często oszczuplonym napotykam i nie taję mu tego, ale mówię jak teraz, jak to u ludzi genialnie w szczególnym jakim kierunku wystrzelonych prawie zawsze *konieczne*. W duchu wielkim, w prawdzie skąpo skrzętnym. Tak *cenię*, bo nie *adoruję*, boim przyjazny—prawdziwie i homo sum“... 1)

Ze słów tych widać, że krytyka duchowych i umysłowych właściwości Krasińskiego przez Norwida polegała na podkreślaniu w nim pewnego kwietyzmu duchowego, rzeczy tak obcej Norwidowi, i „oszczuplenia myśli“—rozumie się—znów w stosunku do wybujałości myślowej twórcy Promethidiona. Krytyka jednak ujęta była na tle wysokiego pojęcia o Krasińskim, człowieku „genialnie“ w pewnym kierunku „wystrzelonym“. A nie

1) Patrz: Krechowicki, O Cypryianie Norwidzie. I. c., I. s. 231—2.

należy zapominać, że ten duchowy wizerunek Krasińskiego powstał u Norwida w chwili silnie już zaznaczonych różnic ideowych, w momencie rodzenia się dalekich horyzontów architektury narodowej i rzucania podstaw pod teorię narodowej sztuki, co się zawarło w gotowym już w tym czasie Prometidionie. Plany wizerunku niknęły więc zupełnie w słonecznym oświeceniu genialności człowieka. Ten zaś „krytyczny“ portret Krasińskiego odcina się wyraziście, gdy uprzytomnimy sobie, że na dni kilka przed wspomnianym listem do Zaleskiego powstał wiersz Norwida „Aerumnarum plenus“..., a w nim strofa o ludziach:

„Więc to mi smutno—aż do kości smutno,
I to—że nie wiem, czy ten ludzi stek
Ma już tak zostać komedią okrutną,
I spać, i nucić śpiąc: „to taki wiek“!)

Przyszło jednak zerwanie stosunków z Krasińskim; Norwid o przyjacielu milczał. Dopiero w r. 1852, gdy wyszedł utwór „Resurrecturis“ zabrał o nim głos w liście do Zaleskiego. Utwór Krasińskiego był — jak wiadomo — ostatnim ogniwem w łańcuchu narodowych rozważań poety, od prorocत्व „Przedświtu“, którym zaprzeczyły wypadki r. 1846, aż do sformułowania narodowego postulatu w „Psalmie dobrej woli“, a powtórnego w „Resurrecturis“. Do poglądów na naród i jego przyszłość utwór ten nie wnosił zasadniczo nic nowego, nie stawiał żadnej nowej tezy, był tylko zsumowaniem poniekąd dotychczasowych wynurzeń poety na przyszłość Polski. Wśród emigracyi jednak wywołało „Resurrecturis“ objawy zachwytu, a między Zaleskim a Norwidem wywiązała się polemika, zrazu ustna, później listowna, na temat tego ostatecznego skryształizowania narodowych pojęć Krasińskiego. Norwid nie dzielił zachwyty Zaleskiego; mgliste i nieuchwytnie swoje wywody starał się ująć końcowo w formie pytania retorycznego: „A jakże ma co zmartwychwstać, co by nie umarło“? lecz w liście całym nie porzucił stanowiska negatywnego, nie przeciwstawił zapatrywaniom Krasińskiego poglądów własnych.²⁾ Niewysokie jednak zapatrywanie na „Resurrecturis“ jako program dążeń narodowych i kodyfikację przyszłości przetrwało u Norwida. Znacznie później, bo już w r. 1860 — a więc w czasach zupełnie odmiennych — napisze jeszcze w tej

1) Por. Pisma zebrane. T. A. s. 310 i 875—8 (przypisy).

2) List przytoczony u Krechowieckiego. l. c., I. s. 234—36.

sprawie do Zaleskiego: „Żeby też Zygmunt spojrzął sobie spokojnie w piękny wiersz „Resurrecturis“ i zapytał się siebie: „To—to—to sumienie narodu“? toby się powinien przestraszyć. Bo więcej w hymnie tym ironii, niż w lekkich weneckich powieściach Byrona“! 1).

Stanowisko Norwida nie zdziwi nas, gdy sobie przypomniemy, że „Przedświt“ uważał „za piękne dzieciństwo“; w „Czarnych kwiatach“ bowiem wspominając o Słowackim przytacza, że mówił z nim „o Nieboskiej komedyi“, którą wysoko bardzo cenił, o „Przedświcie“, który miał za piękne dzieciństwo“... 2) A „Resurrecturis“ było przecież w twórczości Krasińskiego ostatnim rzutem tej ideologii historyozoficznej, której koroną był „Przedświt!

Ostatni raz do oceny Krasińskiego, jako poety, powrócił Norwid w swoich „Sześciu publicznych posiedzeniach o Juliuszu Słowackim“ w r. 1860, a zatem już po śmierci Krasińskiego. Już poprzednio wspominałem, że prelekcye te wyniknęły z pobudki danej przez Klaczkę w odczytach o Mickiewiczu, które wzbudziły wśród całej emigracyi ogromny entuzjazm. Bywał na nich również Norwid; chociaż dość sceptycznie wobec Klaczki usposobiony, uległ i on urokowi słowa niepospolitego stylisty. Raził go fakt, że na wykłady uczęszczała licznie arystokracja polska w Paryżu (jak wiemy, bywał na nich również Krasiński), ale w samych wykładach niejedną odnajdywał piękność. Jakby przytykiem do możnego audytoryum Klaczki, gdy ten rozważając pytanie: co Mickiewicz dał czasowi? zestawiał „Bogarodzicę“ z pieśnią legionów, są słowa Norwida w liście do Zaleskiego z dnia 20 lutego 1858 r.: „Szczęściem nareszcie publicznie i po polsku „Boga-Rodzicy“ pieśń przypomniał Klaczko potomkom wielkich mężów. Mam i ja mieć kurs, ale że nie mam za sobą możnych, może nie będę w możności“. 3) Miały to być w pierwotnym przynajmniej zamyśle Norwida — jak już wspominałem — „Posiedzenia o estetyce narodowej za pomocą dwóch arcydzieł dwóch poetów, Słowackiego i Ligenzy“, a więc jakieś równorzędne przeciwstawienie „dwóch arcydzieł“ (zapewne Anhellego i Trzech myśli...) ze względu na ich znaczenie dla „estetyki narodowej“. Plan ten, współcześnie odroczoney—może na przedstawienie samego Krasiń-

1) List przytoczony u Krechowickiego. I. c., I. s. 237.

2) Czarne kwiaty. Czas. Dodatek miesięczny. R. I. 1856. s. 657.

3) Krechowicki. I. c., II. s. 128.

skiego, bo był on przecież przez całe swe życie „poetą bezimien-
nym“ — odżył w r. 1860 z tą zmianą, że na czoło rozważań
o „estetyce narodowej“ wysunął Norwid Słowackiego, omawiając
zresztą trzy tylko jego dzieła: *Anhellego*, *Beniowskiego* i *Króla
Ducha*.

Nie idzie nam o wyjaśnienie, jakie było stanowisko Norwi-
da w ocenie Słowackiego i jaka wartość poruszonych przez nie-
go zagadnień w twórczości tego poety, tylko, o ile z pierwotne-
go planu, według którego Krasiński miał być omawiany na rów-
ni ze Słowackim, wszedł Krasiński jako twórca w nowe już
„Prelekye o Juliuszu Słowackim“.

Zmiana w zarysie wykładów Norwida nie poszła tak dale-
ko, by Krasiński miał z nich zniknąć zupełnie. Owszem; treść
zamysłu pierwotnego, oraz paralela estetyczna dwóch poetów
z narodowego punktu widzenia weszła w prelekcję czwartą, gdzie
znajdujemy właśnie przeciwstawienie „*Anhellego* i *Trzech myśli*“
Henryka Ligenzy, zwanych przez Norwida zupełnie dowolnie
„*Wigilią Bożego Narodzenia*“. Nie sposób dziś przykładać mi-
ary obiektywności naukowej do tego wszystkiego, co w zesta-
wieniu swem powiedział Norwid o Krasińskim. Jak zmiana tytułu,
była również interpretacya samego utworu i jego zasadniczej
myśli zupełnie dowolna, nie mówiąc już o tem, że same zesta-
wienia dwóch dzieł tak różnych, jak „*Anhelli*“ i „*Trzy myśli*“, na
podkładzie tych samych kryteriów, jest rzeczą zbyt śmiałą. Zacie-
kawia więc nas bardziej ogólne stanowisko, jakie Norwid wyzna-
cza Krasińskiemu w dziejach myśli narodowej. Pod tym wzglę-
dem są „posiedzenia o Juliuszu Słowackim“ jednym wielkim hoł-
dem dla zmarłego przyjaciela, „który ponadprzyrodzonych używał
środków dla utrzymania historycznego ducha w społeczeństwie
blizkiem zgminienia przez niebyt polityczny“, którego dzieło
(„*Trzy myśli*“) jest „buletyn ducha narodowego“, a nie znać go
jest „występkiem przeciw Rzeczypospolitej“. Wysokie mnie-
manie o Krasińskim, powoływanie się na osobiste z nim stosun-
ki i na podane przez niego określenia niektórych dzieł Słowac-
kiego (n. p. „*Anhellego*“ i „*Króla Ducha*“), wysuwanie go przy
każdej sposobności dla porównania z Mickiewiczem i Słowackim—
oto przykłady, jak składał Norwid hołd pamięci przyjaciela.
Z dawnych zarzutów, stawianych z powodu „*Resurrecturis*“, nie
znajdujemy tu ni śladu. Krasiński wyłania się z cieniów prelek-
cyi otoczony nimbem wielkości, jako poeta tej miary, co Mickie-
wicz, Słowacki i Dante. „Zygmunta Krasińskiego prawie połowa
pism nie zrozumiałą pozostaje, a był sławny i jest sławny“, po-

dobnie jak „dla Danta stworzono osobny wyraz „dantesco“, co znaczy zawile, ciemno i niezrozumiale, a był sławny i jest sławny“; język zaś Krasińskiego to „sejmowy, senatorski, publiczny słowa majestat, jakby za dni wielkich Rzeczypospolitej“...

Ostatni to odbłysek przyjaźni, która przetrwała płytę grobową, pośmiertny oklask poety dla poety, a zarazem pierwsza próba wyznaczenia Krasińskiemu miejsca wśród wielkich poetów emigracyjnych i w związku z nimi, próba wyprzedzająca artykuł Klaczki, który choć zupełnie różny i o całe niebo wyższy od pracy Norwida, schodził się z nią w ogólnej swej dążności, by określić stosunek Krasińskiego do poezji polskiej w. XIX.

Nie pozostała osoba Krasińskiego również obca malarskiej i rzeźbiarskiej twórczości Norwida i o ile można dziś już stwierdzić—cztery razy odbiła się w jej rozwoju. Najwcześniejszą jest akwarela Norwida, przedstawiająca Krasińskiego wśród ruin Kolizeum, pochodząca bezwątpienia r. z. 1848 ¹⁾; jej—zdaje się—dotyczy wzmianka w „Żywocie Adama Mickiewicza“, że „pewien artysta polski przedstawia Zygmunta Krasińskiego zadumanego wśród ruin Kolizeum“ ²⁾; następnie mamy „rysunek piórkiem bez daty, mocno podkolorowany“, bez wybitniejszych znamion; znana jest dalej głowa poety, robiona piórkiem, akwarelą i gwaszem, również bez daty, ³⁾ ostatnią wreszcie rzeczą jest pośmiertny medalion brązowy z r. 1860, pokryty ciemną, prawie czarną, gładką patyną, do którego sam Norwid największą przywiązywał wagę, o którym wspominał w liście do Karola Krasińskiego a do Leonarda Chodźki pisał, że jest to „medalion ś. p. przyjaciela, który właśnie że dla tego, że przyjaciela, nie robiłem przeto w celu sprzedaży i u mnie się go nie nabywa, a przeto nie każdy go mieć może—ma więc zaletę rzadkości przynajmniej, choć i podobniejszego nie będzie niezawodnie“... ⁴⁾

STANISŁAW KOSSOWSKI.

¹⁾ Por. przedewszystkiem: Norwida, Pisma zebrane. T. A. s., 1090—92 (Przypisy; dodatki artystyczne); następnie artykuł Adama Łady Cybulskiego, Dwa nieznanne portrety Krasińskiego. Tyg. Ilus. 1904. I. nr. 20. s. 387—8, gdzie ten i następny portret są reprodukowane.

²⁾ Mickiewicz Wład., Żywot Adama Mickiewicza. T. IV. s. 5.

³⁾ Reprodukowana przez Przesmyckiego w Chimerze. VIII. s. 209.

⁴⁾ Por. reprodukcję w Pismach zebranych. T. A. s. 529 i objaśnienie s. 1090 (przypisy); następnie: Strzembosz Wład., Nieznany medalion Krasińskiego. Tyg. Ilus. 1904. II. nr. 34. s. 653 i Karczewski Wład., W sprawie portretów Krasińskiego, tamże nr. 37. s. 704. W ostatnim artykule podany jest również przytoczony powyżej list do Chodźki.

Ruch literacki w Niemczech.

W krótkim, nie więcej niż jednorocznym przeciągu czasu, nadworny cesarski teatr dramatyczny w Wiedniu stracił przez śmierć trzech swoich dyrektorów. Ale jeżeli Adolf Wilbrandt i Maks Burckhardt na długo, zanim odeszli w pozagrobowy świat, opuścili gabinet kierownika pierwszej bądź co bądź niemieckiej sceny, to baron Alfred Berger oderwany został bezpośrednio od dyrektorskiej pracy, stąd zgon jego daleko więcej znaczy w dziejach teatru, tak ściśle związanych z literackim ruchem. W tym wypadku łączność obu kulturalnych momentów jest tem ściślej-sza, że Berger jako kierownik i wiedeńskiego i poprzednio jeszcze hamburskiego teatru główny nacisk kładł zawsze nie tyle na aktorską ile na literacką działalność tego kulturalnego posterunku. Syn austriackiego ministra, owianego duchem literackich upodobań, sam (ur. w 1853 r.) wcześniej wstąpił na pole twórczości literackiej. Mniej znaczą tu jego poetyckie utwory, więcej krytyczno-estetyczne prace. Wrażliwością estetyczną i to niezwykłą obdarzony, w posiadaniu płynnego i wytwornego daru wymowy, jako profesor uniwersytetu wiedeńskiego gromadził wokoło siebie liczne rzesze słuchaczy nie tylko z akademickich sfer, ale i z najwykwintniejszych kół towarzystwa i z wielu względów nad Dunajem podobne zajmował stanowisko, jak swego czasu prof. Tarnowski we wszechnicy krakowskiej.

I on do literackich wykładów wprowadzał gorącość swego patriotyzmu, rozmiłowanego w dawnych ideałach. U Bergera były to oczywiście ideały staro-austriackie. Stąd jego pierwszą i najprawdziwszą miłością był Grillparzer, z austriacko-niemieckich poetów nie tylko najznakomitszy, ale i w duchu starej Austrii najbardziej typowy, umiarkowanie liberalny a głęboko mo-

narchistyczny, pielęgnujący własną indywidualność, ale bez chęci i bez siły narzucania jej innym, zamknięty w sobie, na zewnątrz obojętny i bierny, od szarej rzeczywistości trochę z niechęcią i pogardą, trochę z dąsem i frondą uciekający w świat wizji poetyckich i marzeń, również nie olśniewających jaskrawością barw. Dla Grillparzera Berger najwięcej zdziałał, jego dramaty zarówno w Wiedniu, jak i wśród hanzeatyckich kupców, największą otaczał pieczołowitością, prawie rzecz można, że padł przy pracy nad inscenizacją „Safony“ Grillparzera.

Jeżeli w jego miłości i trosce tuż obok tego prawdziwego austriackiego poety stał przybrany syn austriackiej Muzy, Fryderyk Hebbel, będący już daleko więcej sobą, niż Niemcem lub Austrykiem, to tłumaczy się również owym austriackim patryotyzmem Bergera. Wszak autor „Judyty“ urodził się wprawdzie w północnych Niemczech, ale żył długo i zmarł w Wiedniu. Więc Berger i jego niejako anektował dla Austrii, z dumą partykularysty austriackiego pragnął, by z Wiednia rozeszła się po całych Niemczech jego sława, by on zatem z tytułu „odkrycia“ bodaj uchodził za austriackiego poeę.

Określiwszy duchowy charakter Bergera nie wypowiedzieliśmy jeszcze najważniejszych refleksyi, jakie budzi jego zgon. Jest bowiem w tej śmierci niezwykley tragizm. Oto ten człowiek od dziesiątków lat uważał się i był przez innych uważany za predestynowanego dyrektora „Burgtheatru“, lecz prawie dziesiątki lat nie mógł nim zostać, a wreszcie, gdy nim został, ledwo działać począł, już śmierć go z tego zdawna wytęsknionego posterunku odwołała i to nie wśród sławy na zewnątrz a zadowolenia w własnej duszy, ale wśród surowej nieraz krytyki obcych i własnego rozgoryczenia.

Gdy w r. 1889 zmarł nagle dyrektor ces. teatru w Wiedniu, Förster, kulturalna opinia wskazywała na jego sekretarza, Bergera jako na jego następcę. Ale był on właśnie dopiero co ożeniony z p. Stellą Hohenfels, bardzo wybitną i bardzo lubianą artystką tejże sceny. To wydało się decydującym sferom szkopułem nie do zwalczania: obawiano się, że dyrektor będzie zbyt protegował swą żonę. Kierownikiem „Burgtheatru“ został najprzód Burckhardt, potem Schlenther, a kulturalna opinia ciągle wskazywała na Bergera, jako na predestynowanego ich zastępcę czy następcę. Daremnie. Berger poszedł do Hamburga i tu kierował nowym teatrem, z niemieckich jednym z najwybitniejszych, ale duszą ciągle, a ciałem bardzo często był w Wiedniu. Wreszcie gdy i Schlenther ustępując, na niego i tylko na niego,

jako swego następcę wskazał i gdy kogo innego znaleźć odpowiedniego nie można było, bar. Wilhelm Berger nareszcie został dyrektorem nadwornego teatru w Wiedniu (pani Hohenfels, jego żona, występowała odtąd na tej scenie jako „gość“). Sam powiedział wtedy, że zostaje nim za późno: już starszy, prawie że starzejący się, już schorowany, już długiem oczekiwaniem zmęczony.

Odrazu los go prześladował. Zanim objął swój urząd zmarły takie filary personelu jak Lewinsky i Sonmenthal, w pierwszym roku jego dyrekcji opuścił scenę i świat Römpler, w drugim Hartmann, a wreszcie główna, może jedyna już gwiazda „Burgtheatru“, meteor całej wogóle nowoczesnej sztuki aktorskiej w Niemczech—Józef Kainz! Gdzie znaleźć wypełnienie tych luk, gdy z jednej strony w Niemczech, jak obecnie wszędzie, wielkie talenty aktorskie są coraz rzadsze, a z drugiej Wiedeń i „Burgtheater“ dzisiaj już pod względem finansowym, a nawet i co do zadowolenia ambicji nie mogą sprostać berlińskiej, a nawet i monachijskiej konkurencji. A do tego trudności w repertuarze: tu od tego „predestynowanego“ dyrektora, który nareszcie zasiadł na tem krześle, wymaga się nadzwyczajnych rzeczy i to odrazu, od pierwszego sezonu, ba od pierwszego miesiąca. A gdy on ich nie daje, szepce się, nawet woła głośno: otośmy się zawiedli. On zaś tych „nadzwyczajności“ dać nie może, dlatego właśnie, że jest dyrektorem... cesarskiego nadwornego teatru w Wiedniu. Ze wszystkich dworskich teatrów na świecie ten jest najbardziej skrupowany. I to nietylko finansowo, chociaż i to jest ważna trudność, gdy płacąc drogo aktorom musi się oszczędzać na repertuarze t. zn. dawać z nowości przeważnie takie sztuki, które mogą się podobać szerokim masom, a zwłaszcza zamożnym rodzinom (dlatego np. Berger musiał jako „najwybitniejszą“ nowość swego ostatniego sezonu dać marną sztuczkę „Die fünf Frankfurter“, po naszymu „Pięciu milionerów“). Ale gorsze jest skrupowanie estetyczno-moralne. Wszak wiadomą jest rzeczą, że „Różę Berndt“ Hauptmanna musiano po drugim przedstawieniu zdjąć z afisza, bo jedna z arcyksiężnych czuła się zgorzowaną przedstawieniem nielegalnej miłości. I Berger był temi wszelakimi więzami skrupowany, a gdy jeszcze otoczenie rzuciło mu pod nogi kamienie zjadliwej krytyki, gdy sam był chory, padł wreszcie bez sławy.

Kto po nim nastąpi? Bo pytanie to jednak ma znaczenie nie tylko dla tej sceny i nietylko dla Wiednia. Chyba nie głośny Maks Reinhardt, bo dla tego mistrza czy fanfaronu inscenizacji

niema miejsca w nadwornym teatrze; i chyba także nie Otto Brahm, bo ten dawny rewolucjonista również nie godzi się z „cesarsko-królewskim“ charakterem tej sceny. Zapewne jakiś w najwyższych sferach dobrze widziany c. k. urzędnik ministerjalny. ¹⁾

*

*

*

Berger poszedł na tamten świat nie długo po najślawniejszym swym aktorze Józefie Kainzu. Jak długo będzie trwać pamięć o dyrektorze, dzisiaj jeszcze przewidzieć nie można; ale zato wie się już napewno, że pamięć o aktorze będzie trwała. W prologu do „Wallensteina“ przeszło sto lat temu Schiller wyrzekł zdanie, że „potomność aktorowi nie uwije wieńca“. Ceniąc wysoko dramatyczny geniusz twórcy „Zbójców“ wolno mieć już poważne wątpliwości co do uzasadnienia jego filozofii, a zwłaszcza tych jego myśli, które stały się ulotnemi cytatami. Kainzowi przynajmniej już teraz „potomność wije wieńce“. Ma pomnik na publicznem miejscu w Wiedniu, jedyny z aktorów, takim wspomnieniem tam zaszczycony, a obecnie wielbiciel jego p. Artur Eloesser wydał (u S. Fischera w Berlinie) jego listy do rodziców tak, jak gdyby Kainz był np. Goethem, a co najmniej jakim Schilerem. Swoją drogą czyta się ten dość duży tom z niemałym zajęciem. Przedmowa wydawcy niejednemu czytelnikowi wyda się zapewne nastrojoną na ton przesadnie panegiryczny. Gdy p. Eloesser np. charakteryzując istotnie niezwykle giętki — osobiście powiedziałbym nawet z odcieniem pewnej przygany: linoškoczkowy organ głosu Kainza, pisze, że „świat wydaje się zrabowanym, zubożałym, odkąd ten głos już nie brzmi, a to królewskie oko się zamknęło“ — to niewątpliwie spala zbyt wiele kadzidła. Ale same listy roztaczają barwny obraz tryumfów i zawodów, radości i rozdrażnienia, patosu i humoru, jakim młodziutki, jeszcze nawet nie dwudziestoletni aktor, darzy swoich pocziwych rodziców, interesujących się równie troskliwie jego artystyczną karierą, jak i rachunkami jego praczeki. Oczywiście dzisiaj jeszcze rozstrzygnąć niepodobna, czy już w blizkiej przyszłości ta książka zaciekawiać będzie jako zbiór listów Kainza właśnie, czy też czytać się ją będzie jako nieprzeznaczony pierwotnie do druku, a więc tem

¹⁾ W ostatniej chwili dowiadujemy się, że dyrektorem „Burgtheatru“ został... w braku innego kandydata, tamtejszy aktor Thimig. (P. aut.)

wiarygodniejszy autobiograficzny opis artystycznych początków rozgłośnego aktora w ogólności: zależy to będzie od liczby i rozmiarów „wieńców“, które „potomność wić będzie“ Kainzowi. W pierwszym wypadku ubolewać trzeba, że są one zbyt dykretne w tym właśnie punkcie, w którym pożądaną byłaby większa rozmowność i swoboda. Oto jak wiadomo, Kainz wszedł w bliższe, podobno nietylko artystyczne stosunki, z nieszczęśliwym a tak niesłychanie ciekawym królem bawarskim Ludwikiem II, łączącym w siebie i Peryklesa i Ludwika XIV francuskiego i—szaleńca. Kainz z pierwszego z nim spotkania i późniejszej wycieczki do Szwajcaryi, a raczej romantycznej wspólnej pielgrzymki po miejscach uświęconych schillerowskim „Wilhelmeim Tellem“, posyła wprawdzie matce listy, ale jest w nich, w przeciwieństwie do innych, mało mównym i poza kilkoma datami co do chwilowego pobytu, nie właściwie nie mówi. Potem zaś listy te na okrągły przeciąg jednego roku urywają się, chociaż właśnie na ten czas przypada i najściślejsze pożycie aktora z królem i nagłe ich zerwanie z sobą. Jako wrażenia bezimiennego niejako aktora przynoszą te listy mnóstwo charakterystycznych szczegółów do stosunków teatralnych na małych niemieckich scenach, z chwilą zaś, gdy Kainz dostaje się do sławnej trupy księcia Meinigen, kartki te stają się przyczynkiem do dziejów najświetniejszej epoki niemieckiego teatru w drugiej połowie ubiegłego stulecia.

*

*

*

Wymówiwszy nazwisko Ludwika II bawarskiego przypomniany sobie odrazu także i jego stosunek do Ryszarda Wagnera, dla którego nieszczęśliwy ten książę przez długi czas był jedyną ostoją i pomocą. Wagner jako twórca „dramatu muzycznego“ zawsze z równą słusnością zaliczanym być może zarówno do muzyki jak i do literatury, i dlatego i na tem miejscu trzeba rozpatrzeć sprawę, roznamietniającą dzisiaj cały niemiecki świat artystyczny i kulturalny i dzielącą go na dwa wrogie obozy. Mówimy tu o kwestyi, czy z końcem r. 1913 „Parsifal“ genialnego mistrza będzie mógł być przedstawiony przez wszystkie

teatry czy też będzie nadal zastrzeżony wyłącznie dla świątyni sztuki w Bayreuth.

Podstawę zagadnienia stanowią dwa z sobą sprzeczne fakty. Po pierwsze Wagner wyraźnie na piśmie oświadczył, że nie życzy sobie, by jego najznakomitsze dzieło granem było kiedykolwiek poza Bayreuthem, na scenach innych, uprawiających, jak się wyraził, niejednokrotnie „swawolę“; po drugie wiadomo jednak, że w trzydzieści lat po śmierci twórcy wygasają jego prawa autorskie, ponieważ zaś Wagner umarł w r. 1883, zatem w r. 1913 staną się wszystkie jego dzieła, a więc i „Parsifal“ dostępne dla każdego. Pomędzy temi dwoma sprzeczniemi faktami mógł Wagner swego czasu sam zbudować pomost: poprostu potrzebował tylko partyturę „Parsifala“ zachować w rękopisie, nie ogłaszać jej publicznie, a byłaby ona została własnością wyłączną jego, względnie jego rodziny. Nie uczynił tego tylko z materialnych względów—mniejsza o to: z konieczności czy z ochoty, zatem z tych samych powodów, dla których odstąpił od jednej z najkardynalniejszych swoich estetyczno-społecznych zasad: od bezpłatnego wstępu do teatru wzorem klasycznych czasów greckich. Wobec tego, że Wagner partytury „Parsifala“ nie zachował dla siebie wyłącznie, do r. 1913 może tylko Bayreuth to dzieło wystawiać, po r. 1913 musi się już pogodzić z konkurencją innych scen (jak się z nią pogodził np. odnośnie do „Pierścienia Nibelungów“, pierwotnie również tylko dla Bayreuth przeznaczonego). Taki, smutny czy wesoły, wniosek należałoby przynajmniej wysnuć z faktu istnienia prawa, zabezpieczającego literacką i artystyczną własność dzieła tylko przez trzydzieści lat po śmierci twórcy. Smutny to wniosek dla tych, którzy z zupełną słusnością twierdzą, że tylko w Bayreuth można „Parsifala“ przedstawić zupełnie w myśl intencji Wagnera, a już z inniejszą słusnością, a może i całkiem bez niej utrzymują, że „swawola“ innych teatrów nie pozwoli widzom dostatecznie przejąć się wzniosłością tego właśnie dzieła. Pod tym względem nie mają słusności, bo najprzód „swawola“ operowych właśnie teatrów nie jest znowu tak wielka, powtóre teatr zasadniczo polega na elastyczności nastroju i wykonawców i widzów: dzisiaj może być na scenie np. „Wesele Figara“, jutro „Parsifal“, ale z tego nie wynika, by na jutro pozostały w sali jakieś zaraźliwe bakcyle dzisiejszej „swawoli“, a ten sam aktor, który wczoraj grał w komedii szekspirowskiej może jutro z największą godnością podawać, jako Melvil, komunię Maryi Stuart, idącej na rusztowanie. Ten ostatni przykład wybrałem dlatego, że jest on najbardziej

pokrewny owym wzniosłym misteryom „Parsifala“, dla których Wagner chciał go wyłącznie dla Bayreuth zastrzedz. Otoż mniemam, że tę sprawę załatwić można tylko zasadniczo: albo się sądzi, że teatr jako taki jest wogóle nieodpowiedniem miejscem przedstawiania takich świętości i dlatego się mu je zabrania (jak to jest prawie wszędzie ze wspomnianą sceną z „Maryi Stuart“), albo też w przedstawieniu teatralnem takich misteryów nie widzi się nic zdrożnego, a w takim razie miasto, gdzie dany teatr się znajduje, nie może żadnej odgrywać roli. Wspomniany wniosek z faktycznego stanu rzeczy jest natomiast wesoły dla tych, którzy pragną, by to zapewne nie najlepsze, bo już nieco starcze, ale niewątpliwie najwznioślejsze dzieło Wagnera mogli oglądać wszyscy, jego wzniosłości spragnieni, a nietylko ci, którym czas, zdrowie, a zwłaszcza pieniądze pozwalają na odbycie nużącej i kosztownej podróży do Bayreuth i na dłuższy tam pobyt; jeżeli bowiem mistrz i jego rodzina teoretycznie postanowili utworzenie stypendyów dla niezamożnych pielgrzymów do Bayreuth, to w praktyce znaczenie tych stypendyów jest znikomo małe, a resztą nie każdy chce znieść upokorzenie przyjmowania zasiłku; faktem zaś jest 1) że właśnie niedawno podwyższono ceny wstępu w Bayreuth, 2) że w międzynarodowych tłumach „pielgrzymujących“ do Bayreuth jest dużo i snobów, mniej głęboko zapewne wnikających we wzniosłość „Parsifala“ i wreszcie 3) że niejedyn z bayreuckich wykonawców „Parsifala“ przedtem i potem bierze udział w przedstawieniu jakiej „swawolnej“ opery, a mimo to zdoła się do tego dzieła nastroić.

Ale smutny czy wesoły, miły czy niemiły taki wniosek wydaje się koniecznym. Mimo to obóz pani Kosimy Wagner, Siegfrieda Wagnera i ultra-wagneryanów pogodzić się nie może z tą myślą, że od r. 1913 według ogólnego prawa „Parsifal“ będzie mógł być grany przez wszystkie sceny, które go zagrać zechcą. Na prawo chcą ci wagneryani odpowiedzieć prawem, na ogólne prawo wyjątkowem prawem. Niech ogólne prawo mówi, że w trzydzieści lat po śmierci twórcy kończy się literacka własność jego spadkobierców, ale niech wyjątkowe prawo postanowi, że powyższa reguła odnosi się wprawdzie do wszystkich dzieł literatury i sztuki, tylko nie do „Parsifala“! Wygląda to na nierozum, a jednak jednym z najzagorzalszych popleczników tego projektu jest Hermann Bahr, który od czasu, jak jego żona, p. Bahr-Mildeburg śpiewa w Bayreuth, stanął na czele literackiego kultu Wagnera. Sprawa wchodzi temsamem na pole niemal-że polityczne, bo przecież wszystkie prawa—ogólne jak i wyjątkowe—uchwa-

la w państwach konstytucyjnych parlament, a więc w Niemczech Sejm Rzeszy. Czy tam znajdzie się większość dla takiej *lex Parsifal*? P. Bahr może nawet i o tem myśli, ale p. Bethmann-Hollweg — nie, a o sprawach politycznych w Niemczech decyduje ostatecznie nie mąż wagnerowskiej śpiewaczki, lecz kanclerz państwa... Ale—*posito sed non concessa*—przypuśćmy, że *lex Parsifal* w Niemczech zostaje uchwaloną, jaki z tego będzie skutek? Ten, że „Parsifala“ w Niemczech przedstawiać będzie mógł tylko Bayreuth, ale poza Niemcami każda scena, która tego zapragnie (już zresztą i tak przedstawiono go w New-Yorku i w Amsterdamie, przedstawiono może nieudolnie, lecz bez uszczerbku dla kultu Wagnera w ogólności). Bo o tem przecież nawet p. Bahr nie marzy, aby wszystkie państwa całego świata przyłączyły się do uchwalonej (?) w Niemczech ustawy wyjątkowej.

A morał tej całej tragikomedyi? Oto jeszcze raz stwierdzić można, że w świecie literacko-artystycznym stosunek publiczności do twórców i ich dzieł w Niemczech objawia się w dwóch skrajnych ostatecznościach: albo zupełna obojętność, albo fetyzizm. Jak jedni Goethego nie znają, a drudzy mają go za boga, jak do niedawna Kleista zupełnie lekceważono, a dzisiaj przesadnie bałwochwaleczą mu się cześć oddaje, tak jest i z Wagnerem, z tą chyba różnicą, że kto sam się wobec niego trzyma pewnej miary, zaraz przez bayreucki obóz zostaje napiętnowanym jako barbarzyńiec.

*

*

*

W chwili, gdy nowy sezon teatralny już się rozpoczął, należy przypatrzeć się tak poszczególnym pozycjom jak i ogólnemu bilansowi poprzedniego. Z pierwszych omówiliśmy dotychczas w naszych sprawozdaniach tegorocznych kilka zaledwie dramatów: Sudermanna „Żebraka syrakuzńskiego“, Hauptmanna „Ucieczkę Gabyriela Schillinga“, Dehmle „Michała Michaela“, Schnitzlera „Obszerną krainę“, oraz ciekawą jedynie ze względu na związaną z polskimi dziejami Klinggräfa „Bitwę z Tatarami pod Lignicą“. Z tych kamyczków jeszcze nie można sobie utworzyć mozaikowego obrazu ubiegłego sezonu teatralnego, nawet gdy się doda do nich najpopularniejszą w ostatnim czasie sztu-

kę, wspomnianych „Pięciu milionerów“, na szczęście znanych już naszym polskim czytelnikom („na szczęście“ nie dla czytelników, ale dla podpisanego, który dzięki polskim przedstawieniom tej może i miłej, ale napewno pospolitej błahostki, zwolnionym jest od omawiania jej na tem miejscu).

Do pełności obrazu potrzeba jeszcze dołączyć kilka nazwisk znanych i u nas, a może i niejedno, nieznanne w Polsce. Owszem te ostatnie będą tym razem nawet niewątpliwie ciekawsze. Ze znanych bowiem najgłośniejsi: Bahr, Halbe i Fulda wystąpili w tym roku z dramataми, których rozbiór jest wprawdzie tutaj potrzebny, ale nie w oczekiwaniu, jakoby stwierdził ukazanie się nowych arcydzieł, lecz w niezawodnej pewności, że odsłonią się przytem charakterystyczne cechy aktualnego stanu tak twórczości danych autorów jak i całego piśmiennictwa niemieckiego.

A więc najprzód p. Hermann Bahr. Jeżeli chodzi o „najostatniejszą“ chwilę, to absorbuje go głównie, jak widzieliśmy, kampania w sprawie „lex Parsifal“, ale przedtem, w „ostatnich“ czasach Bahr począł się „zagłębiać“ w zagadnienia polityczne, a chociaż rozwiązać ich oczywiście nie umie, to jednak nieraz przyznać mu trzeba, że poddaje dyskusyi tematy rzeczywiście ważne i ciekawe. Ale w najnowszym swoim dramacie z tych wyżyn poważnej, chociaż paradoksalnej dyskusyi politycznej schodzi do nizin dziennikarskich notatek i plotek. Może ten i ów z czytelników przypomina sobie, że berliński dyrektor policyjny, znienawidzony przez liberalne taintejsze koła p. von Jagow, był mimowoli bohaterem przygody *quasi* miłosnej. Że o tem pisały dzienniki, to jest naturalnem, że nie pominęły tego skandalu pisma humorystyczne, również nie dziwnego; ale że pisarz tej bądź co bądź miary, co Bahr, to wydarzenie używa za punkt wyjścia swego scenicznego dzieła, to już mniej zrozumiałem musi się wydać. A Bahr przywiązuje widocznie pewną wagę do tej „komedyi“, nie tylko bowiem wplata w nią tak poważne motywy, jak przeciwieństwo agrarnych i mieszczańskich interesów, ale nawet postarał się o to, by premiera odbyła się w przeddzień ostatnich wyborów do sejnu Rzeszy, przypisując zapewne swemu utworowi skuteczność w namiętnie rozwiniętej akcji przedwyborczej. Chcąc jeszcze żywiej przemówić do... serca obywateli berlińskich, autor nie zawahał się nawet przed tak wyraźnem zlokalizowaniem „komedyi“, że wygląda ono prawie na reklamę pewnych przedsiębiorstw gospodnych: lokal śniadankowy, w którym się rozgrywa pierwszy akt, to firma Borchardt, hotel, będący miejscem akcji trzeciej odsłony, to „Adlon“.

W „Weselu Figara“ śpiewa się o „małym tańcu“, na który pozwala sobie hr. Almaviva. Stąd pochodzi nieco dziwaczny tytuł komedyi Hermana Bahra „Das Tänzchen“ (wydana w Berlinie u S. Fischera). Właściciel dóbr Joachim von Biest-Zeser major w rezerwie, postawił w poprzedniej kadencji parlamentu wniosek o uchwalenie prawa przeciw demoralizacji. Niestety „lex Biest“ narazie nie została przyjęta. To jeden powód więcej dla wnioskodawcy, by starać się i przy obecnych wyborach usilnie o mandat dla siebie i dla swoich konserwatywno-agrarnych przyjaciół politycznych, jak tajny radca, profesor uniwersytetu, landrat, prałat i wreszcie zięć *in spe*, asesor rządowy dr. James Lavin, z imienia Anglik, z pochodzenia... Żyd. Wezwanie rządu do pomocy, wezwanie partii do agitacji, propaganda „lex Biest“, interesa agrarne: oto program polityczny, który gospodarz rozwija wobec swoich gości w winiarni Borchardta. Naturalnie od razu się przewiduje, że Bahr zamierza zdemaskować Biesta na tem polu, na którym człowieka najłatwiej zdemaskować: pan Biest, surowy cenzor moralności, musi być widzom pokazany na manowcach moralności, oczywiście erotycznych. Nie łatwiejszego, jak wymyśleć jakąś panią Heydt, pozornie nauczycielkę muzyki w domu Biesta; ona będzie tą Dalilą, u której stóp legnie Samson, by stracić... nie włosy, bo zapewne błyszczy już łysiną, ale opinię nieposzlakowanego Katona, a może i mandat poselski. A więc czuła scena u pani Heydt, pan Biest nieco roznegliżowany i w stanowczej chwili fotograf, który tę scenę uwieczni. Wszystko to jest u Bahra, nawet z dodatkiem „pieprznego sosu“. Już u Borchardta Biest skarżył się na bezczelne podburzanie wyborców jego okręgu przez rewolwerowe piemko, redagowane przez niejakiego Pawła Windla, spekulującego tylko na większą liczbę ogłoszeń. Otóż niechże rzekoma pani Heydt będzie w rzeczywistości panią Windel, żoną Pawła, a on sam niech będzie owym „politycznym“ fotografem. Autor ma teraz bajeczną sposobność skonstrastowania właściciela dóbr z agentem od ogłoszeń: „Mój Boże, jakim ja mógłbym być właścicielem dóbr rycerskich!“ woła w ekstazie agent od ogłoszeń, ucząc żonę, jak ma „uwodzić“ Biesta; „nie myśl, Klaro, że ja nie mam moralnego gruntu! Mam go cały zapas! Tylko nie mogę go użyć! Muszę sobie najprzód umożliwić zostanie porządnym człowiekiem. A łatwo to nie przychodzi. Niech tylko stanę pewną nogą, a zobaczysz, jak wyszlachetnieję“. Istotnie trudno jest doprowadzić Biesta do wiadomej pozycji, dogodnej dla fotografa. Ale wreszcie się to udaje, i Windel „staje już pewną nogą“ i może rozpocząć proces „szlachetnie-

nia". A więc próba tego, co w języku zwykłych ludzi zwie się szantażem: jeżeli Biest nie chce, by fotografia była natychmiast w jego okręgu wyborczym opublikowana, musi zrzec się kandydatury i porzucić zamiar wydania córki za Lavina. Oba warunki wymagają objaśnienia, bo w pierwszej chwili nie wiadomo, co na tem Windel zyska. A więc: *ad 1.* Windel zaraz wezwie w swoim dzienniczku Biesta, aby się o mandat nie ubiegał; Biest posłucha tego wezwania, kandydaturę cofnie, a Windel urośnie do rozmiarów potęgi politycznej, dzięki czemu pismo będzie miało co najmniej o dwie strony więcej ogłoszeń niż dotychczas; *ad 2.* otóż to trudniej wytłómaczyć, chyba przypuszczając, że Windel istotnie „szlachetnieje“, a ponieważ Klara, nauczycielka panny Biest, powiedziała mu, że panna nie kocha swego narzeczonego, więc Windel łącząc *utile cum dulci* za jednym zamachem opiekuje się i ogłoszeniami swego pisma i czułem sercem panny Biest. Jej ojciec oczywiście *volens volens* warunki Windla przyjmuje. Wtem zjawia się u niego stary Lavin, ojciec niedoszłego zięcia, fabrykant bajecznego środka na porost włosów, rozgłośnego „lavinolu“. I on w dłuższej rozmowie przekonywa Biesta, że nawet na wypadek opublikowania wiadomej fotografii przez Windla, nie ma się czego obawiać, nie skompromituje się, nie będzie wcale zmuszony do wycofania swej kandydatury, przeciwnie okaże tylko, że „homo sum“ etc., i ujawnieniem ludzkiej słabości zbliży się raczej do swoich wyborców; owszem będzie nawet mógł skorzystać z napaści Windla, wskazać na to, jak źle się dzieje w społeczeństwie, skoro najzasłużeńszy patriota nie może sobie pozwolić na chwilkę swobodnej pogawędki z piękną kobietą. Biest jest zupełnie przekonany. Inaczej jest może z czytelnikiem, ale o to mniejsza, bo ostatecznie wcale nie nadchodzi chwila, kiedy możnaby stwierdzić słuszność lub niesłuszność argumentacji Lavina: Windel bowiem zrzeka się wszelkiej akcji przeciw Biestowi, gdyż Lavin angażuje go za wysoką płacą, jako agenta od „lavinolu“.

To końcowa *pointe'a* sztuki, która w książce zwie się pretensjonalnie „komedią“, a na afiszu teatralnym nosiła podobno skromniejsze miano farsy. Dowcip ani nie przedniej jakości, ani nie obfity, werwa satyryczna bardzo słaba, charakterystyka osób płytka, sytuacje niezbyt zręczne i pospolite, wszystko razem nie bardzo godne nazwiska autora, którego przecież przywykło się widzieć w pierwszym szeregu niemieckich pisarzy dramatycznych. I dlatego, jako dowód dekadencji rozgłośnego i u nas autora, rzecz znalazła tutaj dokładniejszą ocenę.

Obok Hermana Bahra stanął i w tym sezonie teatralnym Ludwik Fulda, który jednak, pominąwszy krótką wycieczkę w kierunku dramatu naturalistycznego (w „Niewolnicy“) pozostał sobie wiernym i ze szczególnem upodobaniem umieszcza swoje sztuki na tle renesansu. Pojmuje go zapewne powierzchownie: wyłącznie jako sposobność do pokazania barwnych kostyumów, popisania się wierszowaną formą i usprawiedliwienia wielu nieprawdopodobieństw, niemniej wszakże do dziś dnia jest jednym z najwybitniejszych, a właściwie jednym z nielicznych przedstawicieli niemieckiej komedii sytuacyjnej. I tym razem widzowie jego „Korsarza“ („Der Seeräuber“), niewątpliwie bodaj chwilami bardzo wesoło się bawili.

Gdzieś w Hiszpanii, oczywiście w Andaluzji, bo tam są najbardziej malownicze kostyумы ludowe, żyje sobie w małym miasteczku spokojny, aż nadto spokojny obywatel, Pedro Vargas z młodą żoną, Manuelą. Jemu jest dobrze, chociaż astma go męczy, żonie już gorzej, bo pan mąż jest nazbyt poważny i najdrobniejszą wesołość uważa za obrazę boską i głupstwo. Zdradźmy od razu tajemniczą przyczynę tej nadmiernej powagi Pedra: jest to nawrócenie starego grzesznika, bo Vargas był do niedawna korsarzem, zwał się Estornudo, był postrachem całej Hiszpanii, opiewanym przez pieśni ludowe; korzystając z tego, że raz jego okręt uległ rozbiciu i rozeszła się wieść o śmierci rozbójnika, korsarz, zabrawszy schowane w ukryciu pieniądze, stał się jakby powiedział nowoczesny socjalista—„burżujem“, osiadł w miasteczku, ożenił się, nie wyznając nawet przed żoną ani swego nazwiska, ani swej przeszłości. Pomysł Fuldy jest bardzo zabawny i ostatecznie w krotchwili dopuszczalny. Że pani Manuela przy takim nadmiernie porządnym mężu trochę się nudzi, to także jest wcale prawdopodobne; mniej już sposób, w jaki zechce się rozbawić. Do miasteczka przybywa wędrowny kuglarz, wielki biedak, bo w jego budzie zawsze jakoś jest pusto. Nie wiecie się Serafinowi i teraz, aż wpada na pomysł, by znęcić widzów przybraniem nazwiska jakiego sławnego człowieka, zwłaszcza jakiegoś romantycznego bandyty, ot np. najsławniejszego z nich: Estornuda. To już jest dziwny zbieg okoliczności, ale w krotchwili podobne zewnętrznie tylko nieprawdopodobne wydarzenia, są dozwolone. Wieść, niby to pocichu rozsiewana, że do miasteczka przybył w przebraniu kuglarza głośny korsarz, dochodzi i do Manuely, która nie tylko wraz z innymi chce go zobaczyć i spieszy do jego budy, ale nawet oddaje mu się w zupełności i chce z nim uciekać, naturalnie nie zapomniawszy o zabranii ma-

jątku męża. Te romantyczne amory Manuela są już gorszem, bo psychologicznem nieprawdopodobieństwem, wzbronionem nawet krotchwili. W „Les Romanesques“ Rostanda dzieje się podobnie, ale nieco odmiennie: tam są dzieci, tam niema dorosłej mieszczy; dzieci dają się brygantom porwać, dorosłe zameżne mieszczyki nie uwodzą korsarzów. Co po tem następuje, to szereg zabawnych awantur, u których kresu Pedro i Serafin zrzucają z siebie maskę: pierwszy wyjawia, że był niegdyś rozbójnikiem, drugi spowiada się, że nim nigdy nie był. Zakończenie, jak na krotchwilę jest trochę za poważne, bo najprzód Pedro za swą przeszłość dostaje się do więzienia, a powtóre Manuela, mimo że się przekonała o kłamstwie kuglarza, zostaje przy nim. Ten ostatni zwrot zdolny jest nawet zachwiać zasadniczymi podstawami krotchwili, bo ostatecznie okazuje się, że Manuela nie zamieniła poważnego męża na romantycznego bohatera, ale tylko astmatyka na młodego i zdrowego. Uczuciem niesmaku kończy się więc „Korsarz“ Fuldy, chociaż przedtem dał czytelnikom i widzom kilka szczerze zabawnych scen.

Gdy Maks Halbe ogłosił niedawno powieść „Czyn Dietricha Stobäusa“ (omawianą przez nas w jednym z poprzednich sprawozdań); panowało powszechne mniemanie, że oznacza ona stanowczy i trwały zwrot autora od twórczości dramatycznej do powieściopisarstwa, sądzono, że znużony już i zniechęcony tyloma klęskami w teatrze, zaprzestanie zupełnie dalszych prób scenicznych. Można było tak przypuszczać, zwłaszcza dlatego, że romans pozyskał zarówno surowych krytyków, jak i mniej wymagającą publiczność. Tymczasem stało się inaczej. Halbe pokusił się znowu o laury poety dramatycznego, a z wrodzoną przekorą dał tym razem nie dramat współczesny, do czego bardziej zdawał się być uprawnionym, ale sztukę historyczną. Czasy wojny trzydziestoletniej i kończącego ją wreszcie pokoju westfalskiego występują tutaj zapewne nie ze wszystkiemi, ale z kilkoma najcharakterystyczniejszymi swemi cechami: a więc generałowie, pochodzący z nizin społecznych, a własną dzielnością i faworem fortuny wznoszący się w górę, dzikość spustoszenia z gwałtami na bezbronnej ludności, zwłaszcza na kobietach, średniowieczne zabobony, szczególnie wiara w rozmaite talizmany, które posiadacza czynią nietykalnym dla kul (wszak sam „bóg wojny“ Wallenstein miał tę cudowną właściwość posiadać), a jeśli jako przeciwwaga tych ponurych obrazów pokazany jest wesóły świat kuglarzy i wędrownych komedyantów, to i w tem niema bynajmniej zaprzeczenia historycznej prawdzie.

W dramacie Halbego p. t. „Pierścień kuglarza“ („Der Ring des Gauklers“, wydane w Monachium u A. Langena) generał Henning Schwartz jest taką typową postacią z czasów wojny trzydziestoletniej: syn zamkowego strażnika bił się i hulał z mocą i brutalnością. Teraz na stare lata, po skończonej wojnie wraca w rodzinne strony, w okolice frankońskiego zamku Eldringen. Jego panią jest wdowa Zuzanna. I ona nie urodziła się w magnackiej kołysce. Dziewczyną dostała się w ręce żołdaków, przechodziła od jednego do drugiego, była i Schwartza własnością, aż wreszcie wziął ją pan zamku Eldringen, by uczynić z niej swą żonę. Teraz spotyka się ona przypadkowo z generałem. Smutny on i niespokojny, bo boleje nad stratą drogocennego przedmiotu, który niegdyś posiadał. Oto w czasie wojny ukazał mu się raz w obozie szatan w swej własnej postaci i ofiarował mu na sprzedaż cudowny pierścień, który czynił go bezpiecznym przed pociskami kul. Schwartz kupił ten pierścień za drogie pieniądze i droższą jeszcze cenę zapisania swej duszy dyabłu. Dotąd jesteśmy zupełnie zgodni z epoką; że to był oczywiście nie szatan, ale zręczny kuglarz, to „stylu“ oczywiście nie psuje, bo naturalnie i w XVII stuleciu nie brakowało sprytnych oszustów, którzy korzystali z ludzkiej łatwowierności, ale było równocześnie wielu takich, którzy te szalbierstwa brali na seryo. Lecz Halbe w dalszym ciągu tłumaczy ten „pierścień kuglarza“ racjonalistycznie i nowocześnie: oznacza on symbol, jest talizmanem wiary w siebie, we własne siły, w gwiazdę swego szczęścia. Dopóki generał ten pierścień posiadał, dobrze mu się wiodło, bo wierzył w siebie—utraciwszy pierścień stracił tamtą wiarę; chcąc ją odzyskać, musi odszukać zagubiony pierścień. I w tej symbolicznej jest sfalszowanie ducha epoki, jest główna, a mojem zdaniem, i jedyna ważna wada udatnego zresztą dramatu. Schwartz opowiada Zuzannie o stracie pierścienia; ona, kochając go, chce mu dopomóc, a ponieważ ma na swoim zamku niejakiego Hüffa, nawpół uczonego, nawpół czarnoksiężnika, żąda od niego, by z pomocą czarnej magii odnalazł pierścień. Hüff, lubieżnie pożądający Zuzanny, godzi się spełnić jej żądanie, jeżeli ona wzamian za to odda mu się na całe życie; ona chociaż ze wstrętem, przyjmuje ten warunek, byle uratować kochanka. I tego momentu nie można nazwać szczęśliwym; można go oceniać z poważnej strony, a wtedy Zuzanna jest zbyt już poważną i doświadczoną osobą, aby na wzór naiwnych zastraszonych panienek padać ofiarą lubieżnika; można też cyniczniej się na tę sprawę zapatrywać, a wtedy Zuzanna, która przecież już przez tyle rąk przeszła, nie

potrzebuje znowu staczać takiej straszliwej walki wewnętrznej, zanim jeszcze jednego mężczyznę swemi, trochę zresztą już przekwitającymi wdziękami, uszczęśliwi. W końcu następuje jednak zdemaskowanie oszusta: wychodzi na jaw, że owym szatanem z przed laty był właśnie Hüff, który takie pierścienie „en masse“ fabrykował; a zresztą Schwartz, dowiedziawszy się, jaką cenę ma Zuzanna za ten talizman zapłacić, odrzuca go precz, bo i tak już odzyskał wiarę w siebie.

W streszczeniu nie uwzględniło się bogatej epizodycznej fa-buły sztuki, chociaż jest ona rzeczywiście charakterystyczną i da-je barwny obraz epoki. Ale wspomnieć trzeba o tem, że autor i tutaj, zresztą zupełnie „mal à propos“ daje upust swojej zna-nej zresztą niemal ze wszystkich poprzednich utworów, nienawi-ści i wzgardy dla Polaków. W epizodycznej scenie ulicznej wy-stępują dwaj żebracy, z których jeden „mówi polskim akcentem“ i od swego towarzysza otrzymuje wykwińtue przezwisko „drecki-ger Pollack“. Ten... nasz rodak opowiada, że jest polskim szlach-kiem, walczył za ojczyznę przeciw Rosyanom, Turkom i Szwed-om, stracił prawe ramię, zamek, pieniądze i żonę, „piękną żo-nę“, i prosi teraz „szlachetnych Niemców“ o jałmużnę, chociaż przed chwilą złorzeczył losowi, że żebrac musi „bei verfluchte Niemiec“. Z polskiego stanowiska można wzruszyć ramionami na ten nowy dowód złośliwości autora, z ogólniejszego nie podobna w uporezywem powtarzaniu tych złośliwości nie widzieć jakiegoś patologicznego zбочenia.

Te trzy dramaty Bahra, Fuldy i Halbego, łącznie z omó-wionemi już dawniej sztukami Dehmela, Hauptmauna, Schnitzlera i Sudermanna składają się na obraz twórczości starszej genera-cyi autorów dramatycznych niemieckich. Aczkolwiek nie brak wśród nich zapewne objawów szczerogo, czasem nawet wybitne-go talentu, to jednak zrozumiałem się wyda, że krytyka literac-ka tamtejsza poczyną się coraz niespokojniej rozglądać na wszyst-kie strony, czy nie zjawi się na dramatycznym horyzoncie jaka świetna nowa gwiazda, mogąca rozświecić grozący dramatowi nie-mieckiemu mrok w niedalekiej przyszłości, gdy ci starsi staną się już zupełnie starymi. Jak przeszłego roku dopatrzono się, może poniekąd z pomocą szkieł powiększających, takiej nowej gwiazdy w osobie Edwarda Stuckena, autora trylogii o św. Grału, znanej czytelnikom z jednego z naszych poprzednich sprawozdań, tak obecnie ma nią być Hans Kyser, jak przypominamy, inicjator owej nagonki na „Fundacyę Schillera“, jednego z epizodów walki starych z młodymi.

Hans Kyser wystąpił obecnie jako autor dramatu p. t. „Ty-tus i Żydówka“ („Titus und die Jüdin“, wydane u S. Fischera w Berlinie). Fizjognomia tego rzymskiego monarchy może zaciekawiać psychologa, a więc i poetę. To, co się o nim z histo-ryi pamięta, składa się na niejednolity obraz: z jednej strony, za-nim został cesarzem, wsławił się strasznym pogromem Żydów i zburzeniem przestawnej świątyni jerozolimskiej, z drugiej na tronie zwanym był „amor et deliciae generis humani“; epoka, w której żył, pociąga ku sobie, bo wszak jest to część okresu de-kadencji Rzymu, a tragiczny wybuch Wezuwiusza rozświeca ją krwawym blaskiem. Kyser, zdaje się, przedewszystkiem posta-nowił scharakteryzować ogólne tło historyczne, a niektóre ustę-py jego dramatu są powtórzeniem obrazu z „Irydyona“: „Już się ma pod koniec starożytnemu światu — wszystko, co w nim żyło, psuje się, rozspręga i szaleje—bogi i ludzie szaleją“. „Motłoch i cesarz—oto jest Rzym cały!“ W słowach może aż nadto wymo-wnych kreśli poeta obrazy Rzymu, gdzie cesarz Vitellius zwie-rzęco spity wyprawia brutalno-groteskowe awantury na ulicach Romy. Na tem tle Tytus: jeszcze nie cesarz, jeszcze tylko rzym-ski wódz, oblegający Jerozolimę, stojący przed ostatecznym szturmem na miasto. Drugi obraz dekadencji: ostatni król żydowski, Herod Agryppa II, niegodny tego stanowiska, opanowany kazi-rodczą chucią do własnej siostry, naród cały spodlony, w walce stronnictw wzajem się pożerający, tchórzostwo swe zasłaniający bluźnierstwem, jakoby obcy najeźdca był upragnionym przez pro-roków Mesyaszem, a tylko tu i ówdzie iskra dawnego zapału ro-du Machabeuszów. Słowem, tło i samo przez się bardzo zajmu-jące i bardzo wyraziście podmalowane. Nawet sam bohater, jako charakter, szczęśliwie ujęty: szlachetny z natury, podłością pogar-dzający, rwący się do prawdziwej wielkości, ale widokiem ota-czającej go małości do takiego obrzydzenia doprowadzony, że z rozpaczą woła: „Szalęństwem jest wszelka wielkość człowieka“. Jak często w niemieckiej poezyi dramatycznej, tak i tutaj widzi-my bohatera, postawionego między dwiema kobietami: z jednej strony narzucająca mu się bezwstydlie Berenice, owa siostra Agryppy, o której historia mówi, że była istotnie kochanką Ty-tusa i byłaby nawet została jego prawowitą żoną, gdyby nie opór Rzymian, pogardzających Hebrejką, z drugiej tragiczna postać Żydówki z ludu, w której żyłach płynie bohaterska krew matki Machabeuszów lub Judyty, tą wielkością pociągająca ku sobie przyszłego cesarza. I gdyby był Kyser ten psychologiczny kon-flikt jasno narysował, nie topił go w morzu odurzających kwia-

tów i osłepiających blasków retoryki, dramat jego miałby wysoką wartość, niestety jednak zamiłowanie do obrazowości unosi poetę tak, iż rzecz, która rozpoczęła się dwoma obrazami: spalonego Rzymu i spalonej Jerozolimy, kończy się również nie tyle dramatycznym, ile teatralnym obrazem pożaru świątyni jerozolimskiej, na wymuszony rozkaz Tytusa.

Do młodych należy niewątpliwie także Paweł Eberhardt. Bo młody chyba tylko poeta mógł się odważyć na napisanie po Ryszardzie Wagnerze dramatu o Tannhäuserze. Prawda, że Eberhardt osłabił sam nieco zuchwałość swego przedsięwzięcia, zarzucając z podania o mitycznym Tannhäuserze wiele rysów, które w niem się utrzymały aż do Wagnera włącznie. A więc zniknęła bez śladu postać cnotliwej siostrzenicy turyngskiego landgrafa, Elżbiety, niema ani papieża, ani Wolframa z Eschenbachu, został tylko sam Tannhäuser i „Frau Venus“, ta ostatnia jednak samodzielnie przez nowoczesnego poetę pojęta i przetworzona: już to nie „Venus vulgivaga“ tylko, uosobienie pospolitej lubieżności, ale i „Venus urania“, za najwyższymi gwiazdami tęskniąca. Oczywiście ducha średniowiecznego podania w tem wszystkim już się nie odnajdzie, raczej reminiscencye z Byrona i francuskich romantyków, reminiscencye tem żywsze, że przywodzi je na pamięć także postać Lucypera. „Tannhäuser“ Eberhardta (wydany w Lipsku u H. Haessla) przypomina jednak równocześnie i „Zatopiony dzwon“ Hauptmanna. Jak tam mistrz Henryk waha się pomiędzy kobietą z krwi i kości, pocziwą Magdą, a uroczą rusałką Rautendelein, tak samo Tannhäuser stoi pomiędzy żoną Inge a „Frau Venus“. Z krzyżowej wyprawy wrócił ze wzmożonym wrodzonym niepokojem w sercu: już mu za ciasno w rodzinnem domostwie, duch jego rwie się w jakieś nieznanne światy. Z kaprysu, by zadowolić matkę, która pragnie jego ustatkowania się, posłubia pierwszą lepszą kobietę, ale wnet ją bez słowa pożegnania porzuca i w tajemniczej grocie górskiej znajduje się w objęciach czarodziejki Venus. Lecz i w jej śnieżnych ramionach nie zaznaje spokoju. Jeżeli w średniowiecznym podaniu i u Wagnera powodem porzucenia kochanki jest przesył zmysłowej namiętności, to Eberhardt wprowadza odmienny motyw. Oto Venus kocha wprawdzie Tannhäusera, dla niego odtrąca demoniczne zaloty Lucypera, dusza jej jednak rwie się jeszcze wyżej, ku Bogu, którego kocha także zmysłowo, którego wzywa w objęciach Tannhäusera. Kochanek opuszcza ją nie z przesyty, ale z zazdrości, i wraca chory i bezprzytomny do domu, do żony. Tu powoli odzyskuje zdrowie i spokój, ale prowadzona przez Lu-

cypera Venus odnajduje go, na nowo wzburza, pobudza do zamordowania żony, u której zwłok sam martwy pada. I tutaj, jak u Kysera, trzeba było istotny dramat wyłuszczyć z łupiny, uwolnić od przesadnie wybujałych ozdobnych arabesek.

Pochodzenie tej metody czy manieri nadmiernego obrazowania jest jasne: wywodzi się ona od d'Annunzia, a na grunt niemiecki przeszczepił ją Hugo Hofmannsthal. Jego uczniami są niemal wszyscy dzisiejsi niemieccy młodzi poeci dramatyczni tak Kyser, jak Eberhardt, jak również trzeci z nich, Franciszek Dülberg. Tego ostatniego nazwisko stało się w ostatnich czasach rozgłośnem głównie dzięki walce, jaką surowsza w Niemczech, niż u nas cenzura teatralna, prowadzi przeciw jego — starszemu już zresztą — dramatowi „Sznurek koralii“ („Korallenkettlin“) rozgrywającemu się na istotnie drażliwym gruncie średniowiecznej miejskiej dzielnicy sprzedanej miłości, ale poza tem posiadającemu rzeczywiste dramatyczne napięcie. Dülberg wystąpił w ubiegłym sezonie oprócz tego z nowem dziełem, śladami Hofmannsthala już pod tym względem idącym, że opracowuje motyw z barokowego wieku XVII.

„Cardenio“ Dülberga (wydany w Berlinie u E. Fleischla i Sp.) ma za sobą wcale poważną tradycję literacką. Osnowa tej sztuki zaczerpniętą jest bowiem ze starej hiszpańskiej noweli „La fuerza del desenyano“, którą pod tytułem „Cardenio“ w niemieckim piśmiennictwie poraz pierwszy udratyzował Andrzej Gryphius, ów przez współczesnych i następny jeszcze wiek za znakomitość uważany niemiecko-ślązki poeta z XVII stulecia, podlegający wpływom Seneki, a zbliżony również duchowo jeżeli nie do samego Szekspira to do jego współczesnych jak Krzysztof Marlowe. W bliższych nam czasach odnowili ten motyw romantyczny Achim von Arnim i Karol Immermann.

I rzeczywiście, wchodzimy tu w świat iście romantycznej wyobraźni. Oto hiszpański student bolońskiego uniwersytetu, Cardenio de Bejar kocha Olimpię, córkę rektora wszechnicy don Prospera Brandani. Ale wyjątkowo nieśmiały młodzieniec nie śmie skorzystać ze sposobności i do ubóstwianej się nie zbliża. Wkrada się do niej natomiast w nocy ktoś inny, kogo ona za Cardenia bierze, i pozbawia ją dziewictwa. Więść o tem wnet się po mieście rozchodzi, nikt nie chce poślubić shańbionej, sam Cardenio od niej odstępuje. Jeden tylko hr. Lissandro Salvestri zgłasza się do jej ręki, zostaje jej mężem i wtedy wyznaje jej, że to on wówczas w jej pokoju się ukrył. Motyw to w sztuce najbardziej nieprawdopodobny, bo pomijając już fakt, że społecz-

ne stanowisko hrabiego—jest on senatorem i sędzią—nie bardzo licuje z tego rodzaju przygodami, to poeta przedstawił go jako człowieka tak szlachetnego, że trudno pojąć, jak mógł popełnić taką podłość. Olimpia, która dotychczas podejrzewała o nią Cardenia, teraz poczuwa się do obowiązku powtórzenia mu wyznania męża, zarazem jednak odbiera od niego przysięgę, że z tego wyznania nigdy użytku nie zrobi. Chłopak zrozpaczony łączy się z kurtyzaną Celindą Ranieri, która tak go kocha, że dla niego porzuca swój zawód, wstępuje na drogę cnoty. Ale Cardenio nie może zapomnieć Olimpji, a gdy się dowiaduje, że ma ona wkrótce zostać matką, postanawia za wszelką cenę wtargnąć do jej sypialni, tutaj niespodziewanie się jej ukazać i tak wryć się tem zjawieniem w jej pamięć, ażeby dziecko miało jego a nie hrabiego rysy. W tym celu daje się uwieść rozkochanej w nim do szaleństwa służącej Olimpji, Stelli — sytuacja znowu bardzo naciągnięta—i za tę cenę dostaje od niej klucz od alkowy jej pani. Oczywiście następuje tu spotkanie nie tylko z kochanką ale i z jej mężem tak, że jego wynikiem jest katastrofa: Cardenio zabija Lissandra, a potem sam siebie. Olimpia zrazu chce również popełnić samobójstwo, lecz zmienia zamiar: żyć będzie dla mającego się narodzić dziecka, które będzie dzieckiem Cardenia a nie Salvestriego, bo chociaż poczęła je w objęciach hrabiego, to myślała wówczas, że ją Cardenio nawiedza. Okazuje się zatem, że hiszpański student zupełnie niepotrzebnie urządził owo włamanie się do sypialni Olimpji, bo — *posito sed non concessa*,— że autor ze swoją teorią kształtowania się fizjognomii człowieka ma rację—dziecko i tak byłoby do Cardenia podobne. Ponieważ zaś autor o tem wszystkim wiedział przed napisaniem owej sceny w sypialni, a mimo to ją napisał, wygląda to na wprowadzanie czytelnika w błąd. Czytelnik na tem z łatwością się spostrzeże, widz teatralny już mniej i dlatego dramat Dülberga w poszczególnych scenach zresztą bardzo silnie zbudowany, miał podobno w teatrze nadzwyczajne powodzenie. Wydał się tam też zapewne samodzielniejszym, niż w czytaniu, gdzie można wykazać nie tylko jego zależność od Gryphiusa i romantyków, ale i śledzić wpływ Ibsena, od którego Dülberg wziął zamiłowanie do niewyjaśnionych naukowo-fizjologicznych problemów, naszym zdaniem, nie dających się rozwikłać w dramacie.

Przegląd dramatów tych trzech pisarzy, Kysera, Eberhardta i Dülberga wykazał wielką skłonność młodych autorów do tła historycznego. Myliłby się jednak, ktoby widział w tem rzetelny zwrot do historyzmu; przeciwnie tym „modernistom“ cho-

dzi jedynie o postawienie akcji, zazwyczaj bardzo jaskrawej a przez to nieprawdopodobnej, na tle przeszłości, w ich mniemaniu dzięki oddaleniu od nas dopuszczającym wyolbrzymianie, że nie powiem karykaturę pewnych zasadniczych elementów dramatu. Stąd powstaje niemal zawsze sprzeczność treści z formą idei, z jej zewnętrzną szatą; tamta jest ultra-nowoczesna, ta pozornie bardzo historyczna. Trzeba jednak przyznać i to, że dzisiejszy dramat niemiecki w podobnym postępowaniu może się snadnie powoływać na przykłady z ojczyściej przeszłości — zwłaszcza na Hebbła,—i to także, że owa sprzeczność ujawnia się i w innych modernistycznych literaturach dramatycznych, że wspomnimy tu tylko np. staro-greckie dramaty Wyspiańskiego, szczególnie o Achillesie i Odyssie.

Różnica zachodzi w danym wypadku chyba ta tylko, że modernistyczny dramat polski wlewa do tych historycznych naczyń treść i ideę zapewne nieraz obcą opisywanym zewnętrznie czasom, ale zato tak bliską naszej, dzisiejszej epoce, podczas gdy modernistyczny dramat niemiecki niemal bez wyjątku wykracza wprawdzie taksamo poza granicę historyzmu, równocześnie jednak stoi w zupełności poza nawiasem aktualnych spraw, uczuć, myśli i dążeń dzisiejszego społeczeństwa, jest nawskroś indywidualistycznym w ujemnym znaczeniu, jest wyłącznie egotycznym. Gdy zechcemy w dziedzinie modernistycznego dramatu niemieckiego szukać dzieł, związanych ściślej z życiem dzisiejszego społeczeństwa, niemieckiego lub ogólno-ludzkiego, to najprzód takich wyjątków znajdziemy bardzo mało, powtóre zaś przeważnie dostrzedz się da odrazu mniejszy zasób i zasadniczego talentu dramatycznego i jego cech specyficznie modernistycznych.

Wśród tych nielicznych wyjątków względnie najwyższym artyzmem odznaczają się „Oficerowie“ Fritza von Unruh („Die Offiziere“, wydane u E. Reissa w Berlinie). Po wielu latach, po tryumfach „Capstrzyku“ Bayerleina i „Poniedziałku karnawałowego“ Hartlebena zjawia się znowu raz wojskowy dramat niemiecki, i to, chociaż wcale nie areydzioło, jednak utwór szczerze napisany i silnie sprawiający wrażenie. Środki, z których pomocą się to dzieje, są nadzwyczaj proste. Można by nawet powiedzieć, że wzięte są one ze starego inwentarza romansów moralizatorskich dla młodzieży. A więc np. ten młodzieutki porucznik Harry von Henner, który jest najpoczciwszym w świecie chłopcem, ale zarazem najlekkomyślniejszym hulaką, ciągle potrzebuje pieniędzy, a że ich nigdy nie ma, więc ciągle podpisuje weksle, a że tych znowu płacić nie może, musi kwitować z wojska, cho-

ciąż do innego jakiego zawodu ani zdolności, ani ochoty nie ma; na szczęście w niemieckiej części Afryki wybucha powstanie tubylców, cesarz wzywa ochotników, aby się na wyprawę zamorską zgłaszali; koledzy Hennera idą gromadnie i on z nimi jako prosty żołnierz; bije się dzielnie i za waleczność dostaje z powrotem godność oficera i prawie że szaleje z radości — jakby opowiadanie dla dobrych, ale lekkomyślnych chłopców. Albo inny oficer: od panny, którą beznadziejnie kocha, dostaje przy pożegnaniu przed wyjazdem za morze róże; trzyma je przy sobie, tuli nawet podczas snu na okręcie, ale gdy jakiś nie tyle złośliwy ile pusty kolega wrywa mu kwiaty z ręki i na ich temat żarty sobie stroi, czuły oficer rzuca je w toń morską — jakby opowiadanie dla dorastających panienek. A jest podobnych obrazków więcej: i poczciwy kapelan, okropnie nudne wygłaszający kazania do żołnierzy i oficerów, i pułkownik, wpadający w poetyczną ekstazę na widok cudów podzwrotnikowych nocy, i córka jego, z patryotyzmu i miłości podążająca za wojskiem, jako dozorczyni lazaretu — wszystko figury i sytuacje, przypominające staroświeckie melodramaty. A w środku sztuki rzecz jeszcze niebezpieczniejsza: reminiscencya z romantycznego dramatu Henryka Kleista o „Księżu Homburskim“. Jak ten rozmarzony młodzian wbrew zakazowi Wielkiego Kurfürsta rzuca się pod Fehrbellinem na szwedzkie chorągwie i dzięki tej niesubordynacji grożące niebezpieczeństwo w świetne zwycięstwo przemienia, tak Ernest von Schlichting stojąc na posterunku w afrykańskim obozie, nie może być biernym obserwatorem morderczej walki, wpada na dzikich jak opętany i decyduje zwycięstwo; rozwiązanie konfliktu jest odmienne niż u Kleista: tam bohater skazany jest na śmierć, zrazu drży i dopiero gdy tę trwogę przemógł, dostaje ulaskawienie; tu pułkownik, który rozmysłnie przyszłego zięcia na tamten martwy posterunek posłał, aby jego karność i cierpliwość wypróbować, zwycięzcy odrazu przebacza, ale daremnie, bo Ernest śmiertelnie ranny kona za chwilę w objęciach narzeczonej.

A jednak, mimo że dramat składa się z tak prostych i przeważnie nie nowych motywów, uważamy go za jedno z najpiękniejszych dzieł ostatniego sezonu. Czemu? Bo przesiąknięty jest myślą, zarówno prawdziwą, jak i dramatyczną. My, spokojni obywatele „cywilnego“ stanu, nieraz dziwny się lub gniewamy na oficerów, którzy i w czasie pokoju pobrzękując szablą, tworzą istniejącą w każdym państwie t. zw. partyę wojenną. Ale bądźmy sprawiedliwi: co musi się dziać w duszy, nawet w nerwach człowieka, który czując w sobie rycerskie powołanie (o takich tylko

oficerach mówimy), został oficerem i jak rok długi ćwiczy rekrutów i tak całe lata, ale na wojnę nie idzie, iść nie może. My silną armię uważamy za zabezpieczenie pokoju, ale oficer musi nie-raz czuć się wprost upokorzonym tą rolą straży bezpieczeństwa, musi pragnąć, aby nareszcie nastąpiło to, do czego lata całe się przygotowywał i co przecież stanowi jego racyę bytu, jak aktor nie wyżyłby, gdyby grał tylko na próbach a nie na prawdziwym przedstawieniu, jak muzyk rwie się do prawdziwych klawiszów fortepianu a nie do drewnianych, bezdźwięcznych. W danym wypadku interes społeczeństwa stoi oczywiście niesłuchanie wyżej ponad choćby najistotniejszym pragnieniem jednostki czy stanu, niemniej i „cywil“ zdawać sobie winien sprawę z rycerskich tęsknot oficera. Otóż Unruh zdołał je przekonywująco w dramacie przedstawić, i dlatego, gdy na wieść o wyprawie afrykańskiej oficerowie szaleją z radości, pojmujemy ich taksamo, jak wtedy, gdy już nieco uspokojeni, na pokładzie statku, wiozącego ich na plac boju, marzą o przyszłych tryumfach.

*

*

*

Wśród licznych niemieckich towarzystw literackich najpoważniejszym jest Towarzystwo Goethego („Goethe-Gesellschaft“). Siega stosunkowo nie tak odległych czasów. W r. 1885 zmarł ostatni Goethe, Walter, wnuk poety. Testamentem przekazał on dom mieszkalny swego dziadka w Weimarze wraz ze wszystkimi zbiorami pod nazwą „Museum narodowego imienia Goethego“ W. Księstwu Weimarskiemu. Panująca wówczas w tym kraiku w. księżna Zofia utworzyła z rękopiśmiennych skarbów tej spuścizny „Archiwum Goethego“, które wkrótce przybrało nazwę „Archiwum Goethego i Schillera“, gdy prawnuk tego ostatniego przyczynił się wydatnie do jego fundacji. Za tem poszło utworzenie wspomnianego „Towarzystwa Goethego“. Obecnie liczy ono przeszło 3,650 członków, ma więcej niż 41 tysięcy marek dochodu, a przeszło 83 tysięcy marek kapitału — i temi zasobami rozporządzając rozwija od trzydziestu kilku lat ogromnie ożywioną działalność, skierowaną oczywiście ku naukowym badaniom nad Goethem, wydawaniu jego dzieł, pielęgnowaniu jego kultu w materialnym i moralnym zakresie. Pierwsza część tego

zadania, badania nad Goethem, z natury rzeczy, nie zamykają się w obrębie Towarzystwa. Literatura o Goethem tak się rozrosła, że nie powiemy wybujała, iż gdziekolwiek znajduje się choćby najmniejsze ognisko niemieckiej pracy historyczno-literackiej, tam piszą się niewątpliwie i dzieła lub rozprawy o największym niemieckim geniuszu poezyi. Zadaniem Towarzystwa jest pod tym względem nie tyle sam współdziałanie w tej pracy ile ułatwianie jej i porządkowanie. Pierwsze dokonywa się już dzięki temu, że w Weimarze są i zewnętrzne pamiątki po Goethem, od mieszkania jego do najdrobniejszych sprzętów, i przeważna część jego rękopisów, które zawsze stanowiąc będą podstawę wszelkiej ścisłej naukowej pracy. Druga część, porządkowanie dokonanej przez innych pracy znajduje swój organ w „Rocznikach Goethego“ („Goethe-Jahrbuch“). Świeżo rozdano członkom trzydziesty trzeci tom tego wydawnictwa. Chociaż samodzielne rozprawy o Goethem, jak zawsze idą tutaj na czele, to jednak w pierwszym rzędzie o charakterze Towarzystwa świadczą owe krótkie notatki i bibliograficzne zapiski, notujące skrzątnie wszystko, co bądź w r. 1911 o poecie napisano i wydano, bądź też w tym okresie czasu, z książek, broszur i artykułów o innych rzeczach, do Goethego się odnosi. Przekroczylibyśmy zakres naszego obowiązku i prawa, gdybyśmy tutaj szczegółowo zdawali sprawę z treści ostatniego „Rocznika Goethego“. Wyławiamy z niej jeden jedyny artykułik, odnoszący się do znajomości Goethego wśród Słowian. Oto p. Emma Haertel podaje z pamiętników Herzena obszerny ustęp opowiadający o początkach jego kultu dla twórcy „Fausta“. Okazuje się z tego, że pośrednikiem pomiędzy Herzenem a Goethem był „Polak, dawniej pruski poddany Trensinski“ (?). Przez wspólnego znajomego, lekarza Jenochina, poznał go Herzen w czasie swego pobytu na wygnaniu w Wiatce i rychło do niego na tem kulturalnem pustkowiu przyłgnał. Trensinski opowiedział mu o swoim dwukrotnem spotkaniu z Goethem. Oto w r. 1792 jako szesnastoletni chłopak był z ojcem w Paryżu, a uciekając ze zrewolucjonizowanej stolicy dostali się do obozu niemiecko-austriackich wojsk koalicyjnych. Tu spotkali „jeszcze jednego gościa we fraku, mężczyznę pięknego wzrostu, silnej budowy, o poważnym, dumnym wyglądzie. Wszyscy powitali go z najwyższym szacunkiem, ale jego wzrok nie był bynajmniej zachęcającym, nie budził przyjaźni, przyjmował łaskawie te hołdy jako należne sobie. Wszyscy mogli byli odczuć, że ten człowiek uważa się za wyższego od nich“. W rozmowie z ojcem Trensinskiego Goethe, bo on to był, nazywa najprzód Lafayette'a współnikiem Jakobi-

nów, potępia „horde Hunnów szalejących nad ruinami“ Paryża Ludwika XV i Voltaire'a, ubolewa nad zwycięstwem tej „bandy demagogów“, spodziewa się, że wojska koalicji naprawią to zło. Zastrzega się jednak w dalszym ciągu, że „świat polityki jest mu całkowicie obcym“... W innych dziedzinach czuje się panem, więc pocóżby miał się „jako tuzinkowy rezoner mieszać“ do tych spraw, chociaż co prawda „dwie kule, które otrzymał, dały mu pewne prawo po temu“. Faktem było pierwsze spotkanie Trensinskiego z Goethem, które zapewne jest równocześnie pierwszym wogóle spotkaniem Polaka z niemieckim poetą. Jeszcze raz potem Trensinski go oglądał. W czasie pierwszej włoskiej wyprawy Napoleona nasz Polak był w Weimarze, w teatrze, gdzie dawano „jakąś polityczną farsę pióra Goethego. Publiczność nie śmiała się i w rzeczywistości dowcip był sztuczny i nieco płaski. Goethe był z księciem w loży“, a Trensinski pamiętając ów wstręt Goethego do polityki z r. 1792 pytał się sam siebie: po co ten poeta napisał ten polityczny pamflet. Herzen zapisując to opowiadanie polskiego przyjaciela dodaje także i swą rozmowę z nim, swój protest przeciw temu „pomniejszaniu olbrzyma“. Trensinski odpowiada na to: „Albo mi Pan nie wierzy, a w takim razie nie posiadam istotnie żadnych dokumentów na stwierdzenie, że mówię prawdę, albo mi Pan wierzy, a wtedy niech Pan siebie sam obwini o to, że żywy Goethe nie jest podobny do tego Goethego, którego sobie Pan wytworzył w swojej wyobraźni“. Herzen bronił się przed wpływem Polaka, nie zarzucając mu kłamstwa, tylko tłumacząc sobie zgryźliwość Trensinskiego, który jest „wykolejoną egzystencją“, „przedewszystkiem zaś praktycznym człowiekiem, a już najmniej artystą“—i sam dalej uwielbiał Goethego. I dopiero później, po wielu przejściach swego życia, po poznaniu obcych krajów i literatury wszechświata zapisuje raz taki surowy sąd o poezji niemieckiej: „W porównaniu z angielskimi poetami, są najwięksi poeci niemieccy—z wyjątkiem Schillera—drewnianymi, grubymi i wulgarnymi“. Wszyscy z wyjątkiem Schillera? A więc i Goethe?..

DR. JÓZEF FLACH.

SZTUKA WE FRANCYI.

Każdym razem, gdy mowa o sztuce współczesnej, jest się zmuszonym stwierdzić niemożliwość ścisłego określenia jej prawdziwego charakteru, który przedstawiałby cechy stałe, wyraźne i pewne. I tak być musi, bo okres bieżący, którego jesteśmy świadkami, jest czasem wytwarzania jeszcze nieskończonego.

W sztuce francuskiej, szczególnie w sztuce malarskiej najsprzeczniesze prądy, wytworzone w ciągu XIX wieku począwszy od okresu romantycznego, istnieją dotąd obok siebie, oddziaływując mniej lub więcej jedne na drugie, ale nie dostatecznie, aby mógł stąd wynikać nowy odrębny kierunek. Przeciwnie nawet, skutek tego wzajemnego oddziaływania jest przeważnie neutralizujący, niwelujący, a zatem nie stwarza charakteru, lecz raczej sprowadza jego zanik. Impresjonizm, który miał dać sztuce malarskiej nowe podstawy i zaznaczył się w swoim czasie, jako ruch przewrotowy po długim i zaciętym zwalczaniu zarówno konwencji pseudo-tradycyjnej jak i zdrowej tradycji uzyskawszy prawo bytu, a nawet tryumf i stawszy się modą, ustąpił, zostawiając względnie nie wiele śladów.

Młode pokolenia artystów, szukające zwykle wyrazu w najnowszych koncepcjach, są dezorientowane, co, przy niewysokim ich wogóle artystycznym wykształceniu, prowadzi je albo pośrednią drogą zapożyczeń, dokonywanych na chybił trafił, na prawo i na lewo, albo popycha do potwornych dziwactw najnowszego modernizmu.

Wśród chaosu, wytworzonego przez nadmiar indywidualizmu, który się okazał wyjaławiającym, daje się jednak coraz bardziej odczuć potrzeba powrotu do dyscypliny, któraby połączyła wszystkie usiłowania, gubiące się obecnie w rozbieżnych i niepewnych

próbach i dała im podstawę ścisłą, jakiej im brak. Reakcja w tym kierunku zaczyna się już objawiać dość wyraźnie, przynajmniej w pojęciach i aspiracjach. Wszakże trudno dotąd przewidzieć, w jaki sposób zwrot ten się uskutechni. Pierwszym zapewne powodem dzisiejszej anarchii indywidualistycznej jest brak wspólnego wyższego ideału, jakim były natchnione wszystkie wielkie okresy przeszłości. Takiego ideału, w czasach szczególnego rozpowszechnienia sceptycyzmu i utylitaryzmu, niema dzisiaj, równie, jak go nie było wczoraj. I nie widać, skądby mógł przybyć, bo żaden z tak zwanych ideałów nowożytnych do tego się nie nadaje.

Wiedza, tak krzykliwie narzucana ludzkości, jako ideał, przez tych przeważnie, którzy sami najmniej wiedzą, być nim nie może, nie tyle dlatego, że nie jest ogółowi dostępną, ile, że sama jest tylko środkiem. Nie inaczej rzecz się ma ze wszystkimi pseudo ideałami, proponowanymi przez ideologów w systemach mniej lub więcej utopijnych, bo są to albo puste frazesy, albo zawierają dążenia natury czysto utylitarnej, a więc poziomej, pomimo swej nieziszczalności. W swoim czasie czyniono próby oparcia sztuki na tego rodzaju sztucznym idealizmie niby ludowym, w istocie wylęglym w mózgach pewnej grupy marzycieli demokratycznych, do czego dało się wciągnąć nawet paru artystów prawdziwych (jak Carrière), ale wszystko to speszło na niczem dla tej prostej przyczyny, że sztuka ani z polityką, ani z ekonomiczną lub socyologią, ani z żadnymi wogóle doktrynami nie może mieć nic wspólnego, ani im służyć. Wszelkie zresztą apriorystyczne doktrynerstwo jest w zastosowaniu do sztuki niebezpieczne i prowadzi na błędne drogi. Mamy tego przykład w impresyoniźmie, który, jeżeli przyniósł odkrycia pierwszorzędnego wagi w technice malowania, jak to nam przypominają ostatnie wystawy (tej wiosny) dzieł mistrzów tego kierunku, to z drugiej strony zamknął się w formule zbyt jednostronnej, skutkiem czego jego znaczenie w rozwoju tej sztuki, okazało się w rezultacie o wiele mniejszem, niż się tego po nim można było spodziewać. W czasie apoteozy impresyoniźmu sądzono niemal powszechnie, że od chwili tryumfu tego kierunku, który zdawał się wówczas niezawodnym i ostatecznym, nastąpi zupełny rozłam pomiędzy sztuką nowożytną a sztuką przeszłości, z którą wszelkie więzy zostaną całkowicie zerwane; że odtąd cały dobytek wiedzy i doświadczenia w sztuce, nagromadzony przez pokolenia minionie, zostanie odrzucony jako balast obciążający lub powstrzymujący swobodny polot indywidualnego geniuszu.

I rzeczywiście, impresyonizm zatryumfował, ale tryumf jego był sztuczny, bo wynikał przeważnie z mody i jak moda minął. Wszakże nie można właściwie czynić z tego zarzutu, samym impresyonistom. Ci malowali tak, jak im nakazywało ich widzenie i skłonność naturalna i stworzyli w swoim rodzaju i zakresie prawdziwe arcydzieła.

Winnymi są tu raczej literaci i krytycy, ich apolożyści, doctknięci manią nowatorstwa za wszelką cenę i poszukujący wszędzie pretekstu do zwalczania tradycyi. W artystów, którzy oddali się ze szczególnem i wyłącznem zamiłowaniem studjom efektów świetlno-barwnych, dla jakich wydobyć, w możliwie najwyższem natężeniu, musieli, pewnie nie bez żalu, poświęcić niemal wszystko, co dotychczas stanowiło podstawę i przymioty obrazu, mianowicie rysunek linii, plastykę, perspektywę, a nawet wyraz i charakter głębszy, nie mówiąc już o kompozycyi, której, przed nimi, wyrzekli się realiści, wniwili ci ich doktrynerscy protektorzy, że tego właśnie wymaga postęp sztuki. Z tego, co było stroną ujemną, błędem impresyonizmu uczynili oni jego zaletę i zasadę. To samo udało im się z czasem wniwilić w opinię do tego stopnia, że o wartości obrazu zaczęto sądzić nie wedle jego zalet rzeczywistych, lecz względnie do tego, czy miał lub nie cechy zewnętrzne impresyonizmu. To właśnie nazywa się modą. I tej mody chwycili się natychmiast ci wszyscy z pośród malarzów współczesnych, którzy w naśladowaniu techniki impresyonistów ujrzeli ułatwiony sposób pozyskania powodzenia, bez zdobywania długą i sumienną pracą podstaw sztuki malarskiej, a zwłaszcza rysunku, który owa technika pozwalała eskomotować. Prawdziwym i jedynym celem i zadaniem impresyonizmu było traktowanie barwy i to przeważnie w pewnych określonych efektach świetlnych, dla których odtworzenia z odpowiednią siłą technika zwyczajna nie wystarczała, największą zaś jego zasługą i nabytkiem, który pomnożył dotychczasowe środki wiedzy malarskiej jest znalezienie sposobu wydobyć największego natężenia światła bez uciekania się do kontrastów z cieniem, oraz rozświetlenie i zabarwienie cieniów.

Ale impresyonisci zamiast poprzestać na swej właściwej roli pomocniczej i zadowolnić się postępem, jaki naprawdę przynosili technice tradycyjnej, chcieli sprowadzić wszystkie elementy sztuki malarskiej do tego jedyne go efektu barwno-świetlnego, po za którym nie było dla nich malarstwa.

I to był ich błąd, pochodzący zresztą głównie z podszeptu doktrynerów, którzy nie rozumiejąc prawdziwej użyteczności wy-

nalazku i nie bacząc na to, pragnęli nadać mu znaczenie ogólne, jakiego mieć nie mógł i przeciwstawić go tradycyi, której się on w istocie sprzeciwiać nie potrzebował. W takiej roli niewłaściwej rzecz prosta, impresyonizm utrzymać się nie mógł, a przesyt, wynikły z jego nadużycia sprowadził przeciw niemu reakcyę może nawet zbyt zupełną, tak, iż jego zdobycze nie zostały dotąd dostatecznie wyzyskane, co wszakże niewątpliwie z czasem nastąpi. Zresztą i obecnie wpływy impresyonizmu nie minęły całkiem bezowocnie, widzimy je bowiem w mniej lub więcej wyraźnem przystosowaniu i zredukowaniu u pewnej liczby malarzów i to niepoślednich, szczególnie zaś w pejzażu z którego i dla którego impresyonizm powstał. Właściwą genezę impresyonizmu tłumaczy bardzo racjonalnie jeden z jego krytyków, p. Robert de La Sizeranne, który nader bezstronnie potrafił ocenić zalety i braki, oraz znaczenie tego kierunku dla współczesnego malarstwa. Otóż twierdzi on, że pierwsi impresyoniści byli to malarze przejęci zasadami realizmu, według których niema w naturze nic pięknego, ani brzydkiego. Pierwszy lepszy zakątek brudnego przedmieścia jest równie piękny dla malarza-realisty, jak najwspanialszy i najbardziej urozmaicony widok górski. Zatem nie trzeba szukać widoków pięknych lub niepospolitych, wystarczy malować, co się ma przed oczami, możliwie najdokładniej, bez żadnej zmiany. Stosując się do tego literalnie ci młodzi wówczas pejzażyści mimowolnie odczuli brzydką i nudną monotonię natury podmiejskiej, oszpeconej jeszcze nieestetycznymi budowlami, którą obrali sobie za wzór. Wrodzony idealizm, który bez względu na doktryny, zachowali w duszy, nakazał im szukać sposobu ukrycia lub uszlachetnienia tej brzydoty i znaleźli go w nadaniu przewagi barwie w odtwarzanych widokach, które naprawdę zajmować mogły tylko swym kolorem.

Zwróciwszy tedy całą uwagę na kolor, dopatrzyli się w nim odcieni i zmiennych efektów, jakich przedtem nie zauważono lub z powodu ich krótkiego trwania nie notowano. Dla pośpiechu, jakiego to wymagało, nie mogli oni doszukiwać się na palecie odpowiednich widzianym w naturze tonów, musieli więc uciec się do uproszczonego sposobu zaznaczania ich w przybliżeniu barwami niemieszanemi. Wtedy zauważyli, że wykonane w ten sposób notatki miały o wiele więcej świeżości, niżeli się to dawało osiągnąć przy malowaniu zwyczajnem. I takim był początek ich metody, którą udoskonalili w następstwie i dostosowawszy mniej więcej do naukowej teoryi o barwach dopełniających, stworzyli właściwą technikę impresyonistyczną, odpowiadającą ich za-

sadzie dochodzenia do syntezy przez analizę i odtwarzania w swych obrazach nie portretu natury, jak to czynili realisci, lecz wrażenia (impresyi), jakiego doznawali na jej widok, a w szczególności od jej efektów barwnych, uzależnionych od zmiennej gry światła w powietrzu.

Impresyonizm, jak wnioskujemy z wyżej powiedzianego, był zatem kierunkiem jednostronnym, o dążeniach specjalnych, rozporządzającym środkami nowymi, ale zastosowanymi tylko do wyłącznych celów, jakie sobie postawił. Technika jego, wbrew przekonaniu jej bezwzględnych zwolenników, nie mogła też usunąć i zastąpić techniki tradycyjnej, na którą złożyła się suma doświadczeń przeszłości, bo nie uwzględniała i skutkiem swych właściwości uwzględniać nie mogła różnic w traktowaniu przedmiotów i rzeczy różnej natury. Przeznaczeniem jej było odtworzenie barwnej wibracji atmosfery, czemu wszystko inne musiała podporządkować i stąd to widzimy w obrazach impresjonistów, że powietrze, woda, trawa, drzewa, dom, człowiek i zwierzę—wszystko jest malowane jednakowo.

Pod rzutami przecinków lub punktów barwy, przy których pomocy impresjoniści starali się wywołać wrażenie owej wibracji, kształty przedmiotów stały się niewyraźne, straciły swą objętość i choćby przedstawiały materię najściślejszą i najtwardszą, zdawały się rozplwać i topnieć, przybierały pozór waciasty i wystrzępiony. Zapewne, atmosfera i jej wpływy na wygląd i zabarwienie przedmiotów, które otacza, była przedtem nie dość uwzględniana, ale impresjoniści posunęli się w tym kierunku tak daleko, że mając przedewszystkiem na widoku oddanie efektów atmosferycznych, wszystko, co dotąd stanowiło główny przedmiot obrazu, sprowadzili do znaczenia akcesoryum.

Nic więc dziwnego, że w tych warunkach impresyonizm nie był w stanie odpowiedzieć wielostronnym zadaniom sztuki malarzkiej. Dziś przeto, jako kierunek odrębny, zwłaszcza w postaci, jaką im nadali jego twórcy właściwi: Claude Monet, Pissarro, Renoir, Sisley i inni, impresyonizm należy do przeszłości, zaś konsekwencya tegoż, neo-impresyonizm, oparty już ściśle na naukowej teorii rozkładu barw, ma obecnie bodaj jedynego przedstawiciela w jednym ze swych twórców p. *Signac'u*, który, przy pomocy swej na pozór ekscentrycznej, a w istocie nader ściślej i w zastosowaniu wcale nie łatwej techniki, tworzy dzieła prawdziwej wartości, bardzo harmonijne i pociągające pięknnością swych barwnych efektów. Signac wystawia stale swe produkcye w Salonie Niezawisłych (*Indépendants*), gdzie też figurował ostatni jego

obraz, przedstawiający widok pałacu papieżów w Avignon, w którym jako w tworze mistrza dają się widzieć zarówno najwyższe zalety jak i nieuniknione braki tej metody.

Impresyonizm swą manierą niezwykłą wzbudził w pewnych kołach pociąg do ekscentryczności. Po jego zniknięciu, okazała się przeto potrzeba zaspokojenia w inny sposób tego popytu na oryginalność za wszelką cenę i wtedy to, znowu pod egidą nowatorów teoretyków, którzy tym razem znaleźli potężnego sprzymierzeńca w spekulacji handlarzów, powstał cały szereg dziwnych tworów malarskich i rzeźbiarskich, wywodzących się z mniejszą lub większą zasadą częścią od impresyonizmu właściwego, a przeważnie od malarzów adoptowanych przez impresyonistów, lecz posiadających odrębne cechy osobiste, jak Cézanne lub Gauguin; wreszcie powołujących się nawet na Puvisa de Chavannes. Z tych tworów szczególnych, zresztą dość różnolitych, w których znać było chęć wyróżnienia się, nie doskonałością wykonania lub wysokością natchnienia, lecz osobliwością, polegającą na rysunku niezgrabnym i grubijańskim, na deformacjach kształtów, posuniętych do potworności, na tonach jaskrawych i rażących brakiem harmonii lub brudnych i ciężkich, chciało się nowy jakoby kierunek, znany przeważnie pod ogólną nazwą modernizmu.

I modernizm ten, który przypominał impresyonizm tylko ekscentrycznością pozorów, o wiele go pod tym względem przewyższając, lecz nie posiadał odpowiednich zalet, uważał się nie mniej za zwiastuna postępu w sztuce i z kolei przeciwstawił się tradycyi z mniejszymi jeszcze zapewne widokami powodzenia aniżeli ich mogli mieć jego poprzednicy w tem przedsięwzięciu. Moderniści zgrupowali się, wystawiając swe produkcyje w Salonie Niezawisłych i Jesiennym, oraz w prywatnych salach handlarzów. Ale werwa ich i wynalazczość wyczerpały się dość prędko. Dziwactwa, które z początku budziły śmiech lub politowanie ogółu i dawały pole do długich i głębokich komentarzy pewnym krytykom, zbyt często powtarzane, przestały zwracać uwagę. Modernizm zaczął się przeżywać, aż w ostatnich latach przyszedł go poratować powstały w jego łonie tak zwany „Kubizm“, czyli sposób przedstawiania w obrazach natury martwej i ożywionej w kształcie aglomeracyi kubów (sześcianów). O takim „kierunku“ zapewne trudno mówić poważnie, jak zresztą i o całym modernizmie, chociaż pośród jego uczestników znajdują się talenta prawdziwe, które albo dały się już poznać, wyzbywając się w części zbyt rażących cech ekscentryczności, albo za przykładem tam-

tych do tego zdążają. Tych produkuje spotyka się już, prócz w Salonie Niezawisłych i Jesiennym, także w jednym z Salonów oficjalnych, mianowicie w t. zw. Salon de la Société Nationale des Beaux-Arts, gdzie ostatecznie zyskują prawo wstępu do świata sztuki, uznanej nie tylko wyłącznie przez garstkę nowatorów, spekulantów i snobów.

Przykład impresjonizmu, oraz innych objawów rewolucyjnych w sztuce unaocznia nicość wszelkich buntów, pojedynczych lub zbiorowych, przeciw tradycyi i aberracyę tych, którzy pragną jej zniszczenia i sądzą, że jest to możliwe. Zniszczyć tradycyę w sztuce byłoby to zniszczyć samą sztukę. Szczyściem tradycya nie jest zniszczalną, bo tkwi w nas samych i we wszystkim co nas otacza i co jest dziełem przeszłości lub jej wynikiem. Prawdziwe i oryginalne dzieła sztuki powstają nie wskutek odrzucenia tradycyi, lecz z umiejętnego połączenia jej wpływów z osobistemi właściwościami artysty, w których odbija się duch współczesności.

Jeśli brak dzieła tego ostatniego warunku, wtedy staje się ono konwencyonalnem, ale nie jest to winą tradycyi, lecz artysty, który trzymał się litery i nie potrafił jej ożywić. Zerwanie z tradycyą nic na to nie pomoże; za to jest w stanie wykoszławić talent prawdziwy, o ile ten nie zawróci zawczasu z fałszywej drogi. Modernizm dał tego nie jeden dowód. Jeżeli kierunek o pozorach rewolucyjnych ma w sobie coś naprawdę dodatniego, jak to jest w wypadku impresjonizmu, wtedy nie obali on tradycyi, choćby to było dążeniem jego adeptów, lecz zostanie prędzej czy później przez nią wchłonięty i wzbogaci ją swym dobkiem. W razie przeciwnym jako niepożyteczny, zginie bez śladu.

O ile i w jakim stopniu wpływy dążeń ekscentrycznych objawiają się w twórczości artystów dzisiejszych, sędzić można przy zwiedzaniu dorocznych Salonów paryskich i innych wystaw. W roku bieżącym, obok retrospektywnych wystaw dzieł impresjonistów, dała jeszcze po temu sposobność nowopowstała wystawa Triennialna (Exposition Triennale d'Art français), którą, po zamknięciu Salonów oficjalnych otworzono w lipcu, w ogrodzie Tuilleries.

Na wystawie Triennialnej znalazły pomieszczenie produkuje przeważnej części charakterystycznych przedstawicieli dzisiejszego francuskiego malarstwa, umiejętnie zgrupowane i tu i owdzie przegrodzone dziełami mistrzów dawniejszych okresów wieku XIX, tak, by razem wzięwszy, mogła dawać względnie wierny, a w każ-

dym razie ciekawy i nauczający obraz stanu francuskiej sztuki malarskiej w obecnej chwili w związku z przeszłością i z uwzględnieniem różnych dążeń, jakie w ostatnim czasie w niej się objawiły, nie wyłączając najnowszych.

Jednym z tych, którzy technikę impresyonistyczną potrafili nagiąć i zastosować w najszerszym znaczeniu, a mianowicie do wielkiej dekoracji, jest przedewszystkiem p. Henryk Martin. Jego usiłowania pozwalają stwierdzić raz jeszcze, wyłączność tej techniki, która bądź co bądź pozostaje zawsze i przedewszystkiem pejzażową. To też pejzaż słoneczny i barwny gra pierwszorzędną rolę zarówno w mniejszych jego obrazkach, jak i w wielkich kompozycjach i jeżeli potrafił w ten sposób wydobyć piękno nastrojowe i poetyczne harmonie, to niemniej czyni to również nie bez pewnego poświęcenia prawdy w traktowaniu czy to postaci ludzkiej, czy to wszystkiego, co w naturze ma charakter stały, ścisły i wyraźny. Prawda, że obrazy jego, traktowane w tych warunkach bardzo szeroko, powinny być widziane zdaleka, na odległość, na którą przedmioty w naturze ukazują się w wielkich sylwetach i zdają się zatracać szczegóły.

Wtedy kompozycje p. Martina nabierają prawdopodobieństwa, płatki grubo narzuconych barw pojedynczych, łączą się w tony harmonijne, figury i przedmioty wyłaniają się z barwnej pstrokacizny, nabierają konsystencji i charakteru, w stopniu, jakiego prawdziwi impresyoniści nie osiągnęli i zapewne osiągnąć się nie starali. Nawet, rzecz dziwna, przy takiej manierze, pejzaże jego, zwłaszcza mniejszych rozmiarów, mają niekiedy, pomimo braku ostrości konturów, pewną niemiłą twardość, jak można było zauważyć na wystawie Triennialnej, w obrazie, przedstawiającym wioskę, widzianą zdaleka i z góry, na tle obszernego widoku pól, co wszystko razem w kolorze i charakterze dziwnie przypomina pewne z gruba wykonane i zabarwione zabawki dziecinne, złożone z domków, drzew na podstawkach, owiec i t. p. Nie czem innym także, tylko barwnym efektem pejzażowym na większym płótnie jest obraz tego malarza, wystawiony w tegorocznym Salonie Artystów Francuskich (Salon des Artistes Français), w którym postacie dziewcząt na tarasie, z którego zwiesza się dzikie wino, nie mają więcej znaczenia, niż otaczające kwiaty, owoce lub drzewa.

To wszystko jest pięknie scharmonizowane i na właściwą odległość sprawia wrażenie dość naturalne, chociaż zachowuje zawsze ten wystrzępiony pozór różnobarwnej włóczki, tak, iż nawet słupy tarasu, z kamienia, czy drzewa, bo tego nikt nie ro-

zezna, mają wygląd bawełniany. Przytem ton ceglasto-czerwony w połączeniu z różowym, zielonym i niebieskim przeważający tutaj, równie jak we wszystkich jego malowidłach, ma bądź co bądź, pomimo swych zalet i przy całej jaskrawości barw pojedynczych oraz pewnej brutalności w rzuceniu ich na płótno, coś monotonnego, zbyt powtarzającego się, a nawet ekliwego.

Ze względu na to podporządkowanie a przynajmniej urównorzędzenie człowieka z całością przyrody można nazwać sztukę Henryka Martin panteistyczną, z większą jeszcze zasadą, niżeli ją mieli komentatorowie impresjonizmu, który właściwie usunął człowieka prawie całkowicie z przyrody, gdy ten epitet doń zastosowali.

Więcej oddala się od impresjonizmu i zarazem wysubtelnia p. Ernest Laurent, który doszedł do największych rezultatów w zastosowaniu wibracji barwnej do przedstawienia postaci ludzkiej, w rodzaju wymagającym oddania nie wrażenia chwilowego lub powierzchownego efektu, lecz charakteru głębszego i niezmiennego, t. j. w portrecie. Maniera, która dla innych była środkiem wyrażenia wyłącznie pozorów li tylko zewnętrznych gry światła, przyczem człowiek na równi z różnymi przedmiotami, stanowił jedynie ekran i nie więcej, posłużyła właśnie Ernestowi Laurent, w przystosowaniu, które jest tajemnicą jego talentu, do pewnego uduchowienia rysów portretowanych osób, usunięcia ich cech przypadkowych i uwidocznienia ich wyrazu wewnętrznego, jaki się odczuwa, ale jest tak trudnym do określenia i odtworzenia przy pomocy środków malarskich.

Wychodząc z podobnej zasady p. Le Sidaner doszedł również do wysokiej subtelności harmonii w pięknych nastrojach, w jakich poetyzuje ciche zakątki ogrodów kwiatowych, stare tajemnicze gmachy, jak pałac dożów w Wenecyi lub pałace Wersalskie i t. p., które pod jego pędzlem przybierają wygląd czarodziejski, mieniając się blaskami tęczy. Człowiek jest tu wyłączony zupełnie. Le Sidaner notuje, równie jak impresyoniści, wrażenia znikome natury, ale nie ogranicza się do efektu, lecz poszukuje nastroju, t. j. tego, co w tych wrażeniach jest głębsze i stałe, co podnosi, uszlachetnia, idealizuje naturę i, skutkiem analogii ze stanami ducha człowieka, działając na jego struny uczuciowe, pobudza do zachwyty i marzenia. To też lubuje się on przeważnie nie w pełni dnia, gdy światło bez kontrastów jest zbyt jednolite i prawie białe, lecz w chwilach przejściowych jak rozpoczynający się zmrok, gdy w aureoli ostatnich promieni i odblasków świat, zwłaszcza widziany pod pewnym kątem, przybie-

ra fantastyczne pozory. Maniera jego, niezmiernie dyskretna przy swej barwności, nigdy nie razi, jak u impresjonistów lub u Henryka Martin, przeciwnie jest szczególnie pociągającą i miłą dla oka. Jego obrazy, pominiawszy nawet ich głębokie nastrojowe odczucie natury, przemawiają same przez się swą nadzwyczajną harmonią barwną. P. Le Sidaner jest zarazem wielkim wirtuozem i poetą, a przedewszystkiem prawdziwym artystą, jakich mało.

Piękne próbki jego talentu, choć niewystarczające do wydania o nim całkowitego sądu, znajdowały się w tym roku w Salonie Nacyonalnym i na wystawie Triennialnej. Wyższą miarę dał on już przedtem, zwłaszcza w motywach z Wenecyi, oraz wysp z jeziora Lago Maggiore. Nastroje Le Sidanera, otrzymane sposobem nader złożonym, dążą niemniej do wyrazu prostoty w wielkim spokoju, jaki się z nich dobywa.

Wyraz prostoty i spokoju osiąga w zupełnie inny i o wiele więcej bezpośredni sposób p. Maurycy Denis, u którego ślady impresjonizmu przedstawiają się inaczej. Ucieka się on do symplifikacyi kształtów, nadając im wdzięk spokojny i szlachetny w syntezie ruchów i maluje jednolitemi szeroko zaznaczającemi formy, płaskimi tonami, do których dla oddania refleksów, wprowadza dyskretnie drobne płaszczyzny odpowiednich barw, stapiających się z niemi tak, iż nie dostrzega się ich nawet na zwyczajną odległość. W ten sposób traktowane jego kompozycye, czy to na temat z mitologii, czy religijny, czy też fantazyjny, niezmiernie świeże i pociągające w kolorze, mają w sobie wielki urok pierwotnej prostoty, naiwnej wiary, idyllicznej poezyi lub idealnej szczęśliwości. Temi zaletami odznaczała się jego tegoroczna kompozycya w Salonie Nacyonalnym „L'Age d'Or“, a również obraz na temat fantazyjnie religijny, przedstawiający scenę z życia Pana Jezusa dzieckiem, w purpurowych kontrastach zachodu, z wystawy Triennialnej. Zresztą te obrazy, choć piękne w swoim rodzaju, nie dają też zupełnej miary niepospolitej wartości tego artysty, który wyraził się już o wiele pełniej w innych, wzmiankowanych tutaj parokrotnie dziełach.

Spokojem, syntetyczną prostotą form uszlachetnionych, sposobem pojmowania kompozycyi dekoracyjnej, wysokim tonem i rodzajem poezyi tworców swego ducha, Maurycy Denis, pomimo bardzo osobistego ich charakteru, przypomina Puvisa de Chavannes u którego, również jak i u prymitywów włoskich, a także zapewne w malowidłach staro-rzymskich, zaczerpnął pierwiastki tradycyjne sztuki malarskiej, by ze szczęśliwego ich połączenia z pewnemi najnowszymi nabytkami stworzyć sobie środki osobi-

ste, wybitnie oryginalnego wyrażenia się. U tego malarza, który jest prawdziwym poetą, widzimy pierwsze najudatniejsze urzeczywistnienia dążeń dzisiejszych zwrotu od manier ekscentrycznych do tradycyi, w jej najwyższym i najprawdziwszym znaczeniu, z zachowaniem tego, co z nabytków nowoczesnych może służyć do pomnożenia i udoskonalenia środków malarskiego wyrazu. Twórczość Maurycego Denis, choć nie wypowiedziała jeszcze ostatniego słowa, jest pięknym przykładem nader owocnych w tym kierunku usiłowań.

Niektórzy zarzucają mu nieszczerłość jego symplifikacyi, w których widzą poszukiwanie naiwności udanej i naśladowanie powierzchowne nieudolnych form prymitywów. Taki sąd jest niewątpliwie mylnym, bo najpierw te jego symplifikacye nie czynią wrażenia nieudolności, ani go nie poszukują, lecz są użyte dla wywołania odpowiedniego nastroju i cel swój osiągają. Następnie artysta, jak wszelki twórca, ma właściwą sobie zdolność odtworzenia stanów ducha, w których sam się nie znajduje, ale które odczuwa—na tem polega jego szczerłość i to jest właśnie sztuka. Dodajmy, że urok naiwności rozumie i odczuwa tylko ten, kto sam naiwnym nie jest. To też dzieła, które ten rodzaj uroku posiadają, nie są bynajmniej, jak się to często błędnie sądzi, tworem autorów naiwnych. Prawdziwe dzieło sztuki nie jest wynikiem przypadku, lecz musi być wykonane z rozmysłem, a zatem wymaga ze strony autora zupełnego rozumienia przedmiotu i wrażenia, jakie chce wywołać, co wyłącza u niego naiwność. Bo kto spełnia jakąkolwiek czynność rozmyślnie i świadomie i nadaje jej cel jakiś, przez siebie obrany, ten w tej czynności naiwnym nie jest. Często bierzemy nieudolność za naiwność, a to są dwie rzeczy różne. Stąd też pochodzi wogóle przypisywanie naiwności prymitywom, z powodu mniejszych lub większych nieprawidłowości w rysunku figur, kompozycyi lub perspektywie, co jest wszakże skutkiem tylko słabego wówczas rozwoju sztuki rysunkowej. Ale dość przyjrzeć się ich obrazom, by widzieć, że byli oni prawdziwymi w swej sztuce mistrzami, władającymi ze skończonem wirtuozowstwem jej techniką, jaką wówczas posiadać mogli i zupełnie świadomymi wyrazu, jaki chcieli im nadać. To zaś co się nam podoba nazywać w ich dziełach naiwnością, jest raczej wynikiem różnicy naszych pojęć i przyzwyczajzeń, dotyczących się sztuki malarskiej, której dalszy rozwój jest nam znany, oraz ogólnych światopoglądów, względnie do tych, jakie panowały w XIV i XV w. Natomiast rozmyślna naiw-

ność w obrazach Maurycego Denis jest prawdziwą, bo wynika z nastroju, jakiego wymaga jego poetyka.

Na wystawie Triennialnej spotykamy dalej nazwisko p. Alberta Besnarda, jednego z najwybitniejszych dzisiaj mistrzów francuskiego malarstwa, który również zużytkował w odpowiednim przystosowaniu, w swej technice, nabytki impresjonizmu. Malarz ten jest nam już dostatecznie znany z licznych i dość wyczerpujących poprzednich rozbiorów jego twórczości i dzieł pojedynczych. W tym roku nic nowego nie wystawił w Salonie Nacyonalnym, gdzie zwykle figurują jego obrazy, prócz portretu pianisty Sauera, nieprzyjemnego, pomimo zalet wykonania. Za to przywiózł ze swej podróży do Indyi cały szereg studyów, szkiców, typów, efektów i notatek, które tej wiosny były wystawione w galerji Georges Petit. Jeden z takich szkiców, z którego rzecz prosta nie można sądzić o znaczeniu ani nawet o manierze tego artysty, znajdował się na wystawie Triennialnej. Co się tyczy jego podróży do Indyi i przywiezionych stamtąd prac, to dziś jeszcze niewiele o tem można powiedzieć, trzeba czekać dzieła, które mu natchnie wspaniały i tajemniczy kraj Braminów, gdzie doznał świeżych wrażeń. Może to być arcydzieło, ale trudno i zresztą nie potrzeba spodziewać się po niem, jako skutku tej podróży, wielkich nowości, bo talent Besnarda doszedł już niewątpliwie do swego szczytu, równie, jak i jego wiedza techniczna. Niemniej talent wyższy, jaki posiada ten mistrz, ma ten przymiot, że się odnawia, pozostając zawsze sobą. Więc czekajmy.

Na teźże wystawie Triennialnej znalazły pomieszczenie produkcyje malarzów hołdujących w większym lub lub mniejszym stopniu manierom ekscentrycznym, w starannym doborze i z pominięciem tych, którzy, przechodząc wszelkie możliwe granice, zdają się naigrawać ze sztuki. Do liczby figurujących tutaj należą: p. p. Karol Guérin, Bonnard, Vuillard, Lebasque, Marquet, Fr. Jourdain, H. Matisse, K. X. Roussel, d'Espagnat, Mauffra, Jeannot, G. Desvallieres i t. p. A więc dążenia skrajne miały tu może niekoniecznie najdalej wysuniętych, (choć do takich właśnie zalicza się H. Matisse), ale za to najlepszych i najzdolniejszych przedstawicieli. Pośród nich znajdowały się tu próbki retrospektywne ich patronów w sztuce, jak Maneta, Cézanne'a, Renoira, Cl. Moneta, a także Corota, Davida, Ingres'a, Daunier i Carrière'a, którzy na nowoczesne malarstwo francuskie wywarli wpływ bezpośredni lub, jak ostatni, zajęli w niem miejsce znaczne, ale odosobnione.

Obok tych znajdowały się tu dzieła wybitniejszych malarzów współczesnych, w których twórczości wpływy dążeń nowych uległy tak wielkim przeobrażeniom, że ślady ich są zaledwie dostrzegalne i tych również, których te wpływy weale nie dosięgły lub oddziały na nich bardzo zdaleka i pośrednio. Były tu prace, znanych nam również z dawniejszych sprawozdań p. p. Karola Cottet i Lucyana Simon w drobnych ale dobrze charakteryzujących ich twórczość próbkach; pejzaże Andrzeja Dauchez, Guillonnet, Prunier; efekty księżycowe Maurycego Chabas, o charakterze nieco sztucznie wyszukany i romantycznym — znany z muzeum Luksemburskiego i wszystkich wystaw wiecznie ten sam niezmiernej subtelności w gammie tonów szarych nastrój pejzażowy p. Pointelin'a;—bardzo szerokie w swej dość grubijańskiej technice i charakterze realistycznym produkcje p. Gourdaulta; niepospolity w technice i wyrazie portret męski p. Deschenau; subtelnie odczute wnętrza kościołów. p. Fernanda Sabbatté, którego pamiętamy doskonale w charakterze i technice światłocieniowej portrety z zeszłorocznego Salonu artystów francuskich; fantazyę w rdzawo-zielonych harmoniach na temat w rodzaju Watteau (przybycie do Cytery) p. Gastona La Touche; eleganckie, w stylu angielskim portrety p. F. Humberta charakterystyczne obrazki p. Faurina, przepiękny w swym efekcie odbłasków zachodu, na tle burzliwych chmur, dziwnie przemawiający swym szerokim, zarazem złowrogim i spokojnym poetycznym nastrojem widok Akropolu przez p. R. Ménarda; portrety p. Aimé-Morot'a; kolorowo i słonecznie malowane sceny z kąpieli morskich p. du Gardier; bardzo wdzięczne efekty barwne w technice pochodzenia impresjonistycznego p. E. Chigot'a; obrazy p. p. Caro-Delvaillle'a i Avy; trochę rażący swą twardością w tonach szarych i czarnych epizod wojenny p. Edwarda Detaille, wreszcie rysunki p. A. Legrand'a i t. p., i t. p., a także i parę okazów rzeźby, wśród których odznaczał się zwłaszcza brązowy biust Ingres'a przez p. A. E. Bourdelle'a z zeszłorocznego Salonu. Tak przedstawiała się pierwsza wystawa Triennialna sztuki francuskiej, która, pomimo pewnych nieuniknionych braków, bardzo dobrze spełniła swe zadanie skorowidza, dając poznać, przy pomocy takiego zestawienia produkcji najrozmaitszego typu, charakter sztuki francuskiej, a właściwie francuskiego malarstwa, w jego dzisiejszym eklektyzmie. Po chaosie Salonów, zwiedzanie jej stanowiło miły i niemniej nauczający odpoczynek. Dla publiczności, która chce nie tylko widzieć, ale i wiedzieć, na co pa-

trzy i która w Salonach gubi się, jak w lesie dziewiczym, takie wystawy są nieocenione.

W Salonie Nacyonalnym, dziełem sensacyjnym były trzy obrazy Hiszpana p. Zuloaga, które, uderzając na wstępie swą wybitną odrębnością, jak niezwykle zjawisko, zatrzymywały następnie oko swemi wysoce oryginalnymi przymiotami. Artysta ten, kierując się tradycjami swej sztuki narodowej, unie wyrazić w granicach tychże całą niepospolitą siłę swej własnej indywidualności. W ostatniej fazie jego twórczości znać połączone reminiscencye potężnych realistów hiszpańskich, jak Ribera i Zurbaran, dziwnego geniusza jakim był Greco, oraz Goi (Goya y Lucientes), charakterystycznego malarza typów i obyczajów z okresu upadku narodowego. I z tem wszystkim Zuloaga jest sobą do tego stopnia, że na pierwszy rzut oka wydać się może ekscentrycznym, aż do przesady.

Pochodzi to stąd, że nie trzyma się on prawdy dosłownej w interpretacyi natury, lecz ją przystosowuje w taki sposób, aby uwydatnić pewne cechy i wywołać pewien nastrój. Na tle czarnego, złowrogiego nieba, jak u Greca przedstawiają się sceny jego obrazów—w pierwszym: grupa portretowa kobiet, z których trzy młodsze, kuzynki artysty, jak objaśnia katalog, w strojach hiszpańskich, jak je widzimy u Goi, t. j. w czarnych krótkich spódnicach, z wzorzystymi na czarnem tle jedwabnymi szalami i czarnymi koronkami na głowie, o rysach nie pięknych, ale niezmiernie charakterystycznych, licach bielonych, z czarnymi muszkami i ognistych oczach w ciemnej oprawie, w których odbija się szalony temperament i nieokiełznana duma tej rasy Conquistadorów, co też daje się odczuć w ich naturalnie wyzywających postawach. Również duma, ale w wyrazie łagodniejszym szlachetnej matrony, daje się odczuć w postaci starszej kobiety, zapewne ich matki i przybiera wyraz filozoficzny w podłożnych i nieco orlich rysach spokojnej i pięknej, ozdobionej długą szpakowatą brodą głowy malarza, stojącego na dalszym planie, z wielką paletą w rękę.

Drugi obraz (*Victime de la fête*), przedstawia starego pikadora, wracającego, po walce byków, na starej, chudej, okrwawionej i z trudem stąpającej siwej szkapie, naturalnej wielkości, z pod której, w szerokiej panoramicznej perspektywie widać w dolinie pustą obecnie arenę, gdzie przed chwilą barwny tłum przyglądający się krwawemu turniejowi, nasycił atawistyczny głód heroizmu.

Ten koń wlokący się ostatnim wysiłkiem do stajni, do której może nie dociągnie; ten jeździec w bogatym haftowanym stroju, o rysach zmęczonych i zobojętniałych, to jakby odwrotna strona medalu tych igrzysk bohaterskich, na których kawalerowie dokonywują cudów zręczności i odwagi, narażając się na śmierć bez wahania, dla sławy zwycięzcy, uśnicchu seniority i oklasku tłumów.

W trzecim obrazie (*Le Christe du sang*) chłopci, oraz ksiądz jezuita, o rysach charakterystycznie wyrazistych i typowych w swej trywialności, klęczą obok Chrystusa, przybitego do niskiego krzyża tak, iż stopami dotyka ziemi. Całość utrzymana w tonach oliwkowo-zielonawych i brunatno-czerwonych, odcina się na tle takiegoż czarnego nieba. Te trzy kompozycje zdają się wyrażać naturę rasy hiszpańskiej, w trzech objawach jej życia: w rodzinie, w zaniłowaniu do widowisk gwałtownych, krwawych i bohaterskich i w religijności, którą jej wrodzona namiętność posuwa do ekstazy lub fanatyzmu. Z mistrzowskiego charakteru rysunku posuniętego niekiedy aż do trywialności, graniczącej z karykaturą; z zuchwałej pewności siebie w malowaniu szerokimi tonami, umie dobyć ten niezwykle artysta jakiś nastrój szczególny i gorzki, niezmiernie dramatycznej siły. Chociaż nie jest Francuzem i pośród sztuki francuskiej szczególnie się wyodrębniła, nie można go tu pominąć, bo najpierw stałe w Paryżu wystawia, a następnie dzieła jego, zwłaszcza tegoroczne, zbyt wybitnie się wyróżniają, by o nich nie wspomnieć.

Inny Hiszpan, p. J. M. Sert odznacza się tu swą wielką kompozycją plafonu, na temat mitologiczny ślubu Psychy, przeznaczonego do prywatnego pałacu, w której aczkolwiek wystawiony obraz jest dopiero częścią całości dekoracyi sali, okazuje artysta dużo talentu, wiedzy i sumienności, oraz umiejętności wyrażenia się osobistego w stylu nieco złożonym późniejszego odrodzenia.

Z wielkich prac specjalnie dekoracyjnych, t. j. przeznaczonych do zlobienia wnętrza gmachów, w zastosowaniu do architektury, prócz wymienionego już wyżej dzieła Maurycego Denis, figurowała w Salonie Nacyonalnym kompozycya p. Aman-Jean p. t. „*Les Eléments*“, wykonana dla Sorbonny. Traktowana w tonach subtelnie szarych, w których ten artysta wyraża zwykle swój sentyment, kompozycya ta szwankuje na jedności myśli. Składa się ona z kilku grup, odpowiadających czterem żywiołom, rozmieszczonych na tem płótnie bez związku z sobą. U tego artysty często tak dobrze natchnionego i uczuciowego w pracach mniejszych rozmiarów i zwłaszcza nie narzuconych przez zamówienie urzędowe, znać tutaj dziwny brak odczucia przedmiotu. Żywioły

są tu przedstawione albo wprost dosłownie jak ogień—ognisko, zresztą zaledwie dymiące, otoczone przez pasterzy, lub woda — rzeka, w której kąpią się kobiety,—albo w allegoryi nic nie mówiącej, np, dwie kobiety, przedstawiające Ziemię i Geologię, lub zbyt zużytej jak geniusz który „robi wiatr“, nadymając policzki i wywołuje huragan, zginający w pół drzewa, podczas, gdy dym palącego się obok ognia, wznosi się prosto w niebo, jak w czas najspokojniejszy. Jednem słowem wszystko się tu nie trzyma, prócz tego tonu szarego, który rzuca rodzaj dyskretnej zasłony na te błędy i braki, ale ich nie ukrywa.

Największem może płótnem, był obraz, który wymalował p. Jean-Paul Laurens dla Kapitolu w Tuluzie na temat założenia Akademii Gier Kwiatowych (Académie des Jeux Floraux) w tem mieście (Salon Artystów Francuskich). Epizod wybrany przez starego mistrza przedstawia pierwszy konkurs poetycki, który na wezwanie siedmiu trubadurów odbył się 1 maja 1324 r., w pięknym ogrodzie pod murami Tuluzy. Scenę tę odtworzył p. Laurens dosłownie tak, jak według autentycznych opisów odbyła się naprawdę i jak ją sobie w swej wyobraźni dopełnił, a więc są tu pod drzewami i na tle murów miejskich trybuny drewniane, które wypełniają obraz, a na nich, na pierwszych planach zasiadło siedmiu owych trubadurów, z nazwiskiem każdego wypisanem nad ich głowami. Pod nimi gra orkiestra, ukryta na sposób, jak w dzisiejszych teatrach operowych, ale widoczna dla patrzącego, podczas gdy na wysoko wzniesionej katedrze deklamuje swój poemat na cześć Najświętszej Panny Armand Vidal de Castelnaudary, który zdobył nagrodę konkursu, złoty fiołek. Trybuny, z brzege wypełniają zaproszone znakomitości, ale dalej wydają się pustemi i ukazują swe rusztowania i poręcze w nudnych równoległych liniach. Jestto więc rodzaj ilustracyi, w charakterze powiększonego do kolosalnych rozmiarów iluminowanego obrazka. Dziwnie to wszystko nie odczute, pozbawione zupełnie nie tylko poezyi, której nastrój można było wywołać przy wspomnieniu jej święta, ale i poczucia piękna w czysto malarskiej kompozycyi. Scenę, nawet w rozumieniu dosłownem, należałoby przedstawić w zgrupowaniu estetycznem, zamiast pokazywać nudne szeregi trybun, które w tym obrazie tyle zajmują miejsca. Po za tem, jeżeli weźmiemy każdą figurę pojedynczo lub grupy figur, to są one wykonane przez tego znakomitego przedstawiciela, nowożytnego akademizmu ze skończoną umiejętnością i sumienną precyzją w szczegółach strojów historycznych. Pięknie skomponowana grupa muzykantów, gdyby ją wyłączyć z tej całości, ra-

czej mechanicznie zestawionej, byłaby sama przez się obrazem o wiele więcej przemawiającym i więcej wartym od tego wielkiego płótna bez wyrazu ani jedności. Przyjemną dekoracyę plafonu dla sali ślubnej w urzędzie gminnym stanowił za to (w tymże Salonie) obraz p. Gorguet p. t. *Prairial* — świeża i barwna kompozycya z kwiatów i girland, otaczających brązowy posąg Amora, na marmurowym ołtarzyku, wszystko w stylu, przypominającym wiek XVIII.

W portrecie wyróżnił się w tym roku p. Flameng, który dał mistrzowską, w swym stylu nieco angielsko-akademickim, kompozycyę portretową, złożoną z trzech figur naturalnej wielkości, przedstawiających babkę, córkę i wnuczkę, przyczem jedwabie sukien i ozdoby toaletowe odgrywają bardzo ważną rolę, nie ujmując zresztą życiu i wyrazu figurom i twarzom. W tymże rodzaju portretowym zaznaczyć wypada również w obu Salonach dzieła pp. Baschet, G. Ferrier, Etchévary, Laszlo, F. Humbert, panny Delasalle, panny Boznańskiej, p. Morisset, Boldini, Guirand de Scevola, de La Gandara, H. de Nolhac, T. Styki i bardzo wielu innych. W rodzaju fantazyjnym p. Gaston La Touche był nieraz więcej wymownym w połączeniu fantazyi z rzeczywistością, niż w swych tegorocznych kompozycjach: „*Tentation de Saint Antoine*“, „*La Fortune en détresse*“ (naga Fortuna, oczekująca przed kuźnią, podczas gdy kowal naprawia jej skrzydlate koło) i „*La Cible*“, z których ma najwięcej wdzięku i sentymentu obraz ostatni, przedstawiający małą, okrągłą świątyńkę Amora, z parku Wersalskiego, o zankniętych żaluzjach, przez które prześwita słońce i napełnia złocistym pyłem półnrok wnętrza, gdzie młode panienki, tańcząc wokoło posagu ubóstwianego figlarza, zarzucają go różami, wśród śmiechu i żartobliwych ceremonialnych ukłonów. Cała ta scena utrzymana w harmonii półtonów złotawych może służyć za przykład upoetyzowania rzeczywistości przy pomocy środków wyłącznie malarskich — cały nastrój wywołuje tu to delikatnie odczute ustosunkowanie półtonów i światła, oraz wdzięk w ruchach, wyrazach i zgrupowaniu figurek dziewczęcych. Wiele wdzięku w świeżości młodych kształtów i delikatnych refleksach przezroczystrych szarzyzn poranku miał też obraz p. Pawła Chabas — „*Matinée de septembre*“ (medal honorowy), przedstawiający nagą dziewczkę w wodzie po niżej kolan, ociągającą się w naiwnie wdzięcznym ruchu, przed zanurzeniem się w jeziorze, na którego powierzchnię słońce, jeszcze ukośnie rzuca swe wesołe blaski. W obrazie p. Re-

nard, przedstawiającym ostatnie chwile Molière'a zaznaczają się intencje światłocieniowe w stylu Rembrandta.

Z pośród mnóstwa widoków nastrojowych i pejzażów, wymienimy bardzo pięknie odczute, w ich wyrazie melancholijnego spokoju, widoki klasztorów i placów Florencyi przez p. M. Michel; więcej realistycznie, ale również z wielkiem czuciem traktowane widoki Wenecyi przez p. A. Truchet; piękne nastroje pejzażowe z prowincyi Dauphiné przez p. J. Flandrin; smutne i ogołocone widoki okolic nadmorskich przez p. Dauchez, pejzaże pp. Raffaelli, Lepère, Prunier, Maronnier i innych.

Siłą temperamentu i mistrzowskie władanie pędzlem widać w rozhlukanych koniach p. A. Rolla. Również siłą przy widzeniu nieco zbyt szczegółowem, w swym realizmie batalistycznym, w rodzaju Detaille'a, odznaczała się „La Chevauchée“ angielskiego malarza p. Scotta—szalona szarża kawaleryi (naturalnej wielkości) pędzącej wprost na patrzącego, ze szkieletem śmierci w złotym wieńcu laurowym na głowie i w mundurze kirasyera, galopującym na czele—fantazya oddana w tak ściśle realistyczny sposób, że traci zupełnie charakter fantazyi, ale rzecz w swoim rodzaju świetnie wykonana.

Jeżeli przejdziemy do rzeźby, to zauważymy tu mnóstwo rażących swą sztucznością pomników i kompozycyi z intencjami politycznemi lub pseudo-patryotycznemi, równie banalnie nadętych i niesmacznych, jak pojętych nie po rzeźbiarsku. Jest to skutek zamówień urzędowych, które niekulturalni władcy Republiki, a za ich przykładem zarządy miast i gmin, czynią z wyrachowaniem i w celach wyłącznie politycznych. Stawia się więc pomniki we wszystkich gminach byle komu, pod warunkiem, by czemkolwiek zaznaczył swój radykalizm, aby w ten sposób przypochlebić się wyborcom, dać zarobek protegowanemu przez polityków rzeźbiarzowi, zaznaczyć w jakimś pretensjonalnym aforyzmie doskonałość rządów Republiki lub sławić dogmaty demokratyczne, które ona propaguje. Wartość artystyczna dzieła ma w takich warunkach, jak się łatwo domyślić znaczenie drugorzędne, w każdym zaś razie musi się stosować do smaku takich mecenasów, a to dość powiedzieć. Prócz więc takich pomników, stawianych ludziom, o których zasługach nikt nie słyszał, widuje się w Salonach co roku równie wielkie, jak pozbawione wszelkiego wyrazu kompozycje rzeźbiarskie opatrzone notatką „Commande de l'Etat“ i przeznaczone np. do upamiętnienia prawa o emeryturach robotniczych i chłopskich (któremu nb. interesowani nie chcieli się poddać!) lub wzniesione na cześć szkoły republikań-

skiej, t. j. rządowej, zwanej świecką (Ecole laïque), o której systemach wychowania i nauczania wiemy coś skądinąd. Nie więcej warte są też te kompozycje niby-patriotyczne, w istocie sławiące Rewolucję i odrażające swą fałszywą pozą i sztuczną deklamacyjnością. Takich produkcji było w tym roku mnóstwo, jak i lat innych. Wyjątek wszakże stanowiło w tej kategorii „Com-mande de l'Etat“, dzieło Jana Boucher—pomnik przyłączenia Bretanii do Francyi, przeznaczony dla miasta Rennes, stolicy Bretanii,—piękna i z talentem wykonana kompozycja, w wypukło-rzeźbie (haut relief). Ale, gdzie kierują niskie pobudki i takiegoż poziomu inteligencja, tam intencja lub rzecz najlepsza, i najprostsza zostanie przynajmniej w jakimś szczególe sfalszowana lub skrzywiona. Pomnik ten, jako dzieło sztuki zasługuje z wielu względów na pochwałę, niemniej wywołał ogólne oburzenie i protest Bretończyków. Dlaczego? Bo daje powód do fałszywej interpretacji faktu historycznego. Bretania nie została „przyłączoną“ do Francyi, t. j. podbitą lub anektowaną, lecz „połączoną“ z Francją w taki sam sposób, jak jej panującą monarchini, księżna Anna połączyła się związkiem małżeńskim, w roku 1491, z królem Francyi Karolem VIII. Ich więc małżeństwo jest prawdziwym (choć nie ostatecznym, który nastąpił później, za Franciszka I w r. 1532) aktem unii obu krajów i jej naturalnym symbolem. Tak też to najwidoczniej pojął artysta, bo grupa przedstawia nie co innego, tylko ceremonię ślubu, z tą różnicą, że zamiast przy boku króla-oblubieńca, którego tu niema, księżna Anna, żywe uosobienie Bretanii, klęka przed figurą allegoryczną—kobietą, przedstawiającą Francję. Bretania klęka przed Francją i to przed Republiką, w r. 1491! Bo Francja w postaci kobiety, to nie co innego tylko Republika. I taki obrót kompozycji, w której wszystko po za tem ma bezpośredni charakter historyczny w scenie ślubu wynika najwidoczniej z narzuconych rzeźbiarzowi wskazówek i warunków. Republika z r. 1912 kasuje monarchię z r. 1491! Księżna Anna, jako kobieta, może też uchodzić tu za figurę allegoryczną, więc poco przypominać, że oba te kraje, były to monarchie, mieszkańcom, których objaśniać o tem unika szkoła „świecka“? Ale inaczej to przyjęli Bretończycy, którzy połączyli się niegdyś z Francuską Monarchią, lecz Rewolucyi, której stawili czoło z bronią w rękę, ani Republiki nigdy nie uznali i w istocie zostali przez nią podbici. To dają im republikanie francuscy odczuć dzisiaj i, nadając takie znaczenie aktowi z r. 1491, do brutalnego nietaktu, dołączają fałsz historyczny. Zauważmy teraz, że ta herezya historyczna jest też he-

rezyą i błędem rażącym w kompozycyi: do sceny realnej, rzeczywistej i grupy, przedstawiającej osoby żywe, postacie historyczne, nie można wprowadzać ni stąd ni zowąd postaci, będącej wytworem wyobraźni, jeżeli zaś się to czyni, to co najmniej trzeba ją wyodrębnić, aby nie mogło być pomyłki co do tego, że nie jestto osoba żywa, jak te, które ją otaczają, lecz allegorya. Ta różnica nie just tu wcale zaznaczona i w ten sposób nędzna i bezsensowna polityka, stosowana wstecz, wywołuje, w chwili, gdy ma być święcona pamiątka unii, rozgoryczenie i poróżnienie, a dzieło, które samo przez się mogłoby być pięknem, pozbawia prawdziwej harmonii. Jeżeli zaś chciano ze strony Francyi usunąć jej żywe uosobienie, jakim był król, to trzeba było uczynić to samo i dla Bretanii i całości nadać charakter allegoryczny, zamiast ją przedstawić w scenie historycznej, w taki sposób przekręconej.

Najwybitniejszym dziełem wśród tegorocznej produkcji rzeźbiarskiej obu Salonów, był niewątpliwie pomnik Mikołaja Rolin i jego małżonki Guigonne de Salins, fundatorów wzniesionego w r. 1443 szpitala (Hôtel Dieu) w Beaune, w Burgundyi—grupa złożona z dwóch posągów naturalnej wielkości, wykonana przez p. Henryka Bouchard, w stylu średniowiecznych grobowców, według wzoru portretów tych dobroczyńców, malowanych przez flamandzkiego malarza Rogiera van der Weyden. Figury te są zarazem ściśle stylowe w charakterze i układzie i mają wszystkie cechy osobiste artysty w energii rysunku i pełnej siły modelacyi kształtów, oraz w żywej prawdzie ruchów i wyrazu pobożnej powagi, co wszystko razem dowodzi raz jeszcze, że dyscyplina tradycyjna w najściślejszem nawet zastosowaniu się do stylu, nie wyłącza bynajmniej indywidualności artysty, jeżeli ten ją ma naprawdę. Dzieło to, wystawione w modelu gipsowym, ma zostać wykutem w kamieniu i umieszczonem w owym szpitalu. Zakupił je w tym celu rząd, który szczęściem nie brał tym razem udziału w jego kompozycyi, bo inaczej z pewnością nie byłoby się obeszło bez dodania jakiejś alluzyi do trymfu Wiedzy republikańskiej nad obskurantyzmem klerykałnym, przez laicyzację szpitalów.

Prócz dzieł powyższych, zwracał uwagę przedewszystkim kolosalnemi rozmiarami, ale również i zaletami rzeźbiarskimi konny pomnik Michała-Anioła przez p. Daniela Bacqué, z odtworzonymi wokoło cokółu, w wypukło-rzeźbie, słynnemi tworamii ducha genialnego artysty. Były także aż dwa pomniki Klemencyi Isaure, dla miasta Tuluzy przez p.p. Ducoing i Laporte-Blairzy, o zaletach nieco wątpliwych.

Trzy pary olbrzymich wołów p. H. Boucharda, z dawniejszego Salonu, powróciły znowu w tym roku, tym razem odlane z brązu. W rzeźbie monumentalnej odznaczały się jeszcze dzieła p.p. A. Mercier, Carlés, David, Gardet—fontanna z jeleniem naturalnej wielkości i sforą psów, wykonana z pięknem odczuciem natury, kształtów i ruchów zwierząt; wreszcie sztucznie pomyślany i słabo wykonany pomnik Rabelais, dla miasta Montpellier, przez p. Villeneuve—jeszcze skutek warunków urzędowego konkursu.

W Salonie Nacyonalnym wystawił p. A. E. Bourdelle figurę z gipsu, którą nazwał „Pénélope“ dzieło, w którym jeżeli znać ślady talentu jego twórcy, to niemniej widać też, że oddalenie się nietylko od koncepcyi tradycyjnych, ale i od proporcji naturalnych nie przyczynia się bynajmniej do nadania wyrazu dziełu, a jeżeli ma to być cechą oryginalności autora, to nie przemawia na jego korzyść.

Po za tem odznaczały się jeszcze w rzeźbie dzieła: p.p. Injalbert, Serruys, Niederhausern-Rodo, Fix-Masseau, Vanniez, Wittig, Valette i wielu innych, w obu Salonach, o których już mówić tu nie będziemy.

KONRAD OSTROWSKI.

ROZMAITOŚCI.

O szkołę rolniczą w Żabikowie.

Przytoczony poniżej list Augusta Cieszkowskiego pisany był do d-ra Feliksa Kudelki, b. profesora szkoły rolniczej w Żabikowie (później b. prof. Akademii w Dublinach). Dzięki uprzejmości właściciela rękopisu, jestem w możności ogłosić drukiem ciekawy ten przyczynek do biografii znakomitego filozofa, a w końcu pierwszej połowy XIX w. także współredaktora „Biblioteki Warszawskiej“.

List niniejszy pisał ś. p. Cieszkowski do pana Kudelki w 1876 r. w sierpniu; pismo jest w ścisłym związku z b. szkołą rolniczą polską w Żabikowie pod Poznaniem. Do listu podaję krótkie objaśnienie sprawy.

Szkoła rolnicza w Żabikowie założona została w r. 1870. Cieszkowski, właściciel Żabikowa, ofiarował dom oraz folwark potrzebny dla szkoły.¹⁾ Za to szkoła otrzymała nazwę „imienia Haliny“ (od imienia żony filozofa). Fundusze główne dawała Spółka Bazarowa (nazwana od hotelu tego samego imienia, istniejącego do dziś w Poznaniu) oraz uczniowie z opłaty czesnego.²⁾ Dla względów prawnych, t. j. dla zapewnienia prawnego bytu szkoły (Bismarck wówczas stal u steru władzy i dał początek akcji antypolskiej) zawiązała się spółka akcyjna szkoły imienia Haliny w Żabikowie. Forma więc spółki akcyjnej przy zakładaniu szkoły była ze strony Polaków prawną formalnością przeciw ewentualnemu rozporządzeniu zamknięcia szkoły. O tej właśnie spółce szkolnej i o jej akcyonaryuszach wspomina Cieszkowski w swym liście.

1) Cf. „Dziennik Poznański“ 1894 r 17 marca, oraz „Kuryer Poznański“ z 17 marca 1894 r., dalej „Gazeta Rolnicza“, Warszawa, № 44 i 46 z 1900 r. w artykule „Słówko o szkole Żabikowskiej“, wreszcie dr. Juliusz Au „Wiadomość o szkole rolniczej im. Haliny w Żabikowie“, Poznań, 1870.

2) Cf. Dr. J. Au l. c. j. w.

Mimo to rząd pruski znalazł inny sposób celem podcięcia bytu szkoły. Oto wydała pod koniec roku 1875 uczniów obcych poddanych, którzy tworzyli około 90% ogółu słuchaczy. Rzekomy powód przytacza b. uczeń szkoły żabikowskiej w warszawskiej „Gazecie Rolniczej“ № 44 z 1900 r. w cytowanym wyżej artykule. Był to więc podwójny cios dla szkoły: odbierał jej większą część uczniów, oraz jedno z głównych źródeł dochodu, czesne. Spółka akcyjna szkoły otrzymała wprawdzie od spadkobierców ś. p. Seweryna Mielżyńskiego jednorazowo znaczniejszą kwotę na podtrzymanie bytu szkoły, ponieważ jednak zasiłku na przyszłość spadkobiercy odmówili, przeto po kilku miesiącach spółka akcyjna dla braku funduszków rozwiązała szkołę (1876).

W związku więc z tą uchwałą spółki akcyjnej jest list Cieszkowskiego. Autor chciałby znaleźć środek uratowania szkoły, którą swem „dzieckiem“ nazywa. O środkach ratunku mówi niewyraźnie, dadzą się one jednak częściowo wysnuć: jednym z nich miały być „wspólne ofiary“, t. j. Cieszkowskiego i profesorów oraz ewentualnie innych osób. Drugim środkiem to prowadzenie wykładów, choćby dla kilkunastu uczniów, z oczekiwaniem rady i ratunku w najbliższej przyszłości. Starania jednak filozofa były daremne; szkoła, podcięta rozporządzeniem rządu (wygnanie uczniów obcych poddanych) i rozwiązaniem się spółki akcyjnej, dla braku funduszków i uczniów (zostało ledwo kilkunastu), istnieć przestała. Dodać trzeba nakoniec, że szkoła rolnicza w Żabikowie, aczkolwiek istniała krótko, to jednak bardzo chlubnie istnienie swe (od 1870—1876 r.) zaznaczyła.

List niniejszy rzuca ciekawe światło na Cieszkowskiego i jest dalszym dowodem, że autor jego umiał być zarazem filozofem, socyologiem, ekonomistą, politykiem (długoletni prezes Kola Polskiego w Berlinie) i działaczem społecznym.

ALFRED BRODNICKI.

Wierzenia pod Poznaniem 20 sierpnia 1876 r.

Kochany Profesorze!

Nie odebrawszy do dziś ani słóweczka jakiegokolwiek notyfikacji o niepojętem dla mnie a zadziwiającem dla wszystkich postanowieniu garsteczki P. P. Akcyonaryuszy, zawiązanych w „celu wyposażenia i utrzymania szkoły rol.“[niczej] — a dopełniających tego celu i przyjętego obowiązku „zawieszeniem szkoły na czas nicograniczony“ — zdecydowałem się onegdaj pojechać do Zabikowa, celem rozmówienia się tamże z pozostałymi i w każdym przypadku pozostającymi na miejscu Professorami o doniosłości i bezpośrednich skutkach tego postanowienia. Lecz zmartwiłem się bardzo, nie zastawszy kochanego Profesora, który, pełniwszy przez czas jakiś obowiązki prowizorycznego Dyrektora, byłbyś mię najlepiej mógł objaśnić, czy i w jaki sposób, oraz z jakimi wspólnymi między nami a tymczasowemi ofiarami dałby się na wszelki przypadek kurs półroczna zimowego urządzać, choćby tylko dla kilkunastu uczniów, boć oczywiście po takim ogłoszeniu zawieszenia pojechałem (a na-

wet po wyraźnem odmówieniu chcących się zapisać jeszcze przed tem ogłoszeniem), trudno się więcej spodziewać — ale darmo, niech odpowiedzialność tych i dalszych skutków ciąży na tych, co tak po macoszemu z chorem wprowadzie, ale życia pełnem dzieckiem sobie postąpili — nam przedewszystkiem, którzy w żywotność jego wierzymy, idzie o to, aby wszelkiej „solutio continuatis“ uniknąć — bo przyznasz mi Szanowny Doktorze, jako fizyolog, że zawieszenie życia żyjącej istoty bardzo zakrawa na zadanie jej śmierci, jeśli nie jest zupełnym nawet jej końcem, że więc wobec takiej abdykacyi Spółki i Zarządu, moglibyśmy prawdziwie po macierzyńsku ratować dziecko, urządzając tymczasowo takie wykłady, na jakie nas stać (choćby nawet w domu po P. Orłowskim, gdyby nam nawet auditorium odmówiono) i zapobiegając w ten sposób faktycznemu zawieszeniu szkoły, dać czas Spółce lub komu innemu do skuteczniejszego i trwalszego zaradzenia. Nie zastawszy Professora, z którym się specjalnie chciałem o to rozmówić, bo pewny jestem, że mi i najdokładniej i najchętniej poradzisz, nie wspomniałem wyraźnie o mojej myśli nikomu w Żabikowie — nie chcę przedweześnie, póki się nie przekonam o możliwości z naszej strony (o co właśnie do kochanego Professora piszę, prosząc o zdanie bez ogródki, ale z pozytywnemi wskazówkami) cośkolwiekbydz zapowiadać; — ucieszyłem się tylko, widząc, że nawet P. Karliński, choć członek Zarządu, był zupełnie temu zadziwiającemu postanowieniu „Walnego Zebrania“, na którym, prócz Zarządu, było podobno dwóch Akeyonaryuszy!!, przeciwny; — że więc i na jego spóldziałanie moglibyśmy liczyć.

Powiedziano mi w Żabikowie, żeś Professor pojechał do Graeffenberga, nie wiedząc jednak czyś tam już zajechał, ani adresu, wołę ten liścik w pośpiechu napisany zarekomendować, żeby się nie zawieruszył — oraz czempredziej mi zdanie kochanego Professora sprowadził.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania

Aug. Cieszkowski.

DYSKUSYA.

Otrzymałiśmy od p. Pietraszkiewiczówny następujące uwagi w sprawie zamieszczonej w zeszytcie lipcowym r. b. „Biblioteki Warszawskiej“ recenzji:

Recenzya p. H. Mościckiego w zeszytcie lipcowym Biblioteki Warszawskiej o książce p. t. „Dzieje Filomatów w zarysie“ wywołuje konieczność kilku zasadniczych wyjaśnień z mojej strony. Przedewszystkiem chcę tu zwrócić uwagę na tytuł i niektóre zastrzeżenia przedmowy, tłómaczące właściwy zakres książki.

„Dzieje“ te — to „krótki zarys“, oparty „na podstawie dokumentów archiwalnych“, jak to wyraźnie zaznacza przedmowa (str. 4). Celem moim było przedstawić działalność Filomatów ze stanowiska ich własnych współczesnych a nieznanych świadectw, w formie jaknajtreściwszej nawet w stosunku do

samego archiwum, t. j. ująć tylko rzeczy zasadnicze, stosując się zresztą do rozmiarów miesięcznika „Przeglądu Powszechnego“, z którego „Dzieje Filomatów“ stanowią odbitkę. To też zakres książki mojej, odstępując z jednej strony od zadań ścisłego referatu przez pominięcie drobniejszych szczegółów, z drugiej, wybiega poza jego ramy o tyle tylko, że, obok treści dokumentów, podaje samodzielne wnioski rzeczowe we względzie wytycznej linii rozwoju, zarówno głównego towarzystwa, jak zależnych od niego związków.

P. Mościcki pochlebia mi poniekąd, stosując do pracy tej, przygodnej zresztą, miarę wymagań ścisłej krytyki historycznej. Dlaczego jednak, zamiast „krótkiego zarysu“ nie dałam wyczerpującej monografii, opartej na wszechstronnem tle dziejowem, sądzę, że to rzecz ściśle osobista, gdzie zarówno wszelkie zarzuty jak wyjaśnienia są conajmniej nie na miejscu. Wobec blizkiego ukazania się „Archiwum Filomatów“ w druku, powstrzymuję się również od obszerniejszej odpowiedzi na uczyniony mi zarzut „nieściśłości“ w przedstawieniu stosunku Filomatów do innych współczesnych stowarzyszeń krajowych. W „Korespondencji“ i „Sprawozdaniach“ znajdzie p. Mościcki najlepsze świadectwo, jak zapatrywali się Filomaci na związki warszawskie, jak przedstawiały się ich stosunki z Ogińskim, delegatem z Warszawy; jaka była wreszcie działalność Klubu czyli Związku Przyjaciół, który, acz brał udział pośredni w organizacyi majówek, z „Towarzystwem Przyjaciół pożytecznej Zabawy“, prócz analogicznej nazwy, nie miał nic wspólnego, i dopiero w 1821 r. objął kierownictwo Filaretów.

O nazwie „Towarzystwa sześciu“ niema w archiwum żadnej wzmianki. Trudno również wysnuć jakikolwiek pewny wniosek co do pochodzenia nazw stowarzyszeń wileńskich.

Starając się trzymać zasady treściwego przedstawienia nieznaney lub mylnie znanej historii Filomatów, celowo ograniczam się do jaknajkrótszych wzmianek o rzeczach dobrze wiadomych, co ma właśnie miejsce przy omówieniu znanej w druku instrukcyi statystycznej, zwłaszcza zaś przy ogólnym opisie procesu i śledztwa, gdzie sięgam do innych źródeł o tyle tylko, o ile jest to koniecznem dla logicznego związku w opowiadaniu. Zresztą opieram się na listach więziennych Piaseckiego i Zana, podając zarazem szczegółową treść znajdujących się w archiwum zeznań Zana, Malewskiego i Pietraszkiewicza.

Uważam przytem za stosowne zaznaczyć, że uratowane przez ś. p. Onufrego Pietraszkiewicza dokumenty Towarzystwa Filomatycznego (z wyjątkiem papierów śledczych w kopiach) to nie „komentarz“ ani „przyczynek“ do dziejów Filomatów, jak wszelkie dotychczasowe źródła, lecz właściwa ich historia, zawarta w protokołach, ustawach, sprawozdaniach i obszernej korespondencji, historia współczesna, bezpośrednia, a zatem z punktu widzenia oceny krytycznej wyżej stojąca od świadectw pamiętnikarskich a zwłaszcza od zeznań śledczych, gdzie, jak świadczą listy więzienne, szło przedewszystkiem o zamaskowanie prawdy.

O ile jednak we względzie organizacyi wewnętrznej Towarzystwa i związków mogłam się spokojnie oprzeć wyłącznie na archiwum, o tyle, nie przeczę, że w omawianej ubocznie historii ogólnego przebiegu śledztwa i jego

następstw mogły znaleźć się pewne niedokładności, spowodowane nieznamościami źródeł urzędowych, które niezawsze i niewszędzie mieć można choćby były ogłoszone drukiem. Niemniej jednak „błędne nazwiska“ członków komisji śledczej w 1822 r. polegają na tem, że podane jest „Kłagiewicz“ zamiast „Kłagiewicz“ i „Łobejko“ zam. „Łobojko“—a zatem aż nazbyt widoczna omyłka drukarska, zwłaszcza że ostatnie nazwisko, powtórzone na str. 158 brzmi zupełnie poprawnie. Podobnież data zeznań Mickiewicza 12 zamiast 19 listopada — to błąd zupełnie analogiczny do 1812 zamiast 1819 roku (str. 184). Nie wchodzę też w dyskusję co do wieku Wieczkowicza, zaznaczam tylko, że lat 11 podane jest w ogłoszonym przez Lelewela źródle „Nowosilcow w Wilnie“.

Przyjmując korektę p. Mościckiego co do autorstwa zacytowanego przeze mnie przygodnie czterowersza, muszę zarazem wytłumaczyć, że przytaczane urywki z poezyi — to bynajmniej nie sprzęganie działalności ideowej Filomatów z pozytywizmem 1870—1880 r., lecz proste aforyzmy, czerpane dowolnie z utworów zarówno XVIII jak XIX w. a zastosowane do myśli przewodniej Filomatów, pełnej wytrwałości i poświęcenia pracy organicznej, którego celem jest dobrobyt, oświadczenie wszystkich warstw narodu, przygotowanie ich do możliwej w przyszłości akcji, ideałem — miłość ojczyzny i szczęście ogółu!

Poważnej „wady metodycznej“, — „stałego pomijania dokładnych dat cytowanych listów“, uniknąć, pomimo najszczerzych chęci, nie mogłam, listy te są bowiem po większej części nie datowane, lub datowane niedokładnie, tak, że czas ich pisania dał się narazie tylko ogólnikowo oznaczyć. Do powyższych wyjaśnień pozostaje mi dodać jeszcze jedno, którego konieczność, wyznaje, dziwi mnie bardzo. Posuwając swą dokładność w ocenie mej pracy do zrobienia mi zarzutu z omyłek drukarskich (2-go zamiast 21 grudnia, Zachorski zam. Zahorski, Zabellewicz zam. Zubellewicz i kilku in.), ze spolszczonej pisowni nazwisk, przeważnie zresztą w listach i dokumentach Filomatów używanej, nie zwraca p. Mościcki uwagi na względnie obszerną wiadomość o kolejach, jakie przechodziło archiwum (str. 2 i 3) i tłumaczy, że zostało ono powierzone Akademii dla „należytego uporządkowania“. Wobec wiadomości tej, zupełnie analogicznej i równie błędnej, jak tylekroć powtarzane przez dzienniki „wynalezienie archiwum“ uważam za konieczne powtórzyć raz jeszcze, w jakim stanie dokumenty złożone zostały w Akademii Umiejętności w Krakowie na czas ogłoszenia ich drukiem. A mianowicie: *we względzie pism organizacyjnych*:

- 1—teksty odczytane,
- 2—skopiowane,
- 3—ułożone według autorów na podstawie charakterów pisma,
- 4—podzielone na kategorie,
- 5—daty oznaczone na podstawie protokółów i treści pism,
- 6—skatalogowane.

we względzie korespondencji:

- 1—teksty odczytane,
- 2—ułożone według autorów na podstawie charakterów pisma,

3—podana treść każdego listu,

4—skatalogowane.

Dzięki głównie pracy s. p. ojca mego, doktora Jana Pietraszkiewicza, archiwum w wyżej opisanym stanie złożone zostało w ręce Akademii Umiejętności, na której świadectwo w tym względzie powołać się mogą wogóle, w szczególności zaś na świadectwo prof. Kallenbacha, który dokumenty przyjął i przewiózł do Krakowa, prof. Czubka i p. Szpotańskiego, którym Akademia powierzyła wydawnictwo.

Pod patronatem Akademii odbywa się dopiero ułożenie dokumentów do druku i ogłoszenie ich z odpowiednimi objaśnieniami, przyczem dział korespondencyj opracowywany jest obecnie przez prof. Czubka, dział pism organizacyjnych przez p. Szpotańskiego i przezemnie. Drogą do tego bezpośrednio współudziału w poważnym wydawnictwie Akademii Umiejętności, podjętem „ku rzetelnemu pożytkowi nauki polskiej“,—utorowała mi w znacznej mierze moja praca o Filomatach.

STANISŁAWA PIETRASZKIEWICZÓWNA.

Od autora recenzji, p. Henryka Mościckiego, otrzymujemy wyjaśnienie następujące:

Z odpowiedzi p. Pietraszkiewiczówny przekonywam się, że książkę jej, traktowaną przeze mnie jako pracę poważną, autorka uważa za „przygodną“ i „odstępującą od zadań *ściśłego* referatu“ i że niesłusznie wobec tego pośądziłem ją o fachowe i ściśle naukowe zajęcie się dziejami Filomatów.

Wprawdzie p. P. zapowiadała w swej pracy, iż podaje w niej „historję Filomatów, osnutą na podstawie dokumentów archiwalnych“, skoro jednak sama autorka jest zdania, iż pracę jej przeceniłem, nie mogę oczywiście w zasadzie nic przeciw temu mieć do nadmienienia. Wobec nieporozumienia tego rodzaju zbytecznym byłoby ponowne podkreślanie poczynionych przezemnie uwag krytycznych, gdyż przez autorkę została zakwestyonowana nietyle ich ściśłość, ile raczej samo ich zastosowanie do jej pracy, jak się okazuje nie ściśle naukowej. Ograniczam się przeto do uwagi, że z 49 konkretnych zarzutów postawionych przeze mnie w recenzji, autorka wyraźnie przyznaje się tylko do jednego (przypisania Słowackiemu wiersza Gawalewicza), kilka usprawiedliwia błędami zecerskimi; nadto utrzymuje, że o Towarzystwie Sześciu nie pisała, gdyż o niem „niema w archiwum żadnej wzmianki“; wreszcie co do wieku Więckowicza powołuje się na Lelewela. Pozatem p. P. tłómaczy się z „pewnych niedokładności, spowodowanych nieznaną źródła urzędowych, które niezawsze i nie wszędzie mieć można, choćby były ogłoszone drukiem“.

Otóż co do Towarzystwa Sześciu myli się autorka, twierdząc, że o niem „niema w archiwum żadnej wzmianki“, albowiem wspomina o tem Towarzystwie Mickiewicz w „Instrukcyi dla Tomasza Zana, podług Rządowych postanowień, zapadłych na dniu 29 stycznia 1819 r.“ (por. Nieznane pisma Adama

Mickiewicza z Archiwum Filomatów wydał Józef Kallenbach. Kraków, 1910, str. 16). Autorytet Lelewela w sprawie wieku Więckowicza w tym wypadku zawodzi, istnieje bowiem ogłoszona drukiem relacya ściślejsza, lecz jej autorka „mieć nie mogła“. Pozwolę sobie nadto zauważyć, że nazwisko Więckowicza w rękopisie p. P. podane jest mylnie — „Wieczkowicz“. Co się tyczy wreszcie uczynionego mi przez p. P. zarzutu, jakoby błędnie twierdził, że archiwum powierzone zostało Akademii Umiejętności dla „nałężytego uporządkowania“, to dodam, że sama autorka pisze, iż „pod patronatem Akademii odbywa się *dopiero* ułożenie dokumentów do druku“, a zatem jest to chyba właśnie „nałężytem uporządkowaniem“?

HENRYK MOŚCICKI.

PIŚMIENNICTWO.

JÓZEF KONCZYŃSKI. *Stan moralny społeczeństwa polskiego na podstawie danych statystyki kryminalnej. Z zapomogi kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia d-ra med. Józefa Mianowskiego. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.*

Teorya urodzonego zbrodniarza, stworzona przez Lombroso, należy już w dzisiejszej kryminologii do przeszłości. Obaliły ją nowsze badania, wykazując jej jednostronność. Podług powszechnie przyjętej obecnie klasyfikacji przyczyny wpływające na powstanie przestępczości dzielą się na 3 grupy: 1) przyczyny antropologiczne—płeć, wiek, własności cielesne, sposób życia, jak również własności psychiczne rasy; 2) stosunki społeczne i polityczne—urodzenie, stan, życie rodzinne, stosunki gospodarcze, oświatowe, rodzaj pracy; 3) wpływy kosmiczne—klimat, temperatura, pora roku, różnica między wsią i miastem.

Wszystkie te czynniki, razem wzięte, stanowią podłoże, uzależniające rozwój przestępczości. Wśród nich jednak bezwarunkowo największą rolę grają warunki społeczno-ekonomiczne i polityczne. Zwiększanie się przestępstw w jakimś narodzie wskazuje, że życie jego staje się nienormalnem i że istnieją szkodliwe wpływy, które należy usunąć, aby rozkład zdrowia moralnego nie pociągnął za sobą upadku narodu.

Z tego względu studia nad stanem moralności naszego społeczeństwa są rzeczą nader ważną, dając nam możność zbadania czy gangrena występku nie staje się groźną dla organizmu narodowego.

Źródłem do badania przestępczości jest statystyka kryminalna. Niestety, urzędowe rejestrowanie przestępstw nawet na Za-

chodzie przedstawia wiele do życzenia. W Rosyi zbieranie statystyki urzędowej wogóle jest nader nieudolne, wobec tego i dane w ten sposób zdobyte nie zawsze są wiarogodne. Niezmiernie trudno jest budować gmachy wniosków naukowych na fundamencie z tak kruchego materiału. To też obowiązującą jest tutaj nadzwyczajna ostrożność.

Statystyką moralności u nas zajmował się jedynie Roman Buczyński. Prace jego jednak nie wyczerpywały tematu, a obecnie są już przestarzałe. Nad przerażającym upadkiem poziomu moralnego w Królestwie Polskiem biadał prof. Jesipow, ale ten oparł wnioski swe jedynie na zasadzie rachunku zabójstw politycznych w latach rewolucyjnych 1904—1906. Przygodnie porównuje przestępczość Rosyi i Królestwa Tarnowski w pracy „Itogi ruskiej ugołownoj statistiki 1874—1894“. Książka więc p. Konczyńskiego zapełnia dotkliwą u nas lukę.

Badając ruch przestępczości w Królestwie Polskiem w ubiegłym trzydziestoleciu 1877—1906, autor spostrzega od 1879 do 1894 r. znaczne i stałe powiększanie się ilości oskarżonych i skazanych, zarówno przez sądy ogólne, jak i przez sądy pokoju i gminne. Spotęgowaną tę przestępczość wywoływała supremacya urzędowa, która w tym okresie i w Rosyi była uciążliwa, a w Królestwie dawała się odczuć jeszcze silniej. Skrępowanie zwłaszcza szkolnictwa zgubnie oddziaływało na moralność społeczną, powodując coraz większe jej obniżenie. Zanknięcie inteligencji wszelkich dróg do oddziaływania na niższe warstwy społeczne wywoływało wprost ich zdziczenie.

Natomiast od 1894 r., gdy nacyonalistyczno-reakcyjny prąd w Rosyi osłabł, gdy zjawiała się możność prywatnej inicjatywy na polu oświaty i uspołeczniania mas—podnosi się poziom moralny społeczeństwa, co uwidocznia się na zmniejszeniu ilości przestępstw. Cyfra oskarżonych spada z 14,146 w r. 1893 do 12,719 w r. 1894, cyfra skazanych przez sądy ogólne zmniejsza się z 10,286 w r. 1893 do 8,078 w r. 1894; skazanych zaś przez sądy pokoju i gminne zarejestrowano w 1894 r. 6,888, podczas gdy w r. 1893 liczba skazanych przez te ostatnie sądy dosięgała 8,399. Na tym poziomie 1894 r. w przybliżeniu utrzymuje się liczba oskarżonych i skazanych aż do końca rozpatrywanego przez autora okresu, t. j. do 1906 r., pomimo znacznego wzrostu ludności.

Oprócz wyżej wskazanych przyczyn na zmniejszenie ilości przestępstw przeciw własności po 1894 r. duży wpływ wywarł szybki rozwój przemysłu w Królestwie, z którym w parze szło zwiększenie dobrobytu ludności.

Jeżeli trzydziestolecie 1877—1906 podzielimy na dziesięcioletnie okresy, to otrzymamy dla każdego okresu następującą przeciętną przestępczość. Na 100,000 ludności przypadało w Królestwie przeciętnie na rok skazanych przez sądy ogólne w pierwszym okresie 91.6, w drugim 163.5, w trzecim zaś 129.6; skazanych przez sądy pokoju i gminne — w pierwszym okresie 102.4, w drugim 101.9, w trzecim 61.0. Ogólna liczba skazanych tak przez sądy ogólne, jak i przez sądy pokoju i gminne, zmniejsza się nie tylko w porównaniu z okresem 2-im, lecz i 1-ym.

Ważnym objawem jest zmniejszanie się u nas liczby skazańców małoletnich i niepełnoletnich. W pierwszym okresie na 100,000 ludności skazano w sądach ogólnych małoletnich i niepełnoletnich do 20 lat 15.6, w drugim okresie — 15.3 i w trzecim — 10.6. W sądach pokoju i gminnych skazano małoletnich i niepełnoletnich w pierwszym okresie 24.7, w drugim — 26.1 i w trzecim—17.9. Zmniejszanie się przestępczości niepełnoletnich wyróżnia Królestwo Polskie od państw zachodnio-europejskich. We Francji, w Niemczech, a nawet w Anglii z jej wspaniałymi szkołami procent nieletnich przestępców stale się zwiększa. Objaw zmniejszania się tejże przestępczości u nas dowodzi, że zaraza moralna nieznacznie dotknęła nasze młode pokolenie, co pozwala wróżyć podniesienie się poziomu moralnego na przyszłość.

Na tle ogólnego zmniejszenia się w ostatnim dziesięcioleciu w Królestwie przestępczości wyróżnia się dość silnie okres ruchu rewolucyjnego od 1904 do 1906 r. Poczynając od 1904 r. zwiększa się znacznie ilość skazanych za uszkodzenia cielesne. Natomiast znacznie zmniejsza się w tych latach ilość przestępstw przeciw własności, a także przestępstw przeciw moralności. Ten ostatni objaw dowodzi pewnego podniesienia poziomu moralnego mas pracujących na wsi i w mieście. Dążenia instynktowe mas w tym kierunku wyraziły się w formie samosądów nad notorycznymi złodziejami i ludźmi złej reputacji. Trzeba przyznać wszakże, że jednocześnie na zmniejszenie liczby skazanych przeciw własności i moralności wpłynęło również trudniejsze ujawnianie przestępstw w czasach rewolucyjnych. Ten jeden wpływ nie mógł być wszakże decydujący, gdyż w tym samym czasie w Rosji ilość przestępstw przeciw własności znacznie wzrasta.

Charakter przestępczości wogóle zmienia się w naszym kraju. Badając dane za ostatnie trzydziestolecie, widzimy, że stale się zmniejsza liczba przestępstw przeciw własności; natomiast zwiększa się liczba przestępstw o charakterze gwałtownym, jak uszko-

dzenia cielesne. Również wzrastają przestępstwa przeciw państwu i porządkowi publicznemu.

Pomimo to przestępstwa przeciw własności stanowią dotychczas 57.4% wszystkich przestępstw, spełnianych w Królestwie. Przyczyną tego jest bieda. Gdy w Petersburgu na 1 suterynowy pokój przypada 3.5 mieszkańców, w Warszawie przypada ich 4.3. Płaca najemnika wiejskiego w Królestwie jest niższą o 58% niż w Rosyi.

Następna pod względem liczebności kategoria przestępstw przeciw państwu i porządkowi publicznemu wynosi w Królestwie 26.4% wszystkich przestępstw.

Wreszcie przestępstwa przeciw osobom wynoszą w Królestwie 16.1% wszystkich.

W przeciwstawieniu do Rosyi Królestwo Polskie wyróżnia się większą ogólną liczbą skazanych. Przeciętna roczna cyfra skazanych w okresie lat 1897—1906 wynosiła na 100,000 mieszkańców w Królestwie 154.7, z czego 91.3 skazanych przez sądy ogólne i 63.4 przez sądy pokoju, w Rosyi zaś 91.2, z czego 38.6 skazanych przez sądy ogólne i 52.6 przez sądy pokoju.

Dane te wymagają wszakże znacznej korektywy. Przedewszystkiem sądy przysięgłych w Cesarstwie stosują represye sądowe o wiele łagodniej, wykazując okazałą ilość uniewinnionych i z większą wyrozumiałością kwalifikując istotę zbrodniczego czynu. Pod względem zasadzeń przez sądy pokoju i gminne Królestwo wykazuje przewagę niewielką, a i ta jest tylko pozorną. Publikacye urzędowe mianowicie nie rejestrują zasadzeń, dokonywanych w Rosyi przez istniejące tam sądy wołoszne, odpowiadające poniekąd naszym sądom gminnym.

Królestwo znacznie przewyższa Rosyę co do liczby przestępstw przeciw państwu i porządkowi publicznemu. Wykazuje też przewagę w przestępstwach przeciw osobom, co się tłumaczy bardziej żywym, skłonem do bójek usposobieniem ludności. Natomiast pod względem liczby kradzieży pierwszeństwo należy do Rosyi.

Większa w niektórych razach przestępczość Królestwa tłumaczy się też znacznie gęstszym zaludnieniem i większym procentem ludności miejskiej.

Jeśli chodzi o zbadanie stopnia przestępczości ludności polskiej w porównaniu do krajów zachodnich, to znacznie łatwiej jest to uczynić, biorąc statystykę Galicyi i zaboru pruskiego, dzięki jednakowemu klasyfikowaniu materiału.

Przy porównaniu zwraca przedewszystkiem uwagę względnie nieznaczna ilość spełnianych przez ludność polską przestępstw przeciw moralności, co zresztą stanowi ogólną cechę charakterystyczną wszystkich ludów słowiańskich. W Austrii podług urzędowych publikacyi za 1906 r. liczba skazanych za przestępstwa przeciw moralności dosięgła 19.3 na 100,000 mieszkańców, podczas gdy w Galicyi Zachodniej wynosiła tylko 11.6, a w Galicyi Wschodniej zaledwie 9.2. We Francyi w tym samym roku liczba skazanych za przestępstwa przeciw moralności wyniosła 14.5 na 100,000 ludności. Największą liczbę wykazały Niemcy, bo 22.2, podczas gdy Poznańskie tylko 11.1.

Ludność polska wykazuje również w porównaniu z państwami zachodnio-europejskimi mniejszą ilość wyrafinowanych oszustw. Gdy w Niemczech skazanych za oszustwa było w 1907 r. 36.8 na 100,000 ludności, to na Poznańskie wypadło tylko 23.5. Galicya dostarczyła w 1906 r. skazanych za oszustwa 21.4 na 100,000 ludności, zajmując 13-te miejsce wśród prowincyi austryackich na liście tej przestępczości.

Rzeczą znamienną jest, że Galicya i Księstwo Poznańskie dostarczają mniejszej ilości przestępców przeciw państwu, niż inne prowincye. W 1907 r. za opór władzom skazano w Niemczech 29.5 na 100,000 ludności, tymczasem w Poznańskim tylko 25.5. Za obrazę urzędników skazano w 1906 r. w Galicyi 69.7, gdy w Dolnej Austrii 80.6, w Dalmacyi 122.8. Za gwałt przeciw osobom urzędowym skazano w tymże roku w Galicyi 13.0, gdy na Morawach 15.0, w Bukowinie 16.3 i w Dalmacyi 20.7 na 100,000 ludności. Galicya też poza Górną Austryą wzięła najmniejszy udział w przestępstwach obrazu majestatu, których liczba miała tylko 0.4 na 100,000 ludności.

Wreszcie ludność polska wyróżnia się mniejszą ilością spełnionych samobójstw. W Niemczech w 1907 r. było samobójców 20.6 na 100,000 ludności, a w Poznańskim tylko 10.2.

Natomiast ludność polska wykazuje pewną przewagę w zbrodniach zabójstwa i bardzo silną przewagę w przestępstwach uszkodzeń cielesnych i kradzieży. W 1907 r. zbrodni morderstwa przypadało w Poznańskim 0.8 na 100,000 ludności, a w Niemczech o połowę mniej, bo 0.4. Za zbrodnie morderstwa, zabójstwa i dzieciobójstwa skazano w 1906 r. na 100,000 ludności w Galicyi 1.8 osób, w pozostałych zaś prowincyach Austrii 1.3.

Bez porównania silniej uwydatnia się przewaga ludności polskiej w przestępstwach uszkodzeń cielesnych. Za uszkodzenia cielesne lżejsze skazano w 1907 r. w Księstwie Poznańskim 70.6

osób na 100,000 ludności, w Niemczech zaś tylko 44.4. Za uszkodzenia cielesne ciężkie skazano w Poznańskim w tymże roku 197.9, a w Niemczech 155.2.

Galicja wykazuje jeszcze większą przewagę w porównaniu z pozostałymi krajami Austro-Węgier. Za zadanie lżejszych ran skazano w 1906 r. w Austrii 239.0 na 100,000 ludności, w Galicyi Zachodniej 636.1, w Galicyi zaś Wschodniej 743.8. Za zadanie ciężkich ran skazano w tymże roku w Austrii 19.2, w Galicyi Zachodniej 26.9 i w Galicyi Wschodniej 27.3.

Liczba skazanych za kradzieże jest wśród ludności polskiej znacznie wyższa, niż w krajach zachodnio-europejskich. W Poznańskim skazano w 1907 r. za wszystkie przestępstwa kradzieży 217.5 osób na 100,000, w Niemczech zaś 173.3. W Galicyi w stosunku do Austrii różnica ta zaznacza się jeszcze dobitniej. Za kradzieże z okolicznościami obciążającymi liczba skazanych wynosiła w Austrii 60.4, w Galicyi Zachodniej 66.8 i w Galicyi Wschodniej 59.6. Za drobne kradzieże skazanych było w Austrii 299.6, w Galicyi Zachodniej 415.57 i w Galicyi Wschodniej 493.1.

Badając przestępczość poszczególnych narodowości w Królestwie Polskiem, wykazuje autor, że największą ilość skazanych dostarczają koczownicy-cyganie, bo 2714.3 na 100,000 ludności. Później idzie ludność polska z cyfrą 93.4, dalej rosyjska z cyfrą 92.4, żydowska z 88.1, litewska z 76.8 i niemiecka z 75.5.

Ludność rosyjska, składająca się u nas przeważnie z urzędników, a więc warstwy z pewnem wykształceniem, powinna by dawać liczbę przestępców mniejszą od reszty ludności, a jednak stoi na tym samym prawie poziomie, co i ludność polska. Niemcy, zamieszkali w Królestwie, są to przeważnie bogaci fabrykanci lub dobrze płatni majstrowie i ta ich zamożność wpływa na osłabienie przestępczości. Litwini stanowią przeważnie ludność wiejską i w dodatku bardziej zamożną, co zmniejsza wśród nich liczbę przestępstw. Żydzi wykazują nie tylko u nas, ale i w innych krajach mniejszą ilość skazanych przez sądy. Nie może to jednak jeszcze służyć za wskaźnik rzeczywistej ich przestępczości, gdyż wielka ilość spraw ich, nawet karnych, bywa rozsządzona przez rabinów i nie dochodzi do rozpoznawania przez sądy koronne. Na uwzględnienie także zasługuje spryt i przebiegłość, z jaką Żydzi potrafią ukrywać swe przestępstwa.

Autor rozważa dalej wpływ płci na przestępczość, wskazując, że przestępczość mężczyzn w Królestwie Polskiem jest 4.5 większa, aniżeli kobiet. W ostatnich 10 latach poziom moralności kobiet u nas podniósł się, co pozwala rokować dobrze na

przyszłość, gdyż kobieta, jako matka i żona, ma ogromny wpływ na całe społeczeństwo.

Pod względem wieku w Królestwie najwięcej skazanych przypada na lata od 14 do 20, gdy w innych krajach zwykle najsilniejszą przestępczość wykazuje wiek od 20 do 30 lat.

Co się tyczy stanu cywilnego, to najwięcej przestępstw, zarówno wśród kobiet, jak i mężczyzn, popełniają beżenni.

Wpływ wykształcenia zmniejsza przestępczość, to też największą ilość skazanych dali analfabeci.

Pod względem rodzaju pracy największą przestępczością odznaczali się ludzie niewiedomego zajęcia, później przekupnie, malarze, dalej najemnicy i służba domowa, dorożkarze, później urzędnicy fabryczni, majstrzy, rzemieślnicy i robotnicy, górnicy, zawody wyzwolone, wreszcie rolnicy, kupcy i duchowieństwo.

Ludność miast i wsi znacznie różni się tak pod względem ilości spełnionych przestępstw, jak i ich rodzajów. Miasta odznaczają się znacznie większą przestępczością. W okresie od 1897—1906 skazano na 100,000 ludności miejskiej w Królestwie 419.9 osób, ludności zaś wiejskiej 265.7. Ilość przestępstw przeciw państwu jest mniej więcej jednakowa i na wsi i w mieście. Liczba przestępstw przeciw własności jest w miastach dwa razy większą, niż na wsi. Natomiast wieś w dwójnasób góruje u nas nad miastem pod względem przestępstw przeciw osobom, co dowodzi gwałtownego charakteru naszej ludności wiejskiej.

Z pośród poszczególnych gubernii Królestwa Polskiego największą przestępczością odznacza się gubernia lubelska, drugie miejsce zajmuje gubernia piotrkowska, dalej idą gubernie: łomżyńska, warszawska, płocka, kielecka, radomska, najmniejszą przestępczość wykazują gubernie: siedlecka, suwalska i kaliska, zajmująca ostatnie miejsce.

W sprawie powrotnych przestępstw Królestwo, pomimo że ilość recydywistów w nim wzrosła, wykazuje mniejszą ich ilość, niż Rosya. Tak samo i w zaborze austriackim i pruskim ludność polska dostarcza niższej cyfry recydywistów, niż wynosi przeciętna dla całości każdego z tych państw.

Drugą część pracy p. Konczyńskiego zajmują tablice statystyczne.

Praca ta wykazuje, że chociaż ogólny stan przestępczości wśród ludności polskiej pozostawia wiele do życzenia i nie może być nazwany pomyślnym, są wszakże objawy, dowodzące pewnych zmian na lepsze. Pomimo trudnych niestęchanie warunków, w jakich się lud nasz rozwija, są w nim jednakże zasoby moral-

nego zdrowia, które rodzą moc do zwalczania ciężkich przeszkód na drodze do normalnego rozwoju i postępu. Należy tylko temu ludowi dać oświatę i organizację społeczną, co powinno być obecnie najważniejszym zadaniem naszego społeczeństwa.

WACŁAW DUNIN.

ANTONI POTOCKI. *Polska literatura współczesna*. 2 tomy. I. Kult zbiorowości 1860—1890. II. Kult jednostki 1890—1910. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Str. 343 + 437.

Powszechnie dziś wiadomo, w jakich warunkach możliwe jest stworzenie syntezy historycznej. Konieczne tu perspektywiczne objęcie przeszłości ze szczytu wzniesionego przez czas, prace przygotowawcze, a więc monografie epok, wydarzeń dziejowych i ludzi, konieczne spojrzenie na to, co minęło, z wyniosłości krytyki wolnej od bezpośredniego, a przez to bardziej osobistego odczuwania. Jeżeli nawet trudnem, a w pewnym stopniu i niemożliwym jest uwolnienie się od subiektywnego przetrawienia materiału i zjawisk dziejowych, to warunkiem *sine qua non* musi być opieranie się na prawdzie sumiennie skontrolowanej, posługiwanie się niewątpliwą wartością materiałem badań. Jeżeli i odległość czasu nie zabezpiecza w zupełności uczonego od niebezpieczeństwa osobistego punktu widzenia, nie zapewnia *bezwzględnej* obiektywności, to jakżeż trudną rolę *historyka współczesności*, badacza bieżącej chwili dziejowej czy prądów żywotnych społecznych czy literackich. Gdzież znaleźć perspektywę na bieg wydarzeń, których się jest świadkiem a być może i aktorem, jak zimno i bezstronnie ocenić, a więcej ująć żywioł, którego się jest w pewnym stopniu drobnym elementem, atomową cząstką. Nikt poważnie myślący nie pokusi się i niezdolny rościć sobie prawa do stworzenia syntezy najbliższych sobie pokoleń. Nie można być latopisem współczesności — to jasne. Można jedynie dać kronikę dnia dzisiejszego, stworzyć pamiętnik chwili, który, podając dobrze skontrolowane fakta, stanie się cennym źródłem w przyszłości dla wzniesienia gmachu historycznej syntezy. Historyk współczesności towarzyszy tylko jej przemianom, bo prześcignąć jej nie może, zdąża za rozrostem rozkwitającego drzewa życia. Jest jej komentatorem. Może stać się przewodnikiem pokolenia swego wśród lasu wydarzeń, zjawisk i prądów. Przewodniczenie takie współczesności przez uzdolnionych objaśnicielei

i kierowników jest pożądaną a nawet konieczną tak w literaturze jak i w innych dziedzinach myśli ludzkiej. Tu skala działania, zakres pracy się rozszerza zależnie od zdolności, bystrości i talentu przewodnika. Obdarzony być musi wrażliwością odczuwania objawów życia duchowego, objawiającego się w tworcach sztuki, krytycyzmem w ocenianiu ich wartości i wykazywaniu związku z życiem duchowym epoki, sumiennością w informowaniu, niezależnością w krytyce, której miarą nie mogą być względy, leżące poza dziełem sztuki.

Antoni Potocki *zasadniczo* zdaje sobie sprawę z roli i zakresu pracy historyka współczesności, mającego dać wierne „świadczenie chwili.“ „Nie możemy się kusić — mówi — o syntezę ani wierność latopisu, ale ślubujemy sumiennosc.“ Pragnieniem jego nawiązać rwący się ustawicznie wątek przeszłości z teraźniejszością, złączyć *disiecta membra* polskiej twórczości, by tchnąć w nie właściwe im tętno i ożywić jednym i ciągłym sercem biciem. Zwalczyć chce błąd, napiętnowany już przez Brücknera, jakoby literatura polska „powstawała zawsze na nowo niby kilkoma zawodami.“ To założenie i cel jego pracy, założenie, „które zrodziła potrzeba własnej duszy autora,“ jak i pragnienie protestu przeciw „fałszywemu świadectwu chwili,“ błędnemu pojmowaniu i oświeclaniu przez krytykę (Feldman) rozwoju literatury polskiej z 50 lat ostatnich. „Zadaniem mojem — pisze — jest towarzyszyć wiernie przemianom twórczości polskiej w tych latach, wykazać, jak ona potężniejąc i wzbierając od dzieła do dzieła, dobiegła chwili, gdzie wszystkie nurty życia naszego zbiegły się w jedno, gdzie żadne źródło z głębin przedzierające się, nie wsiąkło w piasek, lecz wpłynęło w jedną potężną falę z której dziś naród czerpie wodę życia: odrodzenie.“ Materiałem oceny ma tu być „człowiek żywy, twórca i krystalizacja jego — dokonane dzieło“; miarą i normą zjawisk literackich — ich „własne w prawach twórczości objawione rytmy i formy.“

Takie to w krótkości założenia i podstawy kryterium Potockiego dla obserwacji obszernego materiału przemian polskiej poromantycznej produkcji literackiej aż do dni dzisiejszych. Kwestya zaś, jak z zadania się wywiązał, o ile podołał w płynących prądach życia duchowego się zorientować i wartościowość ich ująć i rozłożyć, o ile powstrzymał się od zawodnych uogólnień a ograniczył na skupieniu w ogniskach rozpierzchłych promieni twórczości, czy dał nam poznać człowieka twórcę, wizerunek jego indywidualności, czy zmierzył twór jego sumiennie mia-

ra właściwej oceny? Analizując dzieło Potockiego, postaramy się dać na to odpowiedź.

Pierwszorzędnej wagi i znaczenia dla pracy tak trudnych zamierzeń, jaką podejmuje Potocki, jest kompozycja dzieła i metoda pracy. Wątpliwymi i zawsze ryzykownymi są wszelkie konstrukcje historyczno-literackie, ugrupowania i klasyfikacje. Potocki uciekając od dawnych podziałów według prądów literackich wpada w inne, kto wie czy nie bardziej schematyczne, bardziej krępujące bieg i formy twórczości. I choć twierdzi, że podział książki na „kult zbiorowości“ i „kult jednostki“ narzucił się mu z całą jaskrawością w toku pracy, to jednak widzimy, że do tezy tej stara się nagiąć, strzedz jej niewolniczo przez oba tomy dzieła, mimo, że z pod schematu tego ciągle wymyka się niejednen produkt literacki i niejednen twórca.

Kult zbiorowości, obejmującej trzydziestolecie (od 60—90 r.), to sztuka w służbie społeczności, poddająca całą swą twórczość pod ostateczne kryterium narodowej użyteczności, to rozpostarcie się jej zakresu na ogół spraw życiowych, to nakazana przez Romantyzm spuścizna, „stawianie wszelkiego zjawiska twórczego przed ostateczną instancją ideału narodowego.“ Kult osobowości, nasze ostatnie dwudziestolecie, to zamknięcie się literatury w swoich nieuzależnionych od potrzeb życia postulatach, których kategorycznym imperatywem tylko prawodawstwo sztuki i indywidualności. Zapewne przez obserwacje przemian form literackich, obserwację uporeczywą, możemy zawsze doprowadzić do wykrycia pewnych przeważających form—typów w danym okresie literatury, tak jak wogóle w dziejowym pochodzie ducha wykreślić możemy pewne stałe powrotne fale kierunków literackich, którym nadamy miano czy to klasycyzmu i romantyzmu, czy naturalizmu i modernizmu i t. p. Wykreślanie takich form—typów, konstruowanie podziałów jest zawsze nęcące, bo ułatwia rozsegregowanie objawów twórczości, skupienie materiału. W książce Potockiego są przedwczesne i fakta same poddają je w wątpliwość. Bo przecież w t. zw. epoce zbiorowości spotykamy takich Norwidów, takich Falańskich, a twórczość Sienkiewicza choćby—nie da się podciągnąć cała pod strychulec Potockiego. Gdy zaś rozpatrzymy się w twórczości pisarzy ostatnich lat dwudziestu, dostrzeżemy, że wielu z nich silnie podlega ideologii społeczeństwa i że np. prąd polityczny ostatniej doby, t. zw. rewolucya, zaważyła silnie na polskiej produkcji literackiej. Tak więc w pierwszym i drugim wypadku podział ten ściśle nie może być stosowany. Gdybyśmy ostatecznie decydowali się wytłómaczyć

potrzebę przeprowadzenia takiej konstrukcji z pewnych względów konwencyonalnych, „symplistycznych“ to zaznaczamy, że dzieje się to ze szkodą założeń autora, który, przykładając do niej zbyt dużą wagę, porzuca dla niej jedynie słuszną zasadę wartościowania dzieł I okresu według walorów sztuki. Stąd spotykamy się ze sprzecznym samym założeniem autora twierdzeniem, że „mowy być nie może, by zjawiska polskiej literatury mierzyć świadomym lub bezwiednym stosunkiem twórców do metod pracy artystycznej, form twórczości, typów ujmowania światów wewnętrznego i zewnętrznego.“

Dalszy podział 50-lecia na dziesięciolecia pokoleniowe a w nich wykreślenie w okresie zbiorowości trzech prądów ideologicznych, według których formuje się u nas twórczość literacka, a mianowicie wpływ historyczny szkoły krakowskiej, pozytywizm w okresie t. zw. pracy organicznej i demokratyzm szerzony przez „Głos“ warszawski — również jest niepomysłny dla kompozycji dzieła i krytycznego stanowiska autora. Potocki przez dokładne zbadanie pokoleń ich narodzin, wzrostu i przeżywania się w społeczności tysiącznych objawów, wpływów i naśladownictwa chce dojść do związków żywotnych myśli narodowych, do połączenia jej zerwanych wątków. Za cenne w pracy Potockiego uważamy wykazanie i podkreślenie tej roli życia polskiego w zapładnianiu naszej twórczości. Zdaje mi się jednak, że to wykreślenie tych trzech prądów oddziaływań zbyt dogmatyczne i zbyt pedantycznie strzeżone. Autor wpływy te przecenia, tak jak i pośrednio umniejsza wpływy zagranicy na rozwój naszej kultury literackiej, kierunków i form tworzenia. Z oświetlenia Potockiego możnaby wyprowadzić wniosek, że cała twórczość nasza tego 50-lecia była samorodna i samodzielna, sama sobie prawodawczynią i twórczynią nowych dróg i form. A przecież tak nie było. Potocki ma w części rację, mówiąc, że znajomość produkcji zagranicznej jest i była bardzo u nas powierzchowna, lecz nie może to zmienić zasadniczo faktu jej silnego oddziaływania.

Dziesięciolecia niefortunne ze względów kompozycyjnych, zamykają znów żywą twórczość w ramy okresów, kawałkują jej rozwój, dają nam tylko jej momenty, tak że nie możemy odtworzyć sobie obrazu żywej, kompletnej indywidualności rozwoju i doskonalenia się jej cech i talentu. A przecież pisze autor: „pragniemy dać rzetelny wyraz indywidualnościom twórczym każdej doby.“ Idąc dziesięcioleciaми, zamierzał autor dać nam dokładnie skontrolowany przebieg przeobrażeń myśli, idei społecznych i samego społeczeństwa, lecz również wielkie myśli i wiel-

kie indywidualności nie rodzą się z koniecznością co lat 10 i ten okres czasu nie tworzy właściwie całego pokolenia; 10-lecia wreszcie wprowadziły zamęt do całej kompozycji, zmusiły autora do powtarzań, rekapitulacji, kilkakrotnego powracania do osobistości nieciekawych i t. p.

Rozpatrując linię wpływów historyczno-socjologicznych na naszą literaturę, dotyka wszystkich różnorodnych objawów życia duchowego, które oddziaływać musiały na jej kształtowanie, a więc historii, publicystyki, filozofii i sztuk plastycznych. Tu nasunęło się zagadnienie, jakie Nieliterackie dziedziny wciągnąć można w zakres wpływów na literaturę. Kwestya ważna i zasługująca na zasadnicze rozpatrzenie. Potocki jednak postępuje dowolnie i chimerycznie, „niema bowiem, jak twierdzi, granic wzajemności i wpływów na owem morzu, których krystalizacją w słowie jest literatura.“ Więcej, „literatura jako wyraz kształtujących duszę ludzką potęg jest *biblią narodów*. Jak biblia też za każdym razem zawiera społem żyjące przepisy wiary i higieny, techniki życiowej i estetyki, filozofii i obserwacji przyrody. Lecz w miarę usamodzielnienia się tych umiejętności wymyka się z pod kontroli historyka literatury.“ Raz więc uwzględnia autor (w pierwszym dziesięcioleciu), i słusznie zresztą, wpływ historii i szerzej rozpatruje jej rolę (w historii tej „żywie poezya czasu“) i prace takiego Szujskiego. To znów wkraczając w epokę pozytywizmu, lekceważąco akcentuje jej ton „broszurkowy“ i „dziennikarski“ w Polsce i nie usiłuje wcale ująć tego prądu ze stanowiska filozofii, mimo, że ma przed sobą tak poważnego reprezentanta tego kierunku, jak Świętochowski. To samo będzie z filozofią, gdy spotka się z Przybyszewskim, którego twórczość literacka oparta jest na filozoficznym podłożu i takiego też oświetlenia się domaga. Wspomina Potocki o wpływie na literaturę Matejki, a w drugim tomie książki zapomni o doniosłości kultury artystycznej Krakowa na całą twórczość naszych modernistów. Tym podobnych przykładów znalazłoby się więcej.

Dziwnie zaś lekceważące jest traktowanie przez Potockiego krytyki literackiej. Można zgodzić się z autorem, że decydującego, normatywnego wpływu na twórczość polską nie miała, lecz przecież sama jest produktem literackim, dokładność więc historyka nie dozwala na zbycie jej w taki sposób, jak czyni to Potocki. Ścisłością i dokładnością w podawaniu faktów nie odznacza się wogóle „Polska literatura współczesna“, autor grzeszy w tym względzie bardzo często, mylnie podając informacje. Błędy te podkopują wiarę czytelnika i w wątpliwem świetle stawiają

naukowe i poważne przygotowanie książki. Nie będziemy tu wytykali całego szeregu omyłek, gdyż uczyniono to niejednokrotnie gdzieindziej. Zaznaczymy tylko częstą dysproporcję w wadze i rozmiarze w traktowaniu twórców, form i pewnych objawów literackich. Stanowisko przednie oddaje autor poezyi. Stronice jej poświęcone należą do najpiękniejszych w książce, gdyż przebija w nich głębokie ukochanie, odczucie przedmiotu. Ze wszystkich twórców ducha ludzkiego ona jest najjorganiczniejszą a więc najtrwalszą. Potocki przyznaje jej pierwiastki poznawcze prawie, jest ona elementem „kształtującym w nas żywą osobowość, rozpięchłe doświadczenie zmysłów, uczuć, woli, świadomości, sumienia“. A parafrazując znaną maksymę, twierdzi: „Nil in philosophia quod non erat prius (a nie „etiam“) in poesia“. Entuzjazm ten i kult dla poezyi powoduje jednak rozpisywanie się nad poetami średniej a często i miernej wartości a zaniedbanie już wskazanych innych działów. Patos i emfaza unosi go często nad miarę, tak, że niejednokrotnie daje piękne impresye zamiast krytycznego rozważania indywidualności twórczych. Ta bezpośredniość ocen często olśniewa nas intuicyjnem odczuciem twórców, jak i pięknymi frazesami, wykwintną formą stylistyczną, nieraz jednak dzieje się to kosztem prawdziwych pogłębień obserwacyjnych. Książka Potockiego z całym szeregiem wad powyżej przedstawionych nie może mieć wartości naukowej w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Jest jednak ciekawa i warta poznania, bo zaleca ją wybitny *talent pisarski*, który nieraz wiele braków pokrywa, choć z nich nie rozgrzesza.

WŁ. T. BARANOWSKI.

HERBERT SAND. *Współczesna polska twórczość dramatyczna*. Książnica naukowa i artystyczna. Kraków, 1911.

Polska krytyka literacka mało zajmuje się swojską twórczością dramatyczną. Zagadnienia dramatu przygodnie tylko podejmują krytycy teatralni na marginesie recenzji. Stąd w dziedzinie tej obracamy się wśród sądów ogólnikowych i powierzchownych.

Z racji Wyspiańskiego pisano niejednokrotnie wprawdzie na ten temat, nie przeprowadzono jednak szczegółowej i krytycznej analizy całej jego twórczości dramatycznej. Niemniej nie poku-

szo się do tej pory o ujęcie całej produkcji dramatycznej polskiej w ostatnich 20-tu latach tak wzmożonej. Książka więc, zapowiadająca rozpatrzenie tej dziedziny naszej twórczości, samym faktem podjęcia tego tematu budzi zaciekawienie.

Ale by książkę p. Sanda przeczytać i z nią się „uporać,” trzeba dużo dobrej woli i cierpliwości. Pomijając chwilowo treść książki i jej wyniki, zaznaczyć musimy drażniącą formę stylistyczną książki i samą metodę argumentacji. To bowiem narzuca się czytelnikowi odrazu, utrudnia pracę myślową i od książki odstręcza. Nie chodzi nam o styl wybujały, używanie pewnych określeń i porównań językowych, często zbyt śmiałych i nieusprawiedliwionych, przyjmujemy je jako objawy formującej się dopiero młodej indywidualności autora. Razi natomiast pretensyjność do jakoby filozoficznej ścisłości w argumentowaniu. Autor co krok z przesłanek swych układa sylogizmy tak uciążliwie i pedantycznie, że pogrążamy się w tautologiach, pleonazmach, w niepotrzebnym wyjaśnianiu tego, co raz w jednym zdaniu powiedziane mogło być dostatecznie jasne i wystarczające. Stąd to, co było wyraźne i zrozumiałe np. w dwóch pierwszych zdaniach, staje się w następnych zawiłe i bałamutne. I tak, wypowiadając myśl, że twórca, pragnąc korzystać z większej swobody „w atmosferze swej twórczości,” zerwać musi w pewnym stopniu z rzeczywistością, autor, po długim przerabianiu i udowadnianiu tego zdania, popiera myśl swą jeszcze następującą argumentacją: „Samowystarczalność, osiągnięta gestem dobrowolnego obioru i drogą swobody, jest też deklaracją niewystarczalności owej rzeczywistości. Osiąganie swobody w atmosferze twórczości pociąga za sobą trwanie swobody w sferze empiryi. Swobodnie konstruować własny świat, znaczy, że nie mogliśmy swobodnie modelować świata empirycznie zastanego. To jedno. Po drugie: świat samowystarczalny jest chimera wobec rzeczywistości realnej; swoboda do (!) twórczości świata samowystarczalnego jest swobodą do chimery. Twórczość więc, jako akt *swobody do chimery jest obiorem nieswobody do empiryi*. Mózg tworzyć indywidualnie wystarczalny świat, mieć swobodę kształtować subiektywną chimera, to *znaczy mieć swobodę do nieswobody wobec* obiektywnej empiryi.“ Tym podobnych zdań spotykamy u p. Sanda bardzo wiele. Wszystkie one robią wrażenie jakiegoś ćwiczenia z seminaryum filozoficznego, doprowadzonego *ad absurdum*. Autor w wywodach swych niepotrzebnie a uporczywie wiąże co krok węzełki argumentów, a chcąc je rozwiązać, gmatwa je coraz bardziej. Sam utrudnia zrozumienie swych myśli, a czytelnikowi

wytrąca książkę z ręki. Zbyt drogo okupiony — „styl indywidualny.“

W tych warunkach trudno porozumieć się z autorem. Spróbujmy jednak z tej gmatwaniny wydobyć istotną treść książki. Autor zajmuje się wyłącznie kwestyą *problematu* w dramacie polskim, strony, zdaniem jego, najistotniejszej i najciekawszej. Tragedya bowiem czy dramat, to literackie opracowanie pewnych zagadnień, dążących do decydujących wniosków i rozwiązań w granicach architektonicznie skończonej formy dramatycznej. Forma ta przyjęta a priori zmusza do przeprowadzenia danego problemu w sposób ścisły i konsekwentny. Dramat w wyniku swym daje syntezę. Dramat wreszcie krystalizuje formę dekoratywną życia i jest wyrazicielem form życia przez jakie przewija się i wydobywa problemat-synteza. Z tych punktów rozpatrując zagadnienia dramatu oczekuje p. Sand od twórcy odpowiedzi na pytanie, co dane społeczeństwo w życiu swym wewnętrznym za tak doniosłe uważa, by to zawrzeć w wartościową syntezę, i jaką jest forma tego życia. Życie jednak nie może być odtworzone obiektywnie. Już tem samem, że w dramacie ujmujemy jego część — tylko i pewne wybrane jego objawy — realizm staje się tylko prawdopodobieństwem. Więcej, twórca przerabia życie subiektywnie i zaczarowuje w kreację odtworzonego przez siebie świata własne widzenie rzeczy. Dramat więc jest równocześnie abstrakcją jak i realizacją życia wziętego w abstrakcyi. Tak zwana prawda, a inaczej naturalistyczna reprodukcya życia, jest tylko jednym z wielorakich sposobów ujęcia treści życia. Od subiektywnego stosunku twórcy do rzeczywistości zależne jest ujmowanie przez niego problematów i przetwarzanie życia w formę dramatyczną.

Ten tylko stosunek twórców do życia i zdolność ich do podejmowania problematów duszy *polskiej* bierze p. Sand za punkt wyjścia w krytycznej ocenie ich twórczości dramatycznej. Więcej nawet, zagadnienia dramatu ogranicza jedynie do kwestyi problematów; kwestya formy staje się dla p. Sanda podrzędną. Jeżeli więc powyższą kwestyę miał autor głównie na widoku, należało to odpowiednio zaznaczyć w tytule książki. Rozpatrując dramaty Staffa, Żeromskiego, Kasprowicza, którym poświęca przeważną część swej pracy, wychodzi daleko poza ich twórczość dramatyczną. I tu mówi rzeczy ciekawe, obserwacje głęboko podchwytujące ich stosunek do życia, lecz czyni je na podstawie znajomości ich nie jako pisarzy dramatycznych. Doprowadziło go do tego z konieczności stanowisko z góry przyjęte, rozpatry-

wanie problematu i tylko problematu. Wiadomo zaś, że ci trzej pisarze sił swych w formie dramatycznej dotąd tylko próbowali.

W konkluzji swych nieprzejrzystych rozważań konstatuje p. Sand deficyt w polskiej twórczości dramatycznej. Ani Przybyszewski, któremu wyznacza historyczną rolę „podniesienia dramatu do godności problematu“, ani Wyspiański losów dramatu polskiego nie rozstrzygnęli.

Pisarze polscy, Wyspiański, Żeromski i inni, nie potrafili do tej pory „zobjektywować subiektywnej tragedii Polski“ w surową a wynikową formę dramatu. Chcąc bowiem stworzyć dramat, trzeba przewyciężyć w sobie liryczny, osobisty stosunek do podjętego przez siebie problematu. Szeroko i bałamutnie pisze o tem p. Sand w rozprawie p. t. „Teatralizm życia“.

Wychodząc z wyżej określonego, jednostronnego założenia autor „Współczesnej polskiej twórczości dramatycznej“ pominął cały szereg pisarzy dramatycznych (nb. nie wspominając wcale o komedyi). W studyum „Do źródeł swobody!“ wysunął jednak enigmatycznie na jedno z naczelných stanowisk przełomowej chwili dramatu polskiego p. Micińskiego, autora „Kniazia Potiemkina“ i „Bazyliissy“. Tu już, mimo najlepsze chęci, zorientować się w argumentacjach p. Sanda nie można. Anarchistyczny, wysoce lekceważący stosunek p. Micińskiego do formy, wyłącza go przecież z dziedziny dramatu, formy tak skoncentrowanej i architektonicznie skończonej. Owa swoboda w twórczości, którą tak swawolnie wybrał sobie p. Miciński, czyni go nieprzystępnym dla ludzi porozumiewających się w zasadniczych kategoriach myślenia. Dopuszczalną jest artyście swoboda, nawet zerwanie ze światem empirycznym, ale pod tym warunkiem, że stworzy świat inny o pozorach rzeczywistości, dopuszczalny w zakresie kategorii, któremi ludzkość się posługuje.

WŁ. T. B.

Kronika miesięczna.

Rola młodzieży w życiu politycznem.—Przesąd wszechmocny i jego źródła.—Szkodliwa i niebezpieczna robota.—Wywłaszczenie w zaborze pruskim.—Stanowisko prasy niemieckiej.—Treść ustawy.—Głosy opinii miejscowej.—Rezultat wyborów warszawskich.

Mijają lata i pokolenia, każde walczy z rzeczywistymi czy urojonymi przesądami swej epoki, wiele z nich składa się do archiwów, jako rupiecie bezużyteczne, a jeden zakorzeniony, najmocniejszy przesąd trwa w duszy polskiej nieustannie. Imię jego—to rola społeczna i polityczna młodzieży.

Gdzież bierze początek? W przeszłości—nawet niedalekiej. Oparty jest na podłożu dwóch ostatnich powstań.

Osnuła je nieśmiertelna gloria poezji romantycznej, że, jako święte, w nimbie promieni chadzą. I słusznie uczyniła. Bo około czegóż szlachetniej omotać się może poezya, jak nie około ofiary całopalnej, męczeństwa, bohaterstwa. Ale poezya nie jest życiem, a życie nie jest poezją. U nas zaś w duszy polskiej świat złudy i świat znojnego powszedniego wysiłku splata się tak ściśle, tak niezliczonemi pasmami, że skłonni jesteśmy uważać poezję nie za szlachetne opromienienie szarości życia, nie za ucieczkę od powszedniości w wiecznotrwały świat ideału, aby w nim zaczerpnąć właśnie siły i podniety do tworzenia lepszej, wyższej powszedniości, ale za istotny wskaźnik realnego, codziennego życia, za program pracy społecznej i politycznej. Błąd ten popełniają najczęściej oczywiście najinłodzi i najzapaleńsi.

„Oda do młodości“ nie jest programem politycznym, choć we frazesach tylu interesowanych ust starszych fałszywie, a w głębi tylu serc młodych szczerze za taki uchodzi. Ośmielamy się

twierdzić, że nie była nim i w rozumieniu największego naszego wieszca, zbyt wiele bowiem znajdujemy w nim zrozumienia realnego, twórczego czynu; był to wybuch do najwyższych granic napiętego uczucia, które daje nam zawsze tylko jedną stronę zjawiska, wymagającą komecznej, drugiej—korektywy rozumu. Nie jest programem, jak nie jest nim improwizacya Konrada, ani szatańskie maskowanie się i krwawa zemsta Wallenroda.

A przecież, w tych i innych świetnych utworach poetycznych młode pokolenia źródeł programów na dany dzień dzisiejszy i usprawiedliwienia roli młodzieży szukają. Oto z powodu bardzo ważnych i oryginalnych artykułów prof. Konecznego, tygodnik radykalny wygrywa przeciwko niemu Mickiewicza i „Ode do młodości“—bez zająknięcia. Mimo to, że właśnie inicjatywie młodzieży zawdzięczamy powstania, mimo to, że niewątpliwe przyniosły nam straty, a może właśnie dlatego, uważa się młodzież, a przez to uważa się i ona sama, za jakąś przednią straż narodu, za skarbnicę jego najwyższych i najdroższych ideałów, za powołaną kierowniczkę jego losów.

Kiedy w rodzinach przyziemnych zjadaczy chleba, syn wraca z pohulanki nocnej z widocznymi śladami rozpusty, patrzy się na to przez szpary, bo młodość wyszumieć się musi. Wejdzmy o wiele szczebli wyżej pod względem moralności, instynktów społecznych i uczuć narodowych: kiedy młody chłopak wraca z zebrania, na którym uważał się za powołanego i upoważnionego do decydowania o losach narodu, nikt mu nie zwróci uwagi, że ma na to czas jeszcze. Czasem pobłażliwość rozciąga się na obydwie dziedziny życia: *et haec facienda et illa non omittenda*. Ojciec, którego interesy życiowe obracają się dziś około podwyżki pensyi, regularnego trawienia i partyi w klubie, pokręca wąsa na wspomnienie, że i on niegdyś był farysem, co mu nie przeszkodziło ani w nabyciu kamienicy, ani w zdobyciu stanowiska i nie baczy, że syn jego może brać to samo szczerzej i szerszej, i spać się, i pociągnąć za sobą innych, czasami wszystkich.

A racjonalna pedagogika potępia wszelkie nadużycia przedwczesne, zarówno w dziedzinie instynktów pierwotnych, niższych, jak i wyższych, idealistycznych, altruistycznych. Ile razy przedziemy granicę Ojczyzny naszej na Zachód, tyle razy spostrzegamy straszną, dzielącą nas od sąsiadów przepaść, że chcielibyśmy żywcem przenieść wszystko, zmienić wszystko, cały typ życia. I jeżeli umiemy podróżować i spostrzegać, i uczyć się, i asymilować, przeszczepiamy, co możemy, co jest najlepszego, z płonek zachodnich na grunt ojczysty. Starzy filistrzy polscy ganią jed-

nak młodzież zachodnio-europejską za to, że jest filisterską. Bo na Zachodzie młodzież uczy się; rolę przedniej straży pełni nie ona, lecz stronnictwa, ugrupowania ideowe, dalej w przyszłość zapatrzone; ale wśród ich przywódców nie spotykamy młodzieńców, nie spotykamy ich też, jako głównych szeregowców. Przeciwnie, każdy z nas, co przechodziliśmy studia uniwersyteckie zagranicą, mogliśmy przytoczyć kolegów, pogardzanych w swoim czasie jako nieuspołecznionych, a którzy potem, jako ludzie już dojrzały, stanęli na czele najbardziej zaawansowanych stronnictw. W Anglii, w tym klasycznym kraju życia politycznego, młodzież uniwersytecka zaprawia się do niego nauką polityki, ćwiczeniami retorycznymi w specjalnych klubach, ale traktuje to właśnie tylko teoretycznie, wiedząc o tem, że później dopiero, po opuszczeniu ław uniwersyteckich, w życiu zastosuje praktycznie nabyte umiejętności. Kiedy się te przykłady stawia przed oczyma i ojcu, i synowi Polakowi, nie działają na nich, bo rażące odskoki składa się u nas na karb nienormalnego życia i rozwoju narodu, a nie czyni się nic, aby w zakresie naszej siły i możliwości życie to bardziej normalnem uczynić.

Pomijając już, że zajmowanie się polityką na uniwersytetach przeszkadza młodzieży w spełnianiu głównego jej obowiązku przygotowywania się do życia, czyli nauki, pomijając nawet i to, że jest to sięganie po wpływ na losy narodu najmniej do tego powołanych, trzeba podkreślić wysoce społecznie niemoralne następstwa powszechnego przesądu. Polegają one na tem, że *implicite* rozumuje się tak: człowiek bardzo młody oddaje część swego najdroższego czasu zajęciu sprawami publicznymi, nieraz nawet z ofiarą osobistą, a spełniwszy raz ten obowiązek, że się tak wyrazimy — odsłużywszy służbę wojskową dla narodu, uważa się za zwolnionego później od wszelkich zobowiązań i bez troski oddaje się wyłącznie zabezpieczeniu swoich interesów materialnych, w najbardziej powszednim tego słowa znaczeniu. W dodatku, często spełnia to źle, bo na uniwersytecie nie miał czasu dobrze przygotować się do swego zawodu, a zużycie przedwczesne przeciętnej ilości sił idealnych za młodu sprowadza później, w wieku dojrzałym, zupełną niemoc polityczną. Iluż to mamy typowych filistrów, którzy mieli niegdyś młodość górną i chmurną, ale krótką, i których dzisiejsze filisterstwo jest tylko objawem dawniejszego wyżycia się. Iluż zaś, z drugiej strony, dzielnych specjalistów i wybitnych działaczy społecznych, którzy na ławach uniwersyteckich byli przez kolegów lekceważeni za to,

że na pierwszym planie młodego życia kładli słusznie pracę zawodową.

Kiedy wspominały niechętnie o udziale młodzieży w życiu politycznym narodu, strzeżmy się zwalania na nią winy za istniejący stan rzeczy. To nie oni winni, to my, nie synowie, ale ojcowie. Winne są stronnictwa, które na ławach uniwersyteckich szukają sobie i znajdują łatwo zapalnych, ofiarnych i nadewszystko bezpłatnych agentów, propagatorów i zelantów; winien jest przesąd powszechny, lenistwo w służbie publicznej, powodujące chętne wyręczanie się w niej przez ojców—synami. Bajkami są przeciwstawności dwóch pokoleń, nawet w najbardziej modernistycznej formie, w jakiej podawano nam to twierdzenie w ostatnim okresie wrzenia, że mianowicie rodzice, wychowawcy i nauczyciele są wyzyskiwaczami, a młodzież wyzyskiwana. Jest istotna ciągłość pracy pokoleń, ale ciągłość nie w czynach pożytecznych, lecz w błędach, to znaczy, że synowie powtarzają błędy ojców, ale nie sami, nie z własnej inicjatywy, ale przez nich samych, przez bierność gnuśną ojców zdemoralizowani. Przecież między szeregiem słusznych argumentów za zniesieniem bojkotu uniwersytetu warszawskiego, znajdował się i jeden śmieszny, chociaż typowy: że oto brak nam młodzieży do gorętszego manifestowania uczuć narodu. Typowy—bo z góry przewiduje, że dojrzałe pokolenie jest zupełnie wyziębione, do niczego nie zdadne, zaprzątnięte wyłączną troską o ciepły kąt i łyżkę strawy; może tak i jest istotnie, ale czyż dlatego, przez spotęgowane lenistwo, mamy niedojrzałych synów naszych dla rzeczy publicznej poświęcać?

Jeżeli wypada nam oceniać szkodliwe roboty, przy których na najbardziej wysunięte posterunki umieszcza się młodzież i jej woła roboty te się uzasadnia, szukajmy za młodzieżą ukrytych kierowników, najczęściej owych wiecznych studentów, którym łysieją i siwieją głowy, ale we wnętrzu ich, w próżniaczych mózgach, skostniałych we frazeologii i światopoglądzie kółkowym, nic się z biegiem lat nie zmieniło, przybyło tylko zręczności w opłatywaniu i zapalaniu młodych serc i głów. Tych szkodników społecznych przedewszystkiem potępiać powinniśmy. Płość ich i jakość jest w odwrotnym stosunku do rozwoju społecznego i wyrobienia politycznego dzielnic dawnej Polski, więc najmniej znajdujemy ich w Wielkopolsce, zajętej codzienną, żmudną, ciężką pracą obrony narodowej, więcej w Galicyi, najwięcej w Królestwie, gdzie mają najłatwiejsze pole oddziaływania, z powodu największego odchylenia kąta między aspiracyami a rzeczywistością.

Uwagi powyższe dyktuje nam niestety nie skłonność do rozważań i dociekań teoretycznych, lecz realna potrzeba. Naprężona sytuacja międzynarodowa, wywołana przez wypadki bałkańskie, możliwość wojny europejskiej otumaniała ciemnie i bez tego głowy naszych wiecznych studentów i chodzików patriotycznych. Z Galicyi dochodzą nas wieści o zebraniach, na których rozprawiano o roli Polski w owej wojnie międzynarodowej, uchwalano nawet orientacye polityczne, po której stronie ma naród nasz stanąć z bronią w ręku. Jest to tylko uwypuklenie na tle fantasmagoryi powstańczych, obliczeń sił wojskowych, badań terenu i t. p. pomysłów, które spotykamy niestety poważnie traktowane w szeregu broszur i nawet książek. Z drugiej strony dowiadujemy się, że rok przyszedł, jako pięćdziesięciolecie powstania, ma być nieustającym szeregiem wspominków i demonstracyi dla „podniesienia ducha“. Rzekomo chce tego młodzież i ma to robić młodzież; wiemy już, co o tem sądzić mamy.

Robota szkodliwa—bez wątpienia. Słuszne zabiegi, aby ją zawczasu potępić, jak to już uczyniły niektóre pisma. Ale i w potępianiu miarę znać trzeba i w argumentach przebierać. Robota szkodliwa obcym tylko na korzyść wyjść może, swoim na stratę; tego dowieść można i trzeba. Niestety w ferworze walki idzie się dalej: wspomniano o tem, że obcemi kierowana jest rękami. Zarzut to równie łatwy do napisania, jak niemożliwy do dowiedzenia. Przytem zwierzały, bo możnaby na przestrzeni ostatnich stu lat dziejów naszych znaleźć dziesiątki przykładów ugrupowań, którym ten zarzut robiono niesłusznie, skoro nawet historia późniejsza go nie dowiodła. Lekkomysłny jeszcze: z dwóch stron zbyt lekko szafuje się u nas względem przeciwników szpiegostwem i prowokatorstwem. Zbyteczny—wreszcie. Czyż naprawdę jesteśmy aż tak mądrzy, że tylko obce ręce na szlak głupstwa sprowadzić nas mogą? Niestety, nie. Idziemy tam chętnie sami, w imię przesądu, i nie w sobie najchętniej, ale zawsze w obcych winy i impulsu szukamy.

*

*

*

Czterech polskich właścicieli ziemskich otrzymało zawiadomienie, że komisya kolonizacyjna przystępuje do wywłaszczenia ich majątków. Chodzi mianowicie o Złotniki pod Pobiedziskami, w pow. poznańskim wschodnim, które od p. Kazimierza Głabisza nabył świeżo p. Adam Kościelski, Kołdrąb, w pow. znińskim, który p. Józef Trzciniński kupił niedawno od Niemca, p. Senftlebena, Dobska, w pow. strzelińskim, nabyte przez p. Zabłockiego od Niemca, Hoffmanna, i Lipienki, w pow. świeckim, które przed kilku laty przeszły z rąk pośta Jaworskiego na własność pp. Liszkowskich, a po śmierci p. Liszkowskiego są od roku własnością jego żony. Wszystkie te majątki obejmują razem 1,700 ha, czyli 7,000 morgów.

Ten krok rządu pruskiego, wywołany dążeniem zjednania sobie narodowych liberałów, aby przy ich pomocy przeprowadzić nowe przedłożenia podatkowe, nie zadawała bynajmniej hakatystów. Oto, co pisze „Tägliche Rundschau.“

„Wobec powzięcia nowego postanowienia rządu należałoby pocieszyć się najlepiej tem, że powolna praca jest najlepszą. Tutaj wszakże nasuwają się wątpliwości nad sposobem, który rząd po raz pierwszy stosuje. Cztery obszary, o które tu chodzi, nie obejmują więcej, aniżeli 1,700 hektarów. Są to więc obszary ziemi mniejsze. Wszyscy znawcy stosunków byli od początku tego zdania, że przy zastosowaniu prawa wywłaszczenia należałoby zwrócić uwagę na wielkie kompleksy ziemi, ażeby kolonistów niemieckich w większej ilości przeciwstawić polskości i uczynić ich przez to odporniejszymi. Tego nie będzie oczywiście przy obszarach, wynoszących kilkaset hkt. Miejmy nadzieję, że rząd nabywając mniejsze obszary, miał na oku zaokrąglenie większych swych posiadłości, aby tym sposobem dać gwarancje egzystencji narodowej kolonistów. Jakkolwiek się stało, cieszyć się w każdym razie wypada, że rząd uczynił krok pierwszy. Nikt już prawie tego pierwszego kroku nie spodziewał się po rządzie“.

Podobnie brzmią głosy i innych pism, a przeciwko wywłaszczeniu występuje tylko prasa katolicka.

Ustawa, która nadaje rządowi prawo wywłaszczania ziemi polskiej, wniesiona została przez kanclerza Bülowa w r. 1907-ym, a uchwalona przez Sejm pruski d. 3 marca 1908 roku. Na ten cel przeznaczona została komisji kolonizacyjnej suma 125 milionów marek., i oddana jej do dyspozycji. Fundusz ten będzie jednakże stale się zwiększał przez jego oprocentowanie, przynajmniej o 10 milionów rocznie.

Ustawa cała, a zwłaszcza zasadnicze paragrafy (§ 13) tak są ujęte, że w praktyce dają komisji *jus gladii* do ręki, chociaż powiedziano wyraźnie, że wywłaszczać wolno tylko, gdzie chodzi o zaokrąglenie lub wzmocnienie istniejących kolonii. (Jak wiadomo, zaraz na wstępie komisja przepis ten zignorowała!) Ale komisja sama decyduje o tem, czy ma prawo udzielania sobie uprawnienia do wywłaszczenia. Wywłaszczeniu podlegają znaczniejsze kompleksy ziemi, mianowicie osób, nie mieszkających w kraju (znów komisja nie pytała o to!), dalej majątki w okolicach miast, aby, według wyraźnie wypowiedzianych motywów rządu, rugować ludność polską w miastach—bez odszkodowania—głównie w powiatach wschodnich i północnych Księstwa. Rząd chce ogłodzić inteligencję i kupców polskich i zniszczyć ich podstawę ekonomiczną. Przebieg postępowania jest następujący: Komisja kolonizacyjna nadaje sobie prawo wywłaszczenia, wyznacza majątek, wręcza dekret właścicielowi i ogłasza go publicznie. Nie ma jednakże obowiązku korzystania z ustawy; może się rozmyślić lub lata całe zostawić sprawę w zawieszeniu, nie donosząc o tem nawet interesantowi. Motyw perfidy i tendencya demoralizacyi właściciela chyba aż nazbyt są jasne. Aby wyjść z niepewności położenia, właściciel może skarżyć komisję, aby postawiła wniosek odpowiedni w rejencji. Nie wolno mu jednakże sądownie zażądać wdrożenia wywłaszczenia, nawet gdy już na jego hipotece było zapisane zastrzeżenie komisji. Prezes rejencji, po otrzymaniu wniosku ze strony komisji, wyznacza osobnego komisarza dla otaksowania majątku i wysłuchania wszystkich interesantów, którzy zgłoszą i uwierzytelnią swe pretensye odszkodowania. Zaleca się tutaj jaknajwiększą ostrożność postępowania, gdyż ugoda wobec komisarza i trzech biegłych co do ceny ma charakter dobrowolnej sprzedaży, której praktycznie następnie zacząć nie można. Taksa musi być jaknajdokładniejsza; po zdaniu jej przez komisarza rozpoczyna się funkcyja wydziału obwodowego, przed którym winien wywłaszczony starać się o uzyskanie jaknajwiększego odszkodowania. Nie warto oczywiście w każdym przypadku wstępować na drogę sądową, chyba żeby właściciel chciał zachowywać się zupełnie biernie i w postępowaniu administracyjnem żadnego nie brał udziału. W każdym razie nie powinien występować sam, lecz wybrać dwu pełnomocników, prawnika i rolnika, którzy go w terminach taksacyjnych mają zastępować. Zasada, aby ustępować jedynie sile, nie stoi wtedy w sprzeczności ze wskazówkami powyższymi—dla właściciela samego. Wolno wywłaszczoneму nie wyprowadzić się w ter-

minie i doczekać formalnej eksmisy, ale byłoby jedynie z korzyścią komisji, gdyby właściciel nie poczynił wszystkich kroków godziwych i prawnych, w celu uzyskania pełni swych strat materialnych. Wydział obwodowy wydaje i wręcza uchwałę ekspropriacyjną i od tej chwili ryzyko zmiany wartości przechodzi na komisję. Lecz i teraz winien właściciel—mimo, że jest mimowolnym administratorem komisji—prowadzić gospodarstwo normalnie i starannie, gdyż służy mu prawo ponownej, poprawczej taksy, o ileby stan majątkowy na jego korzyść się zmienił. Komisja składa oznaczoną pierwszym dekretem wydziału obwodowego sumę taksacyjną i stawia wniosek o wykonanie wywłaszczenia. Po dokonaniu ewentualnej drugiej taksy, ostateczny dekret wydziału obwodowego normuje stopę zapłaty. Z tą chwilą przechodzi własność oraz posesya na komisję, następuje tradycja, której może rząd siłą zbrojną dokonać, oraz zapis hipoteczny. Właściciel traci jednocześnie prawo do dochodów, a zyskuje prawo do procentów depozytu rejencyjnego, jako ekwiwalentu za swój majątek, na czem w stosunku do stopy procentowej źle wychodzi.

Skargi w obronie swych praw kierować należy przez sąd okręgowy do nadziemiańskiego; ostatnią instancją jest trybunał rzeszy. Mecenas Dziembowski uważa może zbyt optymistycznie, że szanse wygrania procesu ekspropriacyjnego są znaczne, o ile należycie jest przygotowany. Sądy skłonne są podobno także do przyznawania wysokich odszkodowań, rząd zatem, spodziewając się niżki cen przy wywłaszczeniu, zawiedzie się. Nietylko bowiem musi poszkodowany otrzymać pełną cenę, lecz ma i prawo do zwrotu korzyści, straconych przez utratę majątku, czyli obok rzeczowej także i podmiotową wartość ziemi rząd uwzględnić musi, mianowicie dwa czynniki, rentę i cenę, dalej kosztą przeprowadzki, mieszkania w mieście przed uzyskaniem nowego warsztatu pracy i wszystkie inne z wywłaszczeniem związane straty.

Nowy ten akt gwałtu rządu pruskiego nie wyprowadził rodaków naszych z równowagi. Oto, co czytamy w pismach miejscowych;

„Co do postawy społeczeństwa naszego, dla każdego z nas aż do ostatniego szeregowca, pewne jest dzisiaj, więcej niż kiedykolwiek, że się nie ugnie. Stać trzeba nam hardo i twardo, do ostatniego tchu, śmiało patrząc zamachowi w oblicze, tak jak żołnierz na wojnie patrzy w dal, skąd lecą kule. Nie mamy środków, jakimi z nami walczy system pruski, ani ich mieć nie chcemy, bo się nimi brzydzimy. Ale mamy broń moralną, silniejszą

od wszelkiej przemocy fizycznej. I mamy wiarę żywą, że bronią tą sprawę polską obronić zdołamy i że w proch zetrzemy niecne zaniary.

„I jedno jeszcze słowo. Na tych, w których komisya kolonizacyjna obuchem wywłaszczenia godzi bezpośrednio, zwrócone dziś oczy całej Polski. Nie wątpimy ani na chwilę, że zajmą postawę takiej godności i dumy narodowej, jaka jedynie przystoi wobec tego rodzaju zamachów przewrotowych. I zajmą ją w szczególności wobec tych, co z polecenia systemu przykładać będą ręki do tego aktu gwałtu.

„Między nami a nimi i całą tą rzeszą pruską była zawsze przepaść. Dziś z przepaści tej zieją ognie, których my się naprawdę nie lękamy. Niech płomienie biją wzwyż! Kogo ogarną, kogo zniszczą—jutro okaże.

„Pomimo wszystko i w tym wypadku zachować winniśmy krew zimną, wystrzegać się porywów, które w dzisiejszych warunkach na nas samych zemściłyby się najdotkliwiej. Pełen godności spokój i powaga jedynie nam przystoją w obecnej chwili. Przedewszystkiem zaś nie należy poddawać się rozpaczcy i zwątpieniu. I nowy ten cios nie złamie nas, jak nas nie złamały wszystkie dotychczasowe. Owszem przyczynić się może do wzmocnienia naszej obrony narodowej, do ściśnienia naszych szeregów, do wyrugowania z nich wszystkiego, co nas dotychczas rozdwajało i dzieliło. Ogromowi niebezpieczeństwa odpowiadać musi solidarne napięcie wszystkich sił naszych, skupienie ich w obronie naszych dóbr najświętszych, naszego istnienia. Cios, jaki spada na nas, przekonał już chyba wszystkich, że liczyć możemy wyłącznie na własne siły, że zgubną i szkodliwą uludą jest oczekiwanie jakichkolwiek ustępstw ze strony wroga, czyhającego na naszą zagładę. Ale jakie następstwa wywoła przymusowe rugowanie nas z naszej ziemi tu w naszej dzielnicy? Zawiedzie się stanowczo w swych rachubach rząd pruski, jeśli liczy na to, że zastosowanie wywłaszczenia rzuci popłoch w nasze szeregi, wywoła w nich rozdwojenie, osłabi naszą siłę oporu i tem samem wzmocni niemieczyznę. Raczej środek walki, którego się chwyciły koła rządzące, działać będzie jak obręcz żelazna, spajająca nasze społeczeństwo, skupiająca je w solidarnej i zwartej akcji obronnej. Zniknie podług wszelkiego prawdopodobieństwa podział na „radykalnych“ i „pojedynczych“ Polaków, bo cały naród, wszystkie jego warstwy ożywiać będzie jedno uczucie oburzenia z powodu wyrządzonej nam straszliwej krzywdy. I w tem zrozumieniu wywłaszczenie stać się może tą potęgą, o której mówi poeta

niemiecki, że chce złego, a stworzy dobre. Oczywiście stosunki narodowościowe w naszych dzielnicach zaostrzą się do niemożliwego stopnia. Wytworzy się głęboka, nieprzebyta przepaść między dwiema narodowościami, zamieszkującymi te dzielnice. Poczucie bowiem doznanej krzywdy uniemożliwi wszelkie zbliżenie, i wówczas t. zw. kresy wschodnie zamienią się w rzeczy samej w jeden plac walki narodowościowej. A w walce takiej, jak uczą przykłady, nie zawsze zwycięża siła materyjalna“.

Wiec w sprawie wywłaszczenia w dniu 3-in maja r. 1908, uchwalił rezolucję, którą poniżej przypominamy, ponieważ zawiera dziś więcej, niż kiedykolwiek aktualne wskazania narodowe: „Świadomi, że ustawa o wywłaszczeniu w spotęgowanej mierze godzi w naszą siłę liczebną, w naszą siłę materyjalną i naszą siłę moralną, orzekamy: 1) W obronie naszej siły liczebnej interes narodowy wymaga, abyśmy się nie cofali z okolic odwiecznych naszych siedzib w obrębie państwa pruskiego. 2) W obronie naszej siły materyjalnej interes narodowy wymaga, abyśmy nie cofali kapitałów z warsztatu pracy ekonomicznej społeczeństwa naszego zaboru. 3) W obronie naszej siły moralnej interes narodowy nakłada na każdego bezwzględny obowiązek nie pozbywania się—mimo groźby wywłaszczenia—ziemi w obce ręce na drodze dobrowolnej. Nasz stosunek do systemu pruskiego oparty być musi na podstawie narodowej godności i obywatelskiej niezależności. Na tej podstawie należy brać możliwie czynny i szeroki udział w pracy publicznej.“

Do słów opinii polskiej miejscowej nie mamy nic do dodania; wobec ciężkiego ciosu, jaki spada na naszych rodaków o miedzę, wszelkie frazesy współczucia i żalu byłyby zupełnie zbędne.

*

*

*

Wybory stołeczne zakończyły się naszą niewątpliwą klęską: na osiemdziesięciu wyborców warszawskich wybrano 34 Polaków i 46 Żydów, i to Żydów, należących niemal wyłącznie do nacyonalistów, których nazwiska nic nam zupełnie nie mówią, czyli należą do ludzi, zupełnie społeczeństwu polskiemu obcych, bo nie stykających się z niem na żadnych polach pracy społecznej, czy filantropijnej. Jakkolwiek pocieszilibyśmy się, że taki a nie inny rezultat wyborów wpłynie na pogłębienie uświadomienia stosun-

ku społeczeństwa rdzennego do Żydów, a antagonizm wywoła odpowiednią reakcją ekonomiczną, jakkolwiek robilibyśmy dobrą minę przy złej grze, klęski to nie zmniejsza. Zwraca tylko uwagę na jej tło i przyczyny.

Wśród społeczeństwa polskiego walczyły dwie listy wyborcze. Pierwsza, narodowo-demokratyczna, oparta była na gruncie wyparcia się wszelkich kompromisów z Żydami i wysuwała kandydaturę b. prezesa Koła i b. posła warszawskiego, p. Romana Dmowskiego, druga była wyrazem z jednej strony przedewszystkiem kompromisów, że się tak wyrażymy, towarzyskich z Żydami-asymilatorami oraz wyrazem szczerzej czy udanej wiary w ich wpływy na masę żydowską a więc i w pewnego rodzaju arbitraż co do wyborów. Mówiąc o kompromisie, podkreślamy określenie „towarzystki“, ponieważ w sprawie zasadniczej kandydat tej listy drugiej, p. Jan Kucharzewski, oświadczył się przeciw równouprawnieniu Żydów w samorządzie, i kandydatura jego była skutkiem tego uważana za malum necessarium, żeby nie powiedzieć zwalczana przez część Żydów-asymilatorów, jak to niedwuznacznie wynikało z głosów prasy, do nich zbliżonej. Z drugiej strony lista ta była wyrazem nienawiści do byłego prezesa Koła polskiego przedewszystkiem, a potem dopiero do kierunku, który reprezentuje; aby się o tem przekonać, dość podkreślić różnorodność składających t. zw. „koncentrację“ żywiołów; znalazły się tam i grupy, normalnie zajadłe się zwalczające, jak secesya narodowo-demokratyczna, Zjednoczenie Postępowe, Polska Partya Postępowa, dalej pisma, które na codzień przeciwstawiają się sobie dość silnie, wreszcie, jako cichy współnik, występowali tu Żydzi-asymilatorzy. Wyrazem nienawiści było także i to, że gdy na liście demokratyczno-narodowej znalazł się i p. Kucharzewski, skoro tylko zajął określone stanowisko w sprawie równouprawnienia Żydów w samorządzie, przez co *implicite* demokracja narodowa uznała go za swego kandydata w razie gdyby swego przywódcy przeprowadzić nie mogła, nie zdobyto się na taką kurtuazyę ze strony przeciwniej, owszem—oddawano się szałowi radości, na wieść, że b. prezes Koła upadł jako kandydat na wyborcę w swoim okręgu i radość tę rozciągano sztucznie na upadek całego kierunku. Sprawiedliwość każe stwierdzić przedwczesność tej radości: we wszystkich cyrkulach Warszawy na listę narodowo-demokratyczną padło 6,272 głosy, na koncentracyjną zaś 6,872; jeżeli od tej ostatniej odtrącilibyśmy głosy Żydów-asymilatorów i części podległych ich wpływom masy, większość wypadłaby niewątpliwie po stronie pierwszej.

Niemniej głosy były rozbite, głosy polskie, skutkiem dwóch list polskich; gdyby nie były rozbite, można byłoby zdobyć cyrkuł VI (wolski), wybierający ośmiu wyborców, i XII (śródniescie), wybierający czterech wyborców. Liczba głosów polskich w kolegium wyborczem Warszawy wzrosłaby wtedy o jedenaście (bo jeden kandydat wspólny wybrany został i tak w cyrkuł VI), czyli większość kolegium byłaby polską. Za obecny rezultat, za rozbitcie głosów czynią odpowiedzialną demokrację narodową. Tymczasem z tej strony podnoszą motywy słuszne wystawienia listy osobnej, kiedy stwierdzają, że 1) porozumienie z Żydami jest niemożliwe na warunkach, któreby odpowiadały interesom polskim; 2) że gdyby takie porozumienie z częścią Żydów nastąpiło, byłaby to cząstka niewielka, masa zaś Żydów — pójdzie za listą nacyonalistyczną żydowską; 3) że lista polska, ułożona na gruncie porozumienia z Żydami, przyjęta będzie niechętnie przez ludność polską, że skutkiem tego Polacy wezmą słaby udział w wyborach, co ułatwi zwycięstwo nacyonalistycznej listy żydowskiej; 4) że jedyną drogą, dającą widoki osiągnięcia większości polskiej w kolegium wyborczem jest nie bawić się w żadne porozumienia z Żydami, ale z całą siłą wystąpić do walki z nimi, na tym gruncie obudzić zapał w szeregach polskich i możliwie największą ilość Polaków pociągnąć do urny wyborczej.

Natomiast, zdaniem naszym, demokracja narodowa popełniła parę innych błędów w akcji wyborczej. Powtórzmy tu tylko najważniejszy, na który zwracaliśmy uwagę już w poprzedniej kronice: kiedy się jest stronnictwem, organizującym wybory w kraju, nie wolno przeoczyć takiego faktu, jak konieczność mel-dowania praw wyborczych przez samodzielnych lokatorów, ale nie płacących podatku mieszkaniowego, i w tym kierunku należało zawczasu rozwinąć szerszą i gorącą agitację uświadamiającą, aby z góry zapobiedz możliwej przewadze Żydów wśród prawoborców.

P. Kucharzewski może być wybrany tylko wtedy, jeżeli uda się odciągnąć na niego osiem głosów żydowskich, albo jeżeli czterem wyborców Żydów wstrzyma się od głosowania. Tymczasem podobno wszyscy wyborcy żydowscy jeszcze przed wyborami zobowiązali się uroczyście na p. Kucharzewskiego nie głosować. Radziby widzieć innego Polaka, jako posła, z pośród już wybranych wyborców, ale 23 wybranych pod hasłem koncentracji uważają, że obowiązuje ich stanowczo i jedynie jej kandydatura urzędowa, z wyłączeniem wszelkich innych zabiegów osobistych, a 11-tu wyborców narodowo-demokratycznych nikomu innemu

głosów swych nie oddadzą, jak tylko p. Kucharzewskiemu. Stoi-
my zatem w obliczu możliwości reprezentacji stolicy Polski przez
Żyda-nacyonalistę, chyba, że nastąpi powstrzymanie się części wy-
borców Żydów od głosowania, o co czynione są zabiegi ze stro-
ny asymilatorów. Ale polityka do ostatniej chwili różne goto-
wać może niespodzianki, a rozwiązanie zagadki przyniesie nam
dopiero dzień 7 listopada.

Jeszcze jeden moment wyborów zasługuje na podkreślenie.
Gazety żargonowe żydowskie drukują oświadczenia wybitnych
kadetów rosyjskich, Milukowa, Winawera, Petruniewiczza, dora-
dzające Żydom-wyborcom, aby nie głosowali na p. Kucharzew-
skiego. Taka zewnętrzna interwencya w nasze sprawy wewnątrz-
ne jest conajmniej dziwna, tem dziwniejsza, że wychodzi ze stro-
ny przywódców stronnictwa, rzekomo liberalnego, nawet rady-
kalnego, które zatem powinno szanować cudzą wolność rządu
się u siebie; stwierdza to zresztą, czyje interesy są najdroższe
dla partyi wolności ludu, droższe w każdym razie od wolności
polskiej. Nie sądzimy też, aby rady te wyszły interesowanym
na korzyść wobec społeczeństwa polskiego. Upojeni zwycięstwem
wyborczem Żydzi zapomnieli o bajce o niedźwiedziej przysłudze
i o najistotniejszej modlitwie, aby Bóg bronił ich od niepowoła-
nych przyjaciół, bo z nieprzyjaciółmi łatwiej można dać sobie
radę. Przykłady — za darmo...

Drugiego listopada odbyły się wybory w guberniach. Posłem
ziemi warszawskiej został p. Maryan Kiniorski, wiceprezes C. T. R.,
kaliskiej—p. Alfons Parczewski, piotrkowskiej—p. Michał Łempic-
ki, łomżyńskiej—dr. Jan Harusewicz, lubelskiej—p. Józef Nako-
niecny, płockiej—p. Jerzy Gościcki, siedleckiej—Lubomir Dynsza,
radomskiej—dr. Józef Świeżyński, kieleckiej—p. Wiktor Jaroński,
suwalskiej—Litwin-nacyonalista. Pp. Gościcki i Łempicki zostali
posłami po raz pierwszy; p. Kiniorski był posłem do pierwszej
Izby; wszyscy trzej są ludźmi nieposzlakowanego charakteru, sze-
rokiego umysłu, znanymi na różnych polach pracy publicznej.
Z dziewięciu posłów sześciu należy do stronnictwa demokratycz-
no-narodowego; z pozostałych trzech bezpartyjnych, dwóch po-
pierało to stronnictwo, które też zadecydowało o kandydaturach
prowincjonalnych, jak to przewidywaliśmy w kronice poprzedniej.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. Dnia 9 b. m. odbyło się posiedzenie Wydziału I Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, na którym p. Ignacy Chrzanowski wygłosił odczyt p. t.: „Kult Skargi w trzech ubiegłych wiekach“. Referent stwierdził, że trzywiekowy kult Skargi w Polsce różne przechodził koleje. Wiek XVII cenił w nim nadewszystko szermierza katolicyzmu; wiek XVIII zaczął się już poznawać na jego mądrości politycznej, a poniekąd i na estetycznej wartości jego pism. Dopiero wszakże w w. XIX kult Skargi staje się wszechstronnym, zarówno (t. j. ogarniającym wszystkie wogóle wartości Skargi, rzeczywiste i fikcyjne) jak powszechnym, ogólnonarodowym, przyczem na czoło wszystkich wartości wysuwa się — na początku stulecia — język Skargi, a później, po r. 1831, a więcej jeszcze po r. 1863 (pod wpływem obrazu Matejki), jego jasnowidzący, jak mniemano, patriotyzm. Dzisiaj, w wieku XX ym, jak o tem wyraźnie świadczy literatura jubileuszowa, kult Skargi przestał być ogólnonarodowym, za co odpowiedzialność ponoszą zarówno jego bezwzględni wielbiciel, apoteozujący *tego* Skargę, rzeczywistego i legendowego, jak bezwzględni przeciwnicy, widzący w nim jedynie wartości ujemne. W przyszłości to przeciwieństwo w sądach o Skardze może zniknąć; kult jego może odzyskać charakter ogólnonarodowy, o ile, z jednej strony, nie będzie się wogóle zamykało oczu na wielkie i niewątpliwe wartości Skargi, a z drugiej, o ile się będzie ceniło w nim jedynie wartości dodatnie i nieprzemijające: charakter człowieka, patriotyzm Polaka oraz genialny talent kaznodziei i pisarza.

— NASZE ROCZNICE W ROKU 1912. Dobiegający już do końca rok 1912 zaznaczył się niezwykłą liczbą pamiętnych dla nas rocznic urodzin lub zgonu poetów i pisarzy tej miary, jak Hugo Kołłątaj (*1750 † 1812), Zygmunt Krasziński (*1812 † 1859), J. I. Kraszewski (*1812 † 1887), Piotr Skarga (*1536 † 1612), Władysław Syrokomla (*1823 † 1862) i Stanisław Trembecki (*1730 † 1812). Rozbudzone stąd zajęcie pracami i osobami tych autorów, ujawniające się w szeregu poświęconych im w ciągu roku bieżącego artykułów i prac wydanych oddzielnie—wywołało nadto potrzebę nagromadzenia i zestawienia w specjalnym katalogu bibliograficznym, zarówno własnych dzieł tych autorów, jak i dzieł lub broszur omawiających całą ich działalność w kierunku literackim, społecznym i naukowym. Zadanie to podjął „Antykwaryat Polski Hieronima Wildera i Sp.“ w Warszawie. Leży oto właśnie przed nami № 12 katalogów tej firmy, p. t. „Nasze rocznice w roku 1912“, z którego na samym zaraz wstępie dowiadujemy się, że przy gromadzeniu dlań materiału zwracał głównie p. Wilder uwagę „na wydania wczesne, wyczerpane i rzadkie“, nie pomijając oczywiście i wszelkich innych, zarówno dawniejszych, jak i najnowszych. Stąd też katalog ten oddać może prawdziwą usługę wszystkim naszym bibliofilom, interesującym się pracami, działalnością i życiem wyżej wspomnianych pisarzy.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Warszawa, październik 1912. Treść: Polska literatura współczesna. Krytyka: Adamowicz Bogusław: Nieśmiertelne głupstwo;—Biegeleisen Henryk: Biegas;—Bychowski Z. dr.: Dzieci kaleki i opieka nad nimi;—Chłopicki Wojciech: Krótki zarys uprawy i przeróbki lnu;—Dutkiewicz Stanisław ks. dr.: Łączność wśród duchowieństwa;—France Anatol: Bogowie łakną krwi;—Gwiżdż Feliks: Dobrzy ludzie;—Höfding Harald, dr. prof. uniwersytecki: Psychologia w zarysie na podstawie doświadczenia;—Kakowski Al., ks. dr.: Biskupa Stanisława Karnkowskiego Zbiór konstytucji synodalnych;—Kraushar Aleksander: Dramat szkolny kaliski w r. 1826;—Książka pamiątkowa ku uczczeniu 250 ej rocznicy założenia Uniwersytetu przez króla Jana Kazimierza r. 1661;—Kutrzeba Stanisław, dr.: Materiały do dziejów robocizny w Polsce w XVI w.;—Orkan Władysław: Z martwej rozutki;—Orsi Pietro, prof. historii nowożytnej w Padwie: Włochy nowoczesne;—Otmianowski Stanisław, inżynier: Melioracje łąk;—Pabst A., dr., dyrektor seminarium nauczycielskiego w Lipsku: Wychowanie praktyczne;—Piaszczyński Michał: Poezye;—Pietraszkiewiczówna S.: Dzieje Filomatów w zarysie;—Różycki Zygmunt: Sen o szczęściu;—Sand Herbert: Współczesna polska twórczość dramatyczna;—Sieniatycki M., ks. dr.: Początki hierarchii kościelnej;—Sorel Jerzy: Złudzenia postępu;—Srokowski Mieczysław: Anachroniści;—Suszczyńska Aleksandra: Wrogowie. Lazzarone. Jej imię. Brzemie. Zemsta bogini. Jesień. Najmilsze kochanie. Dziwy. Anna. Chrzcziny. W szkole;—Taine Hipolit: Filozofia sztuki;—Zdziechowski Kazi-

mierz: Łuna;—Tenże: Opoka;—Kronika;—Wyjaśnienie;—Odpowiedź;—Czasopi-
sma;—Bibliografia;—Ogłoszenia.

— SFINKS. Miesięcznik artystyczno-literacki. Warszawa, sierpień i wrze-
sień 1912. Treść: Savitri: Uroda życia;—Wasilewski Leon: Rehabilitacya fal-
syfikatów poetyckich;—Don José Zorrilla (przekład A. Langego): Don Juan
(akt IV);—Klemensiewiczowa Józefa: Johan August Strindberg;—Wolski Wa-
claw: Treny;—Przybyszewski Stanisław: Mocny człowiek (dokończenie);—Lan-
son Gustaw (przetł. St. Turowski ze współudziałem Anieli Wierzbickiej): Me-
toda w historyi literatury;—Kreczmar Roman: Głosy;—Wierziński M. R.:
Czytelnik a krytyka literacka (dIALOG);—Arnsztajnowa F.: Listy;—Kasterska
Marya: O błada różo;—Zalewski Władysław: Na górze Latmos. Druidzi. Co-
raz w zmroczniejszą toń się chyle;—Daniłowski Gustaw: Marya Magdalena;—
Bukowiński Władysław: Bolesław Prus, jako powieściopisarz (c. d.);—Eljasz:
Jak odłamana gałąź (c. d.);—Poznański Mir.: Książę poetów francuskich;—Ga-
wiński Antoni: Zagasły świat;—Bukowiński Władysław: Na fali;—Przeglądy
i sprawozdania;—Dodatki artystyczne.

BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

ABRAMOWSKI EDWARD: Badania doświadczalne nad pamięcią. Tom trzeci.
Podświadomość i reakcyja organiczne. Z zapomogi Kasy pomocy dla osób pra-
cujących na polu naukowem im. d-ra Józefa Mianowskiego. Warszawa, 1912.
Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

BELZA STANISŁAW: Obrazy i obrazki Indyi. Warszawa, 1912. Gebeth-
ner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i Sp.

CHATRIAN-ERCKMANN: Bitwa narodów. Historia rekruta z 1813 roku.
Powieść historyczna. Tom pierwszy. Warszawa, 1912, „Biesiada Literacka“.

CZECH MARYAN, nauczyciel sobieszynskiej szkoły rolniczej: O bakteryjach
i znaczeniu ich dla rolnika. Z 43-ma rysunkami w tekście. Wydawnictwo
Wydziału Kolek Centraln. Tow. Rolniczego w Królestwie Polskiem. № 16.
Warszawa, 1912. Nakładem Warszawskiej Spółki Wydawniczej. Skład głów-
ny w księgarni E. Wende i S-ki.

D'ANNUNZIO GABRIELE: Może tak, może nie (Fors che si, Forse che no).
Z włoskiego przełożyła Helena Żółkiewska. Warszawa, 1912. Nakładem księ-
garni E. Wende i S-ka. Łódź, księg. Ludwika Fiszera.

DICKENS KAROL: Oliwer Twist. Dziwne przygody sieroty. Romans.
Tom czwarty. Warszawa, 1912. „Biesiada Literacka“.

GAWALEWICZ M.: Drugie pokolenie. Powieść Część druga i trzecia. Warszawa, 1912. „Biblioteka Warszawska“.

GOLDSTEIN DR. PROF.: Nowe drogi w filozofii współczesnej ze szczególnem uwzględnieniem stosunku nauki i życia. Przełożył z upoważnienia autora Kazimierz Bleszyński. Warszawa, G. Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i Sp.

GURANOWSKI MIECZYSLAW: Za kulisami. Powieść. Warszawa, 1913. Jan Fiszer.

GUY DE MAUPASSANT: Silna jak śmierć. Powieść. Kraków, 1912, G. Gebethner i Sp. Warszawa, Gebethner i Wolff.

HOESICK FERDYNAND: Chopiniana. Tom I. Korespondencya Chopina. Warszawa, 1912. Nakładem księgarni F. Hoesicka. Kraków, G. Gebethner i Spółka.

KAZET: Z urzędniczego świata. Nowele i humoreski. Brody, 1912. Nakładem Feliksa Westa.

KATALOG publicznej biblioteki Lwowskiego Związku Okręgowego Towarzystwa Szkoły Ludowej, S. T. L. Lwów, 1912. Nakładem Lwowskiego Związku Okręgowego T. S. L.

KRAUSHAR ALEKSANDER: Okruchy przeszłości. Warszawa i Kraków, 1913. Gebethner i Wolff, G. Gebethner i Sp.

KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Październik, 1912. Treść: Polska literatura współczesna. Krytyka. Kronika. Wyjaśnienie. Odpowiedź. Czasopisma. Bibliografia. Ogłoszenia.

LAGERLÖF SELMA: Laureatka Nobla z 1909 roku. Związki niewidzialne. Tłumaczyła A. Kordzikowska. Część I. Warszawa, 1912. „Biblioteka Dziel Wyborowych.“

LAM JAN: Wielki świat Capowie. Powieść satyryczna. Warszawa, 1912. „Biesiada Literacka“.

LUBERTOWICZ ZYGMUNT: Krasiński, jako wieszcz narodowy. Brody, 1912.

MACHCZYŃSKI KONRAD: Kartki do życiorysu ś. p. Konrada Machczyńskiego, ostatniego prokuratora b. Senatu polskiego, autora dzieł prawniczych i innych. Lwów, nakładem autora, 1912.

MODRZEJEWSKI T.: Strzępy życia. Poezye. Tom II. Warszawa, 1913. Skład główny u Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp.

OWIENEL STANISŁAWA: Panna Wiktorya. Nowele. Warszawa, skład główny w księg. E. Wende i Sp.

PAWEŁ ANTONI: Wieczny Tułacz. Poezye. Warszawa, 1912. Skład główny u Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp.

PISMA BRONISŁAWA CHLEBOWSKIEGO. Tom III, Studya nad literaturą polską wieku XVII. Tom IV, Prace z zakresu historii literatury i krytyki.

Warszawa, 1912. Nakładem Spółki Wydawniczej Warszawskiej. Skład główny w księg. E. Wende i Sp.

PODRĘCZNA ENCYKLOPEDIA KOŚCIELNA. Opracowana pod kierunkiem ks.ks. Stan. Galla, Rom. Jałbrzykowskiego, Jana Niedzielskiego, Marcelego Nowakowskiego, Henr. Przeździeckiego, Czesł. Sokołowskiego, Ant. Szlagowskiego, Jerzego Gautier i redaktora ks. Zygmunta Chęmińskiego. M—N. Tom XXVII i XXVIII. Wydawnictwo Biblioteki Dziel Chrześcijańskich. Warszawa, 1912. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp.

RAWITA-GAWROŃSKI FR.: Historia ruchów hajdamackich w w. XVIII. 2 tomy. Brody, 1913. Nakładem księgarni Feliksa Westa.

ROCZNIK GEBETHNERA I WOLFFA na rok 1913. Kalendarz encyklopedyczno-praktyczny, opracowany pod kierunkiem redakcyi „Tygodnika Ilustrowanego“. Ozdobiony 200 ilustracyami, tablicami porównawczemi i portretami.

ROK 1812. Powieść historyczna w 2-eh tomach, według Ludwika Rellstabta. Tom II z 6-iu ilustracyami. Warszawa, 1912. Nakładem Gebethnera i Wolffa. „Ciekawe Powieści“, bezpłatny dodatek do „Tygodn. Ilustrow.“

SCHURE EDWARD: Kapłanka Izidy. Legenda pompejańska. Lwów, nakładem księgarni H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i Sp.

SĘDZIUK KAZIMIERZ: Marek Bożywój. Kart kilka kroniki starej, w trzech odsłonach dyalogiem podanej. Warszawa, 1913. Nakładem księgarni M. Borowskiego.

SŁOWACKI JULIUSZ: Horsztyński. Dramat w pięciu aktach. Ze wstępem i objaśnieniem Kazimierza Zimmermana. Arcydziała polskich i obcych pisarzy. Brody. Nakładem i drukiem księgarni Feliksa Westa.

SOBIESKI WACŁAW: Król a car. Studya historyczne. Treść: Pesymizm a optymizm w historyografii polskiej. — Dymitr Samozwaniec a Polska. — Legenda a historia. — Czy Skarga był turbatorem Ojczyzny? — Czy Heidenstein był różnowiercą? Lwów, 1912. Księgarnia polska B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp.

STRASZEWSKI MAURZYCY DR., profesor Wszechnicy Jagiellońskiej: Dzieje filozoficznej myśli polskiej w okresie porozbiorowym. Kraków, 1912. Nakład koła filozoficznego uczniów uniwersytetu jagiellońskiego.

STULECIE GAZETY LWOWSKIEJ 1811—1911. Tom drugi, część I—IV, z dwoma portretami i podobizną. Napisali: Wilhelm Bruchnalski, Bronisław Czarnik, Franciszek Jaworski, Juliusz Kleiner, Kazimierz Ostaszewski-Barański pod redakcyą Wilhelma Bruchnalskiego. We Lwowie, nakładem Gazety lwowskiej, 1912.

TOŁSTOJ HR. LEON N.: Anna Karenina. Przekład z siódmego wydania oryginału przez J. Wołowskiego. Tom VII i VIII. Warszawa, 1912. „Biblioteka Dziel Wyborowych“.

TRYUMF XX WIEKU. Z dziedziny przyrody. Napisał Ignacy Kochanowicz. Włocławek, 1912. Nakładem autora.

WASILEWSKI LEON: Litwa i Białoruś. Przeszłość—Teraźniejszość—Tendencje rozwojowe. Spółka nakładowa „Książka“. Kraków. Skład główny w Warszawie, księgarnia G. Centnerszvera i S-ki.

WATERMAN NIXON: Jaką młoda dziewczyna być powinna. Przełożyła Emilia Węśławska. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp.

WELLS H. G.: Anna Weronika. Powieść współczesna. Przekład z angielskiego H. J. P. Warszawa, nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów, skład główny w księgarni E. Wende i S-ki.

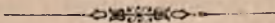
WIERZBIŃSKI MACIEJ: Pięć Marcina Wilczka. Nowele różne. Akwarele. Z Albionu. Na lazurowym brzegu. Momenty psychiczne. Rzeczy Wielkopolskie. Nakład Gebethnera i Wolffa.

ZALESKI WŁADYSŁAW: Duszom w odlocie, IV serya poezyi. Warszawa, 1913. Gebethner i Wolff.

ZAPOLSKA G.: Ich czworo. Tragedya ludzi głupich, w 3 aktach. Warszawa, nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp.

ZBIORY MUZEALNE. Laboratorium d-ra St. Serkowskiego. Wydanie I-e od 1900—1912. Warszawa.

ZIĘBOWSKI FINKELSTEIN MIECZYSLAW: Przedwiośnie. Warszawa, 1913. Skład główny w księgarni Jana Fiszera.



Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.
